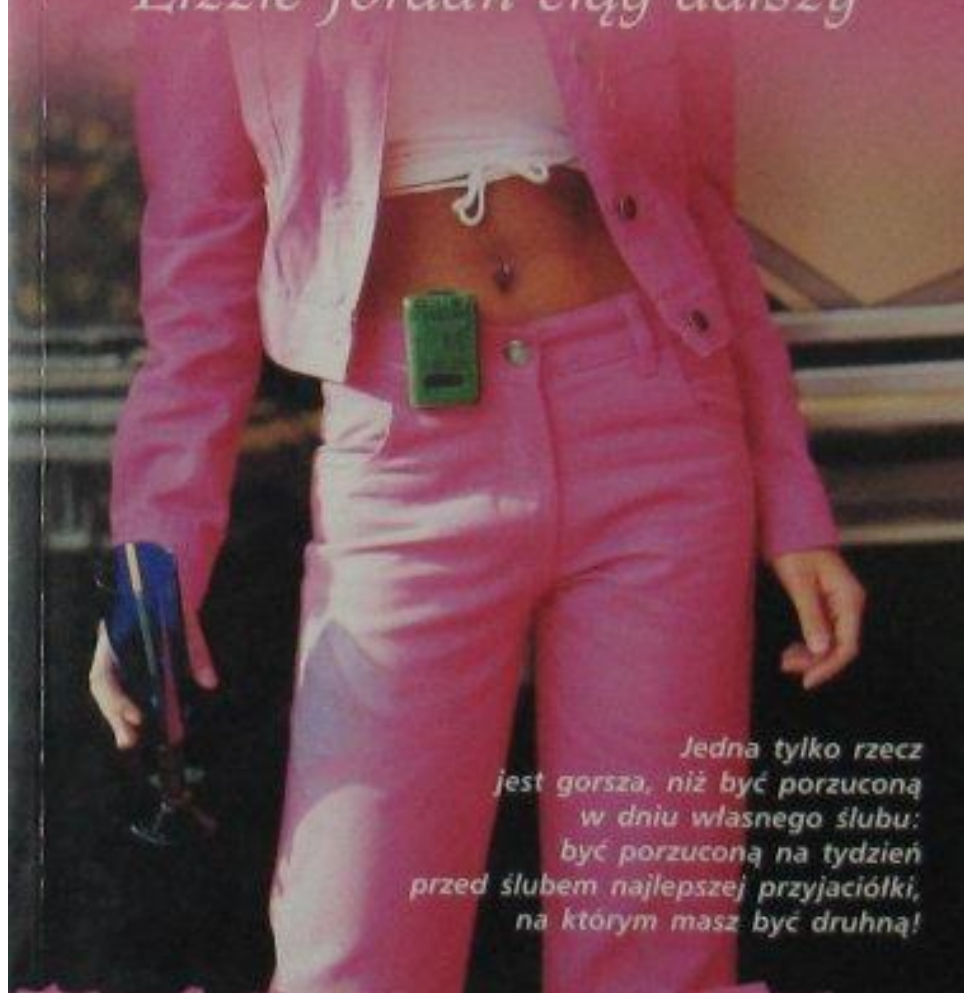


CHRIS MANBY



UCIEC OD RICHARDA

*Życiowych perypetii
Lizzie Jordan ciąg dalszy*



*Jedna tylko rzecz
jest gorsza, niż być porzuconą
w dniu własnego ślubu:
być porzuconą na tydzień
przed ślubem najlepszej przyjaciółki,
na którym masz być druhną!*

My dwudziestolatki, trzydziestolatki...

Manby Chris

Lizzie Jordan 02

Uciec od Richarda

**Życiowych perypetii Lizzie Jordan ciąg
dalszy**

Kapitalna romantyczna komedia o dziewczynie, która usiłuje zaplanować swoją przyszłość, ale nic nie idzie tak, jak zakładała. Już wkrótce dostanie rolę. Nie po to kończyła szkołę aktorską, żeby się nudzić w biurze. Już wkrótce zostanie panią Adams. Richard się oświadczy. Na pewno. To tylko kwestia czasu. Więc jak to się dzieje, że miesiąc później Lizzie Jordan ląduje w Los Angeles, żeby podawać drinki w barze dla transwestytów i udawać dziewczynę reżysera, który przypadkiem jest gejem. Czy życie nigdy nie ma zamiaru ułożyć się tak, jak planowała?

1

Jedną tylko rzecz jest gorsza, niż być porzuconą w dniu własnego ślubu: być porzuconą na tydzień przed ślubem najlepszej przyjaciółki, na którym masz być druhną.

Jeśli sama jesteś wykiwaną panną młodą, przynajmniej nie musisz uczestniczyć w ślubnej uroczystości. Ten luksus nie jest jednak udziałem drużny świeżo upieczonej panny młodej. Nie możesz zamknąć się na klucz w sypialni i szlochać do upadłego, rozmyślając o chwili, kiedy miałaś kroczyć wzdłuż kościelnej nawy przy wtórze dźwięków organów. O, nie... Naprawdę będziesz musiała iść główną nawą z wysoko podniesioną głową, przetykając łzy, żeby nie rozmazał ci się tusz, i nawet tego cholernego stroju, w jakim masz wystąpić, nie możesz sobie wybrać sama.

Tak. Bycie świeżo porzuconą druhną jest bez porównania gorsze niż bycie porzuconą narzeczoną czy nawet porzuconą przed samym ołtarzem panną młodą. Wierzcie mi... Nikt nie wie o tym lepiej ode mnie. Bo to właśnie mi się przydarzyło. Nazywam się Lizzie Jordan. Jestem aktorką. Jeszcze półtora roku temu myślałam, że w szybkim tempie zmierzam do „i odtąd żyli długo i szczęśliwie”. Niedawno skończyłam szkołę aktorską i choć do moich drzwi nie dobijał się tłum agentów z ofertami od Spielberga czy RSC, byłam przekonana, że to tylko kwestia czasu. Dostałam doskonałe recenzje za rolę królowej Tytanii w dyplomowym spektaklu *Snu nocy letniej* Szekspira, a na przesłuchaniu do nowej reklamy Bisto, gdzie trzeba było zagrać dorastającą córkę,

doszłam do samego finału. I choć nie zarobiłam, jak dotąd, na moim aktorstwie ani pensa, błyskotliwa kariera wciąż wydawała mi się raczej kwestią „kiedy” niż „czy”. Tymczasem pracowałam dorywczo w biurze, żeby mieć na opłacenie rachunków, i mówiłam sobie, że ci okropni interesanci, z jakimi musiałam się użerać w przegrzanych lokalach londyńskich firm, wzbogacą moje aktorstwo, gdy przyjdzie mi zagrać sekretarkę, która okaże się w końcu tajną agentką, w jakimś hollywoodzkim filmie akcji. Świeciło słońce. Był nietypowo pogodny londyński sierpień. A ja byłam bardzo szczęśliwa ze swoim chłopakiem, Richardem, malarzem portrecistą, z którym dzieliliśmy przytulne mieszkanie w Tufnell Park. Chociaż życie nie było tego lata jednym ciągiem rozrywek i imprez, kiedy wsiadałam rano do autobusu, czułam dziwne zadowolenie. Zaczynałam się uśmiechać do matek z wózkami, zamiast, jak dotąd, przeklinać je w duchu, kiedy usiłowały wepchnąć się do zatłoczonego autobusu. Zaczynałam doceniać to, co moja matka zawsze mówiła o ustatkowaniu się.

- To nie podcięcie skrzydeł - powtarzała od czasu do czasu. - To wzlot.

Wzlot. To właśnie, jak mi się zdawało, działo się ze mną. Życie nie musiało już być jednym ciągiem fajerwerków i wybuchów namiętności, żeby miało smak.

Stabilizacja nie przytłaczała, lecz koła. Jeśli kolejny piątkowy wieczór spędzaliśmy z Richardem na oglądaniu powtórek komedii w telewizji, nie miałam poczucia, że omija mnie coś fascynującego w nowo otwartym barze na Soho. Byłam szczęśliwa... Szczęśliwa jak indyk nazajutrz po Święcie Dziękczynienia. Indyk, który nie słyszał jeszcze o Bożym Narodzeniu.

Richard też wydawał się szczęśliwy. Całe dni spędzał w niewielkiej pracowni, którą wynajmował w starym magazynie na East Endzie, pracując nad serią obrazów, które miały zawisnąć w jednej z najmodniejszych galerii w mieście. Jego prace cieszyły się rosnącym powodzeniem, tak jak zawsze mu to przepowiadałam. W paru eleganckich niedzielnych dodatkach do gazet przedstawiono go jako artystę z przyszłością. Nie musiały już szukać modeli; ludzie sami się do niego zgłaszali i z radością dołączali do kolejki.

Dobrze nam się żyło. Byliśmy dobraną parą. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Człowiek nie widzi rys, dopóki nie obejrzy się za siebie.

Kiedy doszło już do zerwania, przypomniał mi się pewien moment sprzed dziewięciu miesięcy. Pracowałam wtedy dorywczo w biurze rachunkowym jako recepcjonistka. Mary zadzwoniła do mnie do pracy i powiedziała:

- Lizzie, za chwilę będziesz skakała z radości.

Czekałam, podekscytowana, aż moja najlepsza przyjaciółka powie, że trafiły się jej klapki od Jimmy'ego Choosa dokładnie w moim rozmiarze. Mary jest utalentowaną agentką i ma mnóstwo klientów, od aktorów, którzy chcą zostać gwiazdami pop, do gwiazd pop, które uważają, że drzemie w nich wybitny talent aktorski. To właśnie ona skontaktowała mnie z moją agentką, Bezużyteczną Eunice.

Zanim Mary została utalentowaną agentką, była wziętą specjalistką od public relations. Nadal dostawała prezenciki od projektantów, których kiedyś reprezentowała, wręczane w nadziei, że potrafi wcisnąć kurtkę z ocelota jakiemuś zdobywcy Oscara. Tyle że klienci Mary rzadko oglądali przeznaczone dla nich ekskluzywne podarunki. Mnie pierwszej dawała do przymiarki wszystko, co jej zdaniem mogło na mnie pasować - pod warunkiem, że nie pasowało na nią- i właśnie dlatego moje podniecenie, ilekroć dzwoniła w czasie pracy, było w pełni usprawiedliwione. Jediną rzeczą, która mogła sprawić, że będę skakała z radości, była para modnych kłapek. Ale Mary miała w zanadrzu coś innego.

- Co to jest? - spytałam

- W życiu nie zgadniesz.

- Jakiś drobiazg od Calvina Kleina? - podsunęłam z nadzieją.

- Nie. Coś lepszego.

- Bilety na najnowszą premierę Leo DiCaprio?

- Chciałabyś... Nic z tych rzeczy. Dalej. - Bill spuścił ci lanie.

- Och, Lizzie... Daj spokój - westchnęła. - To niesmaczne.

- To daj mi jakąś wskazówkę.

- Wielki dzień. Wielkie suknie.

- Dostałaś wejściówki na pokaz mody dla puszystych?

- Niiieeeee!!! O Boże, chyba ci po prostu powiem. Jajo zniosę, zanim się wreszcie domyślisz... Chcę, żebyś była moją druhną.

- Dobra, nie ma sprawy - powiedziałam. - Oczywiście żartujesz?

- Obawiam się, że nie - wyrzuciła z siebie, podekscytowana.

- Och, Mary! Nie!!! - zapiszczałam. - To niemożliwe!

- Tak! Tak! Możliwe! Tak, tak, tak! - chichotała. - Możesz w to uwierzyć?

- Naprawdę? No nie...

- Naprawdę. Absolutnie - zatrajkotała. - Oświadczył mi się w sobotę rano.

Powiedziałabym ci wcześniej, ale musiałam najpierw powiedzieć mamie. Przez całą drogę do Konwalii wiedziałam, że coś jest grane. Miał taki dziwny wyraz twarzy...

Jakby się zbierał, żeby powiedzieć mi coś ważnego, i był strasznie zdenerwowany.

Myślałam, że ma zamiar mnie rzucić, wyobrażasz sobie? Byłam wprost chora, kiedy przyjechaliśmy do Padstow. Chciałam rzucić się ze skały. O mało nie zemdlałam, kiedy wyciągnął ten pierścionek...

- Musi być fantastyczny - powiedziałam.

- Och, Lizzie, jest. Naprawdę jest fantastyczny. Jasny gwint - westchnęła. Mogłam sobie wyobrazić, jak pada z powrotem na swoje miękkie skórzane obrotowe krzesło.

- Mówiąc szczerze, jestem bliska płaczu, tak mi ulżyło. Za miesiąc skończę dwadzieścia dziewięć lat, a wszystkie nasze znajome hurmem rzucają się rodzić dzieci, jakby to był jakiś nowy aerobik. Bill nie zdradzał żadnych oznak, że ma chęć się zaobrączkować. Wiesz, tak naprawdę płakałam miesiąc temu na weselu Emmy, bo myślałam, że nigdy nie uda mi się urządzić własnego. No, ale teraz urządzę, jeszcze jakie... Nie wyobrażasz sobie, jaka jestem szczęśliwa!

- Co za ekstaza w twoim głosie - zauważyłam.

- No a jak? To co, będziesz moją druhną, prawda? Lizzie, proszę... Obiecuję, że nie będziesz musiała wkładać na siebie żadnego koszmarnego ciucha. Jak chcesz, to pozwolę ci nawet wybrać kolor sukni. I styl. Chociaż bardzo by mi zależało, żeby mój bukiet był w kolorze intensywnego różu, tak że gdybyś mogła pomyśleć o czymś w tym stylu...

- To może intensywny róż? - zasugerowałam z rezygnacją.

- Super. Będzie świetnie pasować. Mogłybyśmy zacząć szukać w sobotę, jakbyś miała trochę czasu. O Boże, jak się cieszę... Ty też się cieszysz, prawda? - I nie czekając na moją odpowiedź, dodała bez sensu: - Chyba nie czujesz się trochę dziwnie w związku z tym wszystkim?

- Dziwnie? Dlaczego miałabym się czuć dziwnie?

- No bo... - zawahała się. Słyszałam, jak uderza ołówkiem o zęby. To był taki jej nerwowy tik jeszcze z czasów college'u. - No wiesz, jesteśmy w tym samym wieku, a ty i Richard... Dobra,

jesteście razem nawet dłużej niż my z Billem, o ile zwróciłaś na to uwagę, a wciąż nie zdradzacie żadnych oznak.

- Oznak? Czego? - spytałam.

- Tego, że myślicie o sobie na poważnie - szepnęła. - Lizzie, nie chcę, żebyś myślała, że ja wychodzę za mąż, a ty zostajesz na lodzie.

- Mary! - wybuchnęłam śmiechem. - O czym ty mówisz! Któregoś dnia i ja przyskrzynię Richarda. O ile uznam, że tego chcę. W przeciwieństwie do ciebie, wcale się nie palę, żeby ktoś mnie wybawił od hańby noszenia panieńskiego nazwiska, zanim stuknie mi trzydziestka... A do tego czasu, z chęcią będę druhną na twoim ślubie.

- Juhuuu! - wrzasnęła Mary. - Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa! Uzgodniłam już z siostrą Billa, że jej Trinny będzie nieść welon - ciągnęła.

- Co? Trinny? - spytałam. - Ta z loczkami?

- No właśnie - przytaknęła Mary. - Jest taka słodka...

- O tak... Sam miód. To ta, co nasypała mi tartego sera do pantofli na twoich urodzinach? Która wyje jak marcowy kot, a ząbki ma ostre niczym rekin? Przed którą trzeba chować galaretkę z owocami, żeby nie stratowała innych dzieci?

- Tak. Nie może się już doczekać tego dnia - powiedziała Mary, tak jakby nie usłyszała tego, co mówiłam. - Dasz sobie z nią radę.

- Będę mogła użyć w razie czego sznura od żelazka? - spytałam.

- Och, Lizzie... Przecież uwielbiasz dzieci. Dobrze o tym wiesz.

- Tylko jednego nie trawię - odparłam.

Mary przerwała nasz dialog, bo musiała porozmawiać z klientką, aktorką grającą w operze mydlanej (która okropnie się darła, bo właśnie odkryła, że jej bohaterka ma się całować z łanem Beale'em i zginąć w wypadku samochodowym). Zdążyłyśmy się jednak umówić, że w sobotę pójdziemy wybierać dla niej suknię. Resztę dnia spędziłam w stanie lekkiego szoku.

Chociaż znam Mary od dziesięciu lat i obu nam bliżej do trzydziestki niż dwudziestki, nie mogło mi się jakoś pomieścić w głowie, że wychodzi za mąż. Tego popołudnia uderzyło mnie, że bez względu na to, jak długo znamy daną osobę, trudno nam wyobrazić

ją sobie w innej roli niż ta, w jakiej spotkaliśmy ją po raz pierwszy. Właśnie dlatego musimy zazwyczaj zmienić firmę, żeby strząśnąć z siebie image najmłodszego pracownika i dostać awans. Dlatego ojciec i matka zawsze uważają cię za dzidziusia, który robi w pieluchy, nawet jeśli mówisz im, że właśnie pokłóciłaś się z chłopakiem albo wygrałaś w wyborach do parlamentu. I dlatego zawsze widzę Marudną Mary w obszarpanym czarnym T-shircie, z którym nie rozstawała się przez cały college, a nie w bajecznej sukni ślubnej od Elizabeth Emmanuel. Szok? No pewnie... To tak jakby Eddie Izzard podał do wiadomości, że jest w ciąży. Wieczorem powiedziałam o grożącym nam weselu Richardowi.

- Kiedy to ma być? - spytał. Podałam datę.

- Zdaje się, że ten weekend będę miał zajęty - powiedział, nie podnosząc oczu znad gazety.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? - spytałam. - Przecież to dopiero za dziewięć miesięcy.

- Żartowałem - powiedział.

- Masz szczęście.

Sobotni rano. Pierwszy przystanek: Blushing Bride*. Mary miała, rzecz jasna, uszyć sobie suknię ślubną na zamówienie, ale chciała najpierw odwiedzić parę modnych salonów, żeby się zorientować w najnowszych trendach. Moje zakurzone traperki wyglądały nie na miejscu na czerwonym dywanie, który prowadził od drzwi wejściowych aż do pomieszczenia, w którym przechowywano suknie. Czułam się jak Blasany Drwal w drodze do krainy Oz, Mary jednak pomknęła po schodach niczym jakaś cholerna Dorotka, żeby jako pierwsza w tym dniu panna młoda w rumieńcach skupić na sobie uwagę sprzedawczyni.

- Która z pań ma być panną młodą? - spytała ekspedientka. Tak jakby nie wynikało to w sposób oczywisty z faktu, że jedna z nas zachowywała się normalnie, a druga potrzebowała środka uspokajającego.

- Ja, ja, ja! - wykrzyknęła Mary.

* *Blushing Bride* (ang.) - panna młoda w rumieńcach (przyp. red.).

Niewątpliwie założycielką sieci salonów Blushing Bride musiała być była stewardesa. Ekspedientka wyglądała tak, jakby sztuki makijażu uczyła się od którejś z nich, i byłam lekko zdumiona, że dopuszcza się ją do pracy przy białych sukniach z taką ilością brązowego mazidła na oczach. Mary jednak piała z zachwytu, kiedy asystentka podprowadziła ją do różowo wyściełanego, złożonego szezlongu i wręczyła katalog, z którego należało wybrać suknie do przymiarki.

- Co panią przede wszystkim interesuje?

- Może tort beżowy z bitą śmietaną? - podsunęłam.

Mary wydeła usta i spojrzała na mnie karcąco, po czym zwróciła się do asystentki:

- Chciałabym coś klasycznego. Nie za dużo falbanek i ozdóbek. Po chwili doznałam szoku, ponieważ pierwsza suknia, jaką

wybrała Mary do przymierzenia, wyglądała tak, że królowa Maria Antonina, wybierając się na kolejny bal na królewskim dworze, niewątpliwie zastanawiała się, czy nie jest ona przesadnie strojna. Spódnica z tafty była tak szeroka, że Mary nie zmieściłaby się w niej nawet w pasażu owocowo-jarzynowym w Safeway, a co dopiero w nawie mikroskopijnej kaplicy, w której miała brać ślub... Dreszcz mnie przeszył na myśl o tym, do jakich modeli możemy dojść, jeśli zdecyduje się pójść na całość i puścić wodze fantazji.

- Śliczny - powiedziała, muskając palcami złoty haft na staniku, grubszy niż lamówki na mundurze gwardzisty. - Ale co bym włożyła na głowę?

- Mam coś w sam raz dla pani - odrzekła asystentka.

I zaprezentowała Mary przybranie głowy, które wyglądało równie niesamowicie, co adwentowy świecznik z *Blue Petera* z czasów naszego dzieciństwa. Pamiętacie?

Robiono go co roku z dwóch wieszadeł na ubrania i złotej pasmanterii.

- Och, jakie to piękne - westchnęła Mary w zachwycie.

Spojrzałam na ekspedientkę, żeby podzielić się z nią moim skojarzeniem z *Blue Peterem*, ale nie zdołałam uchwycić jej wzroku. Wpatrywała się w nakrycie głowy, jakby było równie wspaniałe i niepowtarzalne, co maska pośmiertna faraona Tutanchamona.

- Na litość boską, czy ty sobie zdajesz sprawę, jak w tym wyglądasz? - zwróciłam się do Mary. Po dziesięciu latach przyjaźni

możemy chyba być wobec siebie uczciwe, jeśli któraś przymierza jakiś idiotyzm... Zaledwie przed miesiącem Mary o mało się nie udławiła z radości na mój widok, kiedy mierzyłam w Top Shopie biodrówki ze skaju. Nie byłam wtedy zachwycona, ale wiedziałam, że najlepsza przyjaciółka ma obowiązek interweniować, kiedy człowiek wygląda jak pinda. W tym momencie po prostu odwzajemniałam przysługę. Ale Mary nie odrywała oczu od złocistej korony.

- Podoba się pani? - spytała ekspedientka. Mary westchnęła.

- Jest fantastyczna.

Fantastyczna! Tak jak ja jestem Mulder i Scully z *Archiwum X*. Wcielę mojej przyjaciółki zamieszkał przedślubny demon. Mary Bagshot, znana również jako Marudna Mary... Trzeźwa, cyniczna, pełna ironii jajcara. Kobieta, która na pierwszy rzut oka odróżnia Versacego od Armaniego. Kobieta, która na kilometr widzi, że torba rzekomo od Prądy to podróbka. Kobieta, która nigdy się nie rozkleja - z klejem ma do czynienia wyłącznie wtedy, kiedy przylepia do kontraktów artystów notki, które są w stanie doprowadzić do łez szefa każdej sieci telewizyjnej. Wystarczył pierścionek na palcu - i jej wyczucie stylu zniknęło niczym brodawka pod skalpelem chirurga.

Jedyne, co mogłam, to patrzeć ze zgrozą, jak ekspedientka podchodzi do Mary i pomaga jej usadowić na głowie złotą tiarę. W końcu uznały, że osiągnęły idealnie dziewiczą pozycję, następnie uśmiechnęły się do siebie i zaświergotały niczym dwa ptaszki o mózdzku jak ziarnko grochu.

- Jakie to fascynujące! - zawołała Mary i naprawdę klasnęła w dłonie. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby to robiła. Nigdy! Istota, która w niej zamieszkała oprócz kompletnego braku jakiegokolwiek stylu najwyraźniej miała też skłonność do przesadnego posługiwania się językiem ciała.

- Dobrze mi w tym?

Ekspedientka pokiwała radośnie głową. Zachwycony ciejący uśmiech nie schodził jej z twarzy.

- Jeszcze jak - powiedziała do mojej przyjaciółki. - Wygląda pani oszłamiająco! I rzeczywiście. Mary wyglądała oszłamiająco... Niczym uchwyt do papieru toaletowego.

- Czuję się piękna-a-a! - zaśpiewała i przemknęła w podskokach po czerwonym dywanie przebieralni, kołysząc krynoliną. -Czuję się piękna, mądra i szczęśliwa!
- I bogata - zażartowała ekspedientka. - Przecież wygrała pani los na loterii, Mary! Znalazła pani swojego mężczyznę.

- Tak, znalazłam swojego mężczyznę! Wychodzę za mąż -powtórzyła Mary, tak jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć. Ale dobrze wiedziałam, że w gruncie rzeczy wierzy w to aż nadto, a ten ton skromności, gdy po raz kolejny mówi o swoim zbliżającym się ślubie, stara się przybrać ze względu na mnie, żeby nie było mi przykro. Uśmiechnęła się do mnie szeroko, tak jakby zaczerpnęła haust z jakiejś tajemnej rzeki szczęścia, do której dostęp mają jedynie zaręczeni.

- I tobie się to przydarzy któregoś dnia - obiecała.

- A kto mówi, że ja tego chcę? - parsknęłam.

- Wszystkie tego chcemy - powiedziała sklepowa, tak jakby wygłaszała kazanie na temat zbawienia duszy. - To spełniony sen każdej małej dziewczynki.

Poczułam się jak ostatnia pozostała przy życiu istota ludzka na posiedzeniu Koła Gospodyń ze Stepford czy innej pipidówki.

Mary niechętnie przebrała się z powrotem w swoje zwykłe rzeczy. Słowo daję, zupełnie jakby tłumaczyć sześciolatniej dziewczynce, że musi zdjąć kostium wróżki, bo pora iść do łóżka... Kiedy szliśmy do metra, objęła mnie ramieniem i próbowała wciągnąć w dyskusję o wyższości atlasu nad jedwabną żorzetą lub odwrotnie.

- Jakoś strasznie jesteś milcząca - powiedziała oskarżyciel-skim tonem, kiedy okazało się, że nie mam na ten temat nic szczególnego do powiedzenia.

- Skąd.

- Jesteś, jesteś... Odkąd weszliśmy do salonu, milczysz jak głaz. Chyba nie jesteś zazdrosna, Lizzie, co?

- Dlaczego miałabym być zazdrosna? - spytałam. - Przecież ja też znalazłam swojego mężczyznę, prawda?

- Tak, ale...

- Ale co? - obruszyłam się, zniecierpliwiona. - Nam z Richardem nie zależy na ślubie. Jest nam dobrze tak jak jest. I trochę się dziwię, że chce ci się zawracać sobie głowę tą maskaradą.

- Dlaczego? - spytała Mary.

- Bo nie wydaje mi się, żebyś naprawdę wierzyła w czarodziejską moc ślubu. Przez całe studia mówiłaś, że nie widzisz w małżeństwie żadnego sensu, skoro twoim rodzicom tak marnie poszło. Nie pamiętasz, jak zarzekałaś się, że raczej urządzisz sobie luksusową łazienkę, niż wydasz tysiąc funtów na suknię przypominającą tort beżowy z bitą śmietaną i *vol-au-vent* z krewetek dla dalekich krewnych, który ch od lat unikasz jak ognia?

- Ja mówiłam coś takiego? - spytała Mary.

- No a kto.

- No cóż... To było, zanim spotkałam właściwego mężczyznę. Myślę, że ze ślubem jest tak samo jak z dzieckiem - nie wiesz, że chcesz je mieć, dopóki naprawdę nie zostaniesz matką. Wtedy zapominasz o żylakach, mokrych pieluchach i rozstępach, i nie możesz się doczekać chrzcina... Mówiłam o ślubie z taką ironią, bo nie wierzyłam, że ktoś mnie zechce. Wolałam, żeby ludzie myśleli, że mi nie zależy, tak, żeby w razie czego nie musieli się nade mną litować.

- Ach tak. No cóż, skoro już w to wdepnęłaś, to faktycznie postaraj się skorzystać, ile się da.

- Zazdrosna jesteś, no nie? - Mary szturchnęła mnie w bok.

- Skąd. Wcale nie jestem zazdrosna. Naprawdę nie jest mi potrzebna obrączka ani tiulowa suknia z taką ilością riuśzek, że wysiadają przy niej wiedeńskie zazdrostki w kuchennym oknie mojej matki, żeby wiedzieć, że Richard mnie kocha - powiedzia-łam z przekonaniem. - Jesteśmy szczęśliwi tak jak jest.

Wtedy byłam przekonana, że to prawda. Co było sporym wyczynem, nawet jak na kobietę, która przyszła na świat długo po narodzinach feminizmu. Do licha, moja mama spaliła swój biustonosz! (Zdaje się, że stało się to pod wpływem serowego fondue obficie podlanego wódką, w roku 1973). Skoro jednak od niemowlęstwa jesteśmy karmione bajkami, które zawsze kończą się ślubem z przystojnym księciem pośród piany koronek, niełatwo wyobrazić sobie prawdziwą miłość, która miałaby inny finał.

No, ale Richard i ja byliśmy ludźmi wyrafinowanymi. Artysta malarz i aktorka... Mogliśmy sobie pozwolić na niekonwencjo-nalność. Słowo daję, w tamtej chwili naprawdę uważałam, że ślub jest dla tych, co nie czują się pewnie. Ile razy widziałam takie rzeczy... Po czterech czy pięciu latach ludzie powiedzieli sobie już wszystko, co było do powiedzenia, powinni się rozstać, ale

boją się samotności, boją się, że nie znajdą nikogo lepszego niż partner, którym zaczynają pogardzać... No i boją się, że nigdy więcej nie będą się bzykać. Zamiast więc pójść każde w swoją stronę, robią coś wręcz przeciwnego - pobierają się. No i przez większą część roku - czy ile tam czasu potrzeba, żeby zorganizować elegancką wyżerkę dla dwóch setek osób - znów mają o czym rozmawiać.

Nie twierdzą, że tak właśnie było w tym przypadku. Nie neguję, że może się czasem zdarzyć głębokie, trwałe uczucie, które ludzie chcą przypieczętować ślubnym kontraktem. Uważałam jednak, że Richard i ja nie musimy podpisywać jakiegoś papierka tylko dlatego, że tak robią wszyscy. Nasz status konkubentów wcale nie oznaczał, że kochamy się choć odrobinę mniej niż Bill i moja najlepsza przyjaciółka Mary.

Może nie?

2

Kiedy patrzę wstecz na okropności, jakie wydarzyły się tamtego lata, widzę teraz, że Richard bywał czasem nieco poirytowany. Składałam to jednak na karb tego, że tak ciężko pracował: wychodził z domu o szóstej rano, a wracał czasem grubo po północy, ze smugą farby olejnej na zasepionym czole. Nieraz pokpiwałam, że pewnie myśli, że chodzę wyłącznie w piżamie... Widywałam go tylko w sypialni - albo kiedy wchodził do łóżka, gdy już dawno zrezygnowałam z czekania na jego powrót, albo kiedy znowu się z niego wyczołgiwał wcześniej rano.

Naprawdę jednak nie dostrzegałam żadnych oznak. Oznak końca.

Ranek tamtego upiornego dnia wyglądał jak każdy inny. O szóstej zadzwonił budzik. Próbowałam przekonać Richarda, żeby został jeszcze z kwadransik w łóżku, ale powiedział, że nie może, i powlókł się na oślep do łazienki. Pochwaliłam go za poświęcenie i naciągnęłam kołdrę na głowę. Zanim wyszedł, przyniósł mi do łóżka herbatę, zaparzoną tak jak lubię, w irioim specjalnym kubku. Cmoknął mnie w policzek, mruknął gdzieś w rzęsy „kocham cię” i już go nie było.

W dwie godziny później wstałam i rozpoczęłam swój zwykły dzień. Poszłam do biura agencji reklamowej, gdzie pracowałam dorywczo od paru tygodni, i o dziesiątej zadzwoniłam cichcem do Bezużytecznej Eunice, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zaprasza mnie na casting do głównej roli w remake'u *Casablanki*, a jak nie, to przynajmniej do reklamy płatków kukurydzianych. Nie było nic.

Lunch jadłam z jedną z biurowych koleżanek. Opowiadała o swoim zbliżającym się ślubie, a ja - o ślubie Mary, który miał się odbyć już za siedem dni. Gadałyśmy o panięskich wieczorach. Dałam dziewczynie telefon striptizera, którego wynajęłam, żeby się ubrał, czy raczej rozebrał, dla Mary. Spędziłam w pracy kolejne popołudnie, obliczając podczas dokonywania w toalecie przed lustrem inspekcji swoich syfów, ile mi płacą za minutę. Zamiast obdzwaniać nowych klientów, przeczytałam pod biurkiem najnowszy egzemplarz „Hello”. Poszłam do domu. Nic, co zdarzyło się w ciągu dnia, nie przygotowało mnie na ten wieczór. Choć gdybym była zabobonna, mogłabym powiedzieć, że miałam omen. W tamtej chwili jednak nie wiedziałam oczywiście, że to omen.

Kiedy skręcałam w ulicę, przy której mieszkaliśmy z Richardem, w jego niewielkim, zabałaganionym mieszkanku, usłyszałam niespokojny gwizd kosa. Kiedy dotarłam na miejsce, zobaczyłam samiczkę kosa spadającą jak kamień z ocieniającej okno naszej sypialni wiśni. Za nią jak jastrząb runęła na ziemię sójka. Na moich oczach złapała biedną kosciczkę dziobem za kark i zanim zdałam sobie sprawę, co się dzieje, oderwała głowę od jej drobnego ciała.

Gdy podeszłam bliżej, sójka odfrunęła. Żałosny widok martwego kosa zaparł mi dech w piersiach. Richard przyrównał mnie kiedyś do kosa... Tak samo ruchliwa, z takimi samymi żywymi oczkami, powiedział. Ale ten potworny spektakl nie przeszkodził mi, by wejść jak zawsze do mieszkania, zrobić sobie jak zawsze kanapkę i usiąść przed telewizorem, by poczekać na powrót Richarda, tak jakby to był każdy inny piątek. To coś, o czym trzeba mu opowiedzieć, pomyślałam. Sójka zamordowała kosciczkę... Co za potworna rzecz przydarzyła się temu miłemu stworzeniu! Nie miałam pojęcia, że następnym razem zobaczę martwe ciało ptaszka nazajutrz rano, gdy z torbami w obu rękach będę opuszczać dom, czując się tak, jakby ukrecono głowę mnie samej.

Richard wrócił tego wieczoru stosunkowo wcześniej. Nalał mi kieliszek wina z butelki, którą kupił po drodze do domu. Mruknął „fajnie”, kiedy spytałam, jak mu minął dzień. Przypomniałam, że musimy jutro znaleźć dla niego garnitur na wesele Mary i Billa. Po prostu musimy! Odkłada to już całe tygodnie. Postraszyłam go, że jeśli tym razem odmówi współpracy, pójdę do Marksa i Sparksa bez niego i wpakuję go w brązowy tweed. I wtedy powiedział:

- Musimy porozmawiać, Lizzie.

Musimy porozmawiać.

Te parę słów, których podobno tak boją się mężczyźni... Nigdy dotąd w ciągu naszego beztróskiego czteroletniego związku żadne z nas nie wypowiedziało tego zdania i, o ironio, nie było ono bynajmniej zapowiedzią kończącej, głęboko szczerej rozmowy. Szybko zrozumiałam, że Richard nie tyle chce, żebyśmy porozmawiali, co raczej ma mi coś do powiedzenia. I powiedział.

Tamtego wieczoru Richard powiedział po prostu, że nie sądzi, byśmy mogli się razem zestarzeć. Myślał o tym przez parę miesięcy, powiedział. A teraz zdecydował, że między nami koniec i chce odejść. A raczej chce, żebym to ja odeszła. Z jego mieszkania i z jego życia.

Kiedy zadał mi ten morderczy cios, tylko otwierałam i zamykałam usta jak wyrzucona na brzeg ryba. Nie mogłam złapać tchu, żeby się z nim kłócić. Nie mogłam nawet płakać. Zanim zdołałam odzyskać zdolność mówienia, zdolność obrony, oznajmił, że idzie spać do drugiego pokoju i zamknął się przede mną na klucz.

No więc wyprowadziłam się nazajutrz rano. Co innego mogłam zrobić? Richard dał mi jasno do zrozumienia, że nie dopuszcza innych rozwiązań. Może spędzony w pojedynkę weekend zmieni jego nastawienie? - sugerowałam. Może moglibyśmy pozostać parą, mieszkając osobno? To zrozumiałe, że może mu brakować przestrzeni, powiedziałam. Każdy potrzebuje przestrzeni od czasu do czasu... Kiedy jednak błagałam, żebyśmy przegadali sprawę jak należy, po prostu zakrył uszy dłońmi, jak dziecko, które nie chce słyszeć, że pora iść do łóżka.

Kolejną noc spędziłam prawie dwieście kilometrów od niego, u rodziców w Solihull, w sypialni, którą odnawiali ostatni raz na moje dwunaste urodziny. Kiedy wpatrywałam się w wyblakłe

tapety ze scenkami z *Dziennika damy z czasów króla Edwarda*, które były tak popularne na początku lat osiemdziesiątych, miałam uczucie, że zapomniałam, jak się oddycha. Ale prawdziwy szok w związku z nieoczekiwaną decyzją Richarda był dopiero przede mną. Za każdym razem, ilekroć zadzwonił telefon - a dzwonił bez przerwy, jako że moja matka została koordynatorem lokalnej straży sąsiedzkiej - byłam pewna, że to Richard. Zaraz powie, że to był tylko głupi żart. A jeśli nie żart, to po prostu drobny wstrząs w naszym skądinąd idealnym pożyciu. Nasz związek skończony? To niemożliwe. Przecież się kochamy, no nie? Potrafimy sobie z tym poradzić.

Kiedy myślę o tym teraz, przypominam sobie, że Richard milkł, ilekroć wspominałam o zbliżającym się weselu Maiy i Billa. W jakimś momencie powiedział nawet: „Nie rozumiem, do czego ludziom potrzebny jest ślub w dwudziestym pierwszym wieku”. Może to o to chodzi? Ślubna fobia. To by wyjaśniało, dlaczego tak się opierał przed kupowaniem garnituru. Nie miał ochoty iść na wesele Billa i Mary, bo obawiał się presji, że powinien być następny w kolejce. To oczywiste.

Uznałam, że jestem na właściwym tropie. Ta myśl przyniosła mi w nocy nieco pociechy. Może jeśli mu powiem, że nie musi iść na wesele, i obiecuję, że nigdy nie będę oczekiwała od niego oświadczeń, oprzytomnieje i pozwoli mi wrócić? Zadzwoniłam natychmiast, gdy tylko uznałam, że mógł się już obudzić. Ale w mieszkaniu go nie było. Zastałam go pod komórką.

- Jest piąta rano - mruknął szorstko.

- Gdzie jesteś? - spytałam. - Dzwoniłam do ciebie do domu.

- Co to ma za znaczenie? - odparł opryskliwie, przyjmując pozycję obronną.

- Żadnego - zapewniłam, gotowa się czołgać. - Po prostu... po prostu chciałam z tobą porozmawiać. To znaczy... na litość boską, nie możesz tak po prostu przekreślić tych czterech lat! Chyba nie spodziewałeś się, że się wyprowadzę od ciebie bez słowa wyjaśnienia. ...

- Nie, nie spodziewałem się - przyznał niechętnie.

- No więc zastanawiałam się - zaczęłam - co mogło spowodować u ciebie tę zmianę uczuć wobec mnie. Czy chodzi o to, że nie masz ochoty się żenić? Że chcesz uniknąć obecności na weselu Billa i Mary? Czy stąd wzięła się ta wczorajsza kłótnia? No

więc wcale nie musisz mi się oświadczać tylko dlatego, że jestem pierwszą druhną-zmusiłam się, żeby się roześmiać. Richard westchnął.

- Mam rację? - spytałam.

- Nie chcę o tym rozmawiać w tej chwili - powiedział. - Zadzwoń później.

I wyłączył telefon.

Nigdy dotąd nie przerwał w ten sposób rozmowy - bez „pa” i co najmniej pół tuzina pocałunków. I nagle zrozumiałam, że to nie jest senny koszmar, że nie obudzę się za chwilę w naszym podwójnym łóżku, a on nie pogładzi mnie po głowie i nie powie: „No, już dobrze. To tylko sen”. To nie był sen. To działa się naprawdę.

Odłożyłam słuchawkę, poszłam do łazienki i zwymiotowałam. Mdłości szarpały mną tak, że rozboleły mnie zębra. A potem płakałam, dopóki nie nabrałam pewności, że jeszcze chwila, a moje odwodnione kości trzasną, jeśli spróbuję znowu stanąć na nogi. Kiedy o wpół do ósmej wstali mama z ojcem, znaleźli mnie na podłodze łazienki, z głową w sedesie (przez cały dzień miałam na policzku odcisk deski sedesowej). I przez kolejne pięć dni nie byłam praktycznie w stanie robić nic innego.

Wierzcie mi, chętnie bym tak została, z głową na desce sedesowej. Gdybym mogła, zamknęłabym się w tej łazience i siedziała, dopóki nie umarłabym z głodu. Przecież okazało się właśnie, że moje nadzieje na trwały związek z człowiekiem, którego kochałam jak nikogo na świecie, to była jedynie moja rzeczywistość, całkowicie irracjonalna wobec bezlitosnych faktów, które właśnie wyszły na jaw. Faktów świadczących o uczuciach Richarda wobec mnie - czy raczej ich braku... Ale ten tydzień, najgorszy tydzień w moim życiu, to był równocześnie najważniejszy i najwspanialszy tydzień w życiu mojej najlepszej przyjaciółki Mary.

Kiedy ja rozpadałam się na kawałki, Mary przygotowywała się do szczęśliwego finału swojego wielkiego romansu. W sobotę

o trzeciej po południu miała stanąć przed ołtarzem kaplicy uniwersyteckiej, w tym samym college'u, w którym się poznałyśmy,

1 złożyć Billowi, swojej sympatii od czasów studenckich, przysięgę małżeńską. I oczekiwała, że gdy będzie robiła ten doniosły krok ku wiecznej szczęśliwości, ja będę stała tuż za nią... Kiedy w końcu byłam w stanie podnieść słuchawkę, by zawiadomić Mary, że Richarda nie będzie na weselu, pierwszą rzeczą, jaką powiedziała, było:

- Jezus Maria, Lizzie, przecież to przewraca do góry nogami cały plan rozsądzenia gości!

I natychmiast rozpoczęła diatribę na temat tych przeklętych kwiaciarzy, którzy tylko co zadzwonili z wiadomością, że dekoracje kwiatowe będą kosztować dwa razy tyle, niż było ustalone, z powodu ogólnoświatowej epidemii mszycy. Zdążyłam też usłyszeć o nieodpowiedzialnych cateringowcach, o potwornie drogich prezentach ze ślubnej listy, które pomyłkowo zostały przesłane pod jakiś adres w Devizes i o tym, że wątpliwe, by Mary dała radę dotrzeć do ołtarza w pantoflach, które zostały przewidziane na okoliczność ślubu, zanim wreszcie zdołałam jej przerwać i powiedzieć, dlaczego Richarda nie będzie na weselu.

Mary zamilkła.

W ciszy, jaka zapadła, słyhać było tylko moje siąkanie.

- O Boże, Lizzie - powiedziała Mary. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie możesz w tej sytuacji być moją druhną?

Oczywiście chciałam. Dokładnie po to dzwoniłam. Mary to zrozumie, prawda? Przecież być druhną, kiedy ma się więcej niż czternaście lat, to koszmar, nawet jeśli akurat nie rzucił cię facet. Mamy dwudziesty pierwszy wiek! Możliwe, że w kosmos polecą statek z kobiecą załogą. Kobiety na całym świecie odkrywają lekarstwa na groźne choroby, rozstrzygają międzynarodowe spory, piszą skłaniające do refleksji powieści, które mogą któregoś dnia zmienić oblicze ziemi... Kiedy jednak dziewczyna idzie nawą za swoją najlepszą przyjaciółką, w sukni, która przystoi raczej sześciolatce, nikt nie da złamanego grosza za jej osiągnięcia. Nikogo nie obchodzi, że została właśnie desygnowana na stanowisko ministra albo podpisała w wydawnictwie umowę na trzecią książkę. Wszystkich w kościele interesuje wyłącznie to, co z nią jest nie tak, że nie udało jej się złapać faceta.

A ja właśnie zostałam porzucona. Porzucona! I nie było to w dodatku zwykłe porzucenie. Zostałam porzucona przez miłość mojego życia. Przez moją połówkę jabłka. Przez moją jedyną prawdziwą miłość. Niemożliwe, żeby Mary oczekiwała, iż w tej sytuacji będę drugą z kolei najpilniej obserwowaną kobietą na jej weselu... Porzucona dziewczyna we wściekle różowej, marszczzonej, falbaniastej sukni? Toż to by była tortura. W Amnesty International dostaliby szoku. Najgorszemu wrogowi bym tego nie życzyła.

- Mary - zaczęłam, bliska omdlenia. - Naprawdę nie sądzę, że bym...

Nie zdołałam dokończyć zdania.

- Co za skurwiel! - wrzasnęła piskliwie Mary. - Co za cholerny egoista! Jak on mógł mi to zrobić?!

- Mary - spróbowałam jej przerwać. - On to zrobił mnie. To mnie zostawił.

- W sobotę biorę ślub - ciągnęła, nie zwracając uwagi na moje słowa. - Czy on sobie zdaje sprawę, jaki to stres? Właśnie się dowiedziałam, że muszę wziąć kredyt hipoteczny na dom, żeby móc sobie pozwolić na kwiaty, jakie zamówiłam, cateringowcy próbują mi wmówić, że potrzebuję łososia, a nie krewetek, bo im się coś popieprzyło w zamówieniach, moje kremowe atłasowe pantofle od Emmy Hope są całe we krwi, bo popekały mi pęcherze, a teraz jeszcze ty dzwonisz i mówisz mi, że nie będziesz druhną, bo ten skurwysyński egoista Richard cię rzucił! Powinnam była wiedzieć, że wytnie jakiś numer - palnęła z wściekłością. - Zawsze mnie nie cierpiał, Lizzie. Odkąd tylko z nim chodzisz, przez cały czas obgaduje mnie za plecami. Nie próbuj zaprzeczać! Chciał mi spieszyć mój wielki dzień. Ale nic z tego... Nie uda mu się. Pójdiesz za mną nawą, choćbym cię tam miała zaciągnąć za włosy!

Była absolutnie zdeterminowana.

- Aleja okropnie wyglądam! - jęknęłam.

- Na miłość boską, Lizzie - cmoknęła zniecierpliwiona. - Druhna powinna wyglądać okropnie. Jutro o drugiej zabieram cię na próbę generalną.

I odłożyła słuchawkę. Pewnie żeby dalej użerać się z ludźmi od cateringu.

A więc to tak. Wiedziałam, że muszę włożyć tę suknię z bufiastymi rękawami, bo inaczej stracę nie tylko kochankę, ale i najlepszą przyjaciółkę. Wróciłam do sypialni, padłam na łóżko i rozpoczęłam kolejną rundę wpatrywania się w sufit. O piątej mama przyniosła mi talerz rosółu. Wzięłam jedną łyżkę do ust i pod jej czujnym okiem przełknęłam, pomimo ściśniętego gardła.

- Co mówiła Mary? - spytała.

- Powiedziała, że zabierze mnie na próbę generalną ślubnej ceremonii jutro o drugiej.

Mama poklepała mnie pogodnie po ręku.

- No cóż, wydała sporo pieniędzy na tę suknię - przypomniała mi. - W każdym razie nie powinnaś opuszczać przyjęcia,

kochanie. Pierwsza drużna może przebierać we wszystkich samotnych mężczyznach na weselu jak w ulęgawkach. - Wyrzuciła energicznie ramię, tak jakby chciała mi wskazać kolejkę napalonych facetów w porannym negliżu, tłoczących się pod drzwiami mojej sypialni.

- Dzięki, mamó - westchnęłam.

To właśnie była odpowiedź mojej matki na wszystko... Straciłaś faceta? Znajdź sobie innego. Ale jak mogłam choćby myśleć o rozglądaniu się za innymi na weselu Mary? Utrata Richarda to nie oczko w rajstopach. Nie mogłam kupić sobie u Marksa i Sparksa innego Richarda, elegancko opakowanego w celofan, który by wyglądał, pachniał i smakował tak samo, jak poprzedni. Inne usta w innej pryszczatej twarzy mogły być pociechą, kiedy miałam czternaście lat i wzdychałam do kapitana szkolnej drużyny krykieta, ale nie było to rozwiązanie, które mogłabym brać pod uwagę teraz.

- Kto wie - ciągnęła beztrąsko mama. - Może ci się trafi nawet pierwszy drużba!

- Mamó!

Ta możliwość była jeszcze mniej prawdopodobna. Gdyby szło tylko o to, że pierwszym drużbą miał być inny mój były chłopak... Brian Coren, Bill, Mary i ja studiowaliśmy razem na pó-czątku lat dziewięćdziesiątych. W tej chwili mieszkał w Nowym Jorku, tam skąd pochodził, i pracował jako bankier. Do Wielkiej Brytanii miał przylecieć specjalnie na ślub. Ze swoją osobistą narzeczoną u boku.

- No, jedź ten rosół - powiedziała z rezygnacją mama. W końcu do niej dotarło, że nie zdoła mnie dziś pocieszyć obietnicą nowej zabawki. - Schudłaś ostatnio.

- Nie mogę - jęknęłam. - Chcę umrzeć.

- Nie możesz umrzeć, Lizzie - powiedziała rzeczowym tonem, który pamiętałam z czasów mojej ostatniej fazy samobójczej (latem 1990 roku, kiedy zdawałam maturę). - Przed tobą wesele i musisz na nie pójść. Postaraj się nie myśleć o tym wstrętnym typie.

Wstrętny typ... Mój Richard!

Mama wyszła i zamknęła za sobą drzwi, aja wróciłam do przerwanej zajęcia, czyli do pojedynku z sufitem na spojrzenia - kto dłużej.

Mój Richard. Jak to możliwe, że nie będziemy już razem? Jak to możliwe, że ja wpatruję się w sufit pokoju, w którym spałam jako dziecko, a mężczyzna, z którym od czterech lat dzieliłam życie, prawdopodobnie jest teraz w jakimś obcym łóżku z kimś innym?

Z kimś innym?

Och, nie... Na tę myśl poczułam ściskanie w żołądku.

Jak zdarta płyta, wciąż na nowo odtwarzałam w głowie naszą ostatnią rozmowę.

Richard, facet, który powiedział kiedyś, że kocha mnie za nasze noce, zakończył naszą ostatnią rozmowę - rozmowę, którą wymusiłam na nim o trzeciej nad ranem - stwierdzeniem, że jestem nudna i pospolita. Że nie dorastam do jego oczekiwań.

Powiedział, że głębia jego uczuć do mnie to tylko moje wyobrażenie. Próbował mnie nawet przekonać, że fakt, iż rankiem tego feralnego dnia powiedział, że mnie kocha, jest bez znaczenia. Jak to się mówi, było, ale się zmyło.

Czy nie dostrzegałam żadnych sygnałów, które powinny były uświadomić mi, że jego uczucie do mnie dawno umarło?

Jakich sygnałów? - zastanawiałam się później.

Na przykład tego ogromnego bukietu róż, który dostałam od niego w czwartą rocznicę naszej pierwszej randki? Tego pięknie oprawionego szkicu, którym zaskoczył mnie na walentynki? Tej urodzinowej kartki, w której napisał na niespełna miesiąc przed zerwaniem: „Z życzeniami dalszych wspólnych wspaniałych lat”? Cholera jasna, nawet Sherlock Holmes nie potrafiłby dostrzec w tym zwiastunów krachu.

Samotna w swoim dziecięcym pokoju, czułam się jak dziewczynka z baśni, która straciła najlepszego przyjaciela na rzecz Królowej Śniegu, bo wpadł mu do oka okruch szkła ze zbitego zwierciadła tej suki, a drugi przebił jego niewinne serce.

Mojego ukochanego Richarda, mężczyznę, z którym śmiałam się i płakałam, który razem ze mną cieszył się życiem, kiedy było dobre, i pocieszał, kiedy stawało się trudnym do udźwignięcia ciężarem, zastąpił jego złowrogi duplikat: człowiek, który wyglądał jak Richard, mówił jego głosem i nawet pachniał tak samo jak on, ale serce miał z lodu.

3

Chcę umrzeć - powiedziałam nazajutrz rano do swojego odbicia w lustrze.

Rzeczywiście wyglądałam, jakbym była bliska śmierci. Kolejna noc bez odrobiny snu. Kolejna noc spędzona na błakaniu się

po dymiącym rumowisku, jakie pozostało po moim zbombardowanym związku, w poszukiwaniu tego jednego jedyne odłamka- momentu, kiedy wszystko zaczęło się psuć. Nieustannie zadreślałam się rozmaitymi „tydzień temu o tej porze”. Tydzień temu o tej porze byliśmy z Richardem w łóżku. Tydzień temu o tej porze byłam szczęśliwa.

Mniej więcej piętnaście po czwartej nad ranem wpadłam na pomysł, że to się zaczęło w momencie, kiedy na imprezie z okazji otwarcia pewnej galerii oblałam winem ważnego handlarza dzieł sztuki, na którym Richard starał się wyrzeć dobre wrażenie. Od razu zadzwoniłam, żeby spytać, czy tak jest naprawdę, i obiecać, że już nigdy więcej mi się to nie przydarzy. Ale nie udało mi się tego ustalić tej nocy. Richard odłożył słuchawkę, a jego komórka była wyłączona

Trochę później tego dnia Mary zabrała mnie na próbę generalną ślubnej ceremonii. Przyjechała po mnie specjalnie z Londynu - żeby mieć pewność, że nie zdezerteruję - i powiedziała, że w drodze powrotnej z Solihul! do kaplicy w Oksfordzie mam czas, żeby jej opowiedzieć, co zaszło w tamten weekend. Po upływie tego terminu, powiedziała, pomimo całego należytego szacunku dla mojego bezdenne smutku, będzie zmuszona zawiesić obowiązki najlepszej przyjaciółki, żeby móc się spokojnie przejmować własnym ślubem. Miałam przed sobą półtorej godziny. I wykorzystałam ją jak należy.

Chciałam, by Mary zgodziła się z moją diagnozą, że Richard cierpi na ślubną fobię i że na myśl o tym, iż będzie patrzył, jak idę do ołtarza, nawet jeśli miał mnie oglądać z miejsca za jednym z licznych kuzynów Mary, dostał ataku paniki.

- On nie ma ochoty na małżeństwo - powiedziałam z przekonaniem, na jakie tylko mogłam się zdobyć. - I tu jest pies pogrzebany. Pewnie dlatego zachował się tak, jak się zachował.

- On nie ma ochoty na ciebie - brzmiało znacznie bardziej ponure wyjaśnienie Mary.

- Założę się, że zadzwoni do mnie jutro wieczorem, kiedy niebezpieczeństwo minie - powiedziałam z nadzieją.

- A ja się założę, że jego komórka będzie leżała zagrzebana pod bielizną innej baby co najmniej do środy.

- Powinnaś mi dać jakąś nadzieję, a nie ją odbierać! Podjeżdżałyśmy do budynku naszej dawnej uczelni. Mary okrążyła go już parę razy, szukając miejsca, gdzie mogłaby zaparkować

swojego mercedesa, ale teraz zrezygnowała i pogodziła się z tym, że będzie musiała wykonać manewr parkowania wstecznego.

- Kocham cię, Liz - powiedziała, wrzucając wsteczny bieg. -I chciałabym dać ci jakąś nadzieję - ciągnęła, pilnując, by podjechać jak najbliżej krawężnika. - Ale to, co ci mam do powiedzenia, nie ma niestety z nadzieją nic wspólnego. Mam ci do powiedzenia coś, o czym na pewno wolałabyś w tej chwili nie słyszeć. Richard rzucił cię na tydzień przed moim ślubem. Twierdzisz, że boi się małżeństwa. Ja twierdzę, że podobna obawa nawet mu w głowie nie powstała. Moment, w którym cię rzucił, jest w szerszej perspektywie bez znaczenia. Chociaż świadczy o tym, jak mało przejmował się zarówno tobą, jak i mną, skoro nie mógł z tym poczekać jeszcze tydzień. Nikt tak naprawdę nie boi się małżeństwa - ciągnęła. - Co takiego strasznego jest w tym, że będziesz mieć seks na zawołanie, obiad na stole każdego dnia i czyjaś uśmiechniętą twarz, kiedy wracasz do domu? Nic. Czego się boją mężczyźni, to małżeństwa z niewłaściwą osobą. I bądźmy szczerze, kobiety też. Małżeństwo z niewłaściwą osobą to koszmar. I ty jesteś tą niewłaściwą osobą dla Richarda. To wszystko. No dobra, pora na nas.

Zaparkowała samochód w miejscu, które było dla niego o wiele za małe na długość, tak że przód auta wystawał na pas ruchu, i ciągnąc mnie za sobą, pognęła sprintem do kaplicy.

Nie byłam w uniwersyteckiej kaplicy, odkąd skończyłyśmy studia. A właściwie to nie byłam w żadnym miejscu kultu religijnego, odkąd skończyłyśmy studia, czyli od blisko dziesięciu lat.

Kiedy jednak przekroczyłam drzwi kaplicy św. Judyty, miałam wrażenie, jakbym nigdy stąd nie wychodziła. Woń politory, którą zaciągano kościelne ławki. Drobiny kurzu, wirujące niczym mikroskopijne baśniowe tancerki w smugach barwnego światła, które padały z witrażowych okien. Plama z oleju na posadzce, po tym jak w 1957 roku jakiś student-kaskader przejechał przeciekającym motorowerem aż do ołtarza. Było tak, jakby zatrzymał się czas.

A jednak tyle się wydarzyło.

A kapelan aż się palił, żeby się o tym dowiedzieć.

- Lizzie Jordan - rozpromienił się na mój widok.

Byłam zaskoczona, że pamięta moje nazwisko. Podczas studiów w Oksfordzie nie uczęszczałam zbyt regularnie na jego

nabożeństwa... Niedzielny poranek był po to, żeby leczyć kaca, a nie śpiewać hymny.

- Jak to miło. że cię widzę! Mam nadzieję, że życie traktowało cię życzliwie przez te lata?

- Dosyć - powiedziałam. - Dopiero tydzień temu.

- Czy Bill już przyjechał? - przerwała mi Mary. Obiecałam jej, że cokolwiek się zdarzy tego dnia, nie będę mówić o krachu mojego związku w miejscu, które ona wybrała na swój ślub. To bardzo zła karma, twierdziła.

- Zdaje się, że wyskoczył po papierosy - powiedział kapelan.

- Rzuci palenie, jak tylko się pobierzemy - rzuciła cierpko Mary. - Och, na Boga... Kapelan pobladł.

- Przepraszam, wielbny księżu. Chciałam powiedzieć, gdzie on się tak długo, psiakość, podziewa?

Ciekawe, czy „psiakość” to bluźnierstwo, pomyślałam.

- Powinniśmy się pospieszyć - ciągnęła z irytacją Mary. - Muszę jeszcze poszukać cielistych rajstop, jak skończymy z próbą.

Bill zdążył wrócić akurat na czas, by uniknąć porzucenia.

- No to dobrze. - Kapelan zatarł ręce, sygnalizując gotowość do startu. - A zatem kogo tu mamy? Pannę młodą, pana młodego, druhnę... A gdzie ojciec panny młodej?

- Przyjedzie jutro rano - pospieszyła Mary. - Ma dziś po południu jakiś mecz, którego nie może opuścić.

Kapelan skinął głową.

- A drużba?

- Przylatuje na Heathrow jutro o szóstej trzydzieści - powiadomił go Bill. - Miejmy nadzieję...

- No cóż - rzekł kapelan. - Miejmy nadzieję, że cała Anglia zastrajkuje, tylko kontrola lotów nie, co?

- Co ksiądz ma na myśli? - spytała cierpko Mary.

- Próbowałem zażartować.

- Przepraszam. - Mary zmiękła. - Jestem naprawdę okropnie zestresowana... Próbują mi wmówić żółte kwiaty jako przybranie- zwróciła się z desperacją do Billa. - Żółte przybranie! Możesz to sobie wyobrazić? Podobno w całej Holandii padły białe róże. Z powodu mszyc.

- Hm - odchrząknął kapelan. - Czy możemy zaczynać? Pan młody stanie tutaj - popchnął Billa ku prawej stronie ołtarza. - Panna młoda i pierwsza druhna cofają się do wejścia. Jutro rano

będzie z wami kościelny i zadba, żeby wszystko szło jak należy. Kiedy organista zagra *Here Comes the Bride*, macie odczekać trzy takty i dopiero wtedy ruszyć nawą. Powoli. Nie chciałbym, żebyś się potknęła o własną suknię, Mary. Przy założeniu, że będziesz miała długą. W zeszłym tygodniu była tu panna młoda w spodniach. Bardzo nowoczesnie... Co nie znaczy, że w pełni apróbuję coś takiego, ale chyba powinienem się cieszyć, że w ogóle niektórzy tu jeszcze przychodzą. A zatem idziesz powoli. Ale nie na tyle powoli, żeby skończyła się muzyka, zanim dotrzesz do ołtarza.

- Zanim dotrę do ołtarza? - spytała Mary ze zgrozą. - Często się zdarza coś takiego?

- Niezbyt często-uspokoił ją kapelan. - Nawa ma tylko cztery metry długości.

- Ale gdyby się zdarzyło, to chyba organista może jeszcze chwilę pograć? - upewniła się Mary. - Nie chcę, żeby się okazało, że mi zabrakło akompaniamentu.

- Oczywiście, ale wtedy organista zaczyna od początku i może się zdarzyć, że przez parę taktów będziesz musiała stać nieruchomo przed ołtarzem. To może być jeszcze bardziej niezręczne.

- A czy organista nie może po prostu przestać grać, kiedy zobaczy, że już doszłam? - Mary miała szaleństwo w oczach.

- Mary, nie będzie z tym żadnego problemu - przerwał Bill. - Dojdiesz do ołtarza na czas. Muzyka skończy się dokładnie wtedy, kiedy trzeba.

- Dokładnie. - Mary ruszyła jak burza w kierunku przedsionka, wlokąc mnie za sobą.

- Tak samo jak będę miała białe róże, a nie żółte. Niczego nie można być pewnym w tych czasach, choćby człowiek wydał nie wiem ile kasy. Wszystko nie tak... To będzie katastrofa, jestem pewna.

- Może przynajmniej w nocy będzie lepiej? - zaryzykował kapelan.

Mary parsknęła.

- Mam nadzieję.

- W porządku - podniósł głos kapelan. - Uwaga... Organy zaczynają grać. Czekasz trzy takty. Hm-m-m-m - zanucił.

Rzuciłyśmy się na złamanie karku do ołtarza.

- Możecie iść odrobinę wolniej - powiedział kapelan, kiedy dotarliśmy na miejsce. Prawie dyszałam.

- Wiem - odparła Mary. - 1 jutro będziemy iść wolniej. Ale dzisiaj chcę po prostu mieć jak najszybciej z głowy tę próbę, bo

muszę znaleźć rajstopy. Gdzie o tej porze może być coś otwarte w Oksfordzie, nie wie ksiądz?

Nie mogąc potwierdzić, czy o wpół do szóstej w piątek w De-benhams będzie jeszcze otwarte, kapelan szybko przystąpił do dalszego ciągu ceremonii. Tu się zwrócić, tam uklęknąć, wymiana obrączek, podpis...

- Łapiesz? - zwróciła się do mnie Mary. Nie miałam pojęcia, co się wokół mnie dzieje.

- Jeszcze przysięga - kontynuował kapelan.

- Chyba opuszcza ksiądz posłuszeństwo? - warknęła Mary.

- Na pewno opuszcza posłuszeństwo - zapewnił ją Bill.

- No, niechby spróbował...

- Pewnie chcesz też, żeby opuścił ten kawałek o miłości? - przerwał jej Bill.

- Och, Bill... - Mary spojrzała na przyszłego męża i w sposób widoczny się rozluźniła. - Przepraszam. Znowu się zachowuję jak znerwicowana krowa, no nie?

- I ja się zakochałem w tej dziewczynie - westchnął Bill.

- Przepraszam...

W tamtej chwili miłość między nimi była wprost namacalna. Kiedy Bill wziął Mary za rękę, żeby zamarkować wymianę obrączek, uśmiechnął się tak, jakby stawał się posiadaczem najcenniejszego klejnotu na świecie. Jego oczy, autentycznie wypełnione łzami, emanowały czułością. Ich spojrzenia były tak intensywne, że miałam wrażenie, iż za chwilę z oczu Mary wytryśnie ku jego oczom promień laserowy.

To się nazywa miłość.

A była to zaledwie próba...

Widok dwojga tak zakochanych w sobie ludzi mógłby przyprawić o mdłości w pasażu z mrożonkami w Sainsbury's, ale kiedy patrzyłam, jak Bill i Mary ćwiczą ślubną przysięgę w kaplicy, przed ołtarzem, nieoczekiwanie odczułam to jako przywilej. Przez chwilę i ja zatraciłam się w ich miłości.

Ale zaraz powrócił dojmujący ból mojej własnej straty, dżgający niczym gwóźdź w podeszwie kłapek.

Czy Richard kiedykolwiek patrzył na mnie w ten sposób? - zadawałam sobie pytanie, gdy Bill i Mary wypowiadali słowa miłości. Czy chociaż raz patrzył na mnie tak, jakby umierał ze szczęścia? Jakby świat wokół mógł się zapaść, a jego by to nie obeszło, dopóki trzymałby mnie bezpiecznie w ramionach? Jakby mnie kochał?

Nie mogłam sobie przypomnieć.

- W tym momencie - rzekł kapelan, przerywając mój sen na jawie - w tym momencie powiem: „A teraz możesz pocałować pannę młodą”.

Bill żarłocznie dopadł ust Mary.

- Hm - odchrząknął kapelan. - Jeszcze nie jesteś jej mężem. To dopiero próba.

Mary figlarnie odepchnęła Billa.

- Przepraszam.

- Och, nie musisz... To wspaniale, kiedy się widzi dwoje młodych ludzi tak jawnie mających się ku sobie.

- Czy to wszystko? - spytała Mary.

- To wszystko - powiedział kapelan. - Sajakieś pytania? Pokręciliśmy głowami.

- Doskonale. A zatem do zobaczenia jutro o trzeciej po południu.

Wyszliśmy na słońce. Mary, wciąż zarumieniona od próbnego pocałunku Billa, momentalnie znów się zestresowała.

- O Jezu. Już prawie piąta... Muszę kupić te rajstopy, zanim pozamykają sklepy. Bill, co zrobiłeś z obrączkami? Włożyłeś w jakieś bezpieczne miejsce, mam nadzieję? Bill poklepał się po kieszeni... i spojrzał na nią z przerażeniem. Odkrył, że poklepał pustkę.

- Bill!!! - wrzasnęła Mary. - Gdzie obrączki??!! - I wymierzyła mu cios pięścią w żołądek.

- Auuu! - Bill zachwiał się i cofnąwszy się z rozpędu o parę kroków, znalazł się na trawniku, gdzie wstęp miało wyłącznie ciało profesorskie. Lądowanie na tyłku w jego centrum, jeśli było się zaledwie magistrem, było surowo zabronione.

- Są! - krzyknął, uchylając się, gdy nad jego głową przeleciała czarna torba od Gucciego. - Zostawiłem je w hotelu. W bezpiecznym miejscu...

- No to dobrze - powiedziała Mary bez cienia skrepowania. - Ta gała to za głupie żarty, skoro wiesz, jaka jestem dziś zestresowana. A ta - za wyskakiwanie po papierosy, kiedy masz być gotowy do próby. Nie mogę uwierzyć, że wychodzę za mąż za takiego egoistę bez krzty wrażliwości...

W tym momencie z kaplicy wyłonił się kapelan. Mary chwyciła przyszłego małżonka za rękę i pomogła mu stanąć na nogi.

- Tak się tylko wygłupiamy - mruknęła na użytek kapelana. -Pomożesz mi poszukać tych rajstop? - zwróciła się do mnie.

- Będę za parę minut - powiedziałam. - Zostawiłam w ławce portmonetkę.

Mary nie zgłosiła sprzeciwu.

- W porządku. No to czekam.

Zostawiłam ją z Billem (zajęła się sprawdzaniem, za pomocą kręcenia go za ucho, czy na pewno wie, gdzie są obrączki, dopóki nie wyznał, że w hotelowym sejfie) i wbiegłam do pustej już kaplicy. Usiadłam w pierwszej ławce. Portmonetka od początku spoczywała bezpiecznie w mojej kieszeni.

W swoim czasie Mary studiowała na tej uczelni psychologię. Kroiła ludzki mózg, latała po laboratorium neurofizjologicznym, używając rdzenia kręgowego jako skakanki i przekonywała mnie -wówczas skromną studentkę literatury angielskiej - że cud życia to nic więcej niż zwykła reakcja między sodem a potasem, dzięki której komórki nerwowe mogą przewodzić impulsy elektryczne. Istota ludzka to po prostu garść pierwiastków, nie bardziej magiczna niż kupa węgla, mówiła. Emocje to chemiczny zbieg okoliczności, mówiła. Tak samo miłość.

A jednak nie uchroniło jej to przed uległością wobec tej potęgi. I ja też w tamtej chwili chciałam wierzyć, że życie to coś więcej niż węgiel, sól i odrobina H₂O.

Potrzebowałam magii. Potrzebowałam modlitwy.

- Boże - szepnęłam. - O ile tam jesteś... Żaden grom nie zaświadczył, że jest.

- Wiem, że nie rozmawiałam z tobą od dawna, i wiem, że od jeszcze bardziej dawna nie byłam w kościele - ciągnęłam. - Nie sądzę, żebym miała zbyt wielki kredyt na moim niebieskim koncie bankowym, ale naprawdę potrzebuję w tej chwili cudu.

Wciąż nie było żadnego znaku.

- Moja najlepsza przyjaciółka wychodzi jutro za mąż, a ja mam być jej druzną. Ale mam złamane serce i wątpię, żebym zdołała przejść jutro przez to wszystko. Prędzej umrę. Wiem, Boże, że powinnam cię prosić o coś ważniejszego w skali globalnej, na przykład o pokój na świecie, o to, żeby zniknęły choroby, wojny i głód, ale jedyne, czego pragnę w tej chwili, to żeby Richard Adams znowu mnie chciał. Wiem, że mogę dać mu szczęście, i on też jest jedynym człowiekiem, który jest w stanie mnie uszczęśliwić i sprawić, że nie popsuję mojej przyjaciółce najważniejszego dnia w jej

życiu. Spraw, żeby do mnie wrócił najpóźniej do jutra rano, a już nigdy więcej nie będę cię o nic prosiła. Zawsze będę w ciebie wierzyć. Oddam na cele dobroczynne wszystkie moje pieniądze. Moje zaoszczędzone pieniądze - dodałam szybko. - Przeszanę opowiadać kawały o nalepkach z symbolem ryby na tylnej szybie samochodu, oznaczających „W nosie mam kodeks drogowy”...

Modliłabym się tak dłużej, ale zaskrzypiały drzwi kaplicy. Niedzielna taca najwyraźniej nie wystarcza na puszkę oleju.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - usłyszałam niecierpliwy głos Mary.

- Mam nadzieję - powiedziałam, dźwigając się niezdarnie na nogi. - Mam nadzieję, że Pan Bóg spisze się jak należy. Och, wybacz mi, Boże, to bluźnierstwo - dodałam szybko.

Mary przyjrzała mi się zmrużonymi oczami.

- Modliłaś się?

Skinęłam głową. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że powinnam się czuć zakłopotana.

- Nie muszę pytać, o co się modliłaś - westchnęła dramatycznie. Znów pokiwałam głową.

- Och, Lizzie... Jesteś beznadziejna. Czy modlitwa może coś zmienić? Równie dobrze mogłabyś napisać na kartce prośbę do Świętego Mikołaja i włożyć ją do komina.

- Jak możesz mówić coś takiego? - wyszeptałam ze zgrozą. -Jutro w tym miejscu będziesz brała ślub.

- Żeby mieć ładne zdjęcia - wyjaśniła znużona. - Wszystkie robimy to z powodu zdjęć. Kto by chciał mieć ślubne zdjęcia z urzędem stanu cywilnego w tle?

Faktycznie.

Resztę popołudnia spędziłam na łażeniu z Mary od jednego domu towarowego do drugiego z całą dobrą wolą pierwszoklasistki poszukującej szkolnych kapci. Rzecz jasna, znalazłyśmy z Mary odpowiednie rajstopy już w pierwszym sklepie, do którego weszłyśmy, ale nie oznaczało to bynajmniej zakończenia poszukiwań. O, nie...

Mary musiała wykonać rundę po co najmniej ośmiu innych, żeby porównać odcienie i gatunki, zanim wreszcie oznajmiła: „Chyba wrócimy do Debenhams i weźmiemy te pierwsze, które oglądałyśmy”.

W dziale pończosznicy u Johna Lewisa Mary podzieliła się swoimi zmartwieniami z inną panną młodą in spe. Odpowiednie rajstopy były najwyraźniej najmniejszym z nich.

- Nikt tego nie rozumie - powiedziała tamta, potrząsając fryzurą o nieudolnie zrobionych pasemkach. - Wszyscy uważają, że od momentu zaręczyn człowiek powinien nieustannie promieniować szczęściem. A przecież organizacja wesela to potworna trauma! Jak już ustalisz miejsce, które ci odpowiada, to masz jak w banku, że w danym dniu będzie nieosiągalne. Suknie dla druhen... Następna gehenna. O ile uda ci się wybrać drużną bez pokłócenia się na śmierć i życie ze wszystkimi pozostałymi koleżankami... A catering! Nie chcę słyszeć o cateringu. A lista prezentów...

- Wiem - westchnęła Mary dramatycznie. - Lista prezentów to koszmar.

Lista prezentów? Koszmar? Wybaczcie, ale łażenie od działu do działu u Harveya Nicholasa z notatnikiem w ręku i odfajkowy-wanie kolejnych pozycji, a potem zwrócenie się do przyjaciół, żeby za wszystko zapłacili, raczej nie wyglądało mi na koszmar.

Obie narzeczone porównywały swoje cierpienia i udreki, a ja czułam, jak wokół mojego własnego serca stopniowo narasta cieniutka warstewka lodu. Mary jęczała, że pozostaje dla niej „tajemnicą”, w jaki sposób komukolwiek udaje się znaleźć kwiaciara z prawdziwego zdarzenia, a ja myślałam, że jedyną autentyczną tajemnicą jest to, w jaki sposób te dwie groteskowe lamentujące istoty zdołały skłonić dwóch całkiem dorzecznym facetów, żeby się z nimi ożenili... Co się stało z moją fantastyczną przyjaciółką? Co takiego jest w zaręczynowym pierścionku, że potrafi zmienić zdrową na umyśle, zrównoważoną, pełną poczucia humoru kobietę sukcesu w bezmózgiego, nieustannie utyskującego stwora, dla którego jedynym możliwym tematem konwersacji są kwiatowe dekoracje i falbanki przy sukni?

- Spójrz na mnie - miałam ochotę zawołać. - Gdyby mnie Richard poprosił o rękę, uśmiechałabym się od ucha do ucha od chwili zaręczyn do momentu krojenia weselnego tortu. Nie jęczałabym, że dostałam nie taką jak trzeba cukiernicę od cioci-babci Kate, bo u Johna Lewisa popieprzyli listy prezentów. Ja nigdy nie utyskiwałam na Richarda. Nigdy mu nie powiedziałam, że nie życzę sobie, żeby oglądał finałowy mecz Anglia-Niemcy w Pucharze Świata, bo chcę wyjść za mąż w tę samą sobotę, w którą pobrali się moi rodzice w roku 1966. To dlaczego znowu jestem tylko drużną? Dlaczego wy dwie zasługujecie na to, żeby wyjść za mąż, a ja nie?

Byłam przerażona goryczą, która nagle zaczęła zalewać moje serce. Jeszcze tydzień temu byłabym najlepszą drużną na świecie,

nieskończenie cierpliwą, wyrozumiałe znosząc wszelkie fanaberie panny młodej, od mania włosów z głowy z powodu problemów ze ślubnymi zaproszeniami po napady szału podczas mierzenia ślubnej tiary. Zorganizowałabym panieńską noc, która zakasowałaby wszystkie inne panieńskie noce (a w każdym razie dostatecznie szaloną i rozpustną, żeby w połowie nocnych klubów na Oxford Street zakazano tego typu imprez na najbliższe dziesięć lat). Nieoczekiwanie jednak ślubna obrączka zaczęła mi się jawić jako kamizelka ratunkowa i pragnęłam jej tym bardziej rozpaczliwie, że moje własne życie uległo zderzeniu z górą lodową. Co gorsza, czułam, jak moja wewnętrzna brzydota zaczyna wylewać się przez dziurę w ka-
dłubie na zewnątrz.

- Pierwszy i ostatni raz w moim życiu - powiedziała Mary do swojej nowej najlepszej przyjaciółki. - Nie mam nikogo, kto by mnie wspierał. Nikt mnie nie rozumie. A w dodatku wiem, że nikt z jego krewnych nie podziękuje mi na zakończenie. To potworne... Po prostu potworne.

W tym momencie żółć się wylała.

- Wychodzisz za mąż, na litość boską - powiedziałam. - Czeka cię wesele, a nie pogrzeb. Nikt nie umarł. Nikt nawet nie jest ranny. Pojęcz jeszcze trochę, a rozwiedziesz się, zanim doczekasz pierwszej rocznicy ślubu!

- Lizzie! - Mary z przerażenia zapało dech. Druga panna młoda in spe tylko wlepiała we mnie oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś - wydusiła Mary zeszywniałymi wargami.

- Ja też nie mogę - zapewniłam ją i przerażona zatkałam usta ręką. To chyba nie ze mnie wyszły te słowa...

Wybiegłam ze sklepu i łkając, rzecz jasna, oparłam się bezsilnie o automatyczne drzwi. Drzwi, które nie pozostają bynajmniej zamknięte, kiedy ktoś się o nie opiera... Wpadłam z powrotem do środka, ku wielkiej radości kilku nastolatków. Mary przyszła mi z pomocą.

- Wystraszyłaś tę biedną dziewczynę - powiedziała, stawiając mnie brutalnie na nogi. - Jak mogłaś być taka bezmyślna?

- Dlaczego ona? - wybuchnęłam. - Dlaczego ona, a nie ja? Dlaczego to ona zasługuje, żeby ktoś chciał się z nią ożenić? Dlaczego Richard mnie już nie chce? Dokoła zebrał się tłumek. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzyli, wynikało jasno, że znają odpowiedź.

Na tę noc mieliśmy zamówione pokoje w hotelu Randolph, największym i najbardziej znanym tego typu przybytku w Oksfordzie. Miał pięć gwiazdek. Tak się podniecałam perspektywą noclegu w Randolph... Jako studentki, odżywiające się podłymi kebabami i pieczonymi kartoflami z zaparkowanej obok college'u przyczepy, często przyklepiałyśmy nos do szyby i wpatrywałyśmy się w wykwiłte wnętrza hotelowej restauracji, zastanawiając się, jak by to było, gdybyśmy się tam znalazły... Nawet widok otyłego faceta we fraku, wymiotującego na własne półbuty, podczas gdy kelnerzy jak gdyby nigdy nic przemykali obok niego tam i z powrotem, nie był w stanie zmienić mojego typowego dla dziewczyny z prowincji przeświadczenia, że to miejsce to szczyt wyrafinowania i dobrego smaku. Kiedy będę bogata, zatrzymam się w Randolphie... Minęło dziesięć lat i wciąż nie byłam bogata. Ale moja najlepsza przyjaciółka była.

Mary zamówiła dla mnie, rzecz jasna, luksusowy dwupokojo-ny apartament, sądząc, że zamieszkać w nim z Richardem. Kiedy jakiś czas temu, gdy wybierałyśmy suknie dla druhen, powiedziała mi po raz pierwszy, gdzie będziemy mieszkać, natychmiast zaczęłam planować moją własną przedślubną noc. Nowe majtki. Kąpiel w pianie. Szampan. Noc spędzona poza naszym ciasnym mieszkaniem w Tufnell Park odświeży nasz romans, myślałam, nie zastanawiając się specjalnie, dlaczego potrzebuje odświeżenia.

Dowiedziawszy się, że nie będę już potrzebować podwójnego łóżka, Mary skorzystała z okazji, by zaoszczędzić trochę pieniędzy, i mój apartament został zdegradowany do niewielkiej jedyńki z widokiem na parking. To tyle, jeśli chodzi o kąpiel w pianie. .. Kiedy puszczałam gorącą wodę do wanny, która w żadnym razie nie pomieściłaby dwóch osób, wyobraziłam sobie siebie samą nie tyle wśród bąbelków, co we krwi, sączącej się wraz z życiem z moich pochlastanych nadgarstków.

Co najgorszego mogłam zrobić mojej najlepszej przyjaciółce w dniu jej ślubu? Zniknąć? Zabić się? Czy po prostu zakłócić radosną atmosferę ślubnej ceremonii, biorąc w niej udział ze ściśniętym gardłem, na granicy łez?

- Nie mogę tego zrobić - powiedziałam po raz kolejny do Mary, gdy usiadła z dłońmi zanurzonymi w misce z ciepłą oliwą, tak, by uzyskały jedwabistą gładkość na okoliczność nieuniknionego błyskania nowiutką obrączką, jakiego wymaga ślubne przyjęcie.

- Nie mogę być twoją drużną- powtórzyłam. - Jestem pewna, że zepsuję ci twój dzień.
 - Zepsujesz mi dzień, jak cię nie będzie - powiedziała beznamiętnie.
 - Będę płakać przez całą ceremonię.
 - Wszyscy będą myśleć, że płaczesz ze szczęścia.
 - Nie. To zupełnie inny rodzaj płaczu... Nie potrafię udawać.
 - Przez cały rok uczyłaś się aktorstwa - powiedziała Mary z irytacją. - No więc graj. Ale czy jakaś aktorka grała kiedykolwiek rolę, która wymaga, żeby przez cały dzień się uśmiechać, gdy tak naprawdę człowiek ma chęć paść na kamienną posadzkę kaplicy i błagać niebiosa o grom, który zakończy jego życie? Sytuacja nie przewidywała przerw między ujęciami, kiedy kamery zatrzymywałyby się, a ja mogłabym schronić się w mojej osobistej garderobie z jacuzzi, żeby się wypłakać. Oznajmienie przez Richarda, że już mnie nie kocha, było jak kula w pierś. Nie umarłam od rany, ale każdy kolejny oddech wymagał większego wysiłku niż poprzedni. Zimny ból rozstania narastał wewnątrz mnie niczym gromadzący się w płucach płyn. Ostatnią rzeczą, jaką chciałam słyszeć, było to, że któregoś dnia to cierpienie sprawi, że będę silniejsza. Dzięki niemu będę lepszą aktorką, ośmieliła się nawet powiedzieć moja matka... Czy nikt nie widzi, że ja tego nie przeżyję, a więc i nie zdołam skorzystać? Moje rany były śmiertelne. W głowę, w płuca, w serce.
 - On nie jest tego wart - mruknęła Mary po raz kolejny, ocierając ręce z oleju i sprawdzając świeżo uzyskany połysk paznokci. - Kładź się, Lizzie, i spróbuj trochę pospać.
 - Nie mogę spać - jęknęłam. - Jak tylko zamykam oczy, widzę twarz tego skurwysyna.
- Mary podała mi dwie ziołowe tabletki nasenne.
- Nie działajątak mocno jak valium - powiedziała. Wiedziała, co mówi, bo sporo tego brała w swoim czasie. - Ale jak łykniesz sobie na dodatek scotcha - jednego, pamiętaj! - to odpłyniesz bez większego problemu.
 - Nie mogłabym dostać trochę więcej? - spytałam.
 - Nie, nie mogłabyś. I zostaw drzwi otwarte. Jak tylko skończę z paznokciami, przyjdę i sprawdzę, czy nie robisz czegoś głupiego.
 - Dobra.

- Jak się zamkniesz, od razu idę po portiera i wylamujemy drzwi - zaznaczyła.
- Nie zamknę się.

Czy to nie cudowne? Moja najlepsza przyjaciółka, zamiast myśleć o własnym ślubie, musiała się martwić, czy nie popełnię samobójstwa.

Poszłam do łóżka, połknęłam tabletki i zaniiosłam w duchu kolejną modlitwę. Nie o to, żeby Richard do mnie wrócił. (Lista połączeń w mojej komórce świadczyła wymownie, że nie dzwonił. Nikt nie dzwonił tego dnia oprócz mojej matki). Nie będziemy znów razem z Richardem, zanim dojdzie do ślubu Mary. To było aż nadto jasne. Cud, o jaki się modliłam, nie nastąpił. Tym razem modliłam się więc po prostu o to, żebym się więcej nie obudziła.

4

Modlitwa rzecz jasna nie została wysłuchana. Kiedy obudziłam się rano w hotelu Randolph, w łóżku, które miałam dzielić z Richardem, przez jedną krótką błogosławioną chwilę na pograniczu jawy i snu niczego nie pamiętałam. Ale zaraz rzeczywistość wymierzyła mi kopniaka swoim ostro podkutym butem i pamięć wróciła. Byłam porzucona... Na domiar złego podłe ziołowe tabletki w połączeniu z zawartością mini barku dały efekt w postaci potwornego bólu głowy, zupełnie jakbym miała raka mózgu. Chyba przez całą noc w mojej głowie toczył się mecz Anglia-Argentyna... Anglia przegrała. Wściekli kibice rozrabiali.

Pukanie do drzwi nie przyniosło ulgi. To był kelner ze śniadaniem. Mary zadbała, by przyniesiono mi je do pokoju wraz z notką: „Masz to zjeść. Nie chcę, żebyś zemdląła przed ołtarzem”. Jajecznica, grzanki z pełnoziarnistego chleba, chrupiący bekon. Przyrządzone tak, jak lubię. Ale nie byłam w stanie nawet tego tknąć. Od tygodnia niczego nie mogłam tknąć, poza winogronami i wodą. Co miało swoje dobre strony.

Dieta Skurwiela Eksia, tak się to powinno nazywać. Chcesz schudnąć w tydzień o dwa numery? Jest to w pełni możliwe. Wy-

starczy, żeby puścił cię w trąbę ukochany... Gwarantuję, że nie będziesz miała wtedy ochoty na chipsy czy czekoladę. No, chyba że ktoś ci powie, że milky way zawiera dość strychniny, by twoja niedola skończyła się, zanim zdążysz dokończyć batonik. Całe lata beznadziejnych głodówek, całe lata truchtania godzinę po osiedlu za każdego marsa, który skaził moje grzeszne usta... I wystarczyło zwykłe porzucenie, żeby wszystkie te zbędne kilogramy znikły w oczach jak śnieg od podmuchu wiosennego wiatru.

Kiedy włożyłam tę idiotyczną suknię druhny, w której pół roku temu wyglądałam jak hoża kelnerka, co sprowokowało wówczas sekretarkę Mary do sarkastycznego pytania: „Czy wraca pani z dożynek?”, wyglądała, jakby wciąż jeszcze wisiała na wieszaku. Policzki miałam zapadłe jak ogród *Blue Petera*. Obojczyki sterczały niczym jakaś groźna broń. Biust nie obwisł, tak jak się tego obawiałam - po prostu zniknął niczym Maria Celesta. Zupełnie jakby nigdy go tam nie było.

Krawcowa Mary robiła co mogła, żeby wyglądało, że sukienka została uszyta na mnie. Tu artystyczna szczypanka, tam wypełnienie... Ale nawet podwatowany biustonosz plus dwie pary żelowych podkładek nie zdołały wypełnić stanika tak dokładnie jak w epoce, kiedy Lizzie i Richard byli parą.

- Jezu, wyglądasz okropnie - powtarzała Mary jak zacięta płyta, patrząc, jak najpierw krawcowa, a potem jej matka usiłują nadrobić niedostatek biustu za pomocą poduszek krawieckich, skarpetek, a potem, w chwili prawdziwej desperacji, dwóch pomarańcz.

- Wydawało mi się, że powinnam wyglądać okropnie - odcięłam się. - Wątpię, żebym kiedykolwiek wyglądała olśniewająco w purpurowej krynolinie.

- Jest okropnie i okropnie, Lizzie. Chodzi o to, żebyś nie odwracała uwagi ludzi od panny młodej. Ale i tak wszyscy będą na ciebie patrzeć. Wyglądasz, kurde, jak jakaś kosmitka w cukierkowym opakowaniu.

Była to prawda. Moja głowa była o wiele za duża w stosunku do nowego wychudłego ciała. W zestawieniu z trupią bladością cery suknia sprawiała wrażenie, jakby ją wyciągnięto z pudełka Quality Street. Nawet z kunsztownie upiętymi włosami wyglądałam jak fotokopia mojego poprzedniego ja. Fotokopia, którą pozostawiono w nasłonecznionej witrynie, żeby wyblakła. Specjalnie

wynajęta artystka od makijażu nałożyła mi na twarz chyba ze dwa centymetry podkładu, ale i tak nie była w stanie zatuszować sińców pod oczami.

- Po prostu rzucił mnie chłopak - wyjaśniłam, kiedy nachyliła się nade mną ze spiralką w rękę, niebezpiecznie blisko, i powiedziała, żebym nie mrugała. - Miłość mojego życia. Tydzień temu. Powiedział po prostu, że mnie już nie chce. Po czterech latach. Cztery lata razem... Ani słowa wyjaśnienia.

- Auuu - mruknęła wizażystka. - No to nic dziwnego, że tak marnie pani wygląda. W takim razie lepiej będzie, jeśli użyjemy tuszu wodoodpornego.

Pół godziny później, kładąc mi na kości policzkowe jeszcze trochę różu - który był nie tyle różowy, co wściekle pomarańczowy - spytała:

- To znaczy, że miała pani chłopaka?

Zabiłabym ją. Gdyby nie to, że byłam zajęta rozważaniem znacznie bardziej ekscytującej opcji, czy nie zabić siebie samej.

Na dwadzieścia minut przed rozpoczęciem ceremonii poszłam do łazienki pod pretekstem, że muszę po raz ostatni zrobić siusiu z nerwów, zanim samochód zabierze mnie i dwie pozostałe druhny (Ginny, lat osiem, i koszmarna Trinny, sześć i pół) do kościoła. Mary była zbyt zajęta swoim idiotycznym welonem do samej ziemi, żeby mieć na mnie oko. Nie zdążyliśmy nawet dojść do kaplicy, a już miała na trenie odcisnięty ślad sześciopółletniej stopy.

Wzięłam do ręki torebkę. Miałam tam szwajcarski wojskowy scyzoryk. Richard podarował mi go w drugim roku naszej znajomości, kiedy pojechałam z Mary i moją współspaczką Seemana babską wyprawę narciarską do Kolorado i wysnęło mi się, że obawiam się niedźwiedzi.

- Zawsze będę cię bronił - powiedział, wręczając mi go. - Nawet kiedy nie mogę być przy tobie osobiście.

Teraz trzymałam otwarty scyzoryk w drżącej spoconej dłoni, ze świadomością, że nigdy w życiu nie byłam bardziej bezbronna. Czulałam się naga i zdruzgotana. Byłam jak gladiator, którego wysłano na arenę amfiteatru bez miecza i tarczy, za to ze świeżutkim stekiem przymocowanym do karku, by przywabić wygłodniałe lwy. Ostrze scyzoryka było jak brzytwa. Nigdy nie używałam go do żadnych trudnych zadań. W Kolorado nie przytrafił nam się

żaden niedźwiedź i od tamtego czasu użytek, jaki robiłam ze scyzoryka, ograniczał się do obcinania wyciągniętych ze swetra nitek i czyszczenia paznokci.

Przycisnęłam ostrze do delikatnej skóry po wewnętrznej stronie nadgarstka, po tygodniu głodówki jeszcze bardziej przezroczystej niż zwykle. Słyszałam, że jeśli człowiek ma zamiar skończyć ze sobą w ten sposób, należy ciąć wzdłuż, a nie w poprzek żyły. Szybciej, efektywniej, mniej boli.

Łzy wezbrały mi pod zapuchniętymi powiekami. I dziwne, otarłam je najpierw i upewniłam się, że nie rozmazał mi się tusz, zanim podjęłam z powrotem mojaraczej mało dramatyczną próbę samobójczą. Przycisnęłam nóż odrobinę mocniej i spróbowałam pociągnąć wzdłuż. Skóra, jakby za duża na mnie teraz, gdy skurczyłam się pod brzemieniem niedoli, po prostu naciągnęła się i przesunęła wraz z ostrzem, nietknięta. No to jeszcze mocniej. Małeńki czerwony znaczek na bieli skóry świadczył, że została przecięta.

- Lizzie! Ciocia Mary mówi, że możesz zsiusiać się w majtki w kościele, jak masz ochotę, ale nie możemy dłużej na ciebie czekać!

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Co? - Wciąż z nożem przy nadgarstku odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z małą Trinny.

Zobaczyłam, jak uśmiech znika z jej różowych jak różane pączki ust. Nawet mając sześć i pół roku, wiedziała, że coś jest nie tak z ciocią Lizzie.

- Ciocia Mary powiedziała, że musimy już jechać - stwierdziła poważnie. - Masz mnie trzymać za rękę. Nie wolno mi samej jeździć hotelową windą.

Wyciągnęła do mnie małą rączkę.

- Nie możesz być smutna - powiedziała. - Jesteśmy druhnami. Dzieciaki... Jak psy. Czasem wiedzą dokładnie, czego człowiekowi potrzeba.

Tak więc, choć oficjalnie byłam pierwszą druhną, tak naprawdę to mała Trinny miała na wszystko oko. Bardzo wydorosła od czasu incydentu z tartym serem na urodzinach Mary.

- Wtedy miałam tylko pięć lat - przypomniała mi w samochodzie. - Teraz mam sześć.

Z całą odpowiedzialnością, jaką można zyskać w ciągu roku, gdy jest on siódmym rokiem naszego życia, to Trinny dopilnowała,

żeby Ginny nie wycierała nosa palcem, gdy fotograf przed rozpoczęciem uroczystości robił drużnom zdjęcie przed kościołem. To Trinny dbała o to, żeby Ginny zachowała odpowiednią odległość i nie przydeptała Mary trenu, gdy szliśmy do ołtarza - mimo wszystko odrobinę za szybko - za Mary i jej ojcem. To Trinny przypomniała mi, że mam wziąć od Mary bukiet, kiedy ojciec przekazał ją Billowi, tak żeby miała wolne ręce i mogła przyjąć od niego obrączkę.

Kiedy cofnęliśmy się do ławek po obu stronach ołtarza, żeby wysłuchać Ewangelii, tylko dzięki Trinny byłam w stanie powstrzymać się od płaczu. Tym razem ze smutku, pod wrażeniem matki Mary. Pani Bagshot wybrała do odczytania fragment jednego z listów świętego Pawła, ten o miłości, i rzuciwszy miazdzące spojrzenie swojemu eksmeżowi, ojcu Mary, położyła nacisk na słowo „wierność”.

Po skończonej ceremonii Trinny, drobiąc za panną młodą, odwracała ode mnie uwagę widzów swoim zabawnym wdziękiem.

- Któraś dnia - powiedziałam, kiedy pozowaliśmy do fotografii pod kościołem - jakaś dziewczynka będzie miała okazję być wspaniałą drużną na twoim ślubie.

- Brrrr - wstrząsnęła się Trinny. - Ja nigdy nie wyjdę za mąż. Nie cierpię chłopców.

- Przypomnę ci, co powiedziałeś, jak wejdiesz w wiek dojrzewania.

- Mama powiedziała, że jak jeszcze raz gdzieś wejdę, to nie puści mnie więcej na podwórko.

Szybko stało się jasne, że wrażliwość Trinny istniała tylko w mojej wyobraźni. Była po prostu jak pies.

- Pierwsza drużna i pierwszy drużba! - zawołał fotograf.

- Pierwsza drużna to ty - przypomniała mi Trinny.

I pierwszy drużba. Brian Coren.

Do niedawna, zanim Richard spuścił swoją bombę, Brian Coren był najważniejszym ekschłopakiem w moim życiu. Poznaliśmy się w college'u, niezbyt daleko od wydeptanych schodów kaplicy, na których pozowaliśmy teraz do oficjalnego portretu w charakterze głównej podpory państwa młodych. Brian przyjechał do Oksfordu z Nowego Jorku, w ramach wymiany międzyuczelnianej. Spotykaliśmy się prawie przez cały ten rok, który spędził w Anglii, po czym Brian wrócił do Stanów, by skończyć

studia i rozpocząć olśniewającą karierę w finansach. Myślałam wtedy, że zabrał z sobą moje serce.

W osiem lat później, gdy upłynęło w rzekach tyle wody, że można by o tym napisać powieść, byliśmy znów przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

- Byłaś fantastyczna - szepnął, gdy fotograf zmieniał film w aparacie. - Biorąc pod uwagę okoliczności.

- Kto ci powiedział?

To była pierwsza tego dnia okazja, kiedy mogłam zamienić z Brianem parę słów.

- Bill, kiedy do mnie dzwonił - mruknął Brian. - Martwił się, że możesz nie wytrzymać ceremonii. W samolocie przez cały czas myślałem, jak na ciebie wpłynąć, żebyś przysłała do kościoła, gdyby doszło do najgorszego. Bałem się, że będę musiał użyć strażackiego chwytu i wnieść cię na ramieniu.

- Nie zrobiłabym Mary takiego świństwa - powiedziałam, wygodnie wypierając ze świadomości fakt, jak mało brakowało, żebym to właśnie zrobiła.

- Ale musisz się czuć fatalnie?

- Och, przecież mnie znasz - zablefowałam. - Nie pierwszy raz w życiu rzucił mnie chłopak. Przeżyję... Od dziś możesz mi mówić Miss Porzucona.

- Ja cię nie rzuciłem - przypomniał Brian. - Gdyby sprawy ułożyły się inaczej...

Gdyby sprawy ułożyły się inaczej? Przyjrzałam mu się z bliska. Co on przez to rozumie? Czy to, że gdyby nie musiał wracać do Ameryki, to my moglibyśmy być dziś na miejscu tych, co wymieniają obrączki i przysięgi?

- Uśmiech! - zawołał kolejny fotograf. Nieoficjalny tym razem.

To narzeczona Briana strzeliła nam zdjęcie, kiedy wymienialiśmy cięte uwagi zamiast przysięg. Nic z tego... Nie było szansy, żebyśmy stali kiedykolwiek z Brianem na kościelnych schodach w innej roli niż para przyjaciół.

- No to kiedy będzie twój wielki dzień? - spytałam, usiłując uśmiechać się zyczliwie do jego pięknej przyszej panny młodej. Spotkałyśmy się już kiedyś, Angelica Pironi i ja. Ubezpieczona w owym czasie miłością Richarda, uznałam, że nawet ją lubię, pomimo że przy niej Julia Roberts wyglądała jak ohydna stara jałówka, a ja w rezultacie poczułam się tak, jakbym przez resztę życia miała chodzić w papierowym worku.

- Piątego grudnia - odpowiedział na moje pytanie Brian. -Wyślę ci zaproszenie. Mieszkasz w Tufnell Park, prawda?

- Pudło - westchnęłam. - Wykopał mnie z mieszkania, a nie tylko rzucił. Wróciłam do rodziców.

- Co? Do Solihull? - Brian spojrział na mnie z przerażeniem. -Jezu.

- Miałam wrażenie, że podobało ci się w Solihull - przypomniałam mu.

- Owszem, podobało mi się... Jako miejsce, gdzie człowiek wpada od czasu do czasu, jest świetne. Fajne okolice... Ale mieszkać tam na stałe? Lizzie, ty nie możesz mieszkać w Solihull. A już zwłaszcza z rodzicami.

- No cóż, wiesz, jak to jest - powiedziałam ironicznie. - Zgłosiłam już sprawę mojej agentce nieruchomości, ale boję się, że znalezienie dla mnie eleganckiego apartamentu w centrum Londynu za mniej niż trzy setki miesięcznie zajmie jej trochę więcej niż tydzień.

- Przepraszam, Lizzie. Nie chciałem cię obrazić... Zapomniałem, że to dopiero tydzień. Z pewnością miałaś inne sprawy na głowie.

- O, tak. Na przykład co zrobić z resztą życia, jakie mi zostało.

- Rodzice panny młodej - szczerknął urzędowy fotograf. Odstąpiliśmy na bok, żeby inni mogli wyszczerzyć się do obiektywu.

- Lizzie - powiedział Brian, ściskając mnie za rękę - musimy jeszcze pogadać. Teraz powinniśmy chyba wrócić do naszych obowiązków, ale naprawdę chciałbym usłyszeć od ciebie, co się właściwie stało. Pomogę ci, jak tylko będę mógł. Naprawdę.

- Dzięki, Brianie - powiedziałam bezbarwnie.

- Tak mi przykro, że cię to spotkało - ciągnął. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że Richard ci to zrobił. I to jeszcze w takiej chwili! To palant, Lizzie. Mały palant. W rzeczywistości Richard mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt, ale pomyślałam, że chyba wiem, co Brian ma na myśli.

Brian, wraz z nieodstępującą go na krok Angelicą, wmieszał się w tłum i nagle znów znalazłam się na marginesie całej tej radosnej krzątaniny. Przechodzący obok kelner wcisnął mi w rękę kieliszek szampana udekorowany ciemnoróżowymi płatkami róż. Upiłam łyk. A potem jednym haustem wlałam w gardło zawartość kieliszka i wyciągnęłam rękę po następny.

Kiedy myślałam tego ranka o czekającym mnie upiornym dniu, zdecydowałam, że skoro nie zdołałam się dyskretnie zabić, zanim się wszystko zaczęło, będę musiała być stuprocentowo trzeźwa, bo w przeciwnym razie mogę się rozlecieć, jak tylko dotrzemy do kaplicy i zacznie się romantyczny koszmar. Teraz uznałam, że jedyny sposób, żeby przetrwać weselne przyjęcie, które odbywało się w uniwersyteckiej sali jadalnej, to stan upojenia graniczący z utratą przytomności.

Zapomniałam, że na weselu nie będę miała do czynienia z jedną tylko szczęśliwą parą. Gdziekolwiek spojrzalam, wszędzie widać było jakiś szczerzący się do siebie tandem. Ci, którzy dopiero mieli się pobrać, jak Brian i jego narzeczona, promienieli w oczekiwaniu na własny wielki dzień, kiedy to oni będą w centrum uwagi. Inni, którzy pobrali się parę lat wcześniej, uśmiechali się z rozrzewnieniem, wspominając własną ślubną przysięgę. Nawet rodzice Mary, którzy rozwiedli się z hukiem parę lat wcześniej z powodu nieustających skoków w bok tatusia, teraz czulili się do siebie jak dwa gołąbki, by prezentować na zdjęciach wspólny front na cześć ukochanej córeczki.

Stojąc z boku, z kieliszkiem szampana w zaciśniętej pięści, bez śladu radości na przesadnie umalowanej twarzy, czułam się jak zła wróżka na chrzcinach Śpiącej Królowej. Choć starałam się jak mogłam, nie potrafiłam stłumić pragnienia, żeby wszyscy dookoła przestali się tak głupio cieszyć, kiedy we mnie jest tyle bólu. Żeby tak wielki głąz spadł ze zwieńczenia kaplicy i walnął w uśmiechniętego kapelana... Nie - to by jednak było zbyt okropne. W sumie nawet lubiłam wielebego Jonesa i tak naprawdę wcale nie chciałam oglądać jego flaków na posadzce. Żeby te pierzaste białe obłoczki, żeglujące wesoło nad kwadratem dziedzińca, zebrały się w wielką, złowieszczą ciemną chmurę... Bez sensu - i tak mieliśmy się niedługo przenieść do środka. To może niechby tak całe przyjęcie diabli wzięli, bo wszystkie *vol-au-vent* zostały zarekwirowane na rzecz brytyjskiej armii, nagle zmobilizowanej do tłumienia powstania w jakimś Bongo Bongo. O, to by było w sam raz.

Jak gdyby czytając w moich myślach, niczym usłużny złośliwy chochlik pojawiła się pod moim łokciem Trinny.

- Chcą mnie zmusić, żebym pocałowała tamtego chłopca - wskazała palcem wypucowanego do połysku dziesięciolatka w krzykliwie czerwonej kamizelce. - Mówią, że to by wyglądało romantycznie na zdjęciu.

- A ty czemu nie chcesz? - spytałam.

- Już ci mówiłam, Lizzie. Nie cierpię chłopców.

- Zdaje się, że mogłabyś mi się do czegoś przydać - powiedziałam.

- Czy mogę się z tobą bawić przez całe popołudnie? - spytała Trinny, demonstrując w uśmiechu pokąźną szczerbę. Kiedy ostatnim razem mnie ugryzła, były tam jeszcze zęby.

- Jasne - odparłam. - Ale najpierw musisz coś dla mnie zrobić. Potrząsnęła głową i popatrzyła na mnie szelmowsko spod loczków.

- Zrobię wszystko, żeby być w twoim gangu.

Posłałam sześciopółletnie dziecko, żeby ukradło z kuchni butelkę szampana. Byłam na prostej drodze do piekła.

Kurna Olek. Szlag by to. W mordę jeża.

Kiedy kelnerzy zaczęli roznosić cytrynową tartę i lody z korn-walijskiego mleka aromatyzowane prawdziwymi strąkami wanilii, prawie już nie widziałam na oczy.

Siedziałam u szczytu stołu, po lewej ręce mając ojca Billa, po prawej - otwartą przestrzeń. Przez pierwszą połowę przyjęcia co jakiś czas chyliłam się ku tacie Billa i ku stołowi. Tacie to chyba specjalnie nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, w jakiejś chwili sam zaczął chylić się ku mnie i opowiadać o czasach, kiedy był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną w Tunbridge Wells. Kiedy doszliśmy do puddingu, spróbowałam nachylić się w przeciwną stronę, ale natrafiłam na powietrze i spadłam z krzesła.

Myślę, że dałam sobie radę całkiem nieźle, biorąc pod uwagę, że wstałam w dużym stopniu samodzielnie, i mijając stoły pozostałych gości, chwiejnym krokiem ruszyłam do toalety. Byłam w tym stadium upojenia, kiedy wydaje ci się, że wciąż funkcjonujesz bez zarzutu. Kiedy gratulujesz sobie, widząc, że lejesz szampana prościutko na obrus zamiast do kieliszka, dopóki nie należesz sobie do butów. Nie było to jeszcze stadium pod tytułem „Chryste

Panie-ale-się-ubzdryngoliła-niech-ja-ktoś-zatarga-do-łóż-ka". Albo tak mi się zdawało.

Upiłam się na smutno. W stylu „kocham cały świat". Nagle poczułam, że muszę wytłumaczyć wszystkim dokładnie, jak bardzo ich kocham. Sprawdziwszy starannie, czy nie rozmazał mi się tusz -ale nie zwróciwszy uwagi, że moja suknia zyskała ekstra przybranie

w postaci długiej białej wstęgi papieru toaletowego - wyszłam z łazienki i skierowałam się prosto do mistrza ceremonii.

Kelnerzy uwijali się, zbierając ze stołu resztki tarty cytrynowej. Tort weselny został wytoczony z kąta sali na bardziej honorowe miejsce. Zbliżała się pora toastów.

- P-szaszam - powiedziałam, poklepując mistrza ceremonii po ramieniu. Odskokzył. Czy raczej usiłował odskoczyć. Nadepnęłam mu na nogę.

- Chcę wygłosić toast - zawiadomiłam go. - Czy może mnie pan zapowiedzieć?

- Etykieta nie przewiduje, żeby pierwsza drużyna wygłaszała toast - powiedział sztywno mistrz ceremonii.

- Wiem - wybełkotałam. - Etykieta nie prz... przewiduje. Ale to co innego. Wie pan, Mary to moja naj-najlepszejsza przyjaciółka. A Bill to mój naj-lepszy przyjaciel. Chcę, żeby ten dzień był dla nich naprawdę wyjąk... wyjąk... wyjątkowy.

- Wydaje mi się, że szanowna pani powinna najpierw napić się kawy, a dopiero potem myśleć o wygłaszaniu przemówień - spróbował jeszcze raz mistrz ceremonii.

- Uważa pan, że jestem nie-nietrzeźwa? - nasrożyłam się.

- Tak.

- No cóż, może i jestem. Ale i tak będę brzydka rano po wstaniu - powiedziałam. - To znaczy... chodzi mi o to, że pan jest brzydki rano po wstaniu... no właśnie. O to mi chodzi. Ech, do diabła... o nic mi nie chodzi. Po prostu niech mnie pan za-zapo-wie, dobrze? Będzie im miło. Słowo daję, że będzie.

- Zapytam pannę młodą - powiedział.

- Nie, niech jej pan nie pyta. Powie, że nie.

- No właśnie. Niech szanowna pani wraca lepiej na miejsce. Zaraz będę zapowiadał ojca panny młodej.

- Aha - wycelowałam w niego palec. - Jest pan seksistą. No jasne... Mężczyźni najpierw. Zawsze i wszędzie.

- Taka jest tradycja.

Tak więc mistrz ceremonii zapowiedział ojca Mary, który rozpoczął swoją mowę od tego, jak to nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie mu wygłaszać mowę na weselu córki, bo jako dziecko była tak trudną we współżyciu małą damą, że nie sądził, by udało jej się utrzymać przy sobie jakiegokolwiek mężczyznę. Mary oblała się rumieńcem. Tatuś wybrnął z sytuacji, wyjaśniając, że teraz, kiedy dorosła, można się z nią dogadać o wiele łatwiej.

- To tak jak ser pleśniowy. Im starszy, tym lepszy - rzucił ktoś z głębi sali.
- Raczej jak dobre wino - poprawił ojciec Mary.
- Super - zachnęła się Mary. - Jeszcze nie mam trzydziestki, tato.
- Ale punkt krytyczny jest tuż tuż - przypomniał ojciec. - To już prawie staropanieństwo.
- Zamknij się, tato!
- Pan młody - zaanonsował mistrz ceremonii. Przemówienie Billa było odpowiednio romantyczne. Zaczął

od chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał kobietę, która miała w przyszłości zostać jego żoną, taktownie pomijając fakt, że kiedy podczas pijackiego współzawodnictwa na święcie pierwszoroczników po raz pierwszy spoczęło na niej jego oko, przechylił się przez bar i złapał ją za tyłek. Ich miłość, przypomniał zebrany, na początku rozwijała się według schematu krok naprzód - dwa kroki w tył: on robił krok w kierunku Mary, a ona dwa kroki w tył, to znaczy najczęściej uciekała z wrzaskiem. W końcu jednak uległa jego wdziękowi. W niespełna sześć miesięcy później wypięła się na niego. Wydepilował sobie plecy za pomocą wosku i zgodziła się za niego wyjść. Wznosi toast za swoją piękną żonę. Żona dyskretnie ocierała obrusem oczy.

- Pierwszy družba.

Teraz wstał Brian. Powtórka historii Billa i Mary. Przypomnienie wieczoru, kiedy po raz pierwszy się pocałowali, na imprezie, gdzie przepustką było posiadanie na sobie co najwyżej dwóch sztuk odzieży. Kiedy opisał Billa w kostiumie z lycry i kowbojskim kapeluszu, wzbudzając tym śmiech publiki, nie mogło nie przyjść mi do głowy, czy ma na myśli również inny związek, który zaczął się tamtej nocy. Bo to była dokładnie ta sama noc, kiedy po raz pierwszy całowaliśmy się na schodach klubu studenckiego. Ale to nie mojego wzroku szukał Brian, snując wspomnienia. A kiedy powiedział: „Mówiliśmy kiedyś z Billem, że nigdy nie uda nam się znaleźć dziewczyn, które by z nami wytrzymały”, to nie do mnie puścił oko. Jego szczęśliwa narzeczona pstryknęła mu kolejne zdjęcie i też mrugnęła.

- Państwo młodzi!

Kolejny toast (rzecz jasna, nie omieszkałam go spełnić). A potem przyszły prezenty. Wielkie jaskrawe bukiety dla matek, które tak ciężko pracowały, żeby ten dzień był naprawdę wyjątkowy (co prawda, Mary skarżyła się gorzko podczas przygotowań do wese-

ła, że matka interesuje się nim tylko o tyle, o ile może to być dla niej jeszcze jedna okazja, żeby dokopać ojcu). Lalki dla Ginny i Trinny, ubrane w stroje harmonizujące z ich sukienkami. (Ku rozbawieniu sali, Trinny oświadczyła, że wolałaby traktor.) I długie srebrne kolczyki dla mnie. Wzięłam pudełeczko od Billa i zachwiałam się lekko, kiedy wypuścił mnie ze swojego niedźwiedziego uścisku.

- Fantastycznie ci poszło - zapewnił mnie, poklepując pobłażliwie po ramieniu.
- Jeszcze nie skończyłam - zapewniłam go w odpowiedzi. Ponieważ stało się jasne, że mistrz ceremonii nie zamierza

zapowiedzieć mojego wystąpienia, zdecydowałam, że zapowiem się sama.. Zamiast więc wycofać się z gracją i wyłopać galon albo i dwa czarnej kawy, zanim zacznę robić z siebie głupka, zajęłam pozycję dokładnie pomiędzy świeżo poślubionymi małżonkami i wzniosłam kieliszek szampana we własnym toaście.

- Panie i panowie! Państwo młodzi! Całkiem obiecujący start.

- Proszę o ciszę. Głos ma pierwsza drużyna.

Mary uśmiechnęła się do mnie nerwowo. Bill miał ściągnięte brwi, ale i on zdołał utrzymać uśmiech na wargach. Zadzwoiłam trzonkiem łyżeczki w kieliszek szampana, by upewnić się, że wszyscy słuchają z należytą uwagą. Bill taktownie wyjął mi kieliszek z dłoni, zanim miałam szansę go roztrzaskać, ale mimo to pozwolił mi rozpocząć.

- Panie i panowie, chciałabym tylko powie... powiezieć... jaka jestem szczęśliwa, że mogę być tu dzisiaj z wami - wystartowałam. - Nie, naprawdę, jestem bardzo, bardzo szczęśliwa.

- To dobrze - syknął Brian. - A teraz siadaj.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Jeszcze nie sss-kończyłam. Panie i panowie, jest coś, co muszę wam wszystkim powiedzieć. - Znów podniosłam kieliszek do ust i upiłam trochę szampana, żeby zwilżyć usta. - Wiecie, kiedy płakałam dziś rano podczas ceremonii, to wcale nie dlatego, że w zeszłym tygodniu rzucił mnie chłopak. O nie... Płakałam, bo byłam taaaaaaka szczęśliwa. A dlaczego nie miałabym być szczęśliwa, skoro pobiera się dwoje moich najlepszych przyjaciół, jakich mam na calutkim świecie?

- Dobrze mówi! - zawołał Brian, usiłując odciąć mnie tym razem za pomocą aplauzu.

Nikt się nie przyłączył. Próba zawiodła.

- Dlaczego miałabym nie być szczęśliwa? - zwróciłam się z pytaniem do widowni. - Co z tego, że znowu jestem sama? Tak, drodzy państwo, to prawda. Zostałam porzucona. Porzucona, olana, puszczona w trąbę. Porzucona jak wczorajsza gazeta. Porzucona jak francuskie odpady nuklearne.

Dobre porównanie, pogratulowałam sama sobie. Z tyłu ktoś zachichotał nerwowo.

- Nie - ciągnęłam. - Chcę po prostu powiedzieć, że jestem niesamowicie, obłędnie szczęśliwa, że jestem tu z wami, drodzy państwo, i możemy wspólnie być świadkami, jak nasi drodzy przyjaciele, Mary i Bill, składają sobie obietnicę trwałej i wiernej miłości. I chcę po prostu powiedzieć, że choć zostałam porzucona przez tego głupiego sss... takie słowo na s, rozumiecie... mojego chłopaka, to mam nadzieję, że Bill i Mary nigdy się nie rozwiodą, bo chociaż sama nigdy dotąd się nie rozwiodłam, to myślę, że po tym tygodniu mogę spokojnie powiedzieć, że potrafię sobie wyobrazić, jak to jest.

- Lizzie - spróbował Brian.

Ale ja nie miałam zamiaru pozwolić się przystopować.

- I to jest coś potwornego, prawda? - spytałam moją publiczność. - Rozwieść się.

Pani Bagshot wie coś o tym, prawda? - dodałam, skłaniając głowę ku matce Mary. - To jest po prostu potworne. Być znowu samą, jakby się było ostatnią czekoladką z kremem kawowym w bombonierce. Jakby się było ostatnim homarem w restauracyjnym basenie. Jakby się było psim gównem na podeszwie sandałów życia. W sali było cicho jak makiem zasiał.

- Wierzcie mi, nie ma nic gorszego niż być znowu samemu, jeśli oddalicie komuś cztery lata swojego bezcennego życia. Jeśli oddalicie mu wszystko, co mieliście. Jeśli kochaliście go, wspierali i prali jego cholerne brudne ciuchy. Jeśli prasowaliście mu koszule i przyrządzali śniadania, i pucowali jego łazienkę, i nawet odbieraliście w aptece jego maść na hemoroidy, ryzykując, że ludzie pomyślą, że to dla was, bo pan i władca krępował się pójść sam. A potem rzuca was tak nagle, że nawet nie macie kiedy popłakać, bo ni z gruchy, ni z pietruchy stoicie na chodniku z torbą w ręku... Czy to jest w porządku?

Walnęłam pięścią w stół.

- To się nazywa wdzięczność? - spytałam moją publiczność. - To się nazywa miłość? Wciąż dawać, dawać, dawać i nic nie do-

stać w zamian? Uważacie, że powinnam to była przewidzieć? Uważacie, że powinnam była sypiać z innymi, kiedy byliśmy razem, tak żebym nie musiała czuć się teraz jak idiotka? Uważacie, że jestem najbardziej łatwowierną kobietą w tym kraju? Może powinnam go była zadźgać, kiedy miałam jeszcze szansę? Może zostałabym uniewinniona z zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci ze względu na prowokację? Jak pani myśli, pani Bagshot? Gdzie popełniłyśmy błąd?

- Niech ją ktoś stąd zabierze! -krzyknęła matka Mary. -Ona jest chyba chora!

- Ona nie jest chora - rozległ się głosik Trinny. - Lizzie Jordan jest pijana!

Istotnie, byłam tak pijana, że kiedy w końcu zatargali mnie do hotelu, o mało co nie nasikałam na szafkę, zanim zdałam sobie sprawę, że nie jestem jeszcze w łazience. Niestety, nie byłam na tyle pijana, by urwał mi się film, zanim zdołałam zaliczyć kolejną pijacką wpadkę. I to znacznie większą, niż wygłoszenie idiotycznego, ociekającego goryczą przemówienia na weselu najbliższej przyjaciółki. Zrobiłam coś, co każda porzucona wspomina do końca życia jako potworne upokorzenie, choćby nie wiem jak się starała osiągnąć stan pijackiej amnezji.

Zadzwoiłam do niego. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Richarda. Nawet fakt, że zapłacę za telefon hotelową stawkę (to znaczy normalny koszt połączenia trzy razy), nie zdołał mnie powstrzymać.

Trzy dzwonki i włączyła się sekretarka. Spodziewałam się tego. Byłam pewna, że starannie kontroluje wszystkie rozmowy, właśnie na wypadek, gdybym zadzwoniła. Nie spodziewałam się jednak, że zmieni powitanie.

Nie było już: „Richard i Lizzie nie mogą tej chwili podejść do telefonu”, z moim radosnym chichotem w tle, gdy on usiłował nagrać powitanie jak należy, bez śmichów-chichów. Teraz na sekretarce Richarda był nagrany całkiem inny tekst: „Cześć, tu Richard. Chwilowo nie ma mnie w domu, ale możesz zadzwonić do mnie na komórkę. Zero zero siedem...”

Odłożyłam słuchawkę.

Zmienił powitanie. Usunął moje imię. Teraz każdy wie, że odeszłam.

Znowu wybrałam numer Richarda. Trzy sygnały. „Cześć, tu Richard”. Odłożyłam słuchawkę.

Dosyć pogodnie to brzmiało, no nie? Pogodnie i seksownie. Mówił jak pogodny, wyluzowany, seksowny facet, który nagrywa pogodną, wyluzowaną, seksowną wiadomość, na wypadek gdyby w czasie, kiedy jest poza domem, zadzwoniła jakaś pogodna, wyluzowana, seksowna kobieta, z którą miałby chęć umówić się na randkę.

- O Boże-jęknęłam. Znow wybrałam jego numer.

Co to za chichot słycać w tle? Przysięgłabym, że słyszę w tle jakiś nowy chichot. Kto to chichocze? Kto był tam przy nim, kiedy usuwał z sekretarki moje imię i nagrywał to cholerne nowe powitanie tonem, który mówił: „Cześć, jestem do wzięcia. Przeleć mnie”.

Zadzwoniłam jeszcze raz. Musiałam wiedzieć, co to za baba się śmieje, bo czy wiedziała o tym, czy nie, śmiała się ze mnie!

Trzy sygnały.

- Cześć, tu Richard... klik... czy to ty, Lizzie? Tym razem telefon odebrał prawdziwy Richard.

- Tak - kwiknęłam.

- Jasny gwint - westchnął. - Czy to ty dzwoniłaś do mnie przed chwilą trzy razy z rzędu i odkładałaś słuchawkę za każdym razem, kiedy włączała się sekretarka?

- Tak.

- No nie... Jest pierwsza w nocy, jakbyś nie zauważyła. Jesteś pijana?

- Może. Troszeczkę.

- Troszeczkę? Jak żyję nie słyszałem, żebyś tak bełkotała. Jesteś kompletnie zalana... Lizzie, na miłość boską, idź spać.

- Nie mogę, Richardzie. Nie mogę zmrużyć oka. Bez przerwy myślę o tobie. Taka jestem samotna, tak mi smutno...

- Wiem - powiedział. - Dostałem twój list.

- I co o nim myślisz? - spytałam z nadzieją. - Zrozumiałeś coś dzięki niemu?

- Myślę, że niepotrzebnie go wysyłałaś. Tylko potwierdził to, co myślałem.

- A co myślałeś? - spytałam z rozpaczą.

- Że po prostu nie mogę dłużej z tobą być. Nie próbuj wpędzić mnie w poczucie winy, Lizzie. Między nami skończone. Koniec, kropka.

- Aleja nie potrafię o tobie zapomnieć! - zaprotestowałam.
- No cóż - powiedział rzeczowo. - Chyba nie sądziłaś, że potrafisz o mnie zapomnieć w ciągu tygodnia.
- Ja nigdy nie potrafię o tobie zapomnieć! - jęknęłam.
- Lizzie, naprawdę powinnaś iść do łóżka - powiedział. - Muszę się trochę przespać. Chcę jutro wcześniej wstać i skończyć robotę. Odkładałam słuchawkę.
- Zadzwoń znowu - ostrzegłam go.
- Wyłączę telefon.
- Złapię taksówkę i przyjadę. Usiądę na progu i będę walić pięścią w drzwi.
- Z Oksfordu? - parsknął.
- Z Oksfordu. Mary pożycz mi trochę kasy.
- Nie rób tego - powiedział spokojnie Richard.
- Zrobię - odparłam. - Dokładnie to zrobię, jeśli nie zgodzisz się spotkać ze mną tej nocy.
- No dobrze. Zgadzam się - powiedział z rezygnacją. - Ale nie tej nocy.
- A kiedy?
- Nie wiem... Niedługo. Niech go szlag.
- Kiedy???
- No dobra... W przyszłą niedzielę. Możesz przyjechać do Londynu?
- Jasne. Przyjadę. Och, dzięki, Richard... Nie pożałujesz. To do zobaczenia za tydzień...

Richard już odłożył słuchawkę.

I już miałam zadzwonić ponownie, żeby przyprzeć go do muru w sprawie godziny spotkania, kiedy ktoś zadzwonił do mnie. Mary.

- No, przynajmniej jesteś przytomna - powiedziała.
- Och, Mary, przepraszam - załkałam. - Prze-pra-szaaaam!
- Nie ma sprawy.
- Ale przecież zalałam się na twoim weselu... Nagadałam jakichś okropności! Twoja nieszczęsna matka... Zrobiłam z siebie totalną idiotkę.
- Lizzie, nie obchodzi mnie, że się zalałaś. A kto się nie zalał? Chcę się tylko upewnić, że nie zrobiłaś czegoś głupszego niż wygłoszenie łzawego, pełnego inwektyw toastu, kiedy ja wybieram się w podróż poślubną.

- Nie zamierzam się zabić - zapewniłam ją.

- Myślę o czymś jeszcze głępszym niż samobójstwo. Daj mi słowo, że nie dzwoniłaś do tego swojego wrednego eksfaceta, kiedy usiłowałam się do ciebie przed chwilą dodzwonić.

- Rozmawiałam z moją matką - skłamałam.

- No to dobrze. Słuchaj, Lizzie, zapomnijmy po prostu o tym, co dziś zaszło, dobra? Chcę, żebyś wiedziała, że mimo wszystko miałam piękny dzień i jestem pewna, że kiedy w srebrną rocznicę ślubu w 2025 roku obejrzymy twój występ na wideo, będziemy pękać ze śmiechu.

- Może ty - powiedziała ponuro.

- I ty też, Lizzie. Słuchaj, może byś tak spróbowała pójść jutro na śniadanie z Brianem i Angelicą? Brian mówi, że cały dzień go unikałaś.

- Wcale go nie unikałam. Po prostu nie chciałam mu zakłócać gruchania z ukochaną.

- Lizzie, nie możesz do końca życia unikać szczęśliwych par. Zjedź z nimi śniadanie. Angelica jest naprawdę fajna.

- Wiem - powiedziała niechętnie. - Dobra, spotkam się z nimi, o ile się obudzę na czas.

- No to dobrze.

- Mary?

- Tak?

- Kto złapał bukiet? - spytałam.

- Rzuciłabym go tobie - powiedziała - gdybym miała podstawy sądzić, że jesteś w stanie go złapać i nie paść na pysk, rozwalając sobie przy okazji łeb o posadzkę.

- Wiem. Ale koniec końców komu się dostał zamiast mnie?

- Angelica go złapała - wyznała Mary.

- Ale ona i tak już wychodzi za mąż - jęknęłam. Żałosna łza spłynęła mi po nosie. - Dlaczego ona musiała go złapać? To mnie był potrzebny ten bukiet.

- Lizzie, powinnaś się przespać - powiedziała beznamiętnie Mary. - Głupi bukiet kwiatów nie ma żadnego znaczenia i dobrze o tym wiesz. Słuchaj, muszę kończyć. Nasz samolot na Seszele odlatuje o ósmej rano. To tyle, jeśli chodzi o namiętą noc poślubną. .. Bill za dużo wypił i padł, a o piątej musimy wstać, żeby zdążyć na lotnisko. Słuchaj, Lizzie, zrobisz co zechcesz, ale obiecaj mi, że nie wrócisz do Richarda do mojego powrotu. I że nie będziesz próbowała się z nim spotkać. Po tym, co musiałaś dzisiaj

przez niego znieść, nie wolno ci nawet myśleć o tym, że mogłabyś do niego wrócić. Gdybyś to zrobiła, do końca życia nie odezwę się do niego ani słowem. I nie przyjdę na żadne wesele. Obiecuj mi, Lizzie.

- Obiecuję.

Ale równocześnie skrzyżowałam za plecami palce.

Byłam zaskoczona, że następnego ranka w ogóle się obudziłam. Jeszcze dziwniejsze było to, że wcale nie czułam się aż tak źle. Nie wiedziałam, że tak naprawdę wciąż jeszcze jestem pijana. Kac dopadł mnie dopiero koło południa.

Czekając na Armagedon, zdołałam jednak zjeść w hotelowej restauracji całkiem niezłe śniadanko - błysk nadziei, jaką wzbudziła we mnie obietnica Richarda, że spotkamy się w przyszłą niedzielę i pogadamy, przywrócił mi też część poprzedniego apetytu. Brian w tym czasie, krzywiąc się niemiłosiernie, walczył z kacem za pomocą filiżanki kawy, a jego superwiotka narzeczona trzykrotnie odesłała do kuchni swoją babeczkę z masłem beztłuszczowym.

- Prosiłam, żeby była przypieczona, a nie skremowana - utyskiwała. -1 bez masła. Bez masła! Zrozumiał pan tym razem? I czy nie moglibyśmy dostać jeszcze trochę kawy? Moja filiżanka od dwudziestu minut stoi pusta...

- Obciążą cię za dodatkową kawę - ostrzegł ją Brian.

- Zapomniałam... A zresztą, nie wierzę, żeby nie można było tutaj dostać dolewki w ramach zamówienia.

- Ja też nie - odpowiedział machinalnie, nie mając najwyraźniej pojęcia, o czym ona mówi.

- No więc, Lizzie - Angelica nachyliła się do mnie konspiracyjnie, zapominając na moment o śniadaniu - Brian powiedział mi, że właśnie rzucił cię chłopak.

Poklepała mnie po ręku i utkwiała we mnie spojrzenie pełne zrozumienia. Wypisz wymaluj Oprah Winfrey.

- Tak - odparłam. - Po czterech latach.

- Och, kochanie! - wykrzyknęła Angelica. - To nawet dłużej, niż ja znam mojego Briana. Musiało cię porządnie rąbnać... Wyobrażam sobie, jak bym się czuła, gdyby straciła mojego króliczka.

- Rąbnęło-przyznałam.

- Jaki on był? Na pewno świetny?
- Palant do kwadratu - powiedział Brian.
- Brian! - przywołała go do porządku Angelica. - Pozwól dziewczynie mówić. Opowiedz mi o wszystkim, Lizzie.
- A ile mam czasu?
- Albo wiesz co - powiedziała Angelica, zanim zdołałam wystartować - właściwie to nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Czego ci naprawdę potrzeba, to wyjechać na jakiś czas z Londynu. Nie sposób wrócić do równowagi po takim ciosie w otoczeniu, gdzie wszystko przypomina ci o twojej stracie. Miała rację... Ale szło nie tylko o Londyn. W tamtej chwili me było takiego miejsca na świecie, które nie przypominałoby mi o Richardzie. Nawet cukierniczka, na którą spojrzałam w nadziei że uda mi się dzięki temu nie rozbezczeć, przypominała mi o nim! Richard słodzył kawę... Aaaaaa!
- Powinnaś wyjechać do Stanów-ciągnęła Angelica - Brian mi mówił, że jesteś aktorką. Czy twój amerykański agent nie mógłby zorganizować ci paru spotkań w Los Angeles? Wyrwałabyś się stąd na parę miesięcy, załapałabyś trochę słońca, położyła po plaży... Szybciutko wróciłabyś do siebie.
- Mój amerykański agent? - roześmiałam się. Bez cienia wesołości. - Nie mam takiego.
- Żartujesz - powiedziała Angelica. - Możesz w to uwierzyć Brianie? ' Brian pokręcił głową i znów się skrzywił. Wiedziałam jak bolesny może być każdy ruch głowy nazajutrz po weselu i współczułam mu.
- Jak ty to sobie wyobrażasz? - upomniała mnie Angelica. - Powinnaś koniecznie mieć agenta w Stanach.
- Tu, u siebie, nie wystąpiłam dotąd nawet w reklamie płatków kukurydzianych. Z jakiego powodu miałyby chcieć się mną zajmować jakiś agent w Stanach?
- Nie bądź taką defetystką - powiedziała.
- Jestem po prostu realistką.
- Gdybym ja była realistką, nigdy nie miałabym Briana - zauważyła Angelica. - Byłam jego sekretarką. Wszyscy mi mówili że nie powinnam umawiać się z szefem. A ja się umówiłam, no i pobieramy się.
- Miłość to trochę inna sprawa niż zagranie głównej roli w nowym filmie Spielberga - zauważyłam. Aczkolwiek w tamtej chwili

to, że zagram znaczącą rolę w filmie Spielberga, wydawało mi się znacznie bardziej realne niż jakiegokolwiek szanse na szczęście w miłości.

- Niemniej odrobina optymizmu nie zaszkodzi - upierała się Angelica.

- Nie sędzę, żeby optymizm mógł mnie zaprowadzić do Los Angeles - powiedziałam znużonym tonem. - Nikogo tam nie znam...

- Ale my znamy, prawda, Brianie?! - zawołała Angelica. - Skończyłam szkołę sekretarek w San Diego. Mnóstwo moich przyjaciółek przeprowadziło się do LA. Na przykład Candy.

Candy i Angelica? Ciekawe, czy ich matki szukały inspiracji w fusach od kawy, wymyślając im imiona.

- Tylko nie Candy-jęknął Brian.

- A co masz przeciwko Candy? - spytała Angelica obronnym tonem.

- Nic, kochanie. Absolutnie nic.

- W tej chwili Candy wprowadziła się akurat do rezydencji Hugh Hefnera, tego właściciela „Playboya”, wiesz - ciągnęła Angelica. - Ale to potrwa góra dwa tygodnie, tak że w momencie, gdy będziesz gotowa do wyjazdu, ona będzie szukać współlokatorki.

Zapisała mi jej numer telefonu.

- No i jest jeszcze Minty. Znowu coś zjedzeniem?

- Jest modelką. Prezentuje kostiumy kąpielowe. Bywa trochę humorzasta, kiedy jest na diecie i odżywia się morskimi wodorostami, ale byłaby świetną przewodniczką.

- Przecież podobno się wypaliła i wyjechała do buddyjskiego klasztoru - wtrącił się Brian.

- Tak - odparła Angelica. - Ale wróciła, kiedy powiedzieli, że nie wolno jej używać lakieru do włosów do zabijania pluskiew w celi. Polubiłaby cię, Lizzie. I chyba ma odpowiednio duże mieszkanie.

- Zdawało mi się, że wprowadził się do niej ten cyrkowiec, co to ćwiczy na trapezie - zauważył Brian.

- On był połykaczem ognia - poprawiła go Angelica. - Wyprowadził się miesiąc temu. Wiedziałam, że to nie potrwa długo, odkąd przypalił jej treskę.

Angelica skrobnęła na świstku następny numer.

- Zadzwoń do niej i powiem o mojej propozycji. Czy to nie wspaniałe? Być może zostaniesz współlokatorką mojej najlepszej przyjaciółki.

Walczyłam z chęcią, by powiedzieć „a ty niedługo zostaniesz żoną mojego ekskochanka”. Wzięłam karteczki z telefonami i wrzuciłam je do torebki.

- Dzięki.

- Ale zadzwonisz do moich dziewczyn, prawda? - upewniła się Angelica.

- Zadzwoń-obiecałam.

- I nigdy więcej nie zadzwonisz do tego swojego wrednego ekschłopaka?

- Nigdy. Obiecuję.

Palce miałam skrzyżowane. Znów.

- Wrócisz do siebie w Los Angeles, kochanie, zobaczysz. Jestem pewna, że nie minie rok, a zadzwonisz do mnie i powiesz, że to zerwanie to był szczęśliwy traf. Szczęśliwy traf? Nie pierwszy raz słyszałam to określenie w ciągu ubiegłego tygodnia i wciąż brzmiało fałszywie. Uśmiechnęłam się i skinęłam głową, ale tak naprawdę miałam chęć złapać ją za gardło i powiedzieć: „Kłamiesz”.

Szczęśliwy traf? Z pewnością i ja używałam nieraz tego określenia w stosunku do rozmaitych nieszczęsnych istot. I wiedziałam, że w większości przypadków jest prawdziwe. Większość ludzi rozpoczyna po zerwaniu z partnerem nowe życie.

Facet, który docenił kobietę, staje się dla niej zaledwie punktem wyjścia. Pomyślcie o Cher bez Sonny'ego, zdobywającej szturmem listy przebojów. Albo o Tinie Turner bez Ike'a. Zerwanie je wyzwoliło. No, ale pomyślcie o Ike'u bez Tiny... Kto wie o nim coś więcej oprócz tego, że bił żonę? Albo popatrzcie, co się stało z Sonnym... Ktoś idzie w górę, ktoś idzie w dół. A jeśli to ja jestem stroną, która znajduje się na równi pochyłej?

Po południu Angelica i Brian wyjechali z Oksfordu do Heathrow. Lecieli do Włoch. Nad jeziora. Właściwie ma to być ich miesiąc miodowy, jak radośnie poinformowała mnie Angelica. Chociaż od dziewięćdziesiątego siódmego roku Brian kompletnie się dla mnie nie liczył, to nie było to, co miałam ochotę słyszeć tego dnia.

Co do mnie, to natychmiast po załatwieniu formalności w hotelu wsiadłam do pociągu do Solihull. Żadnych miodowych miesięcy. Żadnych rozgrzewających serce słonecznych Italii. Tylko brytyjski deszcz, spływający po brudnej szybie pociągu odchodzącego o 13.51 do Birmingham New Street. Deszcz, szarość, monotonny stukot kół pociągu, udręka spóźnionego kaca - i karteczka z telefonami, z których nie zamierzałam skorzystać.

Jesień w Los Angeles? Przyjemna perspektywa... Ale przecież przyjaciółki Angeliki nigdy nie widziały mnie na oczy. Dlaczego miałyby mieć ochotę, żeby ze mną mieszkać? Na pewno Angelica była po prostu po amerykańsku uprzejma i zrobiła mi propozycję, o której z góry wiadomo, że nie należy jej w żadnym razie przyjmować. Wepchnęłam karteczkę w zakurzone głąbie portfela i wróciłam do snów o Richardzie.

Sen kalifornijski po prostu nie figurował tego dnia w moim rozkładzie zajęć.

5

Na szczęście, czy raczej może, z perspektywy czasu, na nieszczęście, nie wszystkie moje przyjaciółki reprezentowały taki beton, jeśli chodzi o mój ewentualny powrót do Richarda, „króla demonów”, jak Mary. Moja dawna współlokatorka Seema uwielbiała szczęśliwe zakończenia i uważała, że każdy powinien przynajmniej spróbować do takiego doprowadzić. Kiedy więc powiedziałam jej, że w najbliższy weekend zamierzam spotkać się z moim „eks” i porozmawiać, z entuzjazmem zgodziła się, żebym przenocowała w jej londyńskim mieszkaniu i nawet pomogła mi wybrać strój, który, jej zdaniem, powinien zrobić na nim takie wrażenie, że znowu mnie pokocha.

- Wyglądasz rewelacyjnie - oceniła, patrząc na moją świeżo uzyskaną chłopięcą sylwetkę w superszykownych džinsach Earl i kusym różowym T-shircie, którego w życiu nie brałabym pod uwagę, gdybym dzięki mojej niedoli nie straciła okazałego brzuszka piwosza i nie odzyskała talii. - Padnie, jak cię zobaczy. Ale zastanów się jeszcze raz, czy naprawdę tego chcesz. Nie musisz do niego wracać tylko dlatego, że cię o to poprosi.

- Jasne - zapewniłam ją. Tak jakbym zamierzała wahać się choćby przez moment. Seema ścisnęła mnie za ramię.

- Mimo wszystko jesteście dla siebie stworzeni. Tak uważam.

Seema była ze mną tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy spotkałam Richarda. To były jej dwudzieste drugie urodziny. Świątoważyśmy je stylowo, pijąc niczym drużyna rugby, aż osiągnęliśmy stadium, w którym byliśmy w stanie utrzymać pozycję pionową jedynie wówczas, gdy opierałyśmy się o siebie plecami. Kiedy więc Seema potknęła się w swoich sandałach na platformie i spadła ze schodów w tamtym pubie dla trampów na Leicester Square, nie pozostawało mi nic innego, niż spaść razem z nią. Richard zmiękczył moje lądowanie. Patrząc wstecz, nie był to całkiem przypadkowy start.

W owym czasie wynajmowałyśmy z Seemą ohydny dom w Balham do spółki z facetem, którego nazywałyśmy Gruby Joe. Widywałyśmy go rzadko. Był, mówiąc bez ogródek, opasłym, tkniętym komputerową obsesjąagorafobem. Chociaż jednak rzadko kiedy wystawiał nos poza granice swojego bunkra (czytaj: pokoju), jego odór niczym gaz musztardowy przenikał wszystkie zakamarki mieszkania. I wszędzie poniewierały się jego brudne skarpetki, niby sygnał zapachowy, którym znaczył swoje terytorium.

Pomimo to żyło nam się pod jednym dachem całkiem fajnie przez prawie trzy lata. Potem Seema przeniosła się do Harvardu, żeby zrobić magisterium z administracji i zarządzania, a Richard zaproponował, żebym przeprowadziła się do niego. Gruby Joe nie został jednak zbyt długo sam. Nawiązał romans internetowy z dziewczyną, która podpisywała się „Wenus”. Muszę dodać, że odetchnęłyśmy, kiedy okazało się, że to naprawdę dziewczyna.

Stałyśmy z Seemą na flankach Grubego Joego, ona przy jednym jego ramieniu, ja przy drugim, kiedy Wenus przysłała mu emailem swoje zeskanowane zdjęcie. Zbiorowe westchnienie ulgi rozdarło ciszę, kiedy dostrzegliśmy niewątpliwe oznaki występowania u niej drugorzędnych cech płciowych (tzn. piersi). Zaraz po nim nastąpiło jednak westchnienie lekkiego rozczarowania, kiedy odnotowałyśmy z Seemą fakt, że choć Wenus nie przypomina bynajmniej wyglądem tej z obrazu Botticellego, to gdyby ktoś powiedział nam, że przybywa z przestrzeni kosmicznej, nie byłybyśmy ani trochę zaskoczone.

Tak czy owak, w sześć miesięcy po pierwszym spotkaniu z Wenus na czacie dla fanów *Blake 's Seven* (których najwyraźniej w Ameryce jest na pęczki) Gruby Joe pokonał swoją agorafobię na tyle, że był w stanie polecieć do Cleveland w stanie Ohio na spotkanie z nią oko w oko. W dwa tygodnie później się pobrali. To się nazywa miłosne tornado... Posłałyśmy im z Seemą drewnianą miszkę do sałatek w charakterze nostalgicznego prezentu z ojczyzny. A Gruby Joe został w Ohio na zawsze.

Seema lubiła posługiwać się przykładem Grubego Joego na poparcie tezy, że na każdego gdzieś czeka jego połówka jabłka.

- A Richard jest twoją połówką-zapewniła mnie. -Naprawdę nie mam pojęcia, co mu się stało.

Miałam nadzieję, że nic takiego, czego nie można by zmienić poprzez długą, szczerą rozmowę. W każdym razie Seema obiecała, że wyjdzie z domu na całe popołudnie, tak żebyśmy mogli pogadać z Richardem u niej. Na neutralnym gruncie, powiedziała. Ale kiedy w dwadzieścia minut później Richard się w końcu pokazał, nie chciał nawet przejść przez próg.

- Jadłaś coś? - spytał szorstko.

- Nie jadłam od dwóch tygodni - odparłam.

- Tak? Dobra, słuchaj, jestem potwornie głodny. Może byśmy poszli coś zjeść na mieście?

- Myślałam, że sobie porozmawiamy - powiedziałam. - Tutaj. Seema specjalnie wyszła z domu...

- Możemy porozmawiać w knajpie. Idziemy.

Ale oczywiście w knajpie nie było szans na spokojne pogadanie. I prędko zdałam sobie sprawę, że właśnie o to mu chodziło. Kawiarnia Rouge w Richmond w sobotnie popołudnie... Rany boskie! Nie mógł wybrać mniej intymnego miejsca na rozmowę o przyczynach zerwania, nawet gdyby zaproponował, żebyśmy się spotkali w programie Oprah Winfrey.

Siedziałam w milczeniu, kiedy zamawiał z karty trzydaniowy posiłek i prosił kelnera, żeby przyniósł jedzenie piorunem. Spytał, czy mam na coś ochotę.

Poprosiłam o filiżankę herbaty, ale tak naprawdę i tej herbaty mi się nie chciało.

Patrzyłam, jak Richard je swój stek z apetytem, jak ktoś, kto wrócił właśnie z wyprawy na Kilimandżaro. Separacja nie wpłynęła najwyraźniej na jego stosunek do jedzenia... Między jednym a drugim daniem zdołał rzucić z ustami pełnymi bułki:

- Jak tam było na weselu?

- A jak mogło być? - odparłam. Co za głupie pytanie. - Zepsułam mojej przyjaciółce najważniejszy dzień w jej życiu.

- Jak rodzice?

- Nienawidzą cię.

- O. Czy zanim się ode mnie wyprowadziłaś, zdażyłaś za-dwonić do administracji w związku z tym pozwoleniem na przebudowę?

- Co? - spytałam.

- Pozwolenie na przebudowę. Zdażyłaś z kimś porozmawiać na ten temat?

Miałam chęć złapać nóż, którym kroił stek, i wbić mu go prosto w serce. Miałam chęć złapać go za gardło i wsadzić mu w oczy widelec. Miałam chęć rozbić talerz i pochlastać nim tę jego głupią gębę. Miałam chęć zmiażdżyć jego kieliszek i wetrzeć mu szkło prosto w krocze.

- Nie chcę rozmawiać o pozwoleniu na przebudowę mieszkania twoich sąsiadów - powiedziałam. - Przyszłam tu, żeby porozmawiać o nas.

- W porządku. Ale dzwoniłaś?

- Nie!

Zaczęłam płakać. Richard poruszył się na krześle, jakby miał robaki.

- Słuchaj, nie ma o co płakać - powiedział. - Cały czas ktoś się z kimś rozstaje, sama wiesz.

Cały czas ktoś się z kimś rozstaje? Co to za drętwe frazesy? Czy on naprawdę chce mi powiedzieć, że po czterech latach ludzie się po prostu rozstają i już? I w dwa tygodnie później idą na lunch, a ona zgadza się pomóc mu w walce z sąsiadami, którzy chcą powiększyć kuchnię, tak żeby jego cholerne mieszkanie nie straciło na wartości?

- Jak możesz tak mówić? - spytałam.

- Bo tak jest - powiedział, wkładając do ust kawałek cytrynowej tarty. - Każdemu się to może zdarzyć.

- Co? Ale my to nie każdy, Richardzie! Mówimy o tobie i o mnie. O Pszczółce i Żuczku - użyłam naszych pieszczotliwych zdrobnień, ale on nawet nie zauważył tego drgnienia bólu. - Żyliśmy razem. Podobno się kochaliśmy...

- Słuchaj - powiedział Richard zdecydowanie. - Powiedziałaś mi kiedyś, że jeśli nie będę chciał cię więcej widzieć, powinienem cię o tym po prostu zawiadomić.

Powiedziałaś, że nie bę-

dziesz próbowała mnie przekonywać. Nie będziesz się ze mną kłóciła. No więc nie chcę cię więcej widzieć i mówię ci o tym. Masz zamiar cofnąć słowo i utrudniać mi to?

- Jakie słowo?

- Sama powiedziałaś - przypomniał mi jeszcze raz Richard. Z irytacji zaróżowiły mu się uszy. - To twoje własne słowa. „Jeśli nie będziesz chciał mnie więcej widzieć...”

- Och, przestań - krzyknęłam. Myślałam, że tylko kobiety pamiętają dosłownie treść rozmów... Bo owszem, pamiętałam tamtą aż nadto dobrze. A także gdzie miała miejsce.

- Richardzie - powiedziałam. - Tamte słowa padły na naszej trzeciej randce. Na trzeciej randce! W tamtym czasie byłoby w pełni zrozumiałe, gdybyś uznał, że nie odpowiada ci moje poczucie humoru. Albo zwyczajnie nie podobają ci się moje włosy. Po trzech spotkaniach jedna ze stron spokojnie może powiedzieć: „Hej, było fajnie, ale to po prostu do niczego nie prowadzi. Cześć” i odejść bez podawania przyczyn. Ale po trzech miesiącach już nie. A tym bardziej po czterech latach, zwłaszcza jeśli przez większość tego czasu ludzie wspólnie płacą rachunki za gaz i śpią we wspólnym cholernym łóżku! Musi być jakiś powód!

- Słuchaj, ja po prostu tak czuję - powiedział bezradnie Richard. - Nic nie poradzę, że tak czuję, prawda?

- A co z moimi uczuciami? - spytałam. - Ja nie chcę, żeby ten związek się skończył.

- On się już skończył - stwierdził beznamiętnie. - Nie ma związku, jeśli jedna ze stron go nie chce. A ja go nie chcę.

- Przepraszam-wykrztusiłam.

Zerwałam się od stołu, wpadłam do toalety i usiłowałam zwymiotować do lśniącej porcelanowej umywalki, jednak nie miałam w środku nic, co mogłabym zwrócić. Ale moje ciało chciało wymiotować. Moje ciało chciało wywrócić się na lewą stronę, tak, żeby mógł na własne oczy zobaczyć, co ze mną zrobił. Moje ciało chciało stanąć przed nim z wnętrzościami na wierzchu i powiedzieć: „Spójrz. Oto moje serce. Jest już złamane, ale może chciałbyś jeszcze posypać je solą, zanim na dobre odejdziesz”.

Wszystko było inaczej, niż zakładałam. Wiedziałam, planując to spotkanie, że nie będą to gejzery śmiechu, ale spodziewałam się, że zdołam przynajmniej zasiać w zmaconym umyśle Richarda ziarno wątpliwości. Spodziewałam się, że resztki miłości, jaka jeszcze w nim pozostała, będą punktem zaczepienia, który pozwoli

mi wkraść się z powrotem do jego serca. Spodziewałam się, że w najgorszym razie będzie przynajmniej miał wyrzuty sumienia... Że będzie otwarty na sugestię, iż być może zanadto się mimo wszystko pośpieszył.

Teraz stało się jasne, że Richard był o wiele bardziej wolny od bólu rozstania niż ja. Zachowywał się tak, jakby moje cierpienie go dziwiło, jakby nie rozumiał, dlaczego jestem taka zraniona. Zachowywał się tak, jakbym była irracjonalna. Jakby całe te cztery wspólne lata były wytworem mojej wyobraźni. Jakbym za nim latała, a on nigdy nie dał mi cienia nadziei. Nie było żadnego punktu zaczepienia, na którym mogłabym oprzeć stopę, by pokonać mur narosły wokół jego uczucia. Nic z tych rzeczy... Richard był równie nieprzenikliwy jak bunkier Hitlera. I jak widać, równie pełen miłości.

Wróciłam do stolika. Po drodze powiedziałam do kelnera, odpowiednio głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

- Ten dupek w rogu czeka na rachunek, tak żeby mógł jak najszybciej stąd wyjść i nie musiał siedzieć ze mną ani chwili dłużej bez wyjaśnienia, dlaczego mnie rzucił. Kelner skinął głową i momentalnie pojawił się z rachunkiem.

- Daj mu napiwek - syknęłam do Richarda, kiedy podpisywał rachunek z karty kredytowej.

- Usługa wliczona jest w cenę - odparł.

- Tak samo jak wtedy, kiedy z tobą mieszkaliśmy - parsknęłam. - Wie pan - zatrzymałam kelnera, żeby był świadkiem, jak wylewam swoją gorycz - żyłam z tym gnojem pod jednym dachem przez półtora roku. Zarabiał dwa razy więcej niż ja, ale życzył sobie, żebym płaciła za wynajem po cenie rynkowej, a na dodatek gotowała mu, prała i robiła za niego rozliczenia podatkowe. A on w rewanżu przez cały czas naszego związku tylko raz kupił mi kwiaty. Zapomniał o moich urodzinach cztery razy z rzędu. I nigdy nie doprowadził mnie do orgazmu.

- Jak to? Nigdy? - spytał kelner.

- Nigdy-potwierdziłam. Richard wykonał gest protestu.

- Zapomina, że chodziłam do szkoły aktorskiej - powiedziałam, żeby go zgasić.

- Nie do wiary - rzekł kelner. - W takim razie lepiej pani będzie bez niego. A jeśli chodzi o ścisłość, to usługa nie jest wliczona w cenę, sir.

Richard był już w połowie drogi do drzwi.

- Idziemy - złapał mnie za kołnierz i wyprowadził na zewnątrz, na słońce. - Chyba już wystarczająco mnie upokorzyłaś, jak na jeden dzień.

- A ty mnie nie upokorzyłaś? Byliśmy kochankami przez cztery lata! - krzyknęłam. - Przez cztery pieprzone lata. Chyba się nie spodziewałeś, że wyjdę z naszego domu i naszego związku, przepłacę dwa tygodnie u rodziców w Solihull, a potem przyjadę do Londynu cała szczęśliwa, gotowa do przyjaźni i paląca się, żeby ci pomagać w walce z jakimiś cholernymi sąsiadami. Tylko tyle jestem warta? Trzech kwadransów w Cafe Rouge? Spędzonych na przyglądaniu się, jak się opychasz stekiem i kartoflami z masłem czosnkowym? Chcę z tobą porozmawiać, Richardzie. Porozmawiać jak należy. Obiecałeś mi to!

- Nie mamy już o czym rozmawiać - powiedział.

- Co to znaczy, na Boga?

- Posłuchaj, Lizzie. Chciałem uniknąć mówienia ci o tym, ale nie zostawiasz mi wyboru. Między nami skończone. Raz na zawsze. Nie dlatego, że już cię nie kocham, tylko dlatego, że jest ktoś inny.

Równie dobrze mógł mnie wałnąć młotem w żołądek. Osunęłam się na chodnik. Dosłownie. Fizycznie. Po prostu moje kolana poddały się. Miałam szczęście, że nie zemdlałam.

- Nie! - krzyknęłam.

- Przykro mi.

Przechodzący pies obwąchał mnie szybko, ale towarzyszące mu osobniki ludzkie minęły mnie jak powietrze.

- Wstawaj, Lizzie. - Richard pociągnął mnie szorstko za ramię. - Robisz z siebie przedstawienie.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziałam z poziomu chodnika. - Powiedz, że kłamiesz. Powiedz, że mówisz to tylko po to, żebym ci dała spokój i poszła do domu.

- Nie kłamię, Lizzie. Poznałem inną kobietę i chcę z nią być.

- Kto to jest? - zażądałam odpowiedzi.

- Wstawaj - powtórzył.

- Nie wstanę, dopóki mi nie powiesz.

Złapałam go za nogawkę i z uporem trwałam na kamiennych płytach chodnikach, czekając na odpowiedź.

- To Jennifer - powiedział. - No, wstawaj, Lizzie, i idź do domu.

Jennifer... Nie!!! Jennifer modelka? Jennifer modelka, której nadziany przyjaciel, właściciel firmy internetowej, zamówił u Richarda jej portret, żeby powiesić go w swojej nowej rezydencji w Hill Mansion? Jennifer, która rzekomo była tak obrzydliwie oddana swojej drugiej połowie, że, jak uskarżał się Richard, wciąż przerywała pozowanie, żeby wysyłać do ukochanego w jego rozlicznych biurach długie epistoły przez komórkę? Tak obrzydliwie oddana, że najwyraźniej zaprosiła Richarda do przeprowadzenia pogłębionego studium jej anatomii już poza pracownią, po prostu żeby mieć absolutną pewność, że portret będzie naprawdę wiemy.

- Ale przecież Jennifer ma już faceta - jęknęłam.

- Nieładnie ją traktował - poinformował mnie Richard bez cienia ironii. - Nie zasługiwał na nią.

- Och, Richardzie... Nie! - jęknęłam znowu.

- Przykro mi, Lizzie. Nie zamierzałem z nią zaczynać. Po prostu nas wzięło.

- Wzięło? Wzięło??? - wybuchnęłam. - To znaczy że nie mogłeś utrzymać łap z dala od niej, kiedy pozowała ci w stroju topless? Richardzie, jak mogłeś? To takie... takie tanie!

- Nie spaliśmy ze sobą do dnia, kiedy się wyprowadziłaś - powiedział niemal z dumą.

- Cudownie. Po prostu cudownie, Richardzie, i dziękuję ci za to. Nie przeleciałeś jej, dopóki sypiałeś ze mną. Co za dżentelmen z ciebie... Zasługujesz na prawdziwy szacunek, kurwa mać.

Pies, który obwąchał mnie poprzednio, w drodze powrotnej powtórzył próbę.

- Pomóc pani wstać? - spytał jego właściciel.

- W porządku, nic jej nie jest - odparł Richard.

- Nie, nie w porządku - zwróciłam się do psiarza. - Mój przyjaciel, miłość mego życia, powiedział mi właśnie, że rzucił mnie dla jakiejś pieprzonej modelki topless.

- Ona nie jest modelką topless - zaprotestował Richard.

- Jest modelką. I pozowała w stroju topless. Innymi słowy modelka topless, jeśli chodzi o moje zdanie. Zgadza się pan? - zwróciłam się do psiarza.

- Yyyy... nie wiem - powiedział i powłócząc nogami, opuścił pole bitwy.

- Nie do wiary, że dałam się nabrać na całą tę pieprzoną gadaninę, jak to rzekomo nie pociągają cię kobiety, które ci pozują! - krzyczałam nadal na Richarda.

- To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.
- Ale teraz się zdarzyło. Ale mi pociecha, kurwa mać! Właściciel psa odszedł, ale jego pupil wciąż przyglądał mi się z zainteresowaniem.
- Och, spieprzaj - powiedziałam. Richard ruszył przed siebie.
- Nie, nie ty! - krzyknęłam, wyciągając rękę, by złapać go za kolano. -Nie odchodź. Mówiłam do psa... Richardzie, wróć! Nie skończyłam mówić.
- Aleja skończyłam słuchać - brzmiała jego odpowiedź.
- Pożałujesz, zobaczysz - ostrzegłam go. - Żeby wylądować w łóżku z jakąś efektowną modelką o kurzym mózdzku! To, co było między nami, to było coś więcej niż zwierzęcy popęd. Byliśmy bratnimi duszami, Richardzie... Kochaliśmy się nie z powodu wyglądu! Łączyła nas prawdziwa namiętność. Nasz kontakt był tu
- wskazałam na głowę.
- I właśnie dlatego przegrałaś - powiedział i zaczął biec.
- Seema wróciła ze swoich taktownych popołudniowych zakupów z wyrazem wyczekiwania na twarzy. Przekręciła klucz w drzwiach wejściowych najciszej jak mogła i najwyraźniej chciała przekraść się obok kuchni.
- Jestem sama - powiedziałam drżącym głosem. Sama w kałuży własnej produkcji. Z głową na kuchennym stole. Z piętnasto-centymetrową warstwą przesiąkniętych chusteczek Kleenex wokół nóg.
- O cholera - Seema przestała się skradać, żeby zbadać pobojowisko. - Było tak cicho, że pomyślałam, że mogę was zastać w trakcie przeprosin. Miałam nadzieję, że tak właśnie jest...
- Akurat - siąknęłam nosem. - On kogoś ma.
- Och, Lizzie... Nie. Powiedz mi, że to nieprawda.
- To prawda. To koniec. Ona jest modelką. Sto siedemdziesiąt pięć wzrostu, blond włosy dotąd - przejechałam kantem dłoni po tyłku. -1 cycki, za które mężczyźni gotowi są ginąć na wojnie.
- Seemie, która była równie płaska, jak większość chłopców z sąsiedniej podstawówki, twarz wydłużyła się w wyrazie dezaprobaty. Usiadła przy stole obok mnie.
- Znasz ją? - spytała ostrożnie.
- Malował ją.

- Dziwka. Chcesz o tym pogadać?

- Chcę ją zamordować.

- Możemy zacząć od jej charakteru - zasugerowała Seema. I tak też zrobiliśmy.

Mało jednak pociechy byłam w stanie znaleźć w rzeczach, na które zwróciła mi uwagę Seema tego popołudnia. To prawda, olśniewająca prezencja Jennifer z czasem zblaknie. Ale moja zblaknie równie szybko, a przy tym ja nie startuję z tak dobrej pozycji. I być może nie jest równie wykształcona, jak ja, ale czy kto kiedy widział mężczyznę z krwi i kości, który wyżej ceniłby dyplom Oksfordu niż sterzące piersi o idealnym kształcie?

- Znudzi mu się na nią patrzeć - zapewniała mnie Seema. -A wtedy zda sobie sprawę, co stracił. Wróci do ciebie, zobaczysz.

- Nie wróci - powiedziałam beznamiętnie. - Miałam nadzieję, dopóki myślałam, że po prostu boi się formalnego związku. Myślałam, że będę go miała z powrotem, jeśli nie będę zanadto naciskać. Ale on mnie wymienił na nowszy model, Seema. Wakat już nie istnieje. A jak skończy z tym modelem - o ile nie posunie się dalej i nie ożeni z nią, żeby na mnie napluć - to rozejrzy się za jeszcze lepszym. Kurna, spotkałaś kiedykolwiek faceta, który wróciłby do prowadzenia forda escorta, kiedy przez jakiś czas miał na własność porsche?

- Jestem pewna, że w czasie recesji w latach osiemdziesiątych wielu zrobiło dokładnie to, bo nie miało innego wyjścia-zauważyła Seema. - Richard nie zawsze będzie miał takie rwanie, sama wiesz.

Aleja nie byłam tego taka pewna. Dla mnie Richard był połączeniem prezencji Russella Crowe'a, błyskotliwości Woddy'ego Allena i matrymonialnej atrakcyjności księcia Williama. W czasie gdy ja radośnie adaptowałam się do życia we dwoje w jego mieszkaniu w Tufnell Park, on po cichutku wyszedł z mojej ligi.

I o to przede wszystkim chodziło. Kiedy Richard był po prostu początkującym księgowym, który w wolnych chwilach szkicował, a ja zatrudnioną dorywczo siłą biurową z ambicjami, by studiować aktorstwo, pasowaliśmy do siebie. Byliśmy idealną parą. Teraz, kiedy on stał się modnym, wziętym, wysoko opłacanym malarzem portrecistą, a ja - byłą studentką szkoły aktorskiej na granicy ubóstwa, która wróciła do dorywczej pracy w biurze, przestaliśmy stanowić świetny tandem. Richard to był inny wszechświat. .. Zasługiwał na taką dziewczynę jak Jennifer. Była na tym samym poziomie co on. Rzuciła dla niego milionera!

- Poczuj mnie jakoś! - powiedziałam błagalnie do Seemy.

- Przynajmniej twoi rodzice nie próbują cię wydać za właściciela fabryki patyczków higienicznych w Madrasie - zaryzykowała.

- Czy to najnowsza oferta? - spytałam. Rodzice Seemy usiłują zaaranżować jej małżeństwo, odkąd stuknęło jej szesnaście lat.

- W przyszłą sobotę spotykam się z jego rodziną na herbacie. Mogę spytać, czy nie ma brata, jakbyś chciała.

- Dzięki, ale nie - powiedziałam. - Nigdy więcej się nie zakocham. To już mnie nie dotyczy. Skończone. Mam prawie trzydzieści lat, nie mam ani kochanki, ani pracy, i znowu mieszkam z rodzicami. Równie dobrze mogłabym skończyć z sobą tu, w tej kuchni, w tej chwili... Twój patyczkowy rekin mnie nie zechce.

- Wszystko będzie dobrze, Lizzie, zobaczysz - upierała się Seema. - Na każdego gdzieś czeka jego połówka... Przypomnij sobie Grubego Joe i Wenus.

W tej chwili zadzwonił telefon.

- Nie masz nic przeciw temu, żebym odebrała? - spytała.

- Skąd - zapewniłam ją. - Odbierz.

Miałam rozpaczliwą nadzieję, że to może on. Richard... Ale nie ma tak dobrze.

- Gruby Joe! - wykrzyknęła Seema. - Właśnie o tobie mówimy! Fantastycznie cię słyszeć, zupełnie jakbyś był w drugim pokoju! Lizzie, Gruby Joe dzwoni z Ameryki

- zwróciła się bez potrzeby do mnie. - No i jak ci tam leci w Cleveland? - ciągnęła. - Co? Jesteś teraz w Los Angeles? No, coś takiego! I jak ci tam leci? Co? Powtórz to jeszcze raz, Joe. Żartujesz. No nie... Rozwodziś się? Nie, Joe, nie... Powiedz, że to nieprawda!

Nie było sensu choćby próbować zasnąć tej nocy. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, a w moim umyśle natychmiast pojawiał się obraz Jennifer. Niestety, wiedziałam aż za dobrze, jak wygląda... Spotkałam ją parokrotnie przy różnych okazjach. Za pierwszym razem, kiedy przyszła do pracowni Richarda ze swoim pryszczatym dot.com narzeczoną, żeby porozmawiać o portrecie. Nawet się zastanawiałam, co taka nieprawdopodobnie piękna dziewczyna jak ona może widzieć w mężczyźnie, który wygląda jak ropucha z rogami. Do licha, on nie był nawet tak naprawdę mężczyzną! Miał najwyżej dziewiętnaście i pół roku i głos o trzy

oktawy wyższy od mojego, a pomiędzy pryszczami żalosne kłaczki puchu. I wtedy wspomniał o swoim nowiutkim jaguarze...

Patrzyliśmy z Richardem, jak Piękna i Bestia odjeżdżają spod jego pracowni nowym XK8. Tego dnia poużywaliśmy sobie ile wlezie na łajzach z kasą i dziewczynach, które na nią lecą.

- Masz szczęście, że wyżej cenę prezencję niż pieniądze - powiedziałam.

- Masz szczęście, że wyżej cenę rozum niż prezencję - brzmiała jego odpowiedź.

Drugi raz zobaczyłam Jennifer parę miesięcy później. Miałam upiorny dzień - stara krowa, właścicielka agencji reklamowej, w której dorywczo pracowałam, nawrzeszczała na mnie, bo podałam jej kawę bezkofeinową w kubku, a nie w filiżance do espresso. Zadzwoiłam do Richarda, żeby się dowiedzieć, czy się spotkamy, jak skończy robotę na dziś, ale jego komórka nie odpowiadała. Pracownia Richarda była po drodze z mojej pracy do domu, więc postanowiłam wpaść. Pewnie zapomniał naładować baterię w telefonie. Albo może miał włączoną głośną muzykę - czasem szukał w ten sposób inspiracji - i nie słyszał dzwonka?

W tamtym czasie wcale nie byłam zszokowana, kiedy po wejściu do pracowni zastałam Richarda na kolanach przed Jennifer, wpółle-żąca jego wytartej aksamitnej kanapie, wyłącznie w kusych srebrzystych stringach. Richard często podchodził do modelki, żeby sprawdzić, czy właściwie oddał odcień cery. Sama pozowałam mu kilka razy i byłam przyzwyczajona do jego awangardowych metod pracy. Teraz jednak, patrząc z obecnego poziomu emocjonalnego, wiedziałam, że nie przerwałam im bynajmniej sesji malarskiej. To było preludium do pocałunku.

- Cześć, Lizzie - uśmiechnęła się swobodnie Jennifer. Richard podniósł się z podłogi.

- Wiesz, po prostu... yyy... no wiesz - mruknął.

- Miałam okropny dzień - powiedziałam, rzucając torbę na kanapę, po czym padłam na nią sama. - Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, czy nie miałbyś ochoty wyskoczyć do pubu na szybkiego drinka.

- Wiesz... chyba nie - powiedział Richard. - Chciałbym dziś popracować trochę dłużej, tak żebym mógł jutro skończyć. Wszystko w porządku, Jennifer? Nie ścierpłaś?

_ Nie - odparła. - Ale myślałam, że może ty. To znaczy ścierpłaś od stania cały czas w jednej pozycji za sztalugą.

Wszystko to przeleciało mi koło uszu. Przywykłam do tego, że Richard maluje kobiety na golasa. Niepokoilo mnie to mniej więcej tak samo, jak jego mogłaby niepokoić myśl, że mogę się zakochać w facecie obsługującym kserokopiarke. Nie było to kompletnie niemożliwe, niemniej niezwykle mało prawdopodobne. Richard często mówił, jak wdzięczny mi jest, że nie jestem typem zazdrońcy. Zarabiał na życie, malując kobiety, i często malował je nago. Nie miało to nic wspólnego z seksem, zapewniał mnie. To była wyłącznie praca.

Wobec tego, skoro nie zdołałam skłonić go, żeby poszedł ze mną na drinka, podniosłam się z sofy i powiedziałam obojgu do widzenia. Jennifer przesłała mi ręką pocałunek. Richard pozwolił mi pocałować się raczej powściągliwie w policzek. Tego wieczoru zadzwoniłam do Seemy i poszłyśmy na drinka we dwie.

- A co robi dziś Richard? - spytała.

- Maluje - odparłam. - Jedną taką oszołamiającą modelkę. Na golasa.

- O Boże... Z natury? Na golasa? I ty mu ufasz? Ja bym nie ufała.

- Oczywiście, że mu ufam - powiedziałam z przekonaniem. - To tylko praca.

Kiedy wspominam dziś tamtą scenę, czuję się jak kompletna idiotka. Jak mogłam być taka naiwna?

Ale tak na serio... Co mogłam wtedy zrobić? Uprzeć się i siedzieć w pracowni za każdym razem, kiedy Jennifer zdejmowała z siebie ciuchy? Zadzwonić do jej dot.com chłopaka i zażądać, żeby oderwał oczy od komputera i skierował je na swoją rozlazłą panienkę, kiedy rozwała się nago przed moim realnym, z krwi i kości mężczyzną?

Czy powinnam była spytać Richarda, dlaczego praca z naj-nowszą modelką zajmuje mu tyle czasu? Najdroższe portrety były dla niego kwestią tygodni. Sesje z Jennifer trwały trzy miesiące do chwili, gdy ze mną skończył.

Tak czy owak, czy byłam w stanie uchronić go przed zakochaniem się, nawet gdybym zdała sobie sprawę, co się dzieje? Może gdybym wpadła na to, że uczucia Richarda zaczynają się kierować w inną stronę, zdołałabym wprowadzić w siebie jakieś zmiany i uwieść go na nowo? Zrzucić parę kilo? Zmienić fryzurę? Przeczytać podręcznik Kamasutry?

- Nic by to nie zmieniło - zapewniła mnie Seema, kiedy spytałam ją, czy to rozmiary mojego tyłka przechyliły szalę na korzyść Jennifer. - Kiedy facet dostaje świra na punkcie ferrari, nie zadowoli go stary datsun, choćby miał nowy lakier. Przestań się biczować, że mogłaś zrobić to czy tamto, Lizzie. Jak by to nie była Jennifer, to by była kolejna dziewczyna, która by mu pozowała. Albo jeszcze następna... W ogóle nie chodzi o ciebie. Ani o inne dziewczyny. Chodzi o stan jego umysłu.

Ale co go zmieniło: z Richarda, który mnie kochał, w Richarda, który mnie nie kochał? Był za młody, żeby przechodzić kryzys połowy życia. I zawsze był taki dumny z faktu, że jego samoocena zbudowana jest na tym, jak maluje, a nie kogo maluje...

Nie byłam zupełną idiotką, jeśli chodzi o miłość. Nie należałam do dziewczyn, które myślą, że jak skończą dwadzieścia jeden lat, spotkają mężczyznę swoich marzeń, wyjdą za niego i od tej pory będą zwolnione z jakiegokolwiek odpowiedzialności. Moja miłość do Richarda rozwijała się stopniowo. Nie była to miłość przelotna. Nie bazowała na zalotnym kosmyku włosów, seksownym uśmiechu czy zgrabnym tyłku. Wyrosła z coraz wyraźniejszego uświadamiania sobie, że oto jest ktoś, kto ma takie samo poczucie humoru jak ja. Ktoś, kto nie krzywi się na moje śmiałe marzenia, by zostać aktorką, tylko służy radą i wsparciem. Ktoś, kto patrzy na mnie tak, jakbym nie miała cellulitu. Ktoś, kto mnie szanuje.

Myślałam, że tak samo było z nim.

Sporo czasu upłynęło, zanim powiedziałam Richardowi, że go kocham. Było to w Clapham Common latem 1998 roku. Byłam pewna, że wypowiedzam te słowa bezpiecznie. Znałam zbyt wiele mężczyzn i kobiet, którzy uważali, że powiedzenie komuś o swoim uczuciu to sygnał porażki, że ten, kto pierwszy kapituluje czy choćby przyznaje się, że czuje to samo, gdy druga osoba wypowiedziała słowa miłości, przegrywa w miłosnej grze.

Przypomniał mi się mój dawny kolega z pracy, Rupert - który, nawiasem mówiąc, był agentem nieruchomości i w żadnym razie nie należało mu zanadto ufać w sprawach uczuć czy moralności. Powiedział mi kiedyś, że w momencie, gdy dziewczyna mówi mu, że go kocha - a wyglądało na to, że co tydzień mówi mu to kolejna - ma sprawę z głowy.

- Momentalnie tracę dla niej zainteresowanie - powiedział. -Taki już los człowieka - zawsze chcesz czegoś, co ci się wydaje

nieosiągalne. Zawsze musisz być na polowaniu. Co za przyjemność, kiedy zwierzyna sama wchodzi ci w ręce?

Dla romantycznego filozofa Ruperta miłość to było puste, chore uczucie, które przeżywamy w momencie, gdy wykręcamy czyjś numer inie jesteśmy pewni, czy podniesie słuchawkę. Kiedy wiemy że jeśli nie odbiera, to znaczy, że może być w tym czasie z kimś innym... Richard wiedział, że jeśli ja nie odbieram, to znaczy że czyszcze kuchenkę albo szoruję łazienkę, a me ze uprawiam na kanapie zapasy z mleczarzem. Nie miał powodów do obaw.

A brak obaw prowadzi do samozadowolenia. A samozadowolenie prowadzi do nudy. A nuda prowadzi do kogoś innego.

Kiedy powiedziałam Richardowi, że go kocham, myślałam, że znalazłam tego jednego jedyne go mężczyznę w Londynie, który traktuje miłość jak dar, a nie jak przynętę w pułapce zobowiązania. Ale Richard okazał się taki sam jak cała reszta. Dokładnie taki sam.

No więc byłam z powrotem w Solihull. Tyle że tym razem było jeszcze gorzej, ponieważ nie pozostał mi nawet cień nadziei. Choć od naszego rozstania codziennie zadreślałam się myślą, że Richard może być z kimś innym, to teraz, kiedy mogłam wyobrazić sobie tego kogoś z detalami, ból był dziesięć razy większy.

Próbowałam się jakoś rozerwać. Oglądałam w kółko opery mydlane, aż do kompletnego wyjałowienia mózgu. A mimo to nie mogłam wyrzucić z głowy obrazu kształtnego ciała Richarda na ciele Jennifer. Za każdym razem, gdy na ekranie pojawiała się kobieta o długich prostych blond włosach, zmieniałam kanał, ale było to możliwe, dopóki byłam w domu sama. Wieczorem leciał ulubiony serial mamy, *Coronation Street*, a ona by tego nie zniosła.

Wciąż prawie nie jadłam. Z trudem wstawałam rano z łózka. Właściwie to przestałam wstawać w ogóle. Leżałam w zaciemnionym pokoju, dopóki nie usłyszałam samochodu mamy, kiedy wracała z pracy. Wtedy wyskakiwałam z łózka i wrzucałam na siebie ubranie, udając, że cały dzień jestem na nogach. Nie wiem, czy kiedykolwiek w to wierzyła. .

Mój jedyny kontakt ze światem zewnętrznym to były długie analityczne rozmowy telefoniczne z każdym, kogo udało mi się złapać na drucie. Kiedyś, gdy Seema poszła na spotkanie, a Mary

wciąż była w podróży poślubnej, zmusiłam nieszczęsnego pracownika telesondażu, żeby wysłuchał z detalami mojej historii z Richardem od pierwszego przytulenia aż do gorzkiego rozstania. Nawet w telefonie zaufania zaczęli mówić takim tonem, jakby me mogli się już doczekać, żeby przełączyć się na rozmowę z ciekawszym kandydatem na samobójcę

Zacząłam chodzić do łóżka zaraz po serialu *Sąsiedzi*.

Moje życie było skończone.

6

Moja rodzina i znajomi byliby w pełni usprawiedliwieni, gdyby postawili na mnie krzyżyk. W miesiąc od rozstania obudziła mnie jednak o siódmej wieczorej ożywiona rozmowa, tocząca się w pokoju pod moją sypialnią. Byłam pewna, że rodzice starają się mówić jak najciszej, ale dom z lat sześćdziesiątych, w którym mieszkaliśmy, przewodził dźwięki równie doskonale-co galeria w katedrze Św. Pawła, i słyszałam każde słowo.

- Nie wiem, co robić - powiedziała w desperacji matka. - Gaśnie w oczach.

- Można by sądzić, że do tej pory powinna się już z tego otrząsnąć - powiedział jakiś inny głos.

- No właśnie... Ale ona twierdzi, że nadal go kocha. Nawet teraz, kiedy wiadomo, że jest z tą modelką.

- Zawsze uważałem, że on nie jest dość dobry dla mojej małej dziewczynki - to mój ojciec.

- No cóż, zawsze miała skłonność do lekkoduchów - rzekł tajemniczy nieznajomy. - Uważała, że chłopcy stąd, z Solihull, są dla niej za mało dobrzy, i wołała zadawać się z tymi ćpunami z Londynu.

- Chyba nie myślisz, że Richard brał narkotyki? - spytała matka spanikowanym szeptem.

- Oni tam wszyscy biorą, mamo.

Teraz już wiedziałam dokładnie, do kogo należy tajemniczy głos... To był mój brat bliźniak, Colin, który ostatni raz odwiedził Londyn w roku 1995. Szukając Muzeum Historii Naturalnej, natknął się wtedy w Hyde Parku na gejowską demonstrację i został

obmacany przez prawie dwumetrowego robotnika budowlanego w ślubnej sukni. Odtąd był przekonany, że Londyn to nic innego, tylko siedlisko rozpusty.

- Nie mów tak, Colinie... Martwisz mnie - powiedziała mama.

- I masz powód, żeby się martwić, mamó - odparł uczenie Colin. - Londyn to nie Solihull, sama wiesz.

Istotnie. Londyn różnił się od Solihull bardziej niż szampan od wody z kranu. I właśnie dlatego ja wybrałam ucieczkę z okolic Birmingham do stolicy, a Colin utknął na tym rozpaczliwym zadupiu, czy li w naszym rodzinnym mieście. Wolał kranówkę od evian.

Colin odziedziczył wszystkie geny rozsądku, jakie istniały w mojej rodzinie, a w każdym razie tak zwykł mawiać. Skończył college w Solihull, podjął pracę w Solihull, ożenił się z dziewczyną z Solihull i zmierzał do zajęcia działki na cmentarzu w Solihull za jakieś, powiedzmy, sześćdziesiąt lat, jeśli wszystko ułoży się zgodnie z jego opracowanym z dokładnością co do minuty rozkładem jazdy.

Moje stosunki z Colinem zaprzeczały wynikom wszelkich badań nad bliźniakami, jakie prowadzono w ciągu ostatnich dwustu lat. Wyglądaliśmy inaczej, mówiliśmy inaczej, myśleliśmy inaczej ... Nasze punkty widzenia były zawsze całkowicie odmienne. Ja głosowałam na partię Zielonych, on na konserwatystów. Ja czytałam „OK.” i „Hello”, on „Telegraph”. On uważał, że jestem nieodpowiedzialna, ja - że zestarzał się przed czasem. A teraz najwyraźniej uważał, że skoro ma uporządkowane własne życie, może zacząć porządkować moje.

- Oni nie mają żadnego poczucia odpowiedzialności, ci artyści - ciągnął Colin wszystkowiedzącym tonem. - W jednej chwili szaleje taki za dziewczyną, a w następnej już szuka nowej muzy. Szuka nowej muzy! - parsknął. - To po prostu inne określenie na rozpustę, jakby ktoś chciał znać moje zdanie.

- Myślałam, że któregoś dnia się z nią ożeni - powiedziała matka.

- Po tym, jak z nim zamieszkała? - prychnął Colin. - Mało prawdopodobne, mamó. Po co kupować krowę, kiedy ma się mleko za darmo?

- No właśnie... Zawsze uważałam, że to błąd mieszkać z kimś przed ślubem - dodała Sally. Łzawa Sally, ukochana żona mojego brata, która ostatnio zrezygnowała w pracy z awansu, jaki jej proponowano, żeby mogła lepiej skoncentrować się na przyjmowaniu

kwasy foliowego, zanim zaczną się starać o dziecko. Weźcie przy tym pod uwagę, że tak naprawdę zamierzali się wcielić w radosne role rodziców dopiero za co najmniej trzy lata.

- Po co się wtedy wiązać? - ciągnęła. - Jeżeli ludzie się wcześniej nie pobiorą, bardzo łatwo jest odejść w momencie, gdy któraś ze stron się znudzi.

- No i co my mamy z nią zrobić, Colinie? - spytała matka. - Żeby ona była choć trochę podobna do ciebie... O ciebie nigdy nie musiałam się martwić. Wiedziałam że wrócisz pod dach rodziców, mając prawie trzydzieści lat. Wszystko miało być uporządkowane, jak tylko skończyła szkołę. Hipoteka, małżeństwo, praca... Ale nie nasza Lizzie. Czasem mi się wydaje, że ona wciąż jest nastolatką...

- Nie martw się, mamo. Spróbuję jej pomóc - rzekł Colin. - Pogadam z niajak brat z siostrą.

Jak brat? O nie, dość tego. Wybiegłam z sypialni, pchnęłam drzwi salonu i stanęłam w nich w nocnej koszuli. Wszyscy w pokoju odwrócili się w moją stronę, jakbym była duchem Banka na wieczorze u matki Abigail.

- Nie mogę spać - wyjaśniłam.

- O, cześć, Lizzie - powiedziała Sally, najwyraźniej wciąż wzburzona. - Właśnie mówiliśmy, jak przyjemnie wygląda ogród o tej porze roku.

- Czyżby? - spytałam beznamiętnie.

- Róże naprawdę się udały, nie sądzisz? - spojrzała na Colina w nadziei, że się z nią zgodzi i rozproszy rosnące napięcie.

- Przestań z tym ogrodem, Sally - przerwał jej Colin. - Lizzie wie, po co się tu dziś zebraliśmy, i wie, że nie chodzi o mszyce.

- Wsadzicie mnie w kaftan bezpieczeństwa? - spytałam z ironią.

- Przydałoby ci się - powiedział. - Ja z pewnością byłbym za. Ale mama i ojciec nie chcą tego. Chcą tylko wiedzieć, kiedy znowu zamierzasz zacząć żyć.

- Nigdy - odparłam. - Już jestem emocjonalnie martwa.

- To by szalenie ubawiło twoich londyńskich znajomych, jestem pewien - zauważył Colin. - Ale mnie nie interesuje twoje żalosalne rozczulanie się nad sobą. Chcę wiedzieć, kiedy konkretnie zamierzasz wrócić do pracy. Nie możesz bez końca być na utrzymaniu rodziców.

- Mogę wspomnieć o tobie w kadrach w mojej firmie - wtrąciła szybko Sally. - Masz spore doświadczenie w pracy biurowej, prawda, Lizzie? I piszesz na komputerze, tak? Ile znaków na minutę?

- Nie chcę pracować w twojej firmie - uciełam. - Prędzej umrę, niż będę pracować w jakimkolwiek biurze w Solihull.

- Przestań być taka niewdzięczna - warknął Colin. - Sally stara ci się tylko pomóc. Tak samo jak my wszyscy.

- Wiem, że chce mi pomóc... Aleja nie mogę pracować w biurze. Nie mogę mieszkać dalej z rodzicami i nie mogę szukać pracy w Solihull.

- A co możesz w takim razie? - spytał Colin.

- Skończyłam szkołę aktorską. Mam swój sen.

- Martin Luther King też miał, i zobacz, co się z nim stało -parsknął Colin.

- Zastrzelili go - przypomniała mi Sally, na wypadek gdybym nie wiedziała.

- Ale przedtem coś niecoś udało mu się zmienić. Zanim go zastrzelili, zainspirował miliony ludzi, żeby starali się zmienić ten świat na lepszy.

- Wypisz wymaluj Linda McCartney - zauważył Colin. - Wegetarianizm. Pokój światu. Co jeszcze?

- Aktorstwo - powiedziałam sarkastycznie. - Które jest moim wyuczonym zawodem, na wypadek jakbyś zapomniał.

- Robienie głupich min? Kiedy ty zdołasz zarobić w ten sposób na życie?

- Niedługo. - Po czym lekkomyślnie dodałam: - Dostanę pracę jako aktorka, zanim skończy się ten rok. Zobaczysz.

- O tak - zaśmiał się mój brat. - A ja zostanę wysłany z kolejną wyprawą na księżyc. Kto cię zatrudni jako aktorkę, Lizzie Jordan? Obijałaś się po Londynie przez prawie rok, odkąd skończyłaś tę fircy-kowatą szkołę aktorską i nawet ani razu nie byłaś na przesłuchaniu.

- Byłam. Do roli dorastającej córki w reklamie Bisto. Doszłam do finału.

- Ale nie dorwałaś się dzięki temu do koryta - dogryzł mi Colin.

- Wiem - powiedziałam, zaciskając pięści, żeby nie walnąć go w twarz. - Być może dzięki temu uświadomiłam sobie, że Londyn to nie jest właściwe miejsce dla mojego talentu.

- No, przynajmniej widzisz w tym jakiś sens - zaczął Colin, ale zanim zdołał ponownie wspomnieć o Solihull, przerwałam mu:

- I właśnie dlatego jadę do Los Angeles.

Cztery szczęki opadły jak na komendę.

Prawdę mówiąc, sama nie wiedziałam zbyt dobrze, skąd mi to nagle przyszło do głowy. Mama, tato, Colin i Sally wpatrywali się we mnie bez słowa. W pokoju było tak cicho, że słyszałam, jak moje własne serce tłucze się o żebra.

- Los Angeles - wykrztusiła wreszcie Sally, tak jakbym tylko co powiedziała, że za chwilę wsiadam na mojego białego wierzchowca i jadę odkrywać Avalon. - Chyba nie masz na myśli tego, że wybierasz się do Ameryki, Lizzie, prawda?

- Ależ tak. Do Ameryki. Oczywiście, że mam na myśli Amerykę. Jadę do Hollywood.

- Niby po co? - spytał szorstko mój brat. Dobre pytanie... Ale skądś znałam odpowiedź.

- Żeby robić to, co powinnam robić od dnia, w którym dostałam dyplom - powiedziałam bez namysłu. - Zamierzam pojechać tam i dostać rolę w filmie. Colin zdołał odzyskać kontrolę nad własną szczęką.

- I kiedyż to przyszedł ci do głowy ten olśniewający pomysł? - parsknął tonem, który świadczył jednoznacznie, że uważa pomysł za równie olśniewający, co zużyty fajerwerk w tydzień po Nowym Roku.

- Myślę o tym od dłuższego czasu - powiedziałam śmiało. Choć tak naprawdę nie myślałam w ogóle... Właściwie to pomysł wpadł mi do głowy nagle, kiedy Colin zaczął mi wciskać ten kit o powrocie do zdrowego rozsądku. Wcześniej nie czułam najmniejszej ochoty, żeby jechać do Kalifornii. A raczej nigdy nie miałabym odwagi, żeby na serio brać pod uwagę taką opcję. Miałam raczej mglistą nadzieję, że wyląduję tam w sposób naturalny, zagrawszy uprzednio w paru znaczących filmach brytyjskich. Ale gotowa byłam pojechać choćby w strefę działań wojennych, jeśli tylko mogłam wyprowadzić w ten sposób z równowagi mojego brata. Oczywiście, że pojedę do Los Angeles, by udowodnić mu, że się myli, co do realności moich ambicji.

- I jak zamierzasz sobie radzić, kiedy się tam znajdziesz? - spytał tata. - Gdzie będziesz mieszkać, Lizzie? Nie znasz w Ameryce nikogo poza Brianem Corenem, a on mieszka w Nowym Jorku.

- On już nie jest jedyną osobą, jaką znam w Ameryce - oświadczyłam z dumą. - Będę mieszkać u Grubego Joego w Venice Beach. Ma dom o trzy przecznice od plaży i szuka współlokatora.

Akurat to było prawdą. Seema stale aktualizowała wiadomości, jeśli chodzi o postmałżeńskie życie Grubego Joego, które było katastrofą jedynie w nieznacznie mniejszym stopniu niż moje.

- Mieszka już u niego jedna aktorka, która pozna mnie z różnymi wpływowymi osobami - dodałam dla efektu, nie mając pojęcia, czy ten kawałek ma coś wspólnego z prawdą, czy nie.

- Ale ty przecież nie lubiłaś Grubego Joego - powiedziała Sally. - Czy to nie ten, po którym dziwnie śmierdziało w łazience?

- Po nim dziwnie śmierdziało w całym domu - uzupełnił mój brat.

- Zmienił się - powiedziałam.

- Mam nadzieję - westchnęła Sally.

- Wygląda na to, że masz to wszystko przemyślane - powiedziała słabo mama. Na szczęście wciąż była zbyt zaszokowana, by protestować.

- No cóż, ja uważam, że to głupi pomysł - rzekł brat. On nigdy nie był zbyt skłonny do protestu. - Lecieć przez pół świata, żeby zamieszkać z tym przegranym świrem? To się fatalnie skończy, zobaczysz. Nie licz, że będziemy cię znowu hołubić, kiedy przekonasz się, że ulice Krainy Snów nie są wybrukowane złotem.

- Możesz się nie obawiać - zapewniłam go. - Tak samo jak możesz nie liczyć na to, że cię zaproszę, żebyś mi towarzyszył na ceremonii wręczenia Oscarów.

- Oscarów? A co ty będziesz tam robiła? - zaśmiał się Colin. - Odkurzała czerwony dywan?

Zesztywniałam. I choć nadal byłam w nocnej koszuli - nocnej koszuli z Myszka Miki, którą nosiłam od prawie tygodnia - miałam nadzieję, że wyglądam odpowiednio onieśmielająco, kiedy wyprostowałam się na całe moje sto siedemdziesiąt centymetrów i wycedziłam przez zaciśnięte szczęki:

- Nie obchodzą mnie twoje prognozy i twoje opinie, Colinie. To jest właśnie to, co zamierzam zrobić, z twoim poparciem czy bez. Jadę do Hollywood, jak tylko się zbiorę, i zamierzam zrobić karierę jako aktor. Obojętne co się zdarzy, obojętne co o mnie myślisz, nie zamierzam siedzieć w Solihull i gnić!

Solihull i gnicie. Ta kombinacja słów była gwarancją, że mój brat dostanie szału. Szczeka Colina zesztywniała, podobnie jak moja, gdy szukał odpowiednio ciętej repliki. Uprzedziła go Sally.

- No, czy to nie cudowne?! - zawołała, klasnąwszy w dłonie, by zaakcentować koniec kłótni. - Miejmy nadzieję, że ci się uda, Lizzie. Czy ktoś ma ochotę na jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Awiecz stało się. Zaanonsowałam w obecności mojego brata Colina zamiar wyjazdu do Los Angeles. Jeśli nie pojedę teraz do Krainy Snów, docinkom i złośliwościom nie będzie końca. Dopóki jedno z nas nie umrze.

Ale czy mój naprędce skomponowany plan ucieczki istotnie był realny? Kiedy Sally i Colin pojechali w końcu do siebie - Colin, zawracając swoim rozsądnym samochodem na podjeździe przed domem rodziców, wciąż rozwodził się głośno nad moją głupotą, a bieg wrzucił tak gwałtownie, że mało nie złamał dźwigni - przez pół godziny gryzłam paznokcie, zanim zebrałam się w końcu na odwagę, żeby wybrać numer Grubego Joego. No dobrze, tak naprawdę najpierw zadzwoniłam do Seemy. Właściwie dlaczego Gruby Joe miałby chcieć użyczyć mi swojego domu? Nie miałam z nim żadnego kontaktu, odkąd prawie dwa lata temu wyjechał z Anglii, żeby poślubić Wenus. Wiedziałam to i owo o jego życiu tylko dzięki Seemie, która była zapamiętałą plotkarą i podtrzymywała kontakt ze wszystkimi, od jej amerykańskich przyjaciół z college'u do odjechanego poety z Iraku, który siedział obok niej w National Express i przez całą drogę z Londynu do Leeds, w przerwach między jednym a drugim sonetem, wycierał palcem nos.

- Nigdy nie wiadomo, kto ci się przyda w krytycznym momencie - argumentowała, gdy zwracałam uwagę, że jej notes pełen jest numerów ludzi, przed którymi musi się stale ukrywać. Wiedziałam, że Gruby Joe, który pracował jako programista w Ohio, udzielił jej jakiejś sekretnej rady co do firm software, na które należy mieć oko, ale nie sądziłam, by szalony poeta był w stanie wynaleźć nowe szaleństwo, które zastąpiłoby pokemony. Seema zwała swoje niezamordowane dążenie do nawiązywania i podtrzymywania kontaktów również na to, że jest zodiakalnym Bliźniakiem. „Kontakt z innymi to nasza *raison d'etre*” - mawiała. Ta dziewczyna była dziwną mieszkanką twardegłowej kobiety biznesu z dyplomem magistra i nieszkodliwej wariatki.

- No to zadzwoń do Joego - powiedziała w typowym dla Bliźniaka stylu. - Jestem pewna, że się ucieszy.

* *Raison d'etre* (franc.) - racja bytu (przyp. red.).

- Myślisz, że zgodzi się, żebym u niego zamieszkała? - spytałam.

- Jasne. Przecież szuka jeszcze jednego współlokatora.

- Myślisz, że już mu przeszło po tym, jak spaliłam w ogrodzie wszystkie jego skarpetki?

- Po prostu o tym nie wspominaj - roześmiała się Seema.

- Myślisz, że wciąż nosi przez trzy tygodnie te same skarpetki?

- Słuchaj - powiedziała Seema - obie wiemy, że to mało prawdopodobne, żeby Gruby Joe zmienił się w arbitra elegancji, odkąd widziałyśmy go ostatni raz. Pewnie nadal uważa, że odkurzanie i pranie pozbawia człowieka energii *chi*. Ale jeśli szukasz miejsca, w którym mogłabyś się zatrzymać za friko, to powinnaś moim zdaniem pamiętać, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. W każdym razie mieszka we właściwym mieście.

- Masz rację.

- No i prawdopodobnie Wenus nauczyła go jednak tego i owego, jeśli chodzi o porządek - dodała z nadzieją.

- A jak myślisz, dlaczego się z nim rozwiodła? - spytałam znacząco.

- Może nie zakrecał pasty do zębów?

- A może odkryła, że w ogóle nie używa pasty, bo może być zatruta przez agentów FBI?

- Wyjście jest kiepskie, ale jedyne, jakie masz - zaakcentowała Seema. Miała rację... Ale gdy powiedziała to tak otwarcie, nie mogłam nie wrócić myślą do momentu, kiedy miałam inne wyjścia. Gdy Richard zaproponował mi, żebym wyprowadziła się z mieszkania, które dzieliłam z Seemą Joem, i zamieszkała z nim, byłam radośnie podniecona. Wynosząc moje doczesne dobra z Balham Hilton (który sprawiał wrażenie, jakby znajdował się w Bangkoku, a nie w Londynie), miałam wrażenie, że wzniosłam się na kolejny poziom w grze zwanej życiem. Spójrzmy prawdzie w oczy - wspólnie wynajmowane mieszkanie jest raczej antytezą tego, co można by uważać za komunistyczny ideał. Jedyłą naprawdę wspólną rzeczą jest adres. Wewnątrz domu każde z nas miało swoją własną kuchenną szafkę i swoją własną butelkę odtłuszczonego mleka w lodówce. Niezidentyfikowane pozycje na miesięcznym wydruku rozmów telefonicznych mogły zwiastować początek wojny... Ale teraz nie byłam już współlokatorką. Byłam współmieszkanką.

- Nigdy więcej - powiedziałam, kiedy Richard wiózł nas do świeżo kupionego mieszkania w Tufnell Park.

- Nigdy więcej - zgodził się.

Ale nigdy nie należy mówić „nigdy”, prawda? No więc zadzwoniłam do Grubego Joego. Nie sprawiał bynajmniej wrażenia zaskoczonego moim telefonem. Nie powiedział mrukliwie, tak jak mogłabym się spodziewać: „Nie dzwoniłaś od lat. Pewnie czegoś ode mnie chcesz”. Powiedział po prostu, że bardzo mu miło mnie słyszeć.

- Zmienił ci się akcent - powiedziałam. Bo się zmienił. Kiedyś Joe mówił jak Benny z *Crossroad*; teraz przypominał Jaya Leno dla ubogich.

- Nie jest to jedyna rzecz, jaka się u mnie zmieniła - zapewnił mnie Joe swoim nowym środkowoatlantyckim akcentem.

- No jasne - powiedziałam. - Teraz jesteś obywatelem amerykańskim.

- Jestem Yankee Doodle Dandy, *all right* - odparł cokolwiek deprimująco.

- No to fajnie. Słuchaj, Joe... czy Seema mówiła ci o mojej sytuacji?

- Tak, wiem, że Richard cię rzucił - powiedział. - To okropne, Lizzie. Naprawdę bardzo ci współczuję.

Zaśmiałam się nerwowo. On mi współczuje? Gruby Joe, którego znałam, nie mówił o uczuciach. W jego przypadku emocje zostały niemal całkowicie zastąpione przez znaki używane w e-mailach. Pod koniec naszego wspólnego mieszkania w Balham, kiedy chciał wyrazić rozczarowanie, naprawdę rysował znak cudzysłowu i lewy nawias, zamiast zawracać sobie głowę zmarszczeniem brwi.

- Pamiętaj, Lizzie, że jesteśmy z tobą - powiedział teraz. - Jesteś dobrą miłą dziewczyną. Zaslugujesz na coś więcej, niż wylądowanie u boku faceta, który ma tyle wersji.

Wersji?

- Dzięki, Joe - to wszystko, co byłam w stanie powiedzieć.

- To co, przyjeżdżasz i zamieszkasz u mnie? - spytał grzecznie.

- Chciałabym. Czy mogę do ciebie zadzwonić, jak już będę wiedziała, kiedy mam samolot?

- Dzwon, kiedy zechcesz. Kiedy tylko masz ochotę. Fajnie jest pogadać, wiesz.

- Jasne. No to cześć.

Fajnie jest pogadać? Wyglądało na to, że Gruby Joe nie jest już emocjonalnie niedorozwiniętym agorafobem. Co było ulgą. No i miałam się gdzie zatrzymać! Powinnam wpaść w ekstazę. Ale kiedy odłożyłam słuchawkę, puchowa kulka ekscytacji, jaką czułam w żołądku przed rozpoczęciem rozmowy, urosła nagle i zmieniła się w pokrytego zrogowaciałą skórą potwora strachu. Zanim zadzwoniłam, Los Angeles było po prostu ekscentrycznym pomysłem, mającym na celu wyprowadzenie z równowagi mojego brata. Teraz, kiedy przybrał on postać realnej możliwości, z obietnicą dachu nad głową, nie byłam pewna, co robić. Zadzwoniłam do Mary. Tak czy owak, należało wpaść do niej i obejrzeć zdjęcia z podróży poślubnej.

- Potrzebuję twojej rady co do Los Angeles - powiedziałam.

- Jedź - odrzekła po prostu.

- Potrzebne mi są nieco bardziej szczegółowe rady niż „jedź”. Nazajutrz wyruszyłam z Solihull do Londynu, żeby spędzić

popołudnie ze świeżo upieczonymi małżonkami. Kiedy przyjechałam, Bill wieszał półki. Wieszał półki! Wyglądało na to, że wiele wody upłynęło od czasu, gdy jedynym ujściem dla manualnej kreatywności Billa było robienie nargili z pustych butelek po evian.

- Będziesz musiał je znowu zdjąć - mruknęła Mary, oceniając jego dzieło. - Trzeba będzie przebić tę ścianę, żeby trochę powiększyć kuchnię.

- Nie wierzę, że to twoje życie - powiedziałam. - Mąż. Mieszkanie w bliźniaku. Przebijanie kuchennej ściany. To fascynujące.

- Fascynujące? - zaśmiała się Mary. - Chyba żartujesz. Fascynujące to jest polecieć do Los Angeles, kiedy ci się zamarzy. Przehandluję ci mojego małżonka za taką możliwość.

- I za możliwość zamieszkania z Grubym Joem? - spytałam.

- Hm...

Zostawiłyśmy Billa zajętego rozwalaniem domu i pojechałyśmy do Knightsbridge. Mary chciała kupić sobie cukierniczkę od HarveyaNicholsa, która była na ślubnej liście prezentów, ale nikt się jakoś na nią nie zdecydował. Kiedy cukiernica została znaleziona, poszłyśmy do kawiarni i tam opowiedziałam Mary o moim naprędce opracowanym planie.

- Brzmi świetnie - powiedziała. - Spędzić lato w domku na plaży...

- W domku Grubego Joego - uściśliłam. - Nie sądzisz, że to głupi pomysł?

- Zostać w Solihull to by dopiero był głupi pomysł - powiedziała Mary.

- Aleja nie mam ochoty jechać - przyznałam się. - Chcę żyć tak jak dawniej. Tu, w Londynie.

- Co? Spędzać po parę godzin dziennie w metrze i tyrać jako pomoc biurowa?

- Nie... Chcę wrócić do Richarda.

- Lizzie, on ma kogoś innego - powiedziała Mary rozsądnie i z nieco więcej niż lekkim znużeniem. - Musisz iść naprzód.

- Chciałabym... Ale nie mogę. Ilekroć myślę o przyszłości, czuję strach, że już nigdy więcej nie będę szczęśliwa. Nigdy nie spotkam kogoś takiego jak on. Jestem skazana na samotność do końca mojego życia.

- Bzdury - orzekła Mary. - W Stanach będziesz kłaść facetów pokotem. No i w każdym razie byłeś w związku, który trwał dłużej niż miesiąc. Niektóre dziewczyny w naszym wieku i tego nie mają... Przynajmniej wiesz, że to potrafisz. To znaczy funkcjonować w związku. Czy nie lepiej kochać i przegrać, niż nigdy...

- Przestań w tej chwili - przerwałam jej. - Jeśli jeszcze jedna osoba powie mi coś takiego, to dam słowo, że złapię za nóż i poderżnę jej gardło.

I podniosłam łyżeczkę, żeby to zademonstrować. Lepiej kochać i przegrać? To nie miało najmniejszego sensu. Nie potrafiłam patrzeć na mój związek z Richardem i pocieszać się myślą, że kiedyś tam, dawno temu, byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Wspomnienia dobrych czasów? To właśnie było najgorsze. To bolało najbardziej.

- Wiesz co? - powiedziałam. - Jest inny tekst, który moim zdaniem o wiele lepiej pasuje do okoliczności. Nie pamiętam, czy powiedział to Auden czy Waugh, ale leci to mniej więcej tak: „Miłość wspomina się jako coś innego, kiedy minęła”. I właśnie tak się czuję w tej chwili. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek naprawdę kochałam, czy nie. I, rzecz jasna, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek moja miłość była naprawdę odwzajemniona. Ludzie wciąż mi mówią, że powinnam na to patrzeć jak na coś w rodzaju żałoby, ale czasami wydaje mi się, że to znacznie gorsze niż żałoba. Naprawdę byłoby mi znacznie łatwiej to przyjąć, gdyby Richard umarł, bo wtedy mogłabym wspominać chwile, które przeżyliśmy razem, bez goryczy, że to on zdecydował o zakończeniu

związku. To Richard podjął decyzję, że już mnie nie chce. Jeśli ktoś umiera, to przynajmniej nie pozostawia cię z poczuciem, że nie tylko jesteś sama, ale w dodatku kompletnie bezwartościowa jako jednostka ludzka... Chciałabym, żeby on nie żył, Mary. Naprawdę. Być może powinnam była złapać za nóż i poderznąć mu gardło, kiedy jeszcze miałam sposobność?

- No tak. Zakupoterapia. - Mary wstała. - Powinnaś sobie kupić parę nowych gatek, żeby odwrócić uwagę od tych żałosnych idiotyzmów.

- Po co? Czy będą mi jeszcze kiedy potrzebne ładne gatki?

- Do licha ciężkiego, Liz - powiedziała Mary z irytacją. - Nie jesteś miss Havesham*! Obiecuję ci - i gotowa jestem założyć się

o cenę twojego lotu do Los Angeles - że nie minie więcej niż rok

i będziesz zadowolona, że rozstałaś się z tym cholernym idiotą. Słowo daję, któregoś dnia obudzisz się i uprzytomnisz sobie, że to była arogancka, świętoszkowata świnią bez krzty poczucia humoru, o czym wszyscy poza tobą wiedzieli od samego początku. Masz szczęście, że cię rzucił.

Znowu to samo.

- Naprawdę uważasz, że nie miał poczucia humoru?

- Ani źdźbła. Był dowcipny jak lewatywa.

- A ja byłam przekonana, że ma fantastyczne poczucie humoru.

- Byłaś też przekonana, że jest ci wierny - przypomniała mi Mary. Cios prosto w serce. - Teraz masz szansę zostawić za sobą całe to gówno i pojechać do Los Angeles. Los Angeles, Lizzie! Kalifornia! Miejsce, gdzie zawsze świeci słońce! Co cię tu trzyma, na litość boską?

Wyszliśmy tymczasem na Sloane Street. Padało. Mary zawróciła i pociągnęła mnie do sklepu ze szminkami, żeby poczekać, aż przestanie. Wzięła do ręki jedną z próbek, perłoworóżową. Nazywała się Los Angeles.

- Omen? - zasugerowała.

Ta, którą ja wzięłam, miała napis „Londyn”.

- Popatrz tylko - podjęła Mary. - Jeden ze znajomych oferuje ci miejsce, gdzie możesz się zatrzymać. Ja z chęcią pożyczę ci pieniądze na podróż i dam listę wszystkich osób, które tam znam.

*** Jedna z bohaterek *Wielkich nadziei* Dickensa. Po tym, jak narzeczony porzucił ją dla innej, zwariowała i przez całe życie trwała w żałobie (przyp. red.).**

A twoim jedynym zmartwieniem jest to, że Richardowi może się odmienić i zechce do ciebie wrócić. Po pierwsze szansa, że mu się odmieni i da kosza tej lalce Barbie, żeby wrócić do starego modelu, jest nieco mniejsza niż to, że walnie w ciebie piorun. A po drugie, jeśli uzna, że chce znowu być z tobą, to przecież też może, kurczę blade, wsiąść do samolotu i cię poszukać, no nie? To on się wtedy powinien wysilić, nie ty.

Zamrugałam, żeby powstrzymać łzy.

- Och, Lizzie. Jedź, jedź. jedź - wzięła mnie za rękę i mocno je ucisnęła. - Będzie mi cię brakowało jak cholera, ale wiem, że to dla twojego dobra. Zobaczysz, że będziesz szczęśliwa... Nie ma żadnego powodu, żebyś zostawała w Londynie.

Dokładnie ani jednego.

Miała rację. Co tak naprawdę zostawiłabym za sobą, wyjeżdżając? Nie miałam kochanka, nie miałam pracy, nie miałam własnego mieszkania. Alternatywą było mieszkanie dalej z rodzicami i gnicie w Solihull. Albo jeżdżenie tam i z powrotem do Londynu na kolejne beznadziejne rozmowy w sprawie pracy i zaczepianie się od czasu do czasu w jakimś biurze bez klimatyzacji i okien. Dodajmy do tego torturę poszukiwania nowego mieszkania do wynajęcia, z dość wysokim prawdopodobieństwem, że ktoś, kto się zgodzi, żebym z nim zamieszkała, będzie odjechany jeszcze bardziej niż Gruby Joe... Co za porównanie wobec możliwości spędzenia co najmniej trzech miesięcy w słońcu, w domu położonym o trzy przecznice od plaży? Trzy przecznice od plaży! A nie trzy godziny od najbliższego błotka pozostałego po odpływie, który to dystans dzielił Solihull od Weston-super-Mare.

Nawet jeśli znowu musiałabym mieszkać z Grubym Joem, i tak odpowiedź była oczywista. Zupełnie jak na pierwsze pytanie w *Milionerach*. Jeśli nie dam sobie rady z tym jednym...

- Powinnam to zrobić, no nie? - przyznałam w końcu.

- Hurraa! - wykrzyknęła Mary, wyrzucając w górę rękę. - Zobaczyłaś światło w tunelu. Idziemy do biura podróży. Dalej, szybko, zanim ci się odmieni.

Kiedy powiedziałam o moich planach każdemu, kogo to mogło obchodzić, wszyscy jak jeden mąż odnieśli się do nich z aprobatą. A jednak muszę wyznać, że nawet kiedy już miałam bilet w kieszeni, nie myślałam, że naprawdę wyjadę.

Wciąż wierzyłam, że Richard mnie powstrzyma. Przekonywałam siebie samą, że pocztą pantoflową dowiedział się, iż mam zamiar opuścić kraj. i przestraszył się, że może mnie stracić na zawsze. Dopóki myślał, że mam zamiar dokonać swoich dni w Solihull, u rodziców, nie było szansy, żeby nagle znowu mnie zapragnął, ale wizja tego, jak lecę odrzutowcem prosto w słońce, ku miejscu, gdzie, jak zapewniała mnie narzeczona Briana, mój angielski akcent sprawi, że będę oganiać się przed adoratorami jak dziecko broniące lizaka przed rojem os... To z pewnością zmieni jego nastawienie.

Liczyłam, że Richard zachowa się jak klasyczny samiec - żaden widok nie działa na przeciętnego mężczyznę silniej niż widok kobiecych pleców. Uciekaj, a będzie cię gonił. Zatrzymaj się i krzyknij „łap mnie”, a puści się biegiem i schowa za ceglany murem lęku przed zobowiązaniami, który w cudowny sposób zmaterializował się nagle obok ciebie.

Ale, jak było mi wiadomo z czasów, gdy mieszkaliśmy razem, Richard nie był podobny do żadnego z mężczyzn, których kiedykolwiek znałam, i nie miał zamiaru podciągać się do stereotypu i teraz - nawet jeśli po raz pierwszy w życiu naprawdę mi na tym zależało.

Seema, wpadła na niego w jednym z modnych barów na Soho mniej więcej na tydzień przed moim wyjazdem i popełniła ten błąd, że zadzwoniła i powiedziała mi o tym. Nie był z Jennifer. Serce zabiło mi nadzieją - dopóki nie usłyszałam, że tylko dlatego, iż Jennifer była w Japonii na jakiejś superprestizowej imprezie dla modelek. Całkiem zaś straciło jakąkolwiek aerodynamikę, kiedy Seema dodała, iż jedyną reakcją Richarda na wiadomość, że wybieram się do Los Angeles, był komentarz: „Przynajmniej nie będzie siedzieć w Solihull”.

Przynajmniej nie będzie siedzieć w Solihull?

I to wszystko?

Nie zapytał, kiedy wyjeżdżam, ani na jak długo, ani dlaczego. Choć nawet nowy nieczuły Richard musiał się domyślać, że moja decyzja o ucieczce z Anglii musi mieć coś wspólnego z nim. Nie spytał, z kim mam zamiar mieszkać ani kto posiał w mojej głowie szalony pomysł emigracji. Nie spytał, czy nie poznałam przypadkiem amerykańskiego multimilionera playboya, który zamówił podróż pierwszą klasą, żebym mogła podróżować u jego boku. Powiedział tylko: „Przynajmniej nie będzie siedzieć w Solihull”,

po czym spytał Seeme, jak jej idzie świeżo założony internetowy biznes. Udało mi się już dotychczas ograniczyć płacz do jednego czy dwóch seansów dziennie, teraz jednak walnęłam nagle głową w kolejny mur rozpacz. „Czy to wszystko, co powiedział?” - pytałam Seemę wciąż i wciąż na nowo. W ciągu następnych dwóch dni zmusiłam ją, żeby opowiedziała mi ich przypadkowe spotkanie z najdrobniejszymi detalami, bezpośrednio i przez telefon co najmniej dziesięć razy.

- Jak wyglądał? Jaki miał wyraz twarzy? Czy chociaż raz nie drgnęły mu te jego idealnie wykrojone, stworzone do pocałunków usta w sposób, który sugerowałby, że nie jest zachwycony perspektywą mojego wyjazdu?

- Wyglądał dokładnie tak, jak kiedy mu opowiadałam o moim biznesplanie - powiedziała Seema. - Niespecjalnie zainteresowany. Po prostu uprzejmy. Przeżyłam wtedy swego rodzaju kryzys. Przypuszczam, że znacznie większa częśćka mnie, niż sobie wyobrażałam, miała nadzieję, iż Richard będzie próbował mnie zatrzymać. Skoro nadzieja została w końcu nieodwracalnie zniweczona przez doniesienia Seemy, ta część mnie musiała się uporać z nowym atakiem smutku. Dotąd potrafiłam referować moje plany z dziwną, beztroską brawurą, zrodzoną z przekonania, że tak naprawdę wcale nie będę musiała ich realizować; teraz na myśl o tym, że zegar nieubłaganie odmierza kolejne minuty dzielące mnie od wyjazdu przewracał mi się żołądek. To tyle, jeśli chodzi o moją ekscytującą zagraniczną przygodę. Równie dobrze mogłam siedzieć w celi śmierci.

Teoretycznie mogłam też zwrócić mój bilet lotniczy Bóg widzi, że chciałam...

Budziłam się w środku nocy, marząc, że tak się stało. Ale Mary i Bill zaplanowali już pożegnalną imprezę na moją czesc. Fantastyczny bal przebierańców w ich nowym małżeńskim gniazdku. „Na Zachód, dziewczę, na Zachód!” - głosił napis na wściekle różowych zaproszeniach, które zostały rozesłane do wszystkich moich znajomych. Kod ubraniowy to byli kowboje i Indianie. Alkohol - tequila albo bud. Ja utknęłam przy tequili. Pierwszą połowę pożegnalnego przyjęcia spędziłam na prowokowaniu wszystkich chętnych do współzawodnictwa na drinki, a drugą - z głową w misce klozetowej we własnoręcznie sporządzonym pióropuszu Pocahontas, zwisa-

jącym smętnie jak moje serce. Czułam się równie rozpaczliwie jak ktoś, kto dostał pozwolenie od świętego Piotra, by wrócić na ziemię i być świadkiem własnego zmartwychwstania - tylko po to, by się przekonać, że osoba, którą kochał najbardziej na świecie, nie raczyła się na nim pokazać.

Modliłam się o jakieś nieszczęście. Modliłam się o powszechny strajk kontrolerów lotu na Heathrow. Modliłam się o ofertę nie do odrzucenia z RSC, która pozwoliłaby mi zostać w Anglii bez utraty godności i kursować między Stratfordem i Solihull, dopóki nie będę dostatecznie silna, żeby zmierzyć się z większym wyzwaniem.

Kiedy cały gang pod przewodnictwem Mary śpiewał na moją cześć *Leaving on a Jet Plane*, miałam chęć wrzasnąć: „Jeszcze nie! Jeszcze nie jestem gotowa!”.

Zostałam zmuszona do wyjścia na scenę na wpół ubrana. Prosto w światła rampy, bez charakterystyki i peruki. Marzyłam, by rzucić się z powrotem za kulisy i wybiec tylnymi drzwiami w ciemną samotną noc. Ale Mary zaprezentowała mi właśnie mój pożegnalny prezent - śliczną kosmetyczkę od Louisa Vuittona. Tyle kosztowała...

Wszyscy obecni się na nią składali. Impreza została zorganizowana. Pieśń odśpiewana. Prezent wręczony. Jechałam do Stanów Zjednoczonych, czy tego chciałam, czy nie.

Heathrow, trzy dni później. Siedziałam w sali odlotów, dzierżąc na kolanach moją nową kosmetyczkę od Louisa Vuittona niczym boję. Rodzice przywieźli mnie na lotnisko, ale nie zgodziłam się, żeby weszli ze mną do hali odlotów i pomachali mi na pożegnanie. Nie chciałam, żeby widzieli, jak płaczę, a było oczywiste, że będę łkać jak porzucone dziecko, zanim jeszcze samolot oderwie się od ziemi.

Gdy wraz z innymi pasażerami British Airways, lot numer 269 do Los Angeles, czekałam przy bramce na chwilę, gdy zaczniemy wchodzić na pokład, wszyscy poza mną sprawiali wrażenie radośnie podekscytowanych. Wszyscy się uśmiechali.

Wyjeżdżali na urlop, wracali do domu, lecieli na spotkanie z osobą, za którą od tak dawna tęsknili... A ja czułam się tak, jakbym była złodziejem owiec, czekającym na statek-więzienie, który zawiezie go do Australii. Jakbym nigdy więcej nie miała zobaczyć ludzi, których kocham. Nie byłam nawet pewna, czy zdołam dotrzeć do mojego żalosego miejsca przeznaczenia, nie zapadając po drodze na szkorbut

(co było, rzecz jasna, nader realnym niebezpieczeństwem, biorąc pod uwagę żywność serwowaną w samolotach).

Zwlekałam z wejściem na pokład do ostatniej chwili. Wszyscy moi znajomi, od rodziców i przyjaciółek do przystojnego pana za ladą w sklepie na rogu, wiedzieli dokładnie, o której odlatuje mój samolot. I właśnie dlatego wpatrywałam się beznadziejnie w wejście do głównego terminalu, modląc się, pragnąc, błagając, dopóki przez megafony nie rozległo się ostatnie wezwanie do pasażerów lotu numer 269 - tak naprawdę przez megafony wywołano moje nazwisko, po czym padło ostrzeżenie, że jeśli nie stawię się natychmiast, mój bagaż zostanie zdjęty z pokładu - i nie miałam innego wyjścia, niż wejść.

Nie zdarzył się cud. Mój ukochany nie wpadł w ostatniej chwili jak burza na lotnisko, żeby mnie powstrzymać. Być może Richard, gdziekolwiek się znajdował, patrzył w niebo w momencie, gdy mój samolot ostatecznie odrywał się od pasa startowego... Ale bardziej prawdopodobne było, że nawet nie podniósł głowy z superpłaskiego brzuszka Jennifer. Odrzutowiec wzbił się w chmury, a moje serce spadło na ziemię, przebijając ją na wylot.

Przynajmniej będzie ktoś znajomy po tamtej stronie, żeby mnie powitać.

8

Aprzynajmniej tak myślałam. Kiedy mój samolot wylądował na lotnisku Los Angeles International, bardziej znanym pod nazwą LAX, byłam zmęczona i lekko nieprzytomna. Podróż była ciężka. Nad Atlantykiem mieliśmy turbulencje, po których nastąpiły jeszcze silniejsze turbulencje, gdy facet obok mnie, pod oknem, zaczął wcinać obiad. Nie mogłam uciec, bo facet z drugiej strony, przy przejściu, połknął trzy tabletki nasenne i zapadł w śpiączkę aż do chwili, gdy trzeba było wysiadać. Co nie znaczy, że zrobiłoby to jakąkolwiek różnicę. Po godzinie lotu działanie klimatyzacji ograniczyło się do wtłaczania do wnętrza samolotu powietrza z toalet. .

Możecie więc sobie wyobrazić, z jaką nieciepliwością - po jedenastu godzinach spędzonych w rurze pełnej gazów - czekałam na

chwile, gdy w tłumie oczekujących w hali przylotów zobaczę uśmiechniętą twarz mojego gospodarza i pojedziemy do jego domu, gdzie będę mogła wziąć długą, miłą kąpiel... Gdybyście mi zaledwie rok wcześniej powiedzieli, że bliski jest moment, w którym naprawdę będę marzyła, by zobaczyć Grubego Joego, roześmiałabym się w głos. W tamtej chwili jednak widok Jude'a Lawa, przechodzącego przez kontrolę bagażu w otoczeniu fanów i paparazzich, był zaledwie drugą z kolei rzeczą, którą pragnęłam zobaczyć najbardziej.

A właściwie, to kiedy Jude Law istotnie pojawił się w moim polu widzenia, zirytowałam się tylko, że ciągnący się za nim ogon wielbicieli zasłania mi widok i utrudnia przeczesywanie wzrokiem tłumu.

- Gdzie jesteś, Joe? - syknęłam przez zaciśnięte zęby. Gdzie on jest? Mój samolot wylądował z lekkim opóźnieniem. Prawie godzinę zajęło mi przekonywanie służb imigracyjnych, że nie przyjechałam do Stanów szukać nielegalnej pracy czy popełniać czyny naganne moralnie. Wiedziałam, że Gruby Joe zawsze był trochę spóźnialski, ale chyba nie spóźni się godzinę, żeby odebrać mnie z lotniska po mojej pierwszej podróży przez Atlantyk?

leszcze raz przejrzałam starannie tłum. Czy to możliwe, żebym przeoczyła Grubego Joego? Grubego Joego nie sposób było przeoczyć. Miał ponad sto dziewięćdziesiąt wzrostu i prawie taki sam obwód w talii. Choć przez cały rok, kiedy mieszkaliśmy razem nigdy nie widziałam go ubranego inaczej niż w ochronny mundur z demobilu z czasów operacji „Pustynna Burza” (zimaw wersji kolorystycznej Polarny Lis), nawet to odzienie nie mogło sprawić, by wtopił się w tło... A mimo to nigdzie go nie widziałam. Może wysłał po mnie na lotnisko swoją drugą współlokatorkę, tę aktorkę o starannie opracowanym pseudonimie Brandi Renata?

A samochód? Może po prostu wysłał samochód? Wiedziałam, że miał w tych dniach strasznie dużo pracy. Przyjrzałam się nazwiskom nagryzmołonym na kartonikach przez kierowców taksówek, którzy zaledwie byli w stanie mówić po angielsku, a co dopiero pisać. Czy na tamtym jest napisane „Lizzie Jordan”? Nie, wyglądało na to, że to raczej miało być „Mister Jones”. Już miałam się poddać i ruszyć do informacji, gdy wtęm usłyszałam przez megafony moje nazwisko:

- Pani Elizabeth Jordan, pani Elizabeth Jordan proszona jest o przejście do restauracji Encounter. Czeka tam na panią przyjaciół, Joe Green, ze specjalnym powitalnym koktajlem.

Poczułam taką ulgę, że wybuchnęłam śmiechem. Koktajl z Grubym Joem? Jedyne koktajl, jaki kiedykolwiek przyrządził, to był koktajl Mołotowa, na podstawie przepisu ściągniętego z Internetu. Dzięki Bogu, nie działał, bo Joe użył bezacetonowego zmywacza do paznokci zamiast benzyny. Teraz jednak najwyraźniej czekał na mnie w koktajlbarze Encounter, który wkrótce miał się okazać jednym z najbardziej szalonych koktajlbarów na świecie, jakie widziałam. Zakonnica zbierająca jałmużnę u podnóża ruchomych schodów skierowała mnie do białego, pająkowatego kształtu budynku pośrodku LAX z takim entuzjazmem, że niemal poczułam się winna, iż dałam jej tylko trzy pięciopensówki zamiast paru banknotów dziesięciodolarowych, na które miała nadzieję. Opowiedziała mi nawet pokrótce historię budynku. Encounter, rozkraczony pośrodku LAX niczym istota, która zeszała prosto ze stron *Wojny światów* Wellsa, został zbudowany w roku 1960, kiedy panował ogólny szal na punkcie podróży kosmicznych i wszyscy byli pewni, że pod koniec wieku port lotniczy Los Angeles International zostanie przemianowany na Intergalactic. Do masowego spędzania urlopów na Księżycu nigdy jednak nie doszło. Bar, zaaranżowany przez disneyowskich *imagineers*, wyglądał dziś dziwnie staroświecko.

To dokładnie w stylu Joego, pomyślałam, gdy w dziesięć minut później (tyle czasu zajęło mi przejście przez obwodnicę wokół terminalu) jechałam purpurową windą, którą wypełniała muzyka w stylu science fiction, do położonej na najwyższym piętrze restauracji. Gruby Joe siedzi teraz prawdopodobnie przy barze i notuje po furiacku w jednym ze swoich wszechobecnych notesów szkic listu do prezydenta z prośbą o rozpatrzenie jego kandydatury jako kapitana kolejnej wyprawy na Marsa. Stary poczciwy Joe... Nieprzystosowana społecznie superlajza, ożeniona z siecią, a nawet ożeniona poprzez sieć. Dziś pewnie w chwilach wolnych od pracy zakłada stronę internetową dla rozwiedzionych fanów *Blakes'Seven*... Ciekawe, czy wciąż wysyła e-maile do szefów państw, ostrzegając ich przed groźącą inwazją kosmitów? Włamuje się na internetowe strony bogatych i niesławnych? Sprawdza cienie do oczu w lustrze za barem?

- Joe?

Upuściłam torbę i po prostu patrzyłam.

- Lizzie! Wyglądasz zupełnie...

- Inaczej?
- Te włosy... Zmieniłaś je.
- A ty! Ty...
- To tylko płukanka. No i parę pasemek...
- Joe...
- Teraz nazywam się Joanna.

W ten sposób dowiedziałam się, że Gruby Joe nie jest już ani w połowie tym mężczyzną, którego pamiętałam.

- Uznałem, że byłoby niezręcznie mówić wam o tym przez telefon - powiedział Joe, idąc do samochodu. Szedł przodem; ja podążałam za nim, targając walizki. Noszenie damskich ciuchów najwyraźniej zwalniało go z obowiązku pomocy.

- No, to jesteśmy - powiedział, wskazując odkrytego cadillaca. Był jasnoróżowy. Jasnoróżowy cadillac przy jego skórzanej kurtce'

- Spódniczka nie pasuje za dużo do tapicerki - powiedział z dezaprobatą, wślizgując się za kierownicę z finezją uczennicy, i obciągnął mini w kolorze czereśni na swoich znacznie zredukowanych udach.

Nawet gdyby nie ubierał się jak kobieta, wątpię, żebym rozpoznała w nim Joego. Stracił w ciągu półtora roku więcej kilogramów, niż Oprah Winfrey i Roseanne Barr razem wzięte w ciągu całej ich historii odchudzania się i tycia zgodnie z zasadą jo-jo. Miał teraz kości policzkowe! (Bardzo przyjemnie pokryte różem). W ciągu osiemnastu miesięcy Gruby Joe zmienił się z niedosmażonego pączka w zgrabny biszkopt-paluszek.

- Trochę schudłeś - powiedziałam głupio.
- Osiemdziesiąt jeden kilo - uściślił Joe. - Praktycznie straciłem całego siebie.
- I odnalazłeś nowego - zauważyłam.
- Próbowałaś kiedy znaleźć rajstopy, które pasowałyby na dwumetrowej objętości tyłek?

Mogłam jedynie pokręcić głową.

- Poczekaj, poprawię tylko lusterko - powiedział, ustawiając wsteczne lusterko tak, żeby lepiej widzieć swoje uszmińkowane usta. - Jasny gwint - mruknął. - Podobno miała się trzymać cały dzień... Wystarczyła jedna *cafe latte* i po wszystkim.

- Pijesz *cafe latte*?

- To mój nowy drink. Odtłuszczone mleko. Bez cukru. Choć tak naprawdę nie powinienem pić kawy ze względu na cellulitis. rzecz jasna. Lepiej wetrzeć ją sobie w uda, niż wypić. Seema mi powiedziała.

Pamiętałam aż za dobrze kryzys kawowy, kiedy to Seema zużyła cały słoik Nescafe w charakterze peelingu... To było całkiem surrealistyczne. Kiedy Joe wyglądał spódniczkę na udach przed zapaleniem silnika, zastanawiałam się, czy aby na pewno już wylądowałam. Może wciąż jeszcze śnię, lecąc nad zatoką Hudson? Joe, którego pamiętałam, miał zrosnięte brwi. A ta Joanna miała sztuczne rzęsy...

- Zaskoczona jesteś, prawda? - powiedział Joe, wyjeżdżając z wielopiętrowego parkingu i włączając się w strumień samochodów pełzających żółtym tempem ku autostradzie.

Zaskoczona? Cóż za eufemizm.

- No cóż, kiedy cię ostatni raz widziałam, byłeś...

- Agorafobem? - poddał. - Zdolnym do kontaktu z ludźmi wyłącznie za pośrednictwem e-maila? Upośledzonym pod względem higieny?

- Mężczyzną.

Ile mogą zmienić dwa krótkie lata... Transformacja Joego w Joannę zaczęła się podobno wkrótce po jego przyjeździe do Ameryki. A właściwie już w czasie nocy poślubnej. W godzinę po szybkim ślubie w którymś z urzędów stanu cywilnego w Cleveland Gruby Joe i Wenus wylądowali w jej pokój u w rodzicielskim domu — mieli zamiar mieszkać z nimi, dopóki nie uskładają pieniędzy na własne mieszkanie - żeby skonsumować swoje małżeństwo.

Gruby Joe opowiedział mi całą historię po drodze do jego domu na plaży. Byłam zbyt zmęczona, by robić coś innego, niż słuchać, choć historia daleka była od banalności. Zasługiwała, żeby przerobić ją na miniserial.

- To Wenus uświadomiła mi prawdę o mnie samym - wyjaśnił. - To znaczy, choć może się to wydawać dziwne, nigdy przedtem nie widziałem nago prawdziwej kobiety. Dopiero Wenus w czasie nocy poślubnej. A kiedy ją zobaczyłem, zdałem sobie sprawę, że mnie nie pociąga.

Wcale nie wydawało mi się to dziwne. Wziąwszy pod uwagę, że Gruby Joe wyglądał w najlepszym razie jak jeden z kontestatorów z *Wojen robotów*, założyłabym się bez wahania o nie wiem co, że nigdy w życiu nie widział nagiej kobiety... A gdy przywołałam w pamięci zdjęcie Wenus, które przemailowała mu na początku ich zalotów, pomyślałam, że mnóstwo mężczyzn wolałoby zostać gejami. Ale to nie to uświadomił sobie Joe, kiedy Wenus stanęła przed nim we właściwym dla nocy poślubnej stroju.

- Nie pociągała mnie - powiedział. - Ale pociągała mnie jej koszulka. I majteczki. I pas do pończoch.

- Nie za dużo rewelacji, jak na jeden raz? - spróbowałam mu przerwać. Ale Joe nie miał zamiaru kończyć.

- Usiłowałem skoncentrować się na bieliźnie Wenus, kiedy skłoniła mnie, żebym zrobił swoją robotę, ale dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę, że chcę ją nosić sam.
- Jej koszulkę nocną?
- I jej puchate kapcie.
- I co ona na to?
- Była bardzo wyrozumiała. Oboje odczuliśmy ogromną ulgę. Ja też się jej niespecjalnie podobałem... Pozwoliła mi przymierzyć swoją nocną koszulkę i to było to. Od razu wiedziałem... Nadal podobają mi się dziewczyny, ale równocześnie chcę być jedną z nich. Jestem lesbijką uwięzioną w męskim ciele.
- Jakby nie dość było, że mam za sobą wielogodzinny lot odrzutowcem.
- Czy to nie wspaniałe? - spytał.
- Niewątpliwie do twarzy ci w tym wydaniu.
- To pewnie ten puder samoopalający - zasugerował skromnie Gruby Joe.
- No cóż... Przypuszczam, że właśnie dlatego się rozwiodłeś.
- Tak. Ale dopiero wtedy, kiedy dostałem zieloną kartę. Wenus jest już o krok od kolejnego małżeństwa. Poznała faceta imieniem Merlin na czacie dla osób, których bliscy mają problemy z identyfikacją ze swoją płcią.
- Jest pewna, że nie okaże się, że to Merlinda? - palnęłam. Gruby Joe pominął milczeniem mój tani chwyt i ciągnął:
- Wszystko to wyjaśnia, dlaczego dużo lepiej czułem się w towarzystwie kobiet. Świetnie mi się mieszkało z tobą i z Seemą, Lizzie. Byłyście jak dwa rzadkie ptaki w tych szmatkach z Top Shopu... Ale wiem, że uważałyście mnie za dziwaka.
- Skąd - zaprotestowałam, dla wygody zapominając o przypadku, kiedy skonstruował nadajnik, który przymocował sobie do

głowy, tak żeby MI-5 mógł go znaleźć, gdyby został porwany przez ciemne siły, serfując po sieci. (Za dużo razy oglądał *Matriksa*). Albo o dziwnym eliksirze nieśmiertelności, który uwarzył w szafce łazienkowej (mieszanka mąki razowej i octu, zdecydowała Seema, gdy ośmieliła się powąchać). Albo o wielkim czarnym notesie wypełnionym po brzegi zapiskami na temat tłumu kosmitów gromadzących się w ogromnym podziemnym bunkrze koło Milton Keynes.

- Joe - zaprzeczyłam zbyt energicznie - wcale nie myślałyśmy, że jesteś dziwny. Nam też się z tobą świetnie mieszkało.

- No cóż, w takim razie mamy szansę to powtórzyć. Bardzo się cieszę, że będziemy mogli się zaprzyjaźnić. Zaprzyjaźnić jako dziewczyny! - dodał podekscytowany. - Możemy plotkować sobie po babsku, łączyć na zakupy... Możemy pożyczać sobie rzeczy...

Niełatwo przyjąć podobną informację od faceta, którego skarpetki zostały kiedyś spalone w ognisku ze względu na terminalnie niehigieniczny stan.

- Chw ileczkę - nie zdołałam się powstrzymać - czy to ty wypaliłeś dziurę w moim żakiecie rzekomo od Armaniego?

- Przysięgam, że nigdy go nawet nie dotknąłem. Spodoba ci się w Ameryce, Lizzie - podjął Joe poprzedni wątek. - To jest miejsce, gdzie można zacząć wszystko od początku. Spójrz na mnie!

- Z chęcią zmieniłabym orientację, gdyby mogło mnie to powstrzymać od myślenia o Richardzie.

- No właśnie, Richard - skinął głową Joe. - Wiesz, nigdy go specjalnie nie lubiłem.

- Naprawdę?

To nie było to, co chciałam usłyszeć.

- Po prostu tak go odbierałem - ciągnął Joe. - Ale to teraz bez znaczenia. Jesteś tu, żeby zacząć nowe życie, i musisz wykreślić ze swojego słownika wszystko co zaczyna się na „r”. Twoja przeszłość się tu nie liczy, Lizzie. Wyłącznie twój potencjał. Wszyscy w Los Angeles są równi. Możesz robić, na co masz ochotę. Ta myśl była pocieszająca. A skoro Gruby Joe potrafił zarobić na życie jako programista w minispódniczce, to musiała też być prawdziwa. .. Naturalnie odkryłam później, że do pracy nosił garnitur.

- Wiesz, Joe - zaczęłam - wciąż nie mogę uwierzyć...

- Że tu jesteś? Wiem. Czy to nie wspaniałe?

Ja myślę... Jechaliśmy wzdłuż oceanu. Ciepła morską bryza oczyszczała moje płuca z zastołego powietrza samolotu. Samo-

chód Joego miał opuszczony dach i jego nowe długie blond włosy fruwały na wietrze niczym triumfalna flaga.

- Witaj w kraju otwartych możliwości! - wykrzyknął Joe, gdy staliśmy na światłach, i wyrzucił w górę pięść.

Skuliłam się. Nie byłam w pełni gotowa, żeby widziano mnie w odkrytym samochodzie z wystrojonym transwestytą. Można wyjechać z Anglii, ale...

- Jesteś teraz w Kalifornii! Jasny gwint. Rzeczywiście.

Venice Beach. W Kalifornii, trzeba dodać dla ścisłości.

No cóż, i tu były kanały. Ale na tym kończyło się podobieństwo wielkiego przedmieścia Los Angeles do jego włoskiej imienniczki. Żadnego Pałacu Dożów. Żadnych przepięknie malowanych kościołów, gdzie turyści, wzdychając „oooch” i „aaach”, podziwiają rękodzieło rzemieślników renesansu. Było za to mnóstwo psów. I mnóstwo melin z crackiem. Prawdę mówiąc, mieszkałam 0 dwa domy od jednej z nich.

Nie umiem dokładnie powiedzieć, co spodziewałam się zastać w Los Angeles, kiedy wylądowałam tu w stanie lekkiego delirium po jedenastu godzinach transatlantyckiej podróży, spędzonych na oplakiwaniu tego skurwiela eksia i zamartwianiu się o moją żalną przyszłość bez niego. No dobrze, spójrzmy prawdzie w oczy. Miałam nadzieję - i modliłam się o to - że zastanę Grubego Joego w pięknej willi z lat dwudziestych, stojącej na wysokim klifie, z oknami wychodzącymi na morze, trochę podobnej do tej, w jakiej, jak sądziłam, mieli zamieszkać Tom i Nicole (Cruise

1 Kidman). Ale cokolwiek by to miało być, nie spodziewałam się, że mój nowy wspólny lokator w stylu Eddiego Izzarda mieszka w chałupce, która bynajmniej pasowałaby w Weston-Super-Mare ze swoimi zapyziałymi oknami o powybijanych szybach i płotem, z którego pozostały tylko dwie sztachety.

- A tak - powiedziała Brandi, moja druga nowa współpaczka, kiedy spytałam ją o oplakany stan płotu. - Wyrwali je zeszłego lata, kiedy LA Lakers wygrali. Była niezła zadyma.

No ładnie.

Jako najnowsza lokatorka dostałam najmniejszy pokój. Zamiast normalnego łóżka miałam do spania starożytny materac, który okazał się tak niewygodny, że wkrótce pozbyłam się drewnianej

ramy i zaczęłam spać wprost na podłodze. Co działało do chwili, gdy obudził mnie w nocy karaluch, badający włoski w moim nosie.

Tak. Karaluchy! Nigdy dotąd nie widziałam na oczy żywego karalucha i nagle przyszło mi żyć pod jednym dachem z setkami. Były w łazience. Były w kuchni. Czasami nie miały nawet na tyle wychowania, żeby uciec do ciemnego kąta, kiedy włączyło się światło... Któregoś wieczoru znalazłam dwa osobniki, które ugrzęzły po kolana w maśle. A jakby nie dość było, że muszę dzielić przestrzeń życiową z tymi kreaturami, cały dom, o oblażających z farby ścianach, śmierdzął kocimi siuszkami. W piwnicy mieliśmy całą kolonię kotów i woń ich wydzieliny, którą znaczyły teren, przenikała przez kanały wentylacyjne i wypełniała pokój znacznie skuteczniej niż brise-electric i inne odświeżacze, którymi usiłowaliśmy zwalczyć smród.

Po wyjściu na zewnątrz nie było dużo lepiej. Często po przebudzeniu stwierdzaliśmy, że na podwórku przed domem mamy obozowisko meneli, a na maciupeńkim kwadracie czegoś, co miało uchodzić za trawnik, zaparkowane są ich wózki na zakupy pełne brudnych koców i idiotycznych religijnych broszur. Przejście rankiem do najbliższego sklepu za rogiem było niczym spacer najgorszą ulicą w Kairze w futrze i z platynowym roleksem na rękę. Każdy, kogo się mijano, prosił o pieniądze. Niektórzy byli całkiem mili. Większość nie. Przez pierwsze parę dni, jakie spędziłam w Ameryce, niezmiennie okazywało się, że zanim dotarłam rano do sklepu, rozdałam wszystkie drobne i nie starcza mi na mleko, po które wyszłam. W miesiąc później zachowywałam się tak jak wszyscy weneccjanie i tylko kasłałam, kiedy podchodził do mnie jakiś typ, sprawiający wrażenie, że może złapać za spluwę.

- Przynajmniej jesteś na plaży - napisała Mary w e-mailu wkrótce po moim przyjeździe.

No tak. Ale nie była to bynajmniej tropikalna zatoka, gdzie można by się natknąć na Leo diCaprio. Venice Beach jest skądinąd znana jako Muscle* Beach. Albo raczej Tussle** Beach, myślałam. Wyobraźcie sobie przedzieranie się poprzez zatłoczony bydłęcy targ do wstażki piasku mniej więcej równie szerokiej i równie sprzyjającej odpoczynkowi, co Oxford Street w sobotnie popołudnie. I równie czystej. I z dwukrotnie większą liczbą agre-

* **Muscle (ang.) - mięśnie (przyp. red.).**

** **Tussle (ang.) - szamotanie, bijatyka (przyp. red.).**

sywnych przekupniów, usiłujących wcisnąć ci tandetną podróbkę designerskiego ciucha czy twoje imię na ziarnku ryżu.

. Nie spotykało się tu ślicznotek ze *Słonecznego Patrolu*, to pewne. Sceneria pasowała raczej do kiepskiego cyrkowego show niż do serialu za miliony dolarów. Gdziekolwiek się człowiek ruszył, wszędzie natykał się na kolejną rzecz, która mogła go zaszokować (zwy kle w sposób budzący niesmak). Wydaje ci się, że widziałaś już najbardziej wytatuowanego człowieka na świecie? No to spójrz na tego faceta, któremu wypisują na napletku ostatni rozdział *Ka-masutry*. Tylko nie przyglądaj się za bardzo, żeby nie wyciągnął sploty.

Większość facetów ćwiczących w niesławnej siłowni na moło (od której Muscle Beach wzięła swoją nazwę) nie miała nic wspólnego z seksownym wyglądem. Wyglądali, jakby należało ich prowadzić na łańcuchu z kółkiem w nosie, skoro już zostali wypuszczeni z zoo. Kobiety tak samo.

Venice Beach było jak Los Angeles widziane poprzez dno butelki z piwem.

Ciemniejsze i ohydnie zniekształcone. Jak Camden Town w Londynie, Venice Beach było mekką dla turystów, którzy przyjechali tu, zwabieni pogłoską, tylko po to, by się przekonać, że piękni ludzie byli tu już i odeszli - tak samo jak młodzież, dzięki której w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Camden Town było miejscem, w którym się bywa. Po snobistycznym tłumie pozostał znacznie bardziej cyniczny tłum, sprzedający tandetne kubki i za duże T-shirty z nazwą legendarnego miejsca, które za pośrednictwem turystów miały przejść w ręce ich niezbyt wdzięcznych za taki prezent przyjaciół po powrocie do domu. Venice Beach, Camden Town, Times Square... Nieważne gdzie. Wszystkie T-shirty były *made in Taiwan*.

- To jest Times Square sur le Mer - mawiał Gruby Joe.

No cóż... Venice Beach było równie dalekie od tego, że zostanie uznane za park narodowy, jak ja od tego, że zostanę nową top modelką Calvina Kleina. Jestem przekonana, że niesławny smog Los Angeles był tu gęstszy niż w jakimkolwiek innym punkcie miasta. A po powrocie do domu na plaży szybko zdałam sobie sprawę, że jedyne ptaki, jakie tu kiedykolwiek słychać, to helikoptery (czy „ptaki getta”, jak o nich mówiła Brandi), krążące nocą nad plażą. Szukały królów cracku... Ostre światło ich reflektorów wpadało przez potraskane szyby prosto do naszych pokojów. Którejś nocy wydało mi się, że słyszę strzały.

- Pewnie się nie przesłyszałaś - powiedziała Brandi przy śniadaniu.

Pod koniec mojego pierwszego tygodnia w Los Angeles zaczęłam się zastanawiać, jak długo muszę tu zostać, zanim będę mogła wrócić do Solihull, tak żeby nie wyglądało, że się poddałam, i żebym mogła stawić czoło radosnemu „a nie mówiłem” Colina. Nie zachwycała mnie perspektywa tak szybkiego końca mojej amerykańskiej przygody, ale czy doprawdy warto ryzykować, że zostanę trafiona w ulicznej strzelaninie, tylko po to, żeby zachować twarz przed bratem?

Ale jakkolwiek straszny nie byłby mój nowy dom, słońce rzeczywiście świeciło każdego ranka. A w dni powszednie, kiedy plaży nie wypełniał tłum turystów czy mięśniaków, którzy wyszli, by zrobić na nich wrażenie, miło było pobrodzić w Pacyfiku. Pacyfik... Brodzić w Pacyfiku. Samo wymawianie tych słów budziło u mnie dziecinny dreszcz rozkoszy. To brzmiało znacznie wspanialej niż Morze Śródziemne.

Kiedy pewnego ranka wyszłam z domu z zamiarem znalezienia w miarę solidnego biura podróży, które załatwiłoby mi szybki powrót do domu, zobaczyłam z falochronu morświny. Gładkie lśniące czarne ciała przewalały się i baraszkowały wśród fal niczym konie na wodnej karuzeli. Ciemnoróżowe i purpurowe kwiaty bugenwilli wystrzelały jak fajerwerki spomiędzy pustych puszek po oleju na tyłach domu. Ktoś obwiązał żółtą wstążką pień palmy na końcu naszej ulicy. Spotkałam menela, który co rano opowiadał mi nowy kawał i nie prosił o drobne. A Gruby Joe i Brandi, moi nowi współlokatorzy - cóż, oni to było coś innego.

Z Grubego Joego, jakiego pamiętałam z Balham, pozostała wyłącznie jego mania internetowa. Szybko do mnie dotarło, że poza garniturem, który nosił do pracy, nie miał w szafie ani jednej rzeczy, którą można by uznać za męską. Jasne, miał spodnie, ale nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnego innego mężczyzny, który włożyłby na siebie obcisłe jak druga skóra białe dżinsy haftowane w różyczki, w których Joe paradował drugiego dnia po moim przyjeździe.

Gruby Joe nadal pracował przy komputerach. Zarabiał faktycznie nieprzyzwoitą kasę jako specjalista od komputerów w wiel-

kim międzynarodowym banku, który miał siedzibę koło portu lotniczego. Zamiast jednak przeprowadzić się do lepszej dzielnicy, wszystkie pieniądze trwonił na ciuchy od Gucciego i Versacego. Były też prawne powody, by oszczędzać: Wenus z radością zgodziła się na rozwód, ale nie zamierzała za niego płacić. Podobnie jak nie zamierzała ponosić opłat, dzięki którym Gruby Joe ze swo-jązieloną kartą mógłby przekształcić się w pełnoprawnego posiadacza amerykańskiego paszportu.

Ale tak czy owak, praca nie była już jedyną treścią jego życia.

- Pamiętasz, jak lubiłem muzykę? - spytał mnie pierwszego wieczoru.

Pamiętałam tylko, że przez cały czas, kiedy mieszkaliśmy w Balham, Gruby Joe dzień w dzień puszczał *Największe hity królowej* pięć razy dziennie. *Rapsodia cygańska* dotąd przyprawia mnie o drgawki.

- Zawsze miałem dryg do śpiewu - utrzymywał obecnie. I właśnie dlatego zdecydował cały wolny czas poświęcić na realizację nowego marzenia: chciał zostać największą divą od czasów Marii Callas.

- Albo Danny'ego le Rue! - napisała Seema, kiedy przemail-owałam jej tę rewelację. Nieważne. Żeby osiągnąć cel, Gruby Joe trzy razy w tygodniu występował w nocnym klubie zwanym Ladyboys jako Joanna Boisvert, *chanteuse française* (sic!). Na weekendy zapraszali kogoś rzeczywiście niezłego.

Brandi też starała się dostać do Krainy Snów. Miała trochę więcej szczęścia niż jej współlokator. Ale tylko trochę. Brandi Renata była aktorką. Dokładniej, była modelką, aktorką, wszystkim co trzeba. W „wolnych chwilach” pomiędzy graniami niemych ról w operach mydlanych i reklamach zabawiała się w modelkę, ale ze wzrostem metr siedemdziesiąt i biustem, który mógłby służyć jako bufet, niewiele dostawała ofert innych niż prezentowanie bielizny. Czy takich, gdzie nie miała na sobie nawet bielizny... Pieniądze były niezłe, ale nie chroniło to jej od ostrego moralnego kaca za każdym razem, kiedy zgodziła się zdjąć górę.

- Miałam być aktorką! - zawodziła.

- Na pewno przekształcisz kiedyś te napady w sztukę - komentował to Gruby Joe. Kiedy przyjechałam do Los Angeles, Brandi spodziewała się, że być może agent zorganizuje jej niemarolę w Drew Carey Show.

W tydzień później, kiedy okazało się, że nic z tego - znowu - nie wolno nam było oglądać nic z Drew Carey, kiedy Brandi była w domu. W kolejnym tygodniu ukradziono nam telewizor. Był to cios zwłaszcza dla Brandi, jako że cały czas, jaki pozostawał jej pomiędzy wybiegiem a castingami, ćwiczyła callanetics na podstawie nudnych taśm ze ścieżką dźwiękową z lat osiemdziesiątych albo oglądała motywujące kasety wideo o subtelnym tytule, na przykład *Jak poślubić bogatego*. - Trzeba mieć jakiś plan rezerwowy - mawiała. Rezerwowy plan Brandi to był dobry mariaż. Rezerwowy plan

Grubego Joego - lepszy mariaż. A mój? Jak prędko miałam się przekonać, wszyscy przyjechali do Los Angeles po to, by ścigać swoje marzenie, a w sytuacji, gdy tyle osób ścigało ten sam migocący cel - kapryśną sławę - szanse na sukces malały coraz bardziej, w miarę jak człowiek stawał się coraz starszy, coraz brzydszy i coraz bardziej wypalony.

W Londynie zdarza się, że taksówkarze raczą pasażerów opowieściami o znanych ludziach, których zdarzyło im się wieźć. W Los Angeles taksówkarze opowiadają ci o sławach, z jakimi kiedyś wspólnie występowali na srebrnym ekranie. W pierwszym tygodniu pobytu spotkałam szofera, który utrzymywał, że grał w *Rawhide* z Clintem Eastwoodem. Jestem pewna, że wiozł mnie niezwykle malowniczą trasą z centrum Los Angeles do Venice wyłącznie po to, żeby mógł mi o tym opowiedzieć.

- Jeżdżę taksówką, żeby się rozerwać między jedną rolą a drugą - mówił optymistycznie. Ostatni raz pracował jako kaskader w roku 1973, kiedy to skoczył w niewłaściwym kierunku z makiety płonącego wieżowca i wylądował na przyczepie cateringowej, zamiast na nie dość starannie umiejscowionej macie. - Złamałem sobie kark - powiedział. - Ale ostatnio znowu nabieram rozpędu. - I poprosił mnie, żebym pomacała jego bicepsy.

- Mówią, że jestem świetny - zapewnił mnie.

- Naprawdę?

Jego opalenizna była tak ciemna, że wyglądał, jakby się wysmarował cuprinolem. Fakt, że jego źle dopasowana peruka była tego samego koloru co skóra, dodatkowo potęgował wrażenie, że wyrzeźbiono go z hebanu i pomalowano. I musiał mieć pod osiemdziesiątkę. .. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek jeszcze mógł dublować Toma Cruise'a.

Podobnie personel każdej jadłodajni stanowiły kobiety, które sprawiały wrażenie, jakby kiedyś dały popalić Farah Fawcett-wciąż w lokach i barwach wojennych na twarzy, choć zaproszeń na castingi dawno już nie dostawały. Bary w lepszych hotelach, które upierała się odwiedzać Brandi w celu nawiązywania użytecznych „kontaktów”, choć tak naprawdę nie mogłyśmy sobie pozwolić na drinka, obsługiwali młodzi ludzie obojga płci, którzy nie wyglądaliby nie na miejscu na stronicach poświęconych modzie, w którymkolwiek magazynie wydawanym przez CondeNast. Wszyscy się uśmiechali. Wszyscy byli życzliwi.

Szybko się jednak zorientowałam, że nieprawdopodobna życzliwość mieszkańców Los Angeles to tylko lśniąca powłoka. Uśmiechy nie były naprawdę ciepłe - były maniakalne. Pytaniem numer 2 w każdej rozmowie było: „Czym się zajmujesz?”. I jeśli me byłś reżyserem, producentem albo wpływowym agentem, nie mijało wiele czasu, a twój nowy „przyjaciel” zmywał się w poszukiwaniu kogoś innego. Kogoś bardziej użytecznego. Od czasów szkolnych, kiedy przyjaźnie bazowały na tym, czy wolisz Adama Anta czy Buck's Fizz, nigdy nie byłam w sytuacji, w której odrzucano by nowych znajomych tak momentalnie.

Mimo to jednak szybko poczułam, że Gruby Joe i Brandi są prawdziwymi przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi. Mówię o Grubym Joem, jakiego znałam obecnie, to znaczy o zupełnie innej osobie niż Gruby Joe, który żył (a czasem śmierdział jakby już był na wpół umarły) w śpiworze w maskujący wzór. I choć dom na plaży, który z nimi dzieliłam, nie miał nic wspólnego z szykiem i elegancją, to jednak zdobyli się na wysiłek posprzątania mojego mrocznego pokoju, zanim się wprowadziłam, a nawet wstawili na powitanie do wazonu jedną żółtą różę. W pierwszą sobotę po moim przyjeździe, kiedy Gruby Joe nie musiał iść do pracy w Ladyboys, a Brandi miała krótką przerwę w swoim grafiku ściśle wypełnionym ćwiczeniami callanetics, aerobikiem, jogą i znowu ćwiczeniami callanetics, zabrali mnie na przejażdżkę po Hollywood.

Władowaliśmy się tuż po lunchu do odrapanego różowego cadillaca Grubego Joego (sam go malował i samochód wyglądał, jakby zaliczył zderzenie z kremową furgonetką) i ruszyliśmy San Diego Freeway.

No cóż, wydawało mi się, że na trasie M4 do Londynu zdarzyło mi się widzieć mnóstwo samochodów, ale czegoś takiego jak San Diego Freeway, znane również jako trasa 405, dotąd nie widziałam. Na niektórych odcinkach było tam po siedem pasów w obu kierunkach i wszystkie były pełne. Jezdnia była tak szeroka, że nawet kurczak skrzyżowany ze sprinterem Iwanem Thomasem by jej nie pokonał. Byłam przerażona, choć nawet nie byłam kierowcą.

- Może chcesz poprowadzić? - zaproponował Joe.

- Nie mam ze sobą prawa jazdy - skłamałam. Odchyliłam się na miękkie skórzane siedzenie obok kierowcy

i starałam się nie krzywić za każdym razem, gdy z przeciwka zbliżał się samochód i udawało mu się w nas nie rąbnąć.

- Przypomina mi to film - powiedziałam.

- *Easy Rider*? - podsunęła Brandi i.

- *Mad Max*.

Jak na zawołanie, z rykiem klaksonu minęła nas o włos lśniąca chromowana ciężarówka z dwoma przyczepami.

- Nie możesz jechać ostrożniej? - naskoczyła na Joego Brandi.

- Nie zauważyłem jej - bronił się Joe.

Jak mógł nie zauważyć ciężarowy o rozmiarach krążownika?

Żeby nie jęczeć, spojrzałam w górę i starałam się skoncentrować na palmach i znakach drogowych. Washington Boulevard, Santa Monica Freeway. Pico.

Olympic. Wilshire. Bulwar Zachodzącego Słońca. Ten bulwar... Ulica tylko trochę mniej słynna niż Broadway czy Piąta Aleja. Synonim blasku, świetności i rozwianych snów.

- Rozwianych snów, jasne. Ale jest i mnóstwo takich, które się spełniły - zaznaczył Gruby Joe, skręcając ostro w poprzek pięciu pasów. W tym miejscu zjeżdżaliśmy z autostrady.

Od razu znaleźliśmy się jakby w innym filmie. Tak jakbyśmy z *Mad Maksa* przeskoczyli do jakiegoś znacznie spokojniejszego filmu. Po obu stronach jezdni rosły starannie przystrzyżone drzewa. Minęliśmy Bel Air, otoczoną murem enklawę sławnych i bogatych, z ekstrawaganckimi rokokowymi budkami strażniczymi, przy których stali ochroniarze w uniformach.

- Wszyscy tu mieszkają - powiedziała Brandi. - Mój kolega zawoził pizzę Tomowi Jonesowi. Zamawiał z dodatkowym anchois.

Przy światłach na rogu mały chłopiec sprzedawał mapki informujące, jak dotrzeć do danej posiadłości.

- To musi być uciążliwe - zauważyłam. - Żeby musieć zatrudniać ludzi do sprzedawania map, bo inaczej się do siebie nie trafi?

- O, ja bym to uwielbiała - odparła Brandi. - Będę wiedziała, że mi się udało, kiedy pod moim domem będzie się gromadził tłum ludzi, których będę mogła poszczuć psami.

A więc to jest to, pomyślałam, prostując się na siedzeniu, by chłonać widoki, które ukazywały się moim oczom. Oto miasto, o którym śniłam. A to ulica, która jest jego kwintesencją.

Bulwar Zachodzącego Słońca równa się Los Angeles. Od wschodu do zachodu. Od nieba do piekła. Na zachodnim krańcu - Malibu i Pacific Palisades, gdzie gwiazdy urządzają sobie barbecue na złocistych plażach, a David *Słoneczny patrol* Hasselhoff płąsa z dziewczynami zbyt szczupłymi, by wytrzymały w lodowatym Pacyfiku choćby sekundę, a co dopiero uratowały tonącego żeglarza. W głębi lądu - ekskluzywna zieleń kanionów Bel Air, gdzie jedyni kolorowi to ludzie podlewający ogrody.

Minęliśmy elegancki kampus UCLA, po którym gromady pięknych ludzi, w niczym nieprzypominających obszarpanych studentów, do jakich przywykłam w kraju, przemieszczały się na rolnkach, deskach albo truchtem - nikt nie chodzi piechotą w Los Angeles, nawet jeśli jest bez samochodu. Minęliśmy skraj przepysznych Beverly Hills. Przecieliśmy Rodeo Drive, gdzie Julia Roberts brała odwet za każdą dziewczynę, która była kiedykolwiek ignorowana przez sprzedawczynię.

Minęliśmy zaskakująco dobrze utrzymany park, gdzie George Michael miał nieprzyjemne spotkanie z policją. Minęliśmy róg, gdzie Hugh zadawał się z Divine. Wskoczyliśmy na Sunset Strip - hollywoodzką wersję Piccadilly Circus, gdzie młodzieńcy przejeżdżają w odkrytych samochodach wzdłuż kolejek pięknych dziewczyn, usiłujących dostać się na nocną sensację tygodnia. Minęliśmy „Hustlera” Larry'ego Flynta, sex-shop mający mniej więcej tyle wspólnego z erotyzmem, co Marks & Spencer. Minęliśmy Book Soup. Minęliśmy Tower Record, przytłoczony przez swoje własne gigantyczne billboardy. Szykowne rezydencje ustępowały tu miejsca sięgającym nieba biurowcom, oblepionym dwudziestometrowej wysokości dziewczynami Calvina.

Minęliśmy wystawnie anonimowe białe wrota do ultraekskluzywnego Mondriana, minęliśmy słynny House of Blues i zabawnie

odwrócony znak „Standard”. - Dlaczego on jest do góry nogami? - spytałam Grubego Joego. - Żeby można go było odczytać, kiedy się pójdzie do piachu? I dalej, ku niesamowitemu Chateau Marmont - gdzie przedawkował John Belushi. Ku Viper Room, gdzie rzekomo zrobił to samo River Phoenix. - Płakałam przez cały tydzień - powiedziała Brandi.

Minęliśmy faceta z Marlboro, wciąż stojącego po tych wszystkich latach, tyle że papieros zwisał mu teraz dowodząc, że pet nie dodaje człowiekowi seksapilu. Tu drapacze chmur ustępowały miejsca niewysokim lombardom. Sztyldom głoszącym, że to „najlepsze miejsce, gdzie możesz dostać poręczenie”. Koreańskim sklepikom z alkoholem.

- Kiedyś obrabował mnie tu facet ze spluwą- powiedziała Brandi.

- Nie opowiadaj jej takich rzeczy - ofuknął ją Gruby Joe.

- Za późno-zauważyłam.

I dalej, wzdłuż parkingów, które nie sprawiały wrażenia, by przynależały do jakichkolwiek budynków. Sklepy monopolowe. Bary dla kierowców typu drive-in. Francuski manikiur, cena jeden dolar. Sushi, ile tylko zdołasz zjeść, za pięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. 1 nagle Bulwar Zachodzącego Słońca się skończył.

Wszystko to jedna ulica. Wijąca się pośród wzgórz ponad centrum Los Angeles. Trzydzieści kilometrów od początku do końca. Od amerykańskiego snu do nocnego koszmaru.

Powoli ruszyliśmy z powrotem Hollywood Boulevard, zatrzymując się przed czerwono-złotą pagodą słynnego Chińskiego Teatru Manna, żeby popatrzeć na marmurowe gwiazdy na chodniku i odciski rąk faworytów Krainy Snów. Położyłam dłoń na odcisku Arnolda Schwarzeneggera i z zaskoczeniem stwierdziłam, że jego palce nie są o wiele dłuższe od moich.

- To kurdupel - poinformowała mnie Brandi.

- Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek zostanę poproszona, żebym się tu pojawiła i zrobiła to naprawdę - powiedziałam.

- Wystarczy, że w to uwierzysz - zapewnił mnie Gruby Joe. - Jak uwierzysz, to zostaniesz.

- Przez marzenia do gwiazd, tak mówimy tu, w Kalifornii -dodała Brandi.

Spojrzałam znad odcisków dłoni Amiego i uśmiechnęłam się do ich optymizmu.

Według Brandi wszystko było możliwe... Gdy

brytyjskie aktorki, które znałam w Londynie, z każdym przesłuchaniem, które nie prowadziło do otrzymania roli, popadały w coraz większe przygnębienie, Brandi traktowała każdą porażkę jako kolejny krok przybliżający ją do dnia, w którym odniesie sukces. Wszystko można było zdobyć poprzez wiarę w siebie. Rowmez Kalifornię. Również Hollywood

Tego wieczoru, gdy z powrotem znaleźliśmy się w Venice, karaluchy i meliny wydały mi się niewielką ceną za szansę wiecznego życia na taśmie celuloidowej. Po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Los Angeles, poczułam coś na kształt pewności, że podjęłam słuszną decyzję, przyjeżdżając tutaj. Bądź co bądź było to miasto zbudowane na przesłance, że potrafi zmieniać brzydkie kaczątka w łabędzie... Ileż to gwiazd wydawało hamburgery, zanim dostało swoją szansę? Pomyślałam o Hilary Swank mieszkającej w samochodzie i czekającej na kolejne przesłuchania. W pięć lat później dostała Oscara. Ja też dam sobie radę, może nie?

Brandi mówiła mi, że słyszała, iż odkąd Minnie Driver i Catherine Zeta-Jones zrobiły furorę, brytyjskie aktorki są rozchwytywane. Gruby Joe zgodził się, że mam najmodniejszy w tym sezonie typ urody, nawet jeśli określił go jako „lekkowylakły”. Uznałam, że po prostu usiłował sobie przypomnieć określenie „angielska róża”.

Leżąc tego wieczoru w wannie, rozważałam, na jaki kolor powinnam mieć pomalowane paznokcie, kiedy pan Mann poprosi mnie żebym odcisnęła swoją dłoń na chodniku przed jego Chińskim Teatrem. A strój? Versace czy Armani? Obaj przyślami swoje kreacje gratis, rzecz jasna.

9

Szybko zbliżyłam się z Brandi. Moje pierwsze wrażenie nie było zbyt korzystne - przypominała Pammy Lee przefarbowaną brunetkę. Całe jej życie wydawało się skoncentrowane wokół starań by być szczuplejszą i mieć lepsze włosy i biust. Ja chciałam grać heroiny Tolstoja. Ona chciała grać dziewczynę Jima Careya. Miałyśmy jednak o wiele więcej wspólnego, niż się spodziewałam. Może wyglądała jak słodka idiotka, ale wcale mądra nie była.

Choć przy staraniach o angaż grała kartą seksapilu na maksa, w domu dzieliła się ze mną ciuchami, kosmetykami i sercem.

Długo trwało, zanim powiedziałam jej o Richardzie. Współczuła mi tak, jak Gruby Joe, nawet w swoim nowym wcieleniu, nigdy by nie potrafił. Pomrukiwała ze zrozumieniem, kiedy opowiadałam jej, jak to uważałam Richarda za bratnią duszę. A któregoś dnia, kiedy Gruby Joe był w pracy, a ona zaliczyła swoją popołudniową dawkę ćwiczeń, wyciągnęła karty do tarota.

- Moja babcia była Cyganką- powiedziała i odrzucając na ramię czarne włosy, wręczyła mi zniszczoną talię. - Przepowiedziała mi, że któregoś dnia przeżyję w Los Angeles coś, co odmieni moje życie. Byłam wtedy dzieckiem i nigdy nie słyszałam o Hollywood.

- Odmieni twoje życie?

- Tak. Odmieni moje życie. Dokładnie tak się wyraziła. I powiedziała, że dzięki temu będę miała szansę zmienić świat. To musi oznaczać sławę, no nie?

Skinęłam głową. Interpretacja dość swobodna, ale całkiem do przyjęcia.

- Mogła też mieć na myśli, że zostaniesz negocjatorem z ramienia ONZ i dzięki tobie nie dojdzie do kolejnej wojny światowej - podsunęłam.

- Nonsens! Z moim wyglądem? Ale tak czy owak, odziedziczyłam po babci dar - ciągnęła Brandi. - Przeskoczył pokolenie mojej matki i pojawił się u mnie, kiedy babcia umarła. No więc popatrzmy, co będzie z tobą. Musisz dmuchnąć na karty, zanim je przełożysz - poleciła mi. - Pozbawiamy się w ten sposób energii innych osób, która mogła pozostać w talii. Gdybyś tego nie zrobiła, dostałabyś przepowiednię dla Joego. On jest ostatnią osobą, której wróżyłam.

- A co wyszło Joemu? - spytałam.

- Że nie dostanie roli Farah Fawcett w remake'u *Aniołków Charii ego*.

Ja bym mu to mogła przepowiedzieć wyłącznie na podstawie jego aktu urodzenia... Staralam się jednak udawać, że jestem pod wrażeniem tajemniczych umiejętności Brandi.

- Teraz je przełoż - poinstruowała mnie. - A potem podziel talię na trzy części.

- Równe?

- Jakie chcesz. Jak ci podpowie duch - dodała.

- Nie sędzę, żeby mu się chciało - zadrwiłam, myśląc o ostatnim razie, kiedy stawiano mi tarota. Wynajęłam wróżkę w charakterze prezentu specjalnego dla Mary w czasie jej panieńskiego weekendu. Tak zwana „prawdziwa Cyganka” - aczkolwiek pochodziła z Witney w Oksfordshire - odrabiała swoją robotę jak należy, dopóki nie powiedziała mi, że pod koniec roku zajdę w ciążę. Już to było dostatecznie groźne... Później jednak powiedziała, że czeka mnie mniej więcej trzyletni okres celibatu, począwszy od następnego dnia.

- To w jaki sposób mam zajść w ciążę pod koniec tego roku? - spytałam.

- Uważaj, żeby nie włóczyć się w grudniu z archaniołami - zadrwiła Mary.

Tamta Cyganka zdecydowanie nie była warta pieniędzy, które od nas dostała... No, ale Brandi nie musiałam przynajmniej płacić za jej wątpliwej wartości porady.

Podzieliłam talie na trzy części. Brandi kazała mi je złożyć i podzielić jeszcze raz, zanim w końcu zaczęła rozkładać figurami w dół.

- Skoncentruj się na tym, co byś chciała wiedzieć - poleciła.

Co bym chciała wiedzieć? Upiłam łyk kawy. W głowie zawiroowało mi tysiąc pytań.

Czy robię to, co trzeba? Czy będę kiedyś sławna? Czy będę kiedyś miała własną gwiazdę na Hollywood Boulevard? Czy Richard kiedykolwiek do mnie wróci?

Richard. Richard, Richard, Richard.

Kiedy patrzyłam na skomplikowany celtycki wzór na odwrocie kart Brandi, pytanie, co będzie ze mną i Richardem, wypłynęło na powierzchnię mojego umysłu jak dryfujący mętną rzeką zgniły kawałek drewna. Raczej mało zaskakujące... Richard to było to, na czym koncentrowałam się nieustannie od niemal dwóch miesięcy.

Nawet kiedy wydawało mi się, że o nim nie pamiętam, każde moje działanie, napędzane było myślą, co on by na to powiedział. Od prób dostania się na casting (jak będę sławna, to do mnie wróci) do uskoczenia spod kół najeżdżającej ciężarówki, kiedy przypadkowo weszłam na jezdnię (czy Richard czułby się winny, gdybym zginęła?).

Brandi zamknęła oczy.

- Czy coś ci już wychodzi? - spytałam.

- O rany... Tak - skinęła głową. -1 to całkiem wyraźnie.
 - No to zaczynaj - powiedziałam niecierpliwie. - Tylko nie mów, jeśli to ma być coś naprawdę złego - dodałam szybko. W tym momencie Brandi odkryła pierwszą kartę. Była to karta śmierci. Odwrócona.
 - Kiepsko to wygląda-zauważyłam.
 - Niekoniecznie. Ojejku... Czuję naprawdę silne wibracje. Musisz być naprawdę w dobrym kontakcie ze swoją podświadomością.
 - Ale co to znaczy? - nastawałam.
 - No więc ta karta - Brandi wskazała kartę, na której widniał rysunek dość okropnych mieczy - oznacza zakończenie. Zakończenie, które miało miejsce w niedawnej przeszłości.
 - Niewątpliwie trzyma się to kupy.
 - Ale ta - ciągnęła Brandi - symbolizuje rozpoczęcie się czegoś nowego w miejsce tego, co się skończyło. A ta - powiedziała podekscytowana, wskazując kartę z ryciną pięknej filizanki z przelewającą się zawartością - myślę, że ta oznacza małżeństwo.
- Zakończenie. Rozpoczęcie czegoś nowego w miejsce tego, co się skończyło. I małżeństwo... Czy to była odpowiedź na pytanie o Richarda? Czy karty pokazują rozstanie i przepowiadają, że nie tylko będziemy znowu razem, ale że zakończy się to małżeństwem? Poczułam, że serce silniej zabiło mi w piersi.
- Na ile sprawdzają się twoje przepowiednie? - spytałam w nadziei, że śmiech na końcu pytania zdoła ukryć, jak rozpaczliwie pragnę, żeby jej interpretacja była trafna. - Czy to znaczy, że to się wydarzy naprawdę?
 - Karty nie działają w ten sposób - powiedziała ku memu rozczarowaniu Brandi. - Nie traktują spraw w kategoriach absolutu. Karty prezentują możliwości. Mówią, że to jest to, co może się zdarzyć w twoim życiu. Ale tylko wtedy, jeśli będziesz tego naprawdę chciała.
- Oczywiście, że tego chciałam!
- Nie mówią, że to się wydarzy bez twojego świadomego wysiłku - ciągnęła Brandi. O Boże... Żeby Richard do mnie wrócił, byłam gotowa podjąć wysiłek wystarczający do uratowania wszechświata!
 - Ani że to koniecznie musi być dobre dla ciebie, jeśli się w końcu zdarzy - ciągnęła. Jak mogłoby to nie być najlepszą rzeczą pod słońcem?

- Ale jest prawdopodobne, że będzie dobre, prawda? - spytałam. Brandi wzruszyła ramionami.
- A jak prędko miałyby się to wydarzyć?
- Niedługo - powiedziała, stukając palcem w kartę z trzema pięciokątami. - W każdym razie tak sędzę, bo z tej karty wynika, że to się zdarzy tutaj. Zmarszczyłam brwi. Jak to możliwe? W jaki sposób miałabym wrócić do Richarda, jeśli nadal będę w Los Angeles?
- Czy ona naprawdę mówi, że mamy się zejść z Richardem?
- Tak myślę. O ile zakończenie, jakie pokazuje, to rzeczywiście wasze zerwanie.
- A małżeństwo?
- To ta karta.
- No cóż, tego nie spodziewałam się usłyszeć. Ale, Boże święty, mam nadzieję, że się nie mylisz.
- Uwważaj na swoje pragnienia - powiedziała Brandi, składając karty w talię.
- Czy pragnienia mogą zmieniać rzeczywistość? - spytałam. - Naprawdę wierzysz, że któregoś dnia będziesz sławna tylko dlatego, że tego chcesz?
- Choć brzmi to głupio - odparła Brandi - naprawdę w to wierzę. Myślałam tak od zawsze. Nawet kiedy byłam małym dzieciakiem w New Jersey. Kiedy mama krzyczała na mnie za złe stopnie w szkole, mówiłam jej, że stopnie nie mają znaczenia, bo do tego, żeby być aktorką, dobre stopnie nie są potrzebne. Ja po prostu wiedziałam, że będę aktorką. Nigdy nie chciałam być niczym innym. Moją pierwszą ulubioną bohaterką była Carry Fisher.
- Księżniczka Leia?
- Podobały mi się jej włosy.
- A ja chciałam być Drew Barrymore z *ET* - przyznałam się.
- O, tak - skinęła głową Brandi. - Też uważałam, że jest świetna. Mówiłam mamie, że dostanę rolę Drew, jeśli będą kiedyś kręcić dalszy ciąg tego filmu.
- To samo ja mówiłam moim rodzicom - powiedziałam. - Kiedy przynudzali, że muszę się dobrze uczyć, żeby dostać się do liceum. Właściwa szkoła jest bardzo ważna, mówili, jeśli mam zamiar iść na studia i dostać porządną pracę. Dla nich oznaczało to wtedy bycie lekarzem czy prawnikiem. Ale ja obiecałam mamie, że któregoś dnia będę zarabiać jako gwiazda bajorńskie sumy i zabiorę ją w podróż dookoła świata.

- Myślę, że rzeczywiście będziesz - rzekła Brandi. - Mam przeczucie, że tak się stanie. Może nie w tym roku, ale...

Roześmiałam się.

- Myślę, że z podróży dookoła świata mama zrezygnowała. W tej chwili uważa, że najlepszy prezent gwiazdkowy dam jej wtedy, jak znajdę sensowną pracę. Albo sensownego męża. I jak przestanę kupować pantofle, od których robią mi się pęcherze, i jak zacznę spłacać hipotekę i odkładać na emeryturę. Tuż przed wyjazdem słyszałam, jak mówi do mojego brata, że od piętnastu lat jestem nastolatką i że już od tego siwieje.

- Ja to samo słyszałam od mojej mamy - podchwyciła Brandi.

- Czy nadal usiłuje ci wmówić, że powinnaś dać spokój mrzonkom i zejść na ziemię?

Brandi uśmiechnęła się, patrząc na karty.

- Nie. Już nie. Już jej z nami nie ma, prawdę mówiąc - westchnęła.

- Co to znaczy?-spytałam.

- Mama umarła trzy lata temu, w Boże Narodzenie. Czekałam z przyjazdem tutaj, dopóki nie odejdzie. Do tego czasu pracowałam u dealera używanych samochodów.

- Och, Brandi, tak mi przykro... Rozumiem, że to nie było...

- Nagłe? Nie. Od paru miesięcy wiedziałam, że nas opuści. Miała raka. Pod koniec brała tyle środków przeciwbólowych, że mówiła, że śmierć będzie ulgą.

- To okropne.

- No cóż, każdy kiedyś musi odejść - wzruszyła ramionami Brandi.

- No tak, ale... Musiała być całkiem młoda.

- Czterdzieści osiem lat - powiedziała Brandi.

- No to była młoda.

- Kto młodo umiera, na zawsze pozostaje piękny - Brandi z uśmiechem zacytowała porzekadło, które przytaczano wciąż na nowo w związku z jej ulubioną gwiazdą, Marylin Monroe. - To sposób na to, żeby żyć wiecznie... Być utrwalonym w kwiecie wieku na taśmie filmowej to lepiej niż dożyć dziewięćdziesiątki i skończyć w domu starców, gdzie przyszczaty wyrostek będzie ci podcierał tyłek.

- Skoro ujmujesz to w ten sposób - westchnęłam. Uniosłam pustą filiżankę po kawie i stuknęłam nią w butelkę wody mineralnej Brandi. - No to za wieczne życie w hollywoodzkim stylu.

- Za wieczne życie-powtórzyła Brandi.

Ale nieśmiertelność ekranowa wciąż jeszcze nie czekała za rogiem na żadną z nas - obojętne, czy przepowiadały ją karty, czy nie. Przed przyjazdem do Los Angeles zadzwoniłam pod każdy z numerów, jakie dostałam od Mary (i pod dwa, jakie dała mi niechętnie Bezużyteczna Eunice, moja londyńska agentka, kiedy powiedziałam jej, że wyjeżdżam - w obu przypadkach nikt nie odebrał). Drżałam na myśl o telefonowaniu do tych obcych ludzi jak jakaś telemarketerka, ale zmusiłam się i spotkałam z niezwykle życzliwością i obietnicami wspólnego lunchu. Jednak umówienie się z ludźmi z Hollywood na jakąś konkretną datę okazało się trudniejsze niż zawarcie umowy na założenie podwójnych szyb w przyczepie samochodowej. Brandi i Gruby Joe robili co mogli, żeby skontaktować mnie z paroma użytecznymi osobami, które znali (Gruby Joe znał tylko jedną - Brandi). Brandi zmusiła mnie, żebym nałożyła tapetę na twarz i poszła z nią na parę hollywoodzkich przyjęć. Na miejscu miałyśmy się rozdzielić i każda z nas pracowałaby nad jedną stroną sali. Z jej nieprawdopodobnym biustem i entuzjastycznym uśmiechem od ucha do ucha było oczywiste, że wróci do domu z plikiem wizytówek od producentów i prośbą, żeby przy najbliższej okazji przesłała swoje taśmy. Co do mnie, było oczywiste, że poznam faceta, którego zatrudniono do pilnowania baru.

Tymczasem coraz bardziej oczywista stawała się dla mnie zgnilizna leżąca pod kruchą powłoką świetności. Któregoś dnia Brandi wpadła do mojego pokoju szalenie podekscytowana, bo po raz drugi oddzwoniono do niej w sprawie przesłuchania do roli, co do której sądziła, że została obsadzona przed tygodniem. - Dziewczyna, którą wybrali na początku, miała dziś rano wypadek samochodowy - wyjaśniła Brandi bez tchu. - Miesiące miną, zanim będzie z powrotem miała dawną twarz.

- To fantastycznie!

Byłam przerażona, kiedy złapałam się na tym, że tak samo jak Brandi uważam to za nieprawdopodobny łut szczęścia. Dla niej... Było jedynie kwestią czasu, bym podchwyciła nowe okropne hasło wywoławcze Grubego Joego i zaczęła mówić „no to jesteśmy o krok bliżej” za każdym razem, kiedy mijała nas karetka, która być może wiozła kolejną aktorkę, piosenkarkę czy co tam jeszcze do kostnicy. O rany... Ktoś powinien był mi powiedzieć, że zanim dostrzeżesz swoją własną zgniliznę, jest już za późno. Już ci się robi z tkanki mózgowej szwajcarski ser.

Ale naprawdę walnęłyśmy z Brandi o dno w momencie, gdy poszłyśmy na przyjęcie pewnego „producenta” tylko po to, by odkryć, że nie produkuje on filmów, tylko pornograficzne strony internetowe. Szybko wyszłyśmy. Brandi była przekonana, że obszarpany fotograf, który strzelał zdjęcia gościom, potnie jakoś i dopasuje nasze głowy do sylwetek aktorek porno. Ja osobiście tak się tym nie przejmowałam, ale dla Brandi, która i tak już miała ciało gwiazdy porno i rozpaczliwie usiłowała wyłamać się ze schematu podejrzanych ról, do jakich predestynowały ją pneumatyczne kształty, traktowała takie sprawy bardzo poważnie.

Po drodze do domu próbowałam przywrócić ją do pionu, jeśli chodzi o prawdopodobieństwo, że jej obawy się sprawdzą. Musiała przesadzać.

- Nikt już tego nie robi - powiedziałam. - Nie z takimi nikomu nieznanymi dziewczynami jak my. Może gdybyś była Cameron Diaz czy Jennifer Lopez, ktoś zaryzykowałby dopasowanie twojej głowy do sylwetki gwiazdy porno, ale tak? Poza tym teraz w cenie jest realizm. Kto będzie leciał na zdjęcia dwóch kompletnie ubranych dziewczyn, pijących szampan z plastikowych kubków na jakimś podłym przyjęciu, skoro możesz się zalogować i obejrzeć robione na żywo zdjęcia studentek pod przysznicem? Czy nawet na toalecie.

Stałyśmy na światłach. Brandi odwróciła się i spojrzała na mnie z autentycznym przerażeniem.

- O Chryste. Kamery w toaletach...

- Tak, umieszczają-zaśmiałam się. - To dopiero jest coś, no nie? Nie mogę powiedzieć, że bym chciała oglądać coś takiego, ale takie strony mają setki odwiedzających.

- Lizzie, ja cię nie pytam, czy oni to robią. Ja ci to mówię. Na tym przyjęciu w toaletach były kamery. Ja to po prostu wiem.

- Nie bądź śmieszna - powiedziałam.

- To dlaczego gospodarz spytał mnie, czy widziałam kiedykolwiek stronę, która ma adres squatters.com?

- Squatters.com? O nie...

Starłam się powiedzieć sobie, że to po prostu jedna z tych stron, które pomagają ludziom znaleźć dach nad głową, kiedy przyjeżdżają do nowego miasta bezdomni i bez przyjaciół. W najgorszym razie była to strona sklepu internetowego sprzedającego bidety... Ale nie mogłam nawet pocieszyć się myślą, że tego wieczoru nie mogłam być złapana przez kamerę. Kiedy idę na

imprezę zorganizowaną przez ludzi, których nie znam, zawsze się denerwuję, a jak się denerwuję, to zawsze chce mi się siusiu. Jak tylko przyszliśmy, od razu musiałam pójść do toalety. A teraz przypomniałam sobie, jak pytałam gospodarza przyjęcia, gdzie ją mogę znaleźć.

- Jedna jest na dole, a druga na górze - powiedział. - Na pani miejscu wybrałbym tę na górze.

W tej chwili byłam przekonana, że nie wskazywał mi po prostu lepszej z dwóch przeznaczonych dla jego gości wygodek. Tak naprawdę kierował mnie do miski klozetowej z zainstalowaną w niej kamerą Panavision.

Brandi była w panice. W ten weekend dostała biegunki, co było skutkiem paru dni dziwacznej diety, polegającej na picciu wyłącznie soku z kapusty, bo musiała zrzucić pięć kilo przed czekającym ją ważnym przesłuchaniem. Mniej kłopotliwe i bardziej efektywne byłoby, gdyby zrobiła sobie lewatywę.

- Czy możemy ich podać do sądu? - spytałam ją później, kiedy piłyśmy mocną czarną kawę w słynnej całonocnej spelunie Jerry'ego, żeby utopić nasze smutki.

- Chcesz, żeby identyfikowano przed sądem twoje części intymne? - odpowiedziała pytaniem Brandi. Ze zdenerwowania porwała na strzępy serwetkę.

- Jezu - westchnęła. - Mam tego potąd... Nienawidzę tego łażenia na wszystkie te cholerne przyjęcia, gdzie trzeba prowadzić gadkę-szmatkę z wszystkimi tymi zasranymi facetami... Wszystko to nic tylko... - szukała z wysiłkiem właściwego słowa - jedno gówno.

Nie mogłam się nie zgodzić. Uwieńczeniem tamtego wieczoru była dla mnie rozmowa z człowiekiem, którego tytułem do sławy było to, że spał z jakąś kobietą, która spała z kimś, kto przespał się kiedyś z Kirstie Alley. W założeniu miało to zrobić na mnie wrażenie... No, ale przynajmniej facet rozmawiał ze mną dłużej niż trzydzieści sekund. Pierwszy, któremu się przedstawiłam na przyjęciu, powiedział po prostu: „Nie mam ochoty poznawać dziś żadnych nowych osób. Dziękuję”.

- Czy nie ma łatwiejszego sposobu, żeby dostać zaproszenie na przesłuchanie? - spytałam. - Czy nie możemy po prostu załatwić sobie lepszych agentów?

- Lizzie - powiedziała Brandi z pełnym wyższości półuśmiechem - w tym mieście nieznana aktorka ma tylko jedną możliwość

porozmawiania z uczciwym agentem: kiedy sprząta jego basen. To nie jest tak, że nieznana aktorka pojawia się w Hollywood i dostaje agenta, żeby załatwił jej rolę. Tu rządzą określone zasady. Najpierw dostajesz sensowną rolę. Używając wszelkich środków, jakie okażą się niezbędne - dodała. - Potem dzwonią do ciebie uczciwi agenci. Potem posyłają ci kwiaty. Potem zapraszają cię na lunch. Potem jeden podpisuje z tobą umowę. A potem ten agent, który nie zrobił nic ponadto, że zafundował ci spaghetti w bistro po niewłaściwej stronie La Brea, bierze dziesięć procent od twoich zarobków za pracę, którą załatwiłaś sobie przede wszystkim ty sama. To jest klasyczny paragraf 22.

Oparła głowę na rękach i ciężko westchnęła.

- Zobaczysz, że niedługo coś się wydarzy - zapewniłam ją.

- Coś mi mówi, że w tej chwili prędzej padnę trupem, niż dostanę przyzwoitą rolę.

Po prostu jestem zmęczona całym tym idiotyzmem...

- Brandi - potrząsnęłam ją za ramię, żeby przywołać ją do porządku - ty nie masz być taka. Ty masz mi dodawać odwagi, nie pamiętasz? A karty?

- Karty to taki sam idiotyzm.

- Nie mów tak - błagałam. Choćby dlatego tylko, że od kart zależało spełnienie moich marzeń. - Masz po prostu zły dzień. Będziesz miała okres.

- Masz rację. Przejdzie mi. - Brandi wyciągnęła puderniczkę i wraz ze szminką na jej wargi powrócił uśmiech. - Zawsze robię się płaczliwa przed okresem. A skoro już mowa o powodach do płaczu, to jutro musimy zapłacić za mieszkanie.

- W porządku. Spieniężę jeszcze parę czeków podróźnych - powiedziałam.

Ale kiedy znalazłam się wieczorem w moim pokoju, stwierdziłam, że ten miesiąc kosztował mnie znacznie drożej, niż myślałam. Zostało mi tylko dwa tysiące dolarów.

10

Tak więc, kiedy przezwyciężyłam moje wstępne złe wrażenie na temat Venice Beach i poczułam, że zdomowiłam się już

u Brandi i Grubego Joego, pojawiło się pierwsze poważne zmartwienie. Siedziałam na kanapie i wpatrywałam się z niedowierzaniem w moje ostatnie dwa tysiące dolarów w czekach podróżnych. Nie mogłam zrozumieć, jak zdołałam wydać pieniądze tak szybko. Przecież nie byłam aż tak lekkomyślna, prawda?

Moja szafa stanowiła jednak materiał dowodowy na coś wręcz przeciwnego. Była po brzegi wypchana nowymi ciuchami i różnymi duperelami. Kiedy przyjechałam do Ameryki, powiedziałam sobie, że potrzebne mi są nowe szmaty na przesłuchania, które zorganizuje mi Eunice ze swojego biura w Londynie. W tydzień później, kiedy stało się jasne, że Eunice nie potrafi zorganizować nawet ogniska w piekle, a co dopiero popchnąć naprzód mojej kariery, dla poprawienia nastroju zrobiłam sobie rundkę po sklepach.

Poza tym, rzecz jasna, były obligatoryjne prezenty dla siebie samej, których potrzebowałam w charakterze pocieszenia, ilekroć pomyślałam o Richardzie. Albo kiedy otrzymałam od kogoś z kraju e-maila, w którym nie było napisane: „Richard pytał o ciebie”. Albo: „Jennifer rzuciła Richarda”. A najlepiej: „Richard zdał sobie sprawę, jakim był idiotą, że cię rzucił, i skończył z Jennifer”.

W tym miesiącu potrzebowałam bardzo wiele pocieszenia... Pocieszenia, które przybrało kształt trzech par niemal identycznych czarnych atlasowych kłapek. Kłapek, w których nawet nie mogłam chodzić! Wszystko przez Grubego Joego, który zachęcał mnie do ich kupna. Nabyłam też trzy wzorzyste kostiumy bikini. Dwie pary nowych okularów słonecznych. Szminkę za trzydzieści dolarów... Co? Szminkę? Za trzydzieści dolarów?!!! To przecież prawie dwadzieścia funtów! Nic dziwnego, że pieniądze, które miały mi wystarczyć na co najmniej trzy miesiące, zostały wydane w niecałe cztery tygodnie. Żyłam w szampańskim stylu za piwne zarobki, jak często wymawiała mi matka... A teraz potrzebowałam pieniędzy, żeby za to zapłacić. I to szybko.

Ale przecież nie znajdę żadnej pracy. A przynajmniej sądziłam, że jej nie znajdę. Oficjalnie przyjechałam do Stanów jako turystka. Zaznaczyłam krzyżykiem rubrykę, która mówiła, że nie przyjeżdżam w celu szukania pracy. Nie miałam odpowiedniej wizy, a bez niej nikt mnie nie zatrudni. A przynajmniej nikt, kto szanuje prawo.

- W Ladyboys potrzebują więcej kelnerek - powiedział Gruby Joe, kiedy przy śniadaniu wtajemniczyłam go w moje trudne

położenie. - Antonio nie przejmuję się czymś takim jak wiza. Przyjął mnie do pracy, zanim jeszcze dostałem zieloną kartę.

- Ale Ladyboys? Czy nie trzeba... yyy... być jednym z was, żeby tam pracować? - spytałam.

- Nie - powiedział Joe. - Niektóre kelnerki tak naprawdę są normalnymi kobietami, tylko udają, że są mężczyznami, którzy udają, że są kobietami.

- Rozumiem - skinęłam głową.

- Mogę ci załatwić tę pracę. Będziesz idealna.

- Co? Masz na myśli, że wyglądam jak kobieta udająca mężczyznę, który udaje, że jest kobietą?

- Czasami - stwierdził Joe. - W sensie pozytywnym.

- Jaki, na litość boską, może być pozytywny sens w wyglądaniu jak kobieta udająca, że jest facetem w damskim przebraniu? O Boże, nic dziwnego, że nie dostaję tutaj żadnych ról... - Popatrzyłam na swoje dłonie. Czy są na tyle duże i owłosione, że mogą uchodzić za męskie? A prawda, zawsze nie cierpiałam moich kolan. Były za grube. - Mam męskie kolana, prawda?

- Wcale tak nie twierdzę. Chodzi o to, że... Słuchaj, chcę po prostu powiedzieć, że nie powinnaś się czuć urażona tym, że moim zdaniem mogłabyś pracować w Ladyboys. Wszyscy tam są piękni. Naprawdę piękni. Jak gejsze.

- Kto jest jak gejsza? - spytała Brandi, wchodząc do kuchni po krem nawilżający, który trzymała w lodówce. (Krem nawilżający Brandi był jedyną rzeczą trzymaną w lodówce, odkąd odkryłam w maselniczce karaluchy).

- Dziewczyny w Ladyboys - odparł Joe. - Zgadzasz się?

- Yyyy... Nieważne. - Brandi uniosła z dezaprobatą górną wargę.

Tyle potrzebowałam usłyszeć, żeby taktyka ograniczonych szkód zastosowana przez Grubego Joego spaliła na panewce. Gejsze? Kiedy Gruby Joe poszedł do pracy, przypominał gejszę mniej więcej w takim samym stopniu, co Lily Savage. Nie rozmawiałam z nim przez resztę dnia. Ale kiedy poszłam po południu przejść się plażą dla odświeżenia umysłu, musiałam przyznać, że byłam w kłopotach. Jeśli chciałam tu być choćby te trzy miesiące, na jakie pozwalała mi moja turystyczna wiza, potrzebowałam pracy.

Propozycja Grubego Joego, że wspomni o mnie w Ladyboys, to był jedyny trop w kwestii pracy, na jaki dotąd natrafiłam. Nie mogłam tak po prostu wejść do agencji zatrudnienia czy choćby

innego, ciekawszego baru... Wiedziałam, że żadna choćby odrobinę szacowna firma nie zechce ryzykować ciężkich kar pieniężnych za zatrudnianie nielegalnych imigrantów. Ale Ladyboys to nie była firma choćby odlegle szacowna. W każdym razie nie wyglądała na taką z zewnątrz, z ciężkimi metalowymi okiennicami, ozdobionymi wyborem nieprzyzwoitych słów wypisanych jaskrawym sprayem, przy czym wszy stkie z błędami ortograficznymi.

Usiadłam na piasku koło falochronu i jeszcze raz rozpatrzyłam opcje, jakie miałam do dyspozycji. Opcja pierwsza: nie dostaję pracy, wydaję w tydzień pieniądze i wracam do Solihull. Miesiąc w Los Angeles nie przybliżył mnie ani trochę do tego nieuchwytnego aktorstwa. Zero przesłuchań, choć starałam się jak mogłam. Żaden z kontaktów Mary nie wypalił. Nikt nie zadzwonił z konkretną propozycją. Były tylko mętne obietnice umówienia się na lunch i było prawdopodobne, że jedyny przypadek pojawienia mojej osoby na ekranie to będzie strona internetowa dla koprofilów. Nie udało mi się jak dotąd w Hollywood, jak by nie patrzeć... Jesień zbliżała się szybkimi krokami. Jeśli wrócę wystarczająco wcześnie do Anglii, może Eunice zdoła załatwić mi jakąś pantomimę na sezon zimowy? I czy w Solihull naprawdę jest tak okropnie?

Patrzyłam na sufringowca, który wdrapywał się na deskę, gotów złapać następną falę. To było to, co ludzie robili w Los Angeles podczas lunchu... Gnali na plażę i surfowali. W Solihull podczas lunchu można pognać jedynie do Marksa & Spencera - tylko po to, by stwierdzić - o ile człowiek nie miał dość rozumu, żeby kupić sobie lunch przed jedenastą- że z kanapek zostały tylko z jajkiem w majonezie albo ze specjalnością tego miesiąca - niepowtarzalną chrupiącą kaczka z zimną fasolą. Uśmiechnęłam się, przelotnie i cokolwiek gorzko, na myśl o dostaniu pracy w charakterze wynalazcy podobnie okropnych kanapek. Być może mogłabym zrównoważyć moją depresję z powodu konieczności powrotu do Birmingham, wymyślając jeszcze bardziej niezwykle kanapkowe kombinacje, które popsująby humor i innym.

W Solihull miałabym przynajmniej koło siebie rodzinę. Były w końcu w tym miesiącu sytuacje, kiedy brakowało mi mamy i ojca... W niedziele na przykład, kiedy siadałam do sałatki z kiełków fasoli, a Colin miał w tym czasie wcinąć maminą pieczeń.

A jeśli niedzielny lunch byłby niewystarczający, żeby utrzymać mnie w Solihull, mogłabym skoczyć w weekend do Londynu

i spędzić czas z Billem i Mary. Zawsze dobrze się czułam w ich towarzystwie. A gdyby okazali się nudni, była jeszcze Seema. Mogłybyśmy zrobić sobie damski wieczór i gdzieś wyskoczyć.

Prędko jednak wróciłam do rzeczywistości. Mama i ojciec zaczęły doprowadzać mnie do szału, zanim jeszcze wyjedziemy z lotniskowego parkingu. Bill i Mary - cóż, oni mają siebie. Są młodym małżeństwem. Nie potrzebują, żebym się im kręciła po domu... A Seema, choć bardzo miła, niewątpliwie skorzystałaby z damskiego wieczoru, żeby się puścić, i spokojnie zostawiłaby mnie własnemu losowi, a sama ścisłałaby się na tyłach jakiegoś pubu z tylko co zarwanym facetem.

Faktem było, że tak naprawdę nie miałam nikogo, do kogo chciałabym wracać.

Nikogo, czyja nieobecność w moim sercu nie mogłaby zostać uleczona trzylinijkowym e-mailem, który przypominał mi, jak bardzo ich wszystkich kocham - przypominając równocześnie, dlaczego mogę spędzić z rodzicami, z Billem i Mary czy z którąkolwiek inną z moich przyjaciółek góra trzy dni, bo natychmiast mam ochotę wsiadać w samolot i uciekać z kraju jeszcze raz.

Kiedy siedziałam tak na plaży i rozważałam wszystkie za i przeciw, miałam wrażenie, że osiągnęłam kulminacyjny punkt jakiejś mitycznej podróży. Równie łatwo było zawrócić, jak jechać dalej. Nie brakowało mi Solihull na tyle, by było oczywiste, że chcę wracać. Nie pokochałam Los Angeles na tyle, by to była tragedia, jeśli nie zostanę. A jednak... jeśli nie zostanę, to w jaki sposób miałyby się spełnić przepowiednia Brandi?

E tam! Spróbowałam odłożyć na bok tamten śmieszny plasterek na ranę i podejść do procesu podejmowania decyzji logicznie. Nie mogę uzależniać życiowych wyborów od talii kart... Zwłaszcza jeśli ten wybór dotyczy również Richarda. Richard nie był już elementem mojego życiowego równania. Musiałam planować przyszłość bez niego. A zatem... Oto realne fakty, które muszę przetrwać.

Wybór numer jeden: Solihull, West Midlands. Małomiasteczkowe piekło z lekką, ale niemal ciągłą mżawką. Wybór numer dwa: Venice Beach, Los Angeles. Nawet nazwa brzmi lepiej. Jasne, byli tu menele, spluwy i dragi, ale było też słońce, piasek i seksowni surferzy. Jazda na rolkach po promenadzie. Kąpiele słoneczne w ogrodzie. Bary Denny's. Naleśniki na śniadanie. Pełne witaminy C koktajle z jamba juice.

Wiem, że nie należy podejmować decyzji na głodniaka, ale naprawdę nie było żadnego porównania. Jedzenie było samo w sobie wystarczającym powodem do emigracji. Kolejną oczywistością. Musiałam zostać w Los Angeles. Pozostawało pytanie: czy aby móc żyć w słońcu, jestem gotowa pracować w charakterze kelnerki w barze, gdzie każdy będzie zakładał, że jestem mężczyzną przebranym za kobietę. Surfingowiec, którego obserwowałam, biegł teraz plażą z deską pod pachą.

- Cześć - powiedział z uśmiechem, który sam w sobie był jak słońce. - Jak leci?

- Już lepiej - odparłam.

Hm... Nawet lubiłam życzliwość tutejszych ludzi. W Sohhull czy Londynie jedynymi obcymi, którzy się do ciebie odzywali, były czubki. Typ odbiorców, którzy ślali mi pełne uwielbienia listy, gdyby Eunice załatwiła mi na sezon rolę girlsy w *Babes in the Wood*.

- Zostaję w LA - powiedziałam sobie. - Muszę.

Poszłam prosto do domu i poprosiłam Grubego Joego, by powiedział szefowi, że chciałabym przyjść wieczorem na rozmowę w sprawie pracy w Ladyboys. W charakterze gałązki oliwnej obiecałam nawet, że pomogę mu zapleść francuski warkocz w jego rudej peruce Joanny Boisvert.

- Tylko przysięgnij mi, że nie wyglądam jak facet - powiedziałam.

- Lizzie - powiedział Gruby Joe - wyglądasz jak brzoskwinia.

Co włożyć na rozmowę w sprawie pracy w charakterze kelnerki w barze, gdzie wszystkie dziewczyny udają facetów, udających, że są dziewczynami?

- Szorty - orzekł autorytatywnie Gruby Joe. - Antonio uwielbia szorty.

Miałam nadzieję, że powie „idź tak jak jesteś”. Ale nie. Podobnie jak w przypadku Brandi i jej podejścia do przesłuchań, Gruby Joe zapewnił mnie, że aby dobrze wypaść w tej rozmowie, trzeba lecieć po linii „tak jakby”.

- Tak jakbym już była dziewczyną udającą faceta, który udaje, że jest dziewczyną? - spytałam przygnębiona.

-No. Jak w *Zakochanym Szekspirze* - powiedział Joe. - Gwyneth Paltrow nie przyniosło to żadnej szkody.

- Wymówiłeś słowo na „g”! - krzyknęła Brandi, zasłaniając sobie uszy.

Nazwisko Gwyneth Paltrow było zakazane w domu na plaży. Podobnie jak nazwisko każdej, która całowała się z Benem Affleckiem, Bradem Pittem i Joem Fiennesem.

- Gwyneth, Gwyneth, Gwyneth - droczył się z nią Gruby Joe, podając mi strój, który według niego powinien zrobić wrażenie na jego szefie, Antonio.

- Kostium Gwyneth Paltrow nie odsłaniał jej pochwy! - zaprotestowałam, gdy po rozwinięciu zawiniątka ukazały się szorty tak krótkie, że gdybym wyszła w nich w Londynie, zamknęłaby mnie obyczajówka.

- Potrzebny ci jest Brazylijczyk, żebyś mogła się w nich pokazać - skrzywiła się Brandi.

- Brazylijczyk?

- Brazylijski wosk do depilacji. Wszystko widać - przyznała Brandi. - Czy mówiłam wam już o mojej koleżance Cynthii? Pozwoliła, żeby uczennica w salonie kosmetycznym wydepilowała jej linię bikini w ramach praktyki. Chciała zaoszczędzić trochę kasy... Zabrało ją pogotowie. Założyli jej dwadzieścia sześć szwów, straciła półtora litra krwi. Dotąd nie może nosić obcisłych dżinsów.

- Za dużo informacji! - oddałam szorty Joemu. - Chybabym umarła, dzięki.

- No to co w takim razie zamierzasz włożyć? - spytał zirytowany.

Pół godziny później stałam przed Ladyboys w spódniczce mini ze skóry leoparda, różowym obcisłym gorseciku, butach do kolan i śmiałej rudej peruczce z przebogatej kolekcji Brandi (doprawdy, ta dziewczyna miała więcej peruk niż cały zespół aktorski *Niebezpiecznych związków* razem wzięty). Wyglądałam, miałam nadzieję, troszkę jak Julia Roberts w *Pretty Woman*, zanim dostała kartę kredytową Richarda Gere'a i zaszalała u Freda Haymana.

A w każdym razie musiałam wyglądać, jakbym pracowała w tym samym zawodzie, co bohaterka Julii Roberts. Kiedy czekałam, aż szef Grubego Joego zaprosi mnie do środka na rozmowę, dwóch Latynosów w najbardziej poobtłukiwanym wozie, jaki widziałam w Los Angeles, zwolniło na mój widok.

- Chcesz zarobić?! - zawołał jeden z nich.

Moją ciętą zwięzłą odpowiedź w nienagannie literackim angielskim stłumił huk schodzącego do lądowania odrzutowca. Knajpa Ladyboys znajdowała się tuż przy końcu pasa startowego lotniska Los Angeles International. Ten przybytek nie spełniał żadnego z trzech punktów, powtarzanych jak mantra przez agentów nieruchomości: lokalizacja, lokalizacja, lokalizacja.

W ciągu następnych pięciu minut kolejne pięć razy spytano mnie, czy chcę zarobić. Byłam zmuszona stanąć twarzą do ściany, tak, by mijającym mnie kierowcom nie wydawało się, że szukam kontaktu wzrokowego. Niewątpliwie nie było to miejsce, które odwiedzaliby mężczyźni w rodzaju Hugh Granta... Kiedy szef Grubego Joego w końcu otworzył drzwi, byłam niemal wdzięczna, że mogę wejść do podejrzanego zatechłego wnętrza Ladyboys.

- Pewnie jesteś Lizzie - rzekł Antonio Sardi, zapraszającym gestem kładąc mi rękę na tyłku. Antonio Sardi, ubrany tak, jakby zszedł z planu *Starsky i Hutch*. Białe garnitur i lśniąca czarna koszula. Buty o wąskich wydłużonych noskach i kubańskich obcasach, które stukały głośno, gdy prowadził mnie przez parkiet do swojego kantorka.

- Joanna mówiła, że jesteś ładna - powiedział, krzywiąc się. - Ale skłamała.

- Super - mruknęłam. No tak... Facet, który sam wygląda jak zasuszona jaszczurka, mówi mi, że jestem zbyt odrażająca, żeby pracować w tej spelunie!

- Jesteś absolutnie piękna! - spuentował.

I ryknął śmiechem z własnego dowcipu. Wciąż lekko wystraszona po tym, co mnie spotkało, kiedy czekałam przed budynkiem, odpowiedziałam śmiechem lekko histerycznym. Antonio wskazał mi krzesło, a sam usiadł naprzeciwko. Nachylił się nad dzielącym nas stołem i utkwivszy we mnie pełen aprobaty wzrok, powiedział:

- Podobasz mi się, Lizzie. Naprawdę podoba mi się twój styl. - Skinął głową, tak jakby rozpoznawał kogoś równego sobie.

Nie powiedziałam ani słowa.

- I wiem, że i ja ci się spodobam - ciągnął przemądrzale. - Ja tu bardzo dbam o swoje dziewczyny w Ladyboys. To moja rodzina. Moi synowie i córki. Prawdziwej rodziny już nie mam, Lizzie. Co nie znaczy, że ich nie pomszczę któregoś dnia - dodał z niejaką pogrózką. - Ale jeśli przychodzisz pracować u Antonia, to będę

cię traktował jak swoją. Jak księżniczkę. Chcesz u mnie pracować, Lizzie? Chcesz pracować u wujka Antonia?

- Jeszcze nie wiem. A jak z płacą?-zaryzykowałam.

- Trzy dolary za godzinę i *pasta* gratis - powiedział szybko. -Ile tylko dasz radę zjeść przed zamknięciem klubu o trzeciej rano.

- Yyy... trzy dolary? - spytałam z niedowierzaniem. - Czy to nie jest troszkę mniej niż płaca minimalna?

- Lizzie, złotko - uśmiechnął się Antonio - dla dziewczyny bez pozwolenia na pracę trzy dolary i protekcja wujka Antonia to kolosalne pieniądze w tym mieście.

- Rozumiem - skinęłam głową.

- Będziesz dostawała napiwki.

- Super. To zmienia sytuację - westchnęłam.

Napiwki... Przypomniała mi się moja praca w charakterze kelnerki w bistro Harvester w Solihull, gdzie największy napiwek, jaki dostałam, to była garść szrapneli od chłopaków, którzy wrócili właśnie z Teneryfy, i sugestia, żebym związała swoje długie włosy, tak bym widziała drogę, kiedy niosę z kuchni talerze. Drugi, znacznie bardziej użyteczny napiwek był od klienta, któremu wylałam talerz zupy pomidorowej na jego podrabiany garnitur od Armaniego. Mimo że tak naprawdę potknęłam się o niedbale ciśniętą na podłogę wypchaną torbę od Hermesa jego głupiej panny, musiałam oczywiście zapłacić za czyszczenie garnituru, co wyniosło więcej niż mój zarobek. Po tego rodzaju doświadczeniach zapewnienia Antonia, że jeśli podejmę u niego pracę, będę dostawać napiwki, niespecjalnie mnie pocieszyło.

- Nie wiem... - zaczęłam.

- W porządku. Trzy dwadzieścia pięć - powiedział natychmiast Antonio.

- Cztery dolary? - spróbowałam.

- Chcesz, żebym zbankrutował? Trzy pięćdziesiąt.

Trzy pięćdziesiąt? To wciąż było tylko ciut więcej niż dwa funty. Będę musiała pracować dwadzieścia cztery godziny dziennie, żeby zarobić na przejazd autobusem, pomyślałam z gniewem. Ale czy mogłam sobie pozwolić na dumę?

- No dobra - powiedział Antonio, czując, że mięknę - dostaniesz trzy siedemdziesiąt pięć i niech moje dzieci głodują.

- Zdawało mi się, że nie ma pan dzieci - zauważyłam,

- Złapałaś mnie - wyszczerzył zęby. - Lubię bystre dziewczyny. To co, przychodzisz pracować do wujka Antonia? Moja

pasta warta jest dodatkowe dziesięć baksów dziennie. Ukląkłbym przed tobą, gdyby nie moja stara rana. - Puścił do mnie oko.

- No dobrze - wyszczerzyłam zęby i ja. Jaki miałam wybór? Nawet trzy siedemdziesiąt pięć za godzinę pozwoli mi przebywać odrobinę dłużej z dala od Solihull, a posiłek gratis pod koniec zmiany pozwoli mi uniknąć wydania zarobionych pieniędzy na jedzenie.

- Podejmujesz mądrą decyzję - powiedział Antonio. - Od kiedy chcesz zacząć?

- A od kiedy pan chce, żebym zaczęła?

- Dobra odpowiedź. Dziś wieczorem? - zaproponował. - Davina właśnie zadzwoniła, że źle się czuje. Znowu... Zaczyna regularnie chorować co poniedziałek. Będę musiał złożyć jej wizytę i zobaczyć, co się dzieje. Nie lubię, kiedy moje dziewczyny chorują.

- Jasne.

Choć Antonio zapewniał mnie, że traktuje „swoje dziewczyny” jak rodzinę, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jego wizyta przy łożu boleści nie będzie wizytą dobrego wujaszka.

- Umiesz tańczyć? - spytał następnie Antonio.

- Tańczyć? Jasne. O jaki taniec chodzi? - zaczęłam i w tym momencie spostrzegłam lśniącą rurę do striptizu pośrodku parkietu. - Chyba nie ma pan na myśli... - Wskazałam rurę ruchem głowy.

- Możesz się nad tym zastanowić - rzekł Antonio. - Zarobiłabyś dwa razy więcej, jakbyś się okazała dobra, i mogłabyś wybierać własne piosenki. W porządku, Lizzie. Otwieramy za dziesięć minut. Na dziś wystarczy to, co masz na sobie, ale na przyszłość musisz bardziej odsłonić nogi. Masz jakieś szorty?

Pokręciłam głową.

- To kup. I jeszcze jedno.

- Co?

- To - wskazał brodą moje piersi. - Prawdziwe?

11

Błyskawiczny kurs kelnerowania w Ladyboys, jakiego udzieliła mi dwumetrowa dziewczyna imieniem Atalanta („To rzymska

bogini sportu, nie wiedziałaś?"), ujawnił, że w klubie obowiązuje więcej przepisów i zasad etykiety niż w rezydencji Hugh Hefnera, czy nawet w pałacu Buckingham.

- Nie musimy chyba nosić króliczych ogonków, co? - spytałam przerażona.

- Nie - odparła Atalanta. - To zależy od ciebie. Ale Antonio lubi, jak wtykamy rachunek w przedziałek i nachylamy się o, w ten sposób, tak żeby klient mógł go wyjąć, jak zechce.

- Co?

Atalanta wetknęła skrawek papieru za rąbek swojego przyozdobionego cekinami gorsetu i odchyliła się do tyłu tak, że niemal zrobiła mostek.

- To daje większe napiwki - zapewniła, wracając do pozycji wyprostowanej tak lekko, jakby wyczyniała podobne wygibasy od niemowlęctwa.

- No pewnie - powiedziałam, myśląc o moich własnych plecach. Niewątpliwie trzaśnie mi kręgosłup, jeśli spróbuję tylko dotknąć palców u nóg. - A o ile większe?

- Wczoraj wieczorem - szepnęła Atalanta - przyniosłam do domu tyle, że wystarczy mi na sfinansowanie ostatniego stadium mojej operacji.

- Jakiej operacji? - spytałam naiwnie.

- Tysiąc pięćset dolarów. Wystarczy, żeby skończyć... - Atalanta wskazała wstydliwie na własne krocze.

- Ach.

Byłam zaszokowana. Ale jeszcze bardziej zszokowała mnie wielkość jej napiwków. Tysiąc pięćset dolarów! W lokalu tak podłym, że tancerze musieli wkładać monetę do grającej szafy, żeby włączyć muzykę, zanim podeszli do rury? To nie trzymało się kupy.

- I wszystko od jednego stolika - ciągnęła Atalanta. - Może Ladyboys na to nie wygląda, ale możesz mi wierzyć, to jest legendarne miejsce. Oni wszyscy tu przychodzą. - I konfidencjonalnym szeptem wymieniła listę hollywoodzkich sław, od której opadła mi szczeka. Zamrugalam. - Przysięgam ci, Lizzie, „National Inquirer” zapłaciłby mi sto razy tyle, co dostałam w napiwkach, byle usłyszeć historie, jakie mi tu opowiadają.

- To czemu im po prostu nie opowiesz i nie pójdziesz na emeryturę?

- Myślisz, że Antonio ma ten włoski akcent dla efektu? - odparła znacząco Atalanta.

- Wiesz, to jest *made man* - dodała. - Jak w *Ojcu chrzestnym*.

- Rozumiem.

A więc na to mi przyszło. Miałam zacząć pracę w nocnym klubie dla transwestytów, którego szefem był mafioso. Mafioso, który strzegł prywatności swoich bogatych i niesławnych klientów za pomocą groźby betonowych obcasów i upadku z falochronu w Dockweiler Beach (na której to plaży, do waszej wiadomości, morze wyrzuca rocznie na brzeg więcej trupów, niż na jakiegokolwiek innej plaży na świecie).

Oto jak kończą dziewczynki, kiedy są niegrzeczne, powiedziałam sobie, rozważając zyski finansowe, o których wspomniała Atalanta, i potencjalne niebezpieczeństwa pracy dla mafii. Zupełnie jakbym zastanawiała się, czy pracować w soboty u Marksa i Sparksa, czy lepiej zostać w domu i oglądać Zoe Bali i Jamiego Theakstona.

Tysiąc pięćset dolarów to była kupa pieniędzy dla każdego. To chyba jasne, że nie zarobiła tego tylko za obsługę kelnerską? Jediną drobną pociechą było to, że jak zapewniła mnie Atalanta, przynajmniej policja nie będzie sprawdzać legalności mojego zatrudnienia. Antonio miał umowę z chłopakami w czarnych mundurach, którzy patrolowali ten sektor, co oznaczało, że przymykano oko zarówno na pozwolenie na pracę, jak i na palenie.

- O wiele trudniej było ich skłonić, żeby zgodzili się ze mną w sprawie palenia - powiedział mi później Antonio.

- Nie myślałam, że w ogóle ktoś jeszcze pali w Los Angeles - zauważyłam. - Nie do wiary, jak trudno w tym mieście znaleźć kogoś, kto kopsnie ci szluga.

Antonio spojrzał na mnie tak, jakbym powiedziała właśnie, że trudno mi skłonić jakiegokolwiek geja w Kalifornii, żeby odbył ze mną stosunek analny.

- Miałam na myśli, pożyczysz papierosa - poprawił się szybko.

- Musisz nauczyć się mówić poprawnie po angielsku - powiedział mój nowy szef. Na pięć minut przed otwarciem baru znajdowałam się w toalecie, gdzie przyklejałam sobie zapasowe sztuczne rzęsy Atalanty.

- Dla ciebie będą te subtelne - powiedziała. Były lśniące, w kolorze neonowego różu. Wyglądałam w nich, jakbym dostała zapalenia spojówek.

Czułabym się trochę pewniej, gdyby pod ręką był Gruby Joe, z którym mogłabym pogadać, ale Joanna Boisvert miała tego wieczoru gościnny występ na przedślubnym przyjęciu w Long Beach. Byłam zdana na siebie.

Traktuj to jak każde inne zadanie aktorskie, powiedziałam do mego nieco zdenerwowanego odbicia w lustrze. W tym momencie dźgnęłam się znowu w oko i musiałam jeszcze raz narysować kreskę eyelinerem. Wychodzisz na scenę, włączasz rolę. Schodzisz ze sceny, wyłączasz.

W jaki sposób rola kelnerki w barze dla transwestytów mogłaby stanowić problem dla dziewczyny, która przez ponad rok odgrywała tak ambitne role, jak „patyk” czy „kamień” w pierwszorzędnej szkole aktorskiej w Londynie? Za mój „kamień” dostałam najlepszy stopień na roku. „Kwarc wciśnięty pomiędzy dwie bryły granitu”, nazwałam tę etiudę. Po prostu siedziałam bez ruchu i wykrzywiałam się.

Nic z tego. Nawet myśl o tym, jakie wrażenie robiła na wykładowcach ze szkoły dramatycznej moja umiejętność improwizacji, nie uchroniła mnie od motylków w żołądku, kiedy wychodziłam tego wieczoru z łazienki w ladyboyowskich regaliach. Dostrzegając natychmiast moje zdenerwowanie, Atalanta ścisnęła mnie za ramię i cmoknęła soczyście w policzek.

- Wyglądasz świetnie. Padną na twój widok, zobaczysz. Nie uwierzyłam jej. Świetnie? Atalanta w srebrzystej minis-

kience wyglądała jak bogini, po której nosiła imię, aleja? W rzeczach Grubego Joego, w peruce Brandi i w makijażu wykonanym pożyczonymi kosmetykami, które tak doskonale pasowały do lśniącej czarnej skóry Atalanty, wyglądałam jak dziewczynka, która podkradła szminkę matce.

- Czy ty też tak się bałaś na początku? - spytałam.

- Klienci bali się mnie bardziej niż ja ich - mruknęła. Nic dziwnego. Kto by się nie przestraszył na widok skrzyżowania Oprah Winphrey z Barbie? - Wszystko będzie dobrze, Lizzie - dodała.

- Będę beznadziejna.

- Zrobisz furorę!

Atalanta miała rację, ta pierwsza noc rzeczywiście nie była taka zła. Poza wszystkim, był to poniedziałek. W poniedziałki nigdy nie było zbyt dużego ruchu, zgodnie z tym, co mówiły inne

„dziewczyny”, które miały zmianę tej nocy. A ja dostałam na początek najłatwiejsze stoliki. Stolik numer sześć i numer jedenaście, odpowiednio tuż przy barze i przy drzwiach do kuchni, tak że nie musiałam nosić niczego zbyt daleko na moich pożyczonych wysokich obcasach. Poza tym Antonio sam wybierał mi klientów. Kiedy pojawiło się trzech wiekowych mężczyzn, wyglądających, jakby groził im atak serca, gdyby zobaczyli, co mają niektóre „kelnerki” pod swoimi efektownymi uniformami, Antonio skierował ich prosto do mnie. Starcy sprawiali wrażenie cokolwiek oszołomionych całokształtem wrażeń związanych z wizytą w Ladyboys. Tłumaczyli, że przyjechali do LA na spotkanie absolwentów szkoły średniej i ostatni raz byli w klubie w latach pięćdziesiątych. Wtedy było to jednak po prostu miejsce, gdzie przychodziło się pograć w polo, a mężczyźni za barem to byli realni mężczyźni w realnych męskich strojach.

Pomimo że moi pierwsi klienci byli zaszokowani, iż Ladyboys przekształciło się w najmodniejszy nocny klub dla nowych dewiantów, zdecydowali pozostać tu przez jakiś czas. I byli kochani. Rycerscy - nawet dla dziewczyny, której wygląd bynajmniej nie sugerował, iż zasługuje na rycerskość, pomyślałam, kiedy uchwyciłam przelotnie mój obraz w lustrzanych płytkach za barem. Wyglądałam jak nieprawe dziecko Bananaramy.

Z góry usprawiedliwiłam się, że jestem nowa, ale byłam zaskoczona, że tak szybko nauczyłam się żonglować trzema talerzami i przechodzić przez podwójne drzwi do kuchni tyłkiem naprzód. Nie rozlałam żadnego drinka. Zdołałam nawet otworzyć butelkę szampana, bez konieczności uciekania się do pomocy kogoś o większych mięśniach.

Kiedy jednak starcy skończyli posiłek, złamałam obowiązującą w Ladyboys zasadę i podałam im rachunek zwyczajnie, za pomocą ręki, a nie wtykając go w przedziałek. Co było najwyraźniej słuszne, skoro jeden z nich, wręczając mi napiwek, powiedział, że przypominam mu jego wnuczkę.

Mój następny stolik też miał zaskakująco dobre maniery. Antonio podesłał mi dwóch miniaturowych japońskich biznesmenów, którzy wstąpili do Ladyboys, bo był to najbliższy bar po drodze z ich hotelu na lotnisku. A przynajmniej tak mówili... Szybko przekonałam się, że każdy miał jakąś wymówkę, że odwiedza bar dla transwestytów. Nikt się nie przyznawał, że był ciekawy, jak jest w środku.

Nawiasem mówiąc, Japończycy byli zbyt mali, by mogli sprawić mi jakikolwiek kłopot. Po trzech naparstkach whisky rozwalili się na krzesłach niczym dwaj uczniowie, którzy po raz pierwszy dostali się do pubu, pokazując cudze dowody osobiste. Kiedy jeden z nich spróbował złapać za tyłek Atalantę, przechodzącą obok dumnie niczym Naomi Campbell, która ma wychodne, spadł z krzesła i leżał, chichocząc, dobre dziesięć minut, zanim pozbierał się na tyle, że był w stanie się podnieść. Ja też nie mogłam powstrzymać się od chichotu, kiedy patrzyłam, jak jego towarzysz usiłuje ze śmiechem postawić go na nogi. Wciąż się kłaniali i powtarzali „Baldzo pseplasam”, kiedy, korzystając z okazji, zaglądali pod krótką spódniczkę przechodzącej Atalanty. Nie miała nic przeciwko temu, skoro za każdym razem wciskali jej banknoty za podwiązki.

- Jak się bawisz? - pytała za każdym razem, kiedy mijałyśmy się w kuchennych drzwiach.

- Nawet nieźle - byłam w stanie przyznać po paru godzinach. I rzeczywiście tak było.

- Niech ci się nie wydaje, że te Japońce nie znają wartości pieniądza - zauważyła Atalanta, wyciągając banknoty zza podwiązek. - Najpierw wciskali mi po dolarze. Teraz ten maciupci wcisnął mi papierek studolarowy.

- Masz zamiar mu powiedzieć? - Sama wciąż musiałam odczytywać wartość każdego banknotu, choć każdy Amerykanin zapewniał mnie, że bardzo łatwo je rozróżnić. Wszystkie miały tę samą wielkość i kolor.

- A skąd - odparła Atalanta. - Jestem pewna, że zamierzał dać mi właśnie setkę. Nawiasem mówiąc, może się tak samo pomylić, kiedy będzie dawał napiwek tobie. Niestety, nie pomylił się. Niemniej kiedy po zakończeniu mojej pierwszej nocy w Ladyboys zbierałam się do domu, miałam przy sobie dwadzieścia dolarów od Antonia i pięćdziesiąt trzy dolary z napiwków. Całkiem przyjemna kasa... Rzecz jasna, daleko mi było do poziomu Atalanty, która w jedną noc zbierała równowartość ceny zabiegu w prywatnej klinice, ale i tak byłam przyjemnie zaskoczona. A właściwie to byłam nawet dumna, kiedy wciskałam do portfela moje nielegalne zyski i ściągałam ze swędzącej głowy perukę Brandi. Przetrwałam mój pierwszy wieczór w Ladyboys. Nikt się na mnie nie skarżył. Nie upuściłam ani jednego talerza. I jeśli w przyszłości nadal będę przynosić co noc do

domu ponad sześćdziesiąt baksów, będę mogła zostać w Los Angeles, jak długo zechcę. Żegnaj, Solihull.

Niestety, kiedy Atalanta podrzuciła mnie do Venice Beach, moje poczucie triumfu uleciało, a samoocena znów dała nura. Na kuchennym blacie czekał na mnie list z Anglii ze stemplem Solihull.

Szanowni Państwo - tak zaczynał się list od mojego ukochanego brata Colina. Był jedynym członkiem rodziny, który nie uległ presji internetu, choć pracował w telekomunikacji. W gruncie rzeczy był nawet dumny, że kiedy ktoś go prosi o adres e-mailowy, daje mu numer faksu. Colin wciąż był przekonany, że era e-maili wkrótce się skończy. A co by je miało zastąpić, pytałam często - nuklearne gołębie pocztowe?

No, ale dzięki temu, że uparcie pisywał staroświeckie listy i nigdy nie dzwonił na dużą odległość, mogłam przynajmniej przez niemal miesiąc uniknąć jego braterskiego molestowania. Nie miałam wątpliwości, że list zrekompensuje to zawiązką.

Czy zrezygnowałaś już z mrzonek o sławie? - pytał. - Jeśli nie, to może zechciałabyś przeczytać załączony wycinek. To fragment Wyroczni św. Ekspedyta. Całkiem interesujące. Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz.

Do listu przypięty był wycinek z gazety. O ile można traktować *Wyrocznię św.*

Ekspedyta jako gazetę... Była to darmowa broszurka wydawana cztery razy do roku przez lokalny kościół moich rodziców. Z zasady nigdy nie było w niej nic bardziej kontrowersyjnego niż wyniki konkursu plastycznego w szkółce niedzielnej czy nowy nietypowy przepis na ciasto.

Tym razem jednak ktoś najwyraźniej uznał, że trzeba *Wyroczni św. Ekspedyta* dodać trochę koksu za pomocą wyznań w stylu Ricky Lake. MIEJSCOWA DZIEWCZYNA SPOTYKA W LOS ANGELES PRAWDZIWEGO DIABŁA - głosił nagłówek. To było o Sandy Smith, która wydawała się stworzona na gwiazdę, odkąd w wieku dwunastu lat zagrała w kościelnym spektaklu *Ani z Zielonego Wzgórza*. Pamiętałam ją aż za dobrze... Dostała główną rolę, na którą miałam nadzieję ja. Rolę sierotki o włosach w kolorze marmolady z pomarańczy. Wszyscy wiedzieli, że mam sto razy lepszy głos niż Sandy Smith, ale zwyczajnie nie miałam odpowiednich włosów.

W każdym razie, żeby skrócić tę przydługą historię, Sandy zagrała następnie rolę jednej z siedmiu żon w kościelnym hicie

- inscenizacji *Siedmiu narzeczonych dla siedmiu braci*, po czym pojechała na wakacje do Los Angeles. Poszła do Disneylandu, ale spędziła popołudnie w Universal Studios. Zaraziła się gorączką Hollywoodu i pomyślała, że zostanie i zobaczy, czy da sobie radę jako aktorka w Krainie Snów. Skończyło się na tym, że po trzech tygodniach pracy w cocktail barze musiała wrócić do domu, i to tylko dzięki błyskawicznemu przekazowi pieniężnemu od jej wielebnego ojca, pastora metody styczego kościoła św. Ekspedyta.

To był tylko żart, że masz nie liczyć na nasze pieniądze, kiedy będziesz chciała wrócić - dopisał Colin maczkiem na wycinku. Gdy tylko będziesz miała dosyć, dzwoń. Sally mówi, że w jej biurze są szanse na pracę, gdybyś była zainteresowana.

Nie byłam.

Zgniotłam list w kulkę i cisnęłam do kosza na śmieci.

Jak będę miała dosyć? Jak on śmie? Nie miałam cienia wątpliwości, że to nie braterska troska powodowała Colinem, kiedy wkładał do koperty ten wycinek, i chciałabym móc go zignorować. Nieoczekiwanie jednak moje nowe zajęcie w Ladyboys przestało mi się wydawać aż tak wspaniałe... Czy nie idę przypadkiem tą samą drogą co Sandy Smith? Czy nie pocieszam sama siebie, że ktoś wpływowy dostrzeże mój aktorski talent - w tym mieście, gdzie każdy, od dumnego szefa sali w Sky Bardo zamiatacza ulic, który co wtorek zatrzymuje się na papierosa, kiedy mijamy go na chodniku, grał główną rolę w szkolnym przedstawieniu *Ani* albo *Olivera*, albo w łzawym *Dreamcoat*, i padł ofiarą dumnego stwierdzenia babci, że kiedyś i on będzie sławny? Jak długo zdołam podpierać podwójnie zaryglowane drzwi, które nie otworzyły się dla Sandy Smith?

- Spadaj, Colin - powiedziałam na głos. - Nie przekłujesz mojego balonika. Jeszcze nie teraz.

Miałam zamiar nadal podpierać drzwi.

Zasady Colina nie mają zastosowania do mnie, upominałam się. W świecie Colina każdy ma swoje miejsce, równie niewzruszone, co w hinduskim systemie kastowym. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by jakaś kobieta z Solihull została wielką aktorką, stwierdził. I stąd wyprowadzał wniosek, że nigdy nie zdarzy się to w przyszłości. Zawsze zdumiewało mnie, że Colin, który mógł rozwodzić się godzinami, że rodzina królewska to zwykły pasożyt na ciele proletariatu, a Izba Lordów dawno powinna zostać rozwiązana, równocześnie skłonny był stosować tak śmiesznie arbi-

tralne ograniczenia wobec własnego życia. I wobec innych osób ze swojego otoczenia.

Trzeba zlikwidować system klasowy, mówił z ustami pełnymi tłuczonych kartofli podczas lunchu. Wieczorem, z ustami pełnymi legendarnego czekoladowego ciasta mamy, rozprawiał o „ludziach takich jak my” i tłumaczył, dlaczego my, skromni Jordanowie, nie mamy co marzyć, by stać się kimś więcej niż biurową siłą roboczą. Nasze przeznaczenie to być przeciętnym. Spróbuj uciec, a zmiążdżą cię - takie było motto Colina. A tak naprawdę, to właśnie twoi bliscy tylko czekali, żeby cię zmiążdżyć... Nie było sensu próbować zwrócić mu uwagę na oczy wistą sprzeczność w jego przekonaniach. Miałam potąd tłumaczenia mu tego w teorii. Musiałam po prostu dostarczyć mu przykładu.

Mój papierowy pocisk nie trafił do kosza. Podniosłam go i rozprostowałam na kuchennym stole, by rzucić nań okiem jeszcze raz, zanim pošlę list Colina jak należy do śmieci. Z listu wyjrzała ku mnie ponuro Sandy Smith, ostrzegając inne porządne córki z Solihull, żeby nie dały się nabrać na złudne obietnice Los Angeles. „Diabeł czyha na każdym rogu”, cytowano jej stwierdzenie niczym porzekadło. Mogą nawet próbować wciągnąć cię w prostytutkę *via* coś, co na pozór jest zwykłym kelnerowaniem... Jest szczęśliwa, że znowu pracuje w parafialnym biurze, jak dawniej.

- Aleja nie jestem tobą, Sandy Smith - powiedziałam. - Ja to ja.

Cholerny Colin... Pomimo wysiłków, żeby zignorować wszystko to, co napisał, czułam się po jego liście taka słaba. I znowu wróciłam myślą do wszystkiego, od czego musiałam uciekać. Do wszystkiego i wszystkich. Do Richarda.

Richard. Znowu. Dlaczego nie potrafię nie myśleć o nim dłużej niż dwie minuty? Zaczęłam się zastanawiać, co on tam robi w Tufnell Park. Gdzie teraz jest? Tam u nich jest najwyżej pierwsza po południu. Czy kładzie w swojej pracowni ostatnie smugi farby, wykańczając jakieś arcydzieło? A może jeszcze jest w łóżku? Serce ścisnęło mi się na myśl o kobiecie, która dzieli z nim łóżko. Nie, powiedziałam sobie, on zawsze wyskakiwał z łóżka wcześniej rano.

Kiedy zaczął cię unikać, przypomniało mi moje serce. Kiedy zaczęliśmy się spotykać z Richardem, spędzaliśmy razem w łóżku

tyle czasu, że cud, iż nie dostaliśmy odleżyn... Zdarzało się, że przez cały weekend żadne z nas nie oglądało słońca. Wstawaliśmy tylko po to, żeby pójść do toalety albo otworzyć dostawcy curry.

Czy od naszego rozstania spędził każdą sobotę w łóżku z Jennifer? Jakie były ich szeptane rozmowy pod kołdrą? Czy zlizywał jogurt z jej brzucha?

Grrrr.

Jak ja bym chciała, żeby mój mózg funkcjonował jak twardy dysk w komputerze...

Jak ja bym chciała móc zaznaczyć plik z napisem „Richard” i nacisnąć klawisz „delete”. Ból nie zmalął ani odrobinę, choć spędziłam miesiąc w słońcu. Choć minęły dwa miesiące od dnia P (P od porzucenia). Na myśl o Richardzie wciąż miałam ochotę odsunąć talerz z nietkniętym jedzeniem, położyć się na zasłanym łóżku i dniami, i nocami kontemplować sufit.

Głupie karty Brandi wcale mi nie pomogły. To, że pozwoliłam sobie na krótki moment fantazjowania, że w jakiś sposób znów będziemy razem, było jak zdrapywanie strupa. W danej chwili było przyjemne, ale jak mawia moja matka, zdrapany strup zostawia większe blizny. Powinnam pozwolić, żeby wszystkie myśli, które dotyczyły Richarda Adamsa, odpłynęły ode mnie jak napęczniony helem balon. Kiedy usiłuję czepiać się go w ten sposób, osiągam tylko tyle, że nitka, którą ściskam tak desperacko, wrzyna mi się w dłoń do krwi.

Położyłam się do łóżka (dokonawszy wpieryw eksmisji karalucha, który uważał, że przysługuje mu prawo pierwszeństwa na mojej poduszce; karalucha tak wielkiego, że naprawdę miał twarz) i leżałam po ciemku, wpatrując się w nieczynny wentylator na suficie. W górze leniwie krążył policyjny helikopter; od czasu do czasu wpadał do mojego pokoju tak silny promień jego światła patrolowego, że robiło się jasno jak w dzień. Czułam się zmęczona. Ale nie dlatego, że byłam cały dzień na nogach, w szpilkach, i że była to pierwsza noc mojej pracy w Ladyboys. Czułam się zmęczona na duchu.

Chodziło o to, że po raz pierwszy w życiu próbowałam ścigać moje marzenie naprawdę sama. Rodzina uważała, że nie postępuję słusznie - to wynikało jasno z ostatniej epistoły Colina. Chcieli, żebym wróciła do Solihull, podjęła odpowiednią pracę, wyszła za męża, zapewniła sobie szczęśliwą (w ich pojęciu), normalną przyszłość. Przyjaciele - najbliżsi moi przyjaciele, Mary i Bill - znaj-

dowali się ponad osiem tysięcy kilometrów stąd i nie byłoby w porządku z mojej strony, gdybym zakłócała ich błogie życie świeżo poślubionych małżonków jakimiś jęklivymi transatlantyckimi telefonami. A największa, najbardziej oczywista dziura w moim życiu, to nadal była dziura spowodowana nieobecnością Richarda.

W przeszłości, kiedy byłam sfrustrowaną pomocą biurową, która usiłowała dostać się do szkoły aktorskiej, to właśnie Richard był moją ucieczką, gdy moje marzenia zaczynały wyglądać na niemożliwe do spełnienia. Kiedy wracałam do domu z rozmaitych okropnych biur, w których pracowałam, i skarżyłam się, że życie jest niesprawiedliwe, że nigdy nie dostanę się do szkoły, bo nie pochodzę z właściwej rodziny, nie mam dość pieniędzy czy nie znam właściwych osób, to Richard robił kolejne kubki podnoszącej na duchu herbaty i powtarzał, że powinnam nadal składać podania o przyjęcie albo przynajmniej nie wycofywać się z okropnego zespołu amatorskiego, do którego się zapisałam, po to, żeby mieć jakiś dorobek, gdyby doszło do przesłuchań. A kiedy w końcu dostałam się do szkoły, to Richard był pierwszą osobą, do której zadzwoniłam z tą fantastyczną nowiną. Kiedy wróciłam tego dnia z pracy, w kubku z lodem chłodził się szampan.

Jego wsparcie miało dla mnie ogromne znaczenie. Bez niego nigdy nie miałabym odwagi ani wytrwałości, żeby podążać za moim marzeniem z dzieciństwa.

- To nieprawda - powiedział do mnie w tamtym czasie. - Ja jestem tylko twoim kibicem, Lizzie. Wszystkie zasoby masz w sobie. I w końcu się one ujawnią.

Nie wierzyłam mu wtedy i nie wierzyłam teraz. Powiedziałam wówczas, że być może mam odrobinę talentu, ale ktoś musi we mnie wierzyć, żeby chciało mi się ruszyć tyłek. Mój sukces to był jeden procent talentu i dziewięćdziesiąt dziewięć procent chęci, by zrobić na nim wrażenie. Richard był moją motywacją. Bez niego marzenie stało się nagle puste. Ponieważ to on był moim marzeniem. Wszystko, co robiłam w ciągu ostatnich czterech lat, robiłam dla niego. Dla nas.

Jakie to dziwne, że nie ma go już w moim życiu... Nie mogłam uwierzyć, że nie wiem, co on robi w ten wczesny wtorkowy ranek (dla niego wtorkowe popołudnie). Przez prawie cztery lata każdego dnia wiedziałam, co jadł na śniadanie, w jakiej koszuli poszedł do pracowni, jaki program chce obejrzeć w telewizji, gdy wróci do domu, i co o nim myśli, kiedy już obejrzy.

A teraz umysł Richarda był dla mnie tak samo zamknięty, jak umysł każdego obcego, którego mijalam na ulicy. Nie wiedziałam, co myśli o nowym rosyjskim premierze. Nie wiedziałam, co myśli o piosenkach, które leciały w tej chwili w radiu. Nie wiedziałam, czy rzucił palenie. Czy poszedł do dentysty. Czy dzwonił do matki. Wszystkie te drobiazgi, które kiedyś dzielił ze mną z taką radością. .. Okazuje się, iż bardzo trudno jest przełknąć fakt, że choć on nadal wypełniał codziennie moje myśli, chyba że świadomie starałam się wyrzucić go z głowy, nucąc temat muzyczny z *Brookside*, ja nie byłam już częścią jego życia. Nie znałam już Richarda Adamsa.

A on nie wiedział, że właśnie w tej chwili wpatruję się w ob-łazącą farbę na suficie i ignorując odgłosy karaluchów objających się z lekkim stukotem o meble, wciąż marzę, by Richard wziął mnie w ramiona i uratował mnie raz jeszcze. Zabrał mnie stąd. Uratował mnie od własnego życia.

12

Tej nocy byłam bardzo biedna. Szlag by to, byłam bliska samobójstwa. Ale trudno być ponurym, kiedy świeci słońce, a skoro była to Kalifornia, to rano słońce oczywiście świeciło.

Po południu Brand i - w najlepszym swoim cheerleaderskim stylu - skakała po moim łóżku, dopóki nie zmusiła mnie, żebym wstała, i zaciągnęła mnie do Hollywood na wyprzedaż próbek wielkich projektantów. Wszystkie moje ciężko zapracowane pieniądze wydałam na buty do kolan, w których poczułam się, jakbym była na przesłuchaniu do wideoklipu Duran Duran około roku 1985. Kiedy włożyłam je w domu i stanęłam przed porządnym lustrem, byłam zmuszona spytać Brandi, czy naprawdę jest na mnie z jakiegoś powodu zła i zmusiła mnie do kupienia tych butów celowo, żebym wyglądała jak głupia.

- Jak ja bym mogła ci zrobić coś takiego?! - wykrzyknęła. -Wyglądasz jak milion dolarów.

No cóż, musiałam w każdym razie wyglądać przynajmniej jak sto, bo właśnie tyle dostałam napiwków, kiedy miałam na sobie te buty.

Tak, zdecydowałam, że zostanę w Ladyboys. Przedtem jednak zmyłam porządnie głowę sobie samej. Rozważyłam za i przeciw. I doszłam do wniosku, że być może Colin nie miał nic złego na myśli, przysyłając mi wycinek o tej okropnej Sandy Smith. Starał się mnie tylko uczciwie ostrzec i było to w pełni usprawiedliwione. Los Angeles było jak automat do gry; jeśli użyjesz właściwych dźwigni, rzeczywiście możesz dojść na szczyt bardzo szybko. Ale wystarczy jeden fałszywy ruch, a wypada się z gry.

Ktoś, kto patrzyłby na moje życie w Los Angeles, byłby w pełni usprawiedliwiony, gdyby uznał, że praca u Antonia to fałszywy krok. Ja jednak przekonałam siebie samą, że dopóki nie pozwolę, by stała się ona moim jedynym celem, postępuję słusznie.

Zdawałam sobie sprawę, że być może mówię jak ćpun po pierwszej działce, ale powiedziałam sobie, że nie ma nic złego w tym, iż ubieram się jak prostytutka i pracuję u mafioso, dopóki traktuję to jako środek do celu i jestem w stanie ocenić, kiedy cel się przybliży. Będę dobrą kelnerką. Będę dostawać solidne napiwki. I co najważniejsze, będę odkładać wszystkie zarobione pieniądze. A jeśli -w ciągu miesiąca nie dostanę się na przyzwoite przesłuchanie, to przed powrotem do Londynu zafunduję sobie za zaoszczędzoną kasę podróż dookoła Stanów.

Zauważcie, jak byłam zdeterminowana, by nie wracać do Solihull.

- Bardzo dobrze - orzekł Gruby Joe, kiedy opowiedziałam mu o moim planie. - Dostaniesz się na przesłuchanie w ciągu miesiąca, nie ma sprawy.

Cztery tygodnie później.

Zanim jeszcze przyszłam tego wieczoru do pracy, wiedziałam, że nie będzie to udana noc. Kiedy obudziłam się rano, stwierdziłam, że zaczął mi się okres, co wyjaśniało, dlaczego od paru dni wyglądałam jak słynna pizza Antonia. Odkrycie karalucha w jednym z butów też nie złagodziło mojego zespołu napięcia przedmiesiączkowego.

Kiedy ubierałam się na tę piątkową zmianę w Ladyboys w gorset i obcięte dzinsy, czułam się jak pilot myśliwca, który wkłada bojowy kombinezon. Piątkowa noc zawsze była najgorsza. Najruchliwsza i najgorsza, bo klub wypełniali wtedy pracownicy biur, którzy chcieli zaszaleć, żeby się zrelaksować po tygodniu pracy. Pili jak damska drużyna rugby na panińskim wieczorze w Dublinie

(to nawet gorsze niż męska drużyna rugby na kawalerskim wieczorze w Dublinie, jakbyście chcieli wiedzieć), bluzgali tak, że najtwardszy marynarz by się zarumienił, a na zakończenie zostawiali napiwki, które pasowałyby bardziej do brytyjskiego niż amerykańskiego baru. Nawet Atalanta, która była bez wątpienia najpopularniejszą *ladyboy* w Los Angeles, jęczała, że w piątkową noc rzadko udaje jej się dociągnąć do stu dolarów. Nawet jeśli tańczyła przy rurze. Nawet jeśli miała na sobie uszyty na specjalne zamówienie kostium Kleopatry z minispódniczką. Nawet jeśli do każdego kieliszka tequili proponowała gratis masaż gumowym wężykiem.

W piątkowe wieczory zbieraliśmy się przy barze niczym szwadron lotniczy przygotowujący się do walki, czekając, aż Antonio otworzy drzwi swojej uwielbiającej go publice. Wiedzieliśmy, że któreś z nas nie doczeka kolejnej nocy na iluminowanym parkiecie w stylu *Gorączki sobotniej nocy*. Antonio zawsze pozbywał się w piątki jednej osoby z zespołu. W zeszłym tygodniu był to Frederick/Frederika, który zaprotestował, kiedy agresywny klient usiłował wcisnąć mu napiwek w szczelinę w kostiumie w bardzo nieortodoksyjny sposób. Zdecydowałam, że jedynym sposobem na to, żeby przetrwać nadchodzącą noc, jest myślenie o jutrzejszym ranku.

Gruby Joe też marzył o jutrzejszym ranku. Miał tej nocy występ jako Joanna Boisvert, ponieważ Sasha Tristelle, która normalnie pracowała w weekendy, złamała sobie kolano, kiedy schodziła ze sceny na niebotycznej wysokości obcasach. Gruby Joe nie cierpiał śpiewać w piątek niemal tak samo, jak reszta z nas nie cierpiała obsługiwać w piątek gości. W przeciwieństwie do uprzejmej klienteli, jaka odwiedzała nas w dni powszednie i gotowa była oklaskiwać nawet beknięcie, piątkowi goście nie mieli najmniejszych oporów, by poinformować Joego, jak naprawdę wypadła jego interpretacja *I know him so well* z *Chess*.

- Słowo daję, że zejdem ze sceny, jeśli ktoś będzie choćby wyglądał, jakby miał zamiar zagwizdać - powiedział Joe.

- Jutro rano kupimy sobie naleśniki w International House of Pancakes - pocieszyłam go.

- Tak naprawdę nie powinienem - westchnął Joe. - Ale po piątkowej nocy w tym lokalu zasługuję na syrop klonowy.

Zgodziłam się z nim. Perspektywa wyprawy do najbliższego oddziału International House of Pancakes po piątkowej nocy na ringu była dla mnie niczym perspektywa obiadu u Ritza. Tego

wieczoru jednak nawet wizja wielkiego, grubego, ociekającego słodkim syropem naleśnika nie była w stanie mnie pocieszyć. Bo to była moja czwarta piątkowa noc w Ladyboys. Minał miesiąc. A ja nie dostałam się na żadne przesłuchanie.

Nic się nie wydarzyło. Dosłownie nic. Żeby choć jeden zakichany telefon...

Rozesłałam chyba z tuzin swoich kaset, a nikt nie zadzwonił choćby po to, żeby powiedzieć „dziękujemy, nie jesteśmy zainteresowani”. Wszyscy, do których dała mi kontakt Mary, najwyraźniej spakowali manatki i wyjechali na lato nad jezioro Tahoe. Bezużyteczna Eunice nigdy nie odpowiedziała na żaden z moich telefonów w porze, kiedy nie spałam i byłam w stanie je odebrać. Nie byłam ani o włos bliższa spełnienia mojego hollywoodzkiego snu, niż kiedy po raz pierwszy wypaplałam moje plany przed Colinem. . . Gwyneth Paltrow nie miała powodu, by trząść się w swojej garderobie.

Nikt, co prawda, nie prosił mnie również o spakowanie marzeń do walizki i opuszczenie kraju. Nie byłam wypraszana z miasta przez ludzi, którym się już udało. Wiedziałam jednak, że dotarłam do linii granicznej, którą sama sobie wyznaczyłam, me osiągnąwszy tego, co wydawało się takie proste. Złożyłam obietnicę sama sobie. Chybiłam celu i teraz miałam zabrać się stąd autobusem Greyhound.

A może powinnam dać sobie jeszcze jeden miesiąc?

Przez całe popołudnie zmagalam się z chęcią dania sobie taryfy ulgowej. A jeśli wyjadę, a w poniedziałek zadzwoni do mnie agent? A jeśli na sobotnim przyjęciu poznam najmodniejszego reżysera w mieście?

A jeśli nie poznam?

Zaledwie tydzień temu usłyszałam od jednej z dziewczyn w pracy okropną historię. Jej współlokator, Latynos, który przyjechał do Los Angeles, żeby grać, a skończył na podawaniu hamburgerów, został złapany na przekroczeniu terminu ważności wizy i odesłany z powrotem prościutko do Bilbao. Przekroczył trzymiesięczny czas pobytu zaledwie o tydzień, ale służby imigracyjne nie były specjalnie wyrozumiałe i w rezultacie wyglądało na to, że nigdy więcej nie będzie mógł przyjechać do Stanów.

Ja byłam w Ameryce prawie dwa i pół miesiąca. Czy nie powinnam zwinąć żagli, zanim i ja dostanę ohydny stempel w paszporcie?

Zdecydowałam, że powiem Antoniowi, iż po zakończeniu zmiany odchodzę.

- Czy panie są gotowe, by olśniewać?! - krzyknął Antonio. Przykleiłyśmy na twarze plastikowe uśmiechy. Antonio otworzył drzwi.

I w dwie minuty od otwarcia miałam trzy stoliki domagające się na gwałt obsługi.

Dwa z nich zajmowali sami faceci, zachowujący się względnie dobrze, jak na piątkową hołotę. Trzeci, jedena-stoosobowa grupa facetów i dziewczyn, nie wyglądał na całkiem bezproblemowy.

Gdybym miała czas zastanawiać się nad antropologicznym aspektem tego wieczoru, mogłabym uznać za interesujący fakt, że faceci przy mieszanym stoliku zachowywali się tak fatalnie właśnie dlatego, że byli w towarzystwie kobiet. To tyle, jeśli chodzi o łagodzący obyczajowy wpływ płci pięknej... Miałam wrażenie, że to właśnie obecność kobiet prowokowała mężczyzn do zaglądania przechodzącym kelnerkom pod spódnicę, żeby sprawdzić, czy dorównujątemu, co głosił szyld. Tak jakby znajdowanie się w mieszanej grupie dostarczało im pretekstu, by móc obmacywać transwestytów. Z pewnością nie mają żadnych gejowskich skłonności, skoro robią to na życzenie dam...

Co nie znaczy, że przy moim trzecim stoliku były tej nocy jakiegokolwiek damy.

Był jednak oczywisty prowodyr. Głupiek o marchewkowej czuprynie i efektownie zaokrąglonym brzuszku. Miał na sobie za ciasną koszulę, choć było jasne, że to nie dlatego, iż nie może sobie pozwolić na inną, bardziej odpowiednią. Przez całą noc podtykał mi pod nos pięćdziesięciodolarowe papierki. Tylko po to, żeby zapłacić dwadzieścia i zainkasować całą resztę do kieszeni, kiedy przynosiłam zamówione przez niego drinki.

W miarę jak upływała noc, coraz trudniej mi było uśmiechać się do jego spoconej, obleśnej gęby. Poszłam powiedzieć Grubemu Joemu, który w przerwach między śpiewaniem poszczególnych kawałków stał tej nocy za barem, żeby dla mieszanego stolika robił coraz słabsze koktajle. W tym momencie jedna z dziewczyn siedziała rudemu głupkowi na kolanach. On miał jedną rękę pod jej spódnicą, a w drugiej trzymał grube cygare i wykonywał nim sugestywne gesty w kierunku przechodzących kelnerek. Gdy zro-

bił świńską uwagę na temat prawdziwej orientacji przechodzącej właśnie Atalanty, dziewczyna na jego kolanach zachichotała.

- Mogłaby cię zjeść na śniadanie - powiedziała. I prawdopodobnie miała rację. Aczkolwiek, o ile się orientowałam, Atalanta wołała mniej otłuszczone mięsko. Klienci tacy jak ten rudy byli dla mnie tajemnicą. Nie rozumiałam, po co przychodzą do baru dla transwestytów, skoro przez cały wieczór tylko wrzeszczeli z udanym przerażeniem, ilekroć zbliżała się jakaś kelnerka. Pomyślałam, że tego typu gość na pewno chętnie byłby świadkiem egzekucji. Może to lata drwin, jakie znosił z powodu rudych włosów, wzbudziły w nim rozgoryczenie i chęć odwetu na innych wyrzutkach społeczeństwa? Był prowodyrem, to oczywiste. Wszyscy inni przy jego stoliku byli tam tylko po to, żeby śmiać się z jego dowcipów. On wodził rej. On nadawał ton. Inni go tylko naśladowali.

Stałam przy barze, zaciągając się naprędce mentolowym Atalanty i obserwując Grubego Joego, który znęcał się nad *Feelings*, kiedy rudy mnie zawołał.

- Hej, Angolka! - zawołał. Uważał, że to bardzo zabawne. Angolka... - Chodź no tutaj.

Zgasiłam peta i podeszłam. I tak nie cierpiałam mentolowych. Podeszłam do stołu rudego z uśmiechem typu „do usług”. Być miłym dla niektórych klientów Ladyboys, choć zdążyli już wyssać ze mnie do ostatniej kropli naturalną ludzką uprzejmość, to jeden z najtrudniejszych testów zdolności aktorskich, jakie kiedykolwiek przechodziłam.

- Czym mogę służyć? - spytałam.

- Zrobiliśmy z kolegami zakład. Tylko ty możesz rozstrzygnąć, kto wygrał.

- W jaki sposób? - spytałam naiwnie, sądząc, że poproszą mnie o wyjawienie, skąd pochodzę. Zaledwie wczoraj uroczy siwowłosy armator i jego przyjaciel bankier zakładali się, czy jestem z Anglii, czy z Australii.

- Wystarczy, że będziesz stała nieruchomo - powiedział rudy, spychając z kolan swoją wstawioną dziewczynę i dając mi gestem znak, żebym przed nim stanęła. - Tutaj. O tak. Wystarczy. - Po czym złapał mnie za piersi i ścisnął, jakby to były gruszki do klaksonu w starym typie samochodu.

- Co? O kurwa! Ona jest prawdziwa! - wykrzyknął na użytek swoich koleśków.

Przez moment, przez jeden bardzo krótki moment byłam sparaliżowana z upokorzenia. Mój promienny uśmiech momentalnie zniknął. Poczułam, jak całe ciało sztywnieje mi z gniewu. Krew uderzyła mi do głowy tak, że dosłownie widziałam na czerwono. I wtedy, gwałcąc zasadę Antonia „klient ma zawsze rację”, zgodnie z którą dziewczyny miały kategoryczny zakaz odwzajemniania się za podobne lekceważenie w granicach klubu (miałyśmy w każdej sytuacji zachowywać się jak damy i tylko dyskretnie raportować sprawę dyżurnemu menedżerowi, a Antonio posyłał później za skurczybykiem swojego człowieka na parking), schyliłam się, złapałam rudego za jaja i ścisnęłam tak mocno, że byłam pewna, iż nie będzie miał komu zostawić swojego majątku, chyba że zapisze je miejscowemu schronisku dla psów.

- Jak ci się to podoba? - spytałam, gniotąc w pięści jego jądra. - Tam, skąd pochodzę - wyrzuciłam z siebie - mężczyźni nie łapią kobiet za biust, o ile nie zafundowali im wcześniej obiadu. A nawet wtedy muszą najpierw zapytać o pozwolenie. Musisz poduczyć się właściwych manier.

Ścisnęłam i deklamowałam, dopóki wstępny okrzyk przerażenia rudego nie zmienił się w jęk. I dopóki Atalanta siłą mnie nie odciągnęła.

- Lizzie! - Atalanta była tak przerażona, że wróciła do swojego akcentu typowego dla piękności z Południa. Pomimo że pochodziła z Compton.

W klubie zapadła cisza. Monety wypadły z grającej szafy. Gruby Joe przestał mordować Barbrę Streisand. Angelica - blond kelnerka, która spełniała funkcję mechanika i nazywano ją Tommy - przestała robić wygibasy wokół rury. Dwieście par wystraszonych męskich oczu (i parę damskich) obserwowało mnie bacznie, zupełnie jakbym miała za chwilę zacząć w szale kastrować kogo popadnie za pomocą mojego podręcznego otwieracza do butelek „Przyjaciel kelnera”. Rudy ześliznął się z krzesła i padł, drżąc, na podłogę, niczym pozbawiona kręgosłupa kreatura, którą był. Nawet Gruby Joe, mój przyjaciel i współlokator, cofnął się niepewnie o krok, kiedy, próbując usprawiedliwić moje działanie, zwróciłam się do niego o wsparcie.

- Widziałeś, co mi zrobił! - krzyknęłam.

Antonio, zaalarmowany przez monitor w swoim kantorze, zmierzał już w moim kierunku.

- Szlag by to-mruknęłam.

Złamałam najważniejszą zasadę. A biorąc pod uwagę moje szczęście, na pewno złamałam ją na jajach jedyne go rudego faceta w mafii. Betonowe buty już na mnie czekały, byłam tego pewna. Pocięczałam się myślą, że tak czy owak zamierzałam tej nocy złożyć wymówienie.

Kiedy jednak Antonio w końcu się do mnie zbliżył, stwierdziłam ze zdumieniem i ulgą, że w oczach ma wyłącznie pogardę dla rudego. Stał nad powalonym ciałem mojego dręczyciela i spojrzał na niego niczym zwycięski gladiator.

- Wstawaj - powiedział, trącając rudzielca ostro zakończonym noskiem swojego buta Chelsea. -1 przeproś moją kelnerkę.

- Ona mnie złapała za jaja, człowieku! - zaprotestował rudy, dźwigając się na łokciu.

- Ale najpierw ty ją złapałeś za jej wspaniałe biust - rzekł Antonio. - Widziałem wszystko w moim kantorze. W Ladyboys nie zachowujemy się w ten sposób. Moje damy to prawdziwe damy. Musisz nauczyć się zachowywać jak dżentelmen.

- Dobrze mówi - zaryzykowała Atalanta lekki pomruk aplauzu, który szybko zamarł w pełnym niezdecydowania napięciu.

- Nie potrzebuję takich klientów w moim klubie - ciągnął Antonio. - Przychodzisz tu, błyskasz pieniędzmi i myślisz, że możesz za nie kupić wszystko, co zechcesz. No więc dowiedz się, że godność mojego zespołu jest warta więcej niż wszystko, co masz w swoim portfelu. I nie zapłacisz dziś za ich usługi dolarami.

Antonio złapał rudego za kołnierz i poprowadził w kierunku kuchni. Tuż przed drzwiami odwrócił się do pozostałych klientów.

- Chcę, żebyście wszyscy zobaczyli, co robi Antonio z ludźmi, którzy nie szanują jego dam.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, przez salę przebiegło westchnienie. Nikt się nie poruszył. Czekaliśmy na to, co wydawało się nieuniknione. Wszystkie kelnerki wiedziały, że w kuchni znajduje się gigantycznych rozmiarów totumfacki Antonia, Fabrizio, który doprawia pastę - doprawił jej już tyle za. swojej kadencji, że Arnie wyglądał przy nim jak wymoczek. Fabrizio niewątpliwie potrzebował trochę ruchu, ale przecież Antonio nie miał chyba zamiaru spuścić lania klientowi w zasięgu słuchu wszystkich obecnych w najruchliwszą noc tygodnia?

Wstrzymałam oddech i modliłam się. Jakkolwiek chciałam, żeby rudy głupol dostał, na co zasłużył, w żadnym razie nie zależało

mi, żebym musiała występować przed sądem jako świadek obrony w sprawie Antonia. Nie stało się nic aż tak poważnego... Nie zostałam okaleczona ani nic. Może wytargają faceta za uszy, miałam nadzieję. Może dostanie ustne ostrzeżenie. Pogrożkę...

Nagle wahadłowe drzwi otworzyły się gwałtownie. Do głównej sali wleciał z powrotem rudy i upadł na kolana. Jego przepocona sportowa kurtka zniknęła; zamiast niej miał na sobie fartuch. W prawym ręku trzymał zmywak do naczyń. Za nim ukazał się Antonio i stanąwszy nad rudym, przyłożył stopę do jego tłustego trzęsącego się tyłka.

- Mówi, że bardzo przeprasza was wszystkie - zwrócił się Antonio do swoich dam-
-1 mówi, że może wam to wynagrodzić tylko w ten sposób, że zastąpi was przy zmywaniu.

I tak się stało. Rudy spędził resztę wieczoru w kuchni. Od czasu do czasu groził, że odchodzi i że złoży pozew do sądu, ale wystarczyło, że spojrzał na niego Fabrizio, a zmieniał zdanie. Jego towarzystwo, z wyjątkiem jednego faceta i dziewczyny, która straciła całą swoją poprzednią butę, opuściło klub, jak tylko zaczęła się akcja upokarzania rudego. Biegiem.

Dopiero kiedy został wyszorowany ostatni garnek, pozwolono rudemu zdjąć fartuch. Ruszył gwałtownie do wyjścia, nie obejrawszy się ani razu na mnie ani na moje koleżanki. Jego łysy kolega i dziewczyna pobiegli za nim truchtem niczym dwa teriery.

- Do zobaczenia! - krzyknął Antonio za swoim najnowszym pomywaczem.

Wszyscy wiedzieliśmy, że nie musiał zakazywać mu wstępu do lokalu. Tamten na pewno nie miał zamiaru wracać.

- Bardzo przepraszam w jego imieniu - mruknęła do Antonia dziewczyna. - Był pijany. Normalnie się tak nie zachowuje.

- Jasne, jasne - Antonio odprawił ją ruchem dłoni. - Powinna pani poszukać sobie lepszych przyjaciół. Wszystko w porządku, Lizzie? - spytał, obejmując mnie ramieniem.

Pokiwałam głową.

- Czy nie mówiłem wam, że traktuję moje dziewczyny jak rodzinę? - przypomniał nam wszystkim. - Trzymajcie z wujkiem Antoniem, a będziecie bezpieczne.

Chociaż nieludzko zmęczone, pomyślałam z westchnieniem.

- W przyszły piątek dostajesz podwójną stawkę - dodał wesoło, uszczypnąwszy mnie w biały jak ściana policzek.

O nie... Potrząsnęłam głową. Nawet podwójna stawka nie skusi mnie teraz do wskoczenia w suknię-tubę w stylu Madonny i buty

w stylu Duran Duran. To moja ostatnia piątkowa noc w Ladyboys. Rudy i jego odrażający koleś przebrali miarękę. Nienawidzę pracy w tym klubie. Nie dostanę się do żadnego Hollywood. Jadę do domu, do Anglii. Przynajmniej nie będą mnie obmacywać pijane typy, jeśli będę pracowała jako urzędniczka.

- Antonio - zaczęłam. - Muszę ci o czymś powiedzieć.

- Chyba nie jesteś w ciąży? - spytał natychmiast. - Jeśli jesteś, nie będziesz mogła tu pracować.

- Nie - westchnęłam. W ciąży? Raczej mało prawdopodobne... Chyba że można zajść w ciążę, pożyczając szorty od transwestyty. - Nie spodziewam się dziecka, ale myślę, że przyszedł czas...

- Lizzie! - przerwała mi Atalanta. Biegła w naszym kierunku, ściskając w ręce wizytówkę. - Lizzie, patrz!

- Masz fana - powiedział Antonio i traktując pojawienie się Atalanty jako dogodny pretekst, wycofał się do kantoru, zanim zdążyłam mu powiedzieć, że chcę odejść.

- Lizzie, to nie do wiary. - Atalanta objęła mnie i uściśnęła z całej siły. - Spójrz no tylko na tę wizytówkę!

- Skąd ją masz?

- Była na stoliku rudego. Westchnęłam ciężko.

- Czy on chce, żebym posłała mu kwiaty do szpitala?

Byłam przyzwyczajona, że mężczyźni zostawiają mi na stole wizytówki, kiedy wychodzą. Każda z dziewczyn miała po zakończeniu zmiany przynajmniej ze dwie... Kiedy zaczynałam pracę, Atalanta poradziła mi, żebym przyjęła tę samą taktykę, którą stosuje jej przyjaciółka stewardesa. Jeśli dawał jej wizytówkę pasażer lecący pierwszą klasą, dzwoniła. Jeśli właściciel wizytówki leciał klasą biznesową, dzwoniła, o ile się jej podobał. Jeśli zaś dostawała wizytówkę od kogoś lecącego klasą ekonomiczną, prosiła koleżankę, żeby zadzwoniła do żony nieszczęsnego łamagi i powiedziała, że telefonuje z kliniki dentystycznej.

Rzecz jasna, klub nie był podzielony na klasy. Atalanta wymyśliła jednak własny system klas, bazujący na marce szampana, jaką zamawiał dany stolik. W lokalu były trzy rodzaje szampana - od doskonałego bollingera do pospolitego, sprzedawanego w supermarketach, który Antonio podrasowywał za pomocą etykietek LADYBOYS SPECIAL.

Czasami, kiedy miałyśmy wolne, Atalanta zapraszała nas na wspólne oglądanie *Thelmy i Louizy* na DVD. Robiłyśmy sobie nawzajem manicure i rujnowałyśmy życie durnym, spoconym biznesmenom, którzy zamawiali Ladyboys Special i dawali mikroskopijne napiwki, a mimo to ośmielali się zostawiać swoje karty wizytowe amazońskiej bogini kelnerek.

Tego wieczoru trudno by mi było nazwać któryś ze stolików stolikiem pierwszej klasy i nie byłam zachwycona tym, że któryś z odrażających koleśków rudego sypie pieprz na moje rany, sugerując, że moglibyśmy umówić się na randkę.

Kiedy Atalanta podała mi wizytówkę, byłam gotowa od razu ją podrzeć. Atalanta wyrwała mi ją z powrotem.

- Nie! - krzyknęła.

- Nie mam zamiaru dzwonić do żadnego typa, który włóczy się z tym dupkiem - powiedziałam zdecydowanie.

- No, myślę, że do tego mogłabyś zadzwonić. Ponownie wzięłam wizytówkę do ręki.

- Przyjemna - przyznałam, czując w palcach grubość karty. -I stylowa...

Karta miała kolor czystej bieli, a tekst był wytłoczony raczej niż wydrukowany, tak że w niewłaściwym oświetleniu wyglądała na pustą. Kiedy światło padło pod właściwym kątem, można było odczytać nad numerem telefonu nazwisko „Eryk Nordhoff”. Numer zaczynał się od 310. To był równoważnik londyńskiego numeru kierunkowego 0207 i synonim szacowności, jeśli nie wręcz wyższych sfer.

- Zobacz na odwrocie - powiedziała podekscytowana Atalanta.

Odwrociłam wizytówkę. Z drugiej strony Eryk Nordhoff napisał odręcznie, pięknym charakterem pisma i prawdziwym wiecznym piórem, a nie długopisem: *Niezły był dzisiejszy występ - proszę zadzwonić w sprawie swojej kariery.*

- O Jezu - jęknęłam. - My ślisz, że chce, żebym zagrała sa-dystkę na jakimś party w Beverly Hills?

- Lizzie! - pisnęła Atalanta. - Czy ty nie znasz tego nazwiska?

- Nie wydaje mi się. To jakiś aktor?

- Skąd. Aktor nie zaprosiłby cię, żebyś zadzwoniła do niego w sprawie swojej kariery. Aktor chciałby, żebyś zadzwoniła i posłuchała, co ma do powiedzenia o własnej karierze.

- No to nie mam pojęcia.

- Wiesz, tak myślałam, że to on, kiedy usiadł. Ale jest tylu facetów w Hollywood, którzy wyglądają tak jak on... No i tańczyłam jak ta idiotka przy rurze, a wizytówka dostała się tobie. Życie jest niesprawiedliwe...

- O co ci chodzi? Kto to jest? - spytałam rozdrażniona. Podeszli Angelica i Gruby Joe.

- On jest tutaj, o - Angelica wyjęła z torby egzemplarz „Hollywood Report”, Biblii kandydatów do Krainy Snów, i zaczęła gorączkowo przerzucać stronicę. Wreszcie znalazła. Położyła magazyn na blacie baru i triumfująco wskazała niewielkie, zamazane zdjęcie osobnika, w którym istotnie rozpoznałam faceta, czekającego tej nocy na rudego.

- No cóż - powiedziałam. Nie był to najbardziej efektowny z mężczyzn, którzy zostawiali mi wizytówki, odkąd zaczęłam pracować w Ladyboys. - Nie dość, że wykazał się złym smakiem, jeśli chodzi o dobór przyjaciół, to w dodatku sam wygląda jak ropucha. Nadal uważacie, że powinnam do niego zadzwonić?

- Złotko - Atalanta przewróciła oczami - zobacz, co tu jest napisane! Uważam, że powinnaś w tej chwili lecieć i zakładać obóz pod jego drzwiami. Ten facet to ostatnio najlepszy reżyser w Hollywood! Tak mówi Madonna.

- A wiemy, jaka wnikliwa jest Madonna, jeśli chodzi o dobór ambitnych ról - zauważył Gruby Joe.

- Jakie to ma znaczenie, czy rola jest ambitna! - wrzasnęła Atalanta. - Chodzi o to, żeby człowiek był utrwalony na taśmie. To jest to, Lizzie. To twoja szansa. - Zamachała mi kartą przed oczami. - Eryk Nordhoff chce z tobą pogadać na temat twojej kariery. Będziesz gwiazdą!

Usiadłam, lekko oszołomiona. Jak ktoś, kto wygrał na loterii i odkrył, że wygrana to nie głupie dwa tysiące funtów, jak się spodziewał, tylko sześć milionów. Ale kto to jest Eryk Nordhoff? Nigdy o nim nie słyszałam.

Atalanta zwołała inne dziewczyny. Wpatrywały się w kartę i gratulowały mi z mieszaniną autentycznej życzliwości i solidnej dozy zazdrości. Kiedy wiadomość dotarła do Antonia, zaproponował nawet, żebyśmy otworzyły butelkę szampana Ladyboys Special.

- Przecież on tylko poprosił mnie, żebym zadzwoniła - broniłam się.

- To jest właśnie początek. - Atalanta złapała mnie za rękę i popatrzyła mi w oczy. - Jak tylko przyszedłam dziś do pracy, od razu miałam przeczucie, że zdarzy się coś wspaniałego.

- Pobiłam się z gościem.

- I dzięki temu zostałam zauważona - przypomniała mi Atalanta. - Ja mam zdolności parapsychiczne, nie wiedziałaś o tym?

- Jak każdy w tym mieście.

- Lepiej nie zapominaj o mnie, kiedy już będziesz sławna - zignorowała moją uwagę Atalanta. - Mówię ci, Lizzie, to początek czegoś wielkiego.

- Wielkiego. Dobra - skinęłam głową. Jedyna wielka rzecz, jaką miałam tej nocy, to ból głowy.

Choć Eryk Nordhoff był zdaniem Madonny najlepszym reżyserem roku, lista jego prac nie była zbyt obszerna. W sobotę po południu wypożyczyłyśmy z Brandi i obejrzały kasetę z jego pierwszym i jedynym krótkometrażowym filmem, zatytułowanym *Damska toaleta*. Spodziewałyśmy się dzieła genialnego, ale film był po prostu nudny. Zaczęłyśmy się zastanawiać, czy przypadkiem Madonna i Atalanta nie ironizowały, kiedy pisały na widok nazwiska łysiejącego reżysera, w którego filmie bohaterka przez pół godziny siedzi, łkając, na desce klozetowej. I to wszystko.

Miałam już zamiar skreślić faceta ostatecznie (nieodpowiedni znajomi, nieciekawa twarz, niedobry film), gdy wtem Gruby Joe, który podczas co nudniejszych kawałków *Damskiej toalety* (około czterdzieści pięć minut na pięćdziesiąt całości) przerzucał gazetę, nagle zawołał podekscytowany:

- On organizuje casting do filmowej adaptacji *Opactwa Northanger*. Dostał kolosalną kasę. Gwyneth Paltrow i Renee Zellweger są gotowe zagrać główne role! Ale on szuka prawdziwej Angielki. To dlatego chce ciebie, Lizzie! Słyszał w klubie, jak mówisz.

- *Opactwo Northanger!*

O tym przynajmniej słyszałam... Pożyczyłyśmy z Brandi samochód od Grubego Joego i pojechałyśmy do księgarni Borders, żeby kupić egzemplarz tej powieści.

Wysłałam tego wieczoru parę podekscytowanych e-mailów. Pierwszy do Mary. Jeśli ktokolwiek mógł ocenić, czy warto się podniecać Erykiem Northoffem, to ona. Ja nie mogę! - przyszła odpowiedź w niedzielę rano. - Usiłuję się z nim spotkać od tygodni!

Musiałam do niej zadzwonić, kiedy dostałam tę wiadomość. Choćbym miała wyciągnąć ją z łóżka... Miałam prawo oczekiwać że będzie opryskliwa, ale Mary aż się trzęsała, żeby się dowiedzieć, jak poznałam człowieka, którego ona ściga po wszystkich festiwalach filmowych, od Cannes do Montrealu.

- W Londynie spotkał się tylko z Sadie i Jude - powiedziała z niedowierzaniem.

- Ale on nie nakręcił żadnego filmu oprócz tego okropnego kawałka o damskich toaletach!

- Masz na myśli ten okropny kawałek, który był nominowany do Złotej Palmy? -

przeciągnęła ironicznie Mary. - Lizzie, Stephen Soderbergh nazwał ten film przełomowym. Madonna chce zrobić jego remake, żeby mogła zagrać rolę płaczącej dziewczyny. Nie mogę uwierzyć, że on chce się z tobą spotkać - powiedziała.

Kładąc odrobinę za silny nacisk na słowie „z tobą”.

- A dlaczego miałby nie chcieć się ze mną spotkać? - warknęłam.

- Ojej, kochanie, ja nie podaję w wątpliwość twoich zdolności aktorskich - warknęła w odpowiedzi. - Problem w tym, że raczej nie należysz do osób o znanym nazwisku, prawda? Muszę przyznać, że jestem lekko oszołomiona. Może on woli pracować z nikim, żeby nie przyćmiewał geniuszu jego reżyserii? - zastanawiała się na głos.

- Dobra dobra, niedługo pobędę nikim - powiedziałam ze złością. - Może wtedy rozważysz możliwość reprezentowania mnie w Londynie, zamiast wciskać mi Bezużyteczną Eunice.

- Lizzie - westchnęła Mary - wiesz, że byłabym się rzuciła na szansę, żeby cię reprezentować. Po prostu nie sądziłam, żeby to był dobry pomysł - brudzić sobie ręce interesami, skoro przyjaźnimy się od tak dawna. To by nas mogło poróżnić.

- Doskonała wymówka - odcięłam się. I tak byłyśmy o włos od poróżnienia się.

- Niemniej chętnie przejrzę każdy kontrakt, jaki wynegocjujesz z Erykiem - spróbowała Mary.

- Robisz coś ciekawego w przyszłym tygodniu? - spytałam, żeby skierować konwersację na spokojniejsze wody.

- Niespecjalnie. Mam spotkanie z agentem od castingu do nowego filmu o Bondzie. Premierę jakiegoś gówna z angielskimi napisami we wtorek. Imprezę z okazji przyznania nagród w dziedzinie sztuki w czwartek.

- Nagród w dziedzinie sztuki? - nastawiłam uszu. - Jakich nagród?

- Lister Badlands - przeciągnęła Mary ze skruchą.

- Ach tak... Dostał? - Tyle tylko miałam do powiedzenia. Richard został nominowany do nagrody Lister Badlands na parę tygodni przed naszym rozstaniem.

- Wiesz, nawet nie miałam czasu, żeby rzucić okiem na program - powiedziała lekko Mary.

- Nie kłam. Po prostu mi powiedz, czy on tam będzie.

- Tak - powiedziała beznamiętnie. - Ale obiecuję ci, że nie będę z nim rozmawiała, a jeśli zwycięży, z pewnością nie będę klaskać. Wiesz, najchętniej bym w ogóle nie poszła na tę cholerną imprezę, ale narzeczona jednego z moich największych klientów też jest nominowana, i jeśli nie okażę dobrej woli...

- Rozumiem - powiedziałam spokojnie. - Nawiasem mówiąc, gdyby się zdarzyło, że jednak będziesz z nim rozmawiała - a chociaż jesteś moją najlepszą przyjaciółką, będziesz usprawiedliwiona, gdybyś znalazła się w sytuacji, kiedy odmowa byłaby niegrzeczna - możesz mu powiedzieć, że szuka kontaktu ze mną jeden z najgłośniejszych reżyserów w tym mieście.

- No... - W głosie Mary usłyszałam ulgę. - Tak się cieszę, że w końcu reagujesz w ten sposób. Bardzośmy się bali, że nigdy się z niego nie wyleczysz. Zwłaszcza po tym, jak się zachowywałaś, zanim zdecydowałaś się wyjechać do Los Angeles. Naprawdę myślałam, że ci odbiło, Lizzie. Tak potwornie schudłaś przed moim weselem, potem się upiłaś, nie chciałaś wstawać z łóżka... Nie powinnam ci tego mówić, ale Eunice naprawdę się zastanawiała, czy cię nie zostawić.

- Co? Ta beznadziejna baba, która przez osiemnaście miesięcy nie zdołała mi załatwić żadnej pracy, zamierzała mnie zostawić? No, to rzeczywiście nie powinnaś była mi tego mówić - stwierdziłam chłodno. - No cóż, ale możesz jej wobec tego powiedzieć, że nie ma co liczyć na swoje dziesięć procent, kiedy podpiszę kontrakt z Erykiem Nordhoffem. Mary, podobno jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Czy nie powinnaś być dla mnie bardziej wyrozumiała?

- Najlepsze przyjaciółki są od tego, żeby mówiły prawdę, tak czy nie?

- Tylko wtedy, jeśli ból, jaki powoduje mówienie prawdy, jest mniejszy niż ból, jakiego się dzięki temu unika.

- Przepraszam. Słuchaj, Lizzie, po prostu bądź świetna na tym przesłuchaniu, jasne? Wiem, że cię na to stać. Zawsze ci to mówiłam, pamiętasz?

- Hmm -mruknęłam.

- A jakbyś mogła wspomnieć panu Nordhoffowi, że Mary Bagshot z radością zaprosi go na lunch, ilekroć będzie w Londynie - podlizła się Mary - to pošlę ci klapki od Gucciego, które właśnie przyszły do mojego biura.

- Tylko dlatego, że to nie twój rozmiar - parsknęłam.

- Nie. Dlatego, że będą dla ciebie idealne.

- A dla kogo miały być? - spytałam.

- Dla Giny Harrison - odparła Mary. Gina była wschodzącą gwiazdą opery mydlanej. Dołączyła do zespołu Eastenders jako stała statystka, a teraz awansowała do roli najnowszej dziewczyny lana Beale'a. - Podśledzałam w toalecie u Groucho, jak mówiła do jakiejś innej dziwki, że myśli o przeniesieniu się do ICM. Po wszystkim, co dla niej zrobiłam! Zmieni zdanie, kiedy usłyszy, że chodzę na lunch z Erykiem Nordhoffem.

- Pod warunkiem, że zgodzę się powiedzieć mu, że masz na to ochotę.

- Wysłałam pantofle z samego rana.

- Masz załatwione. Ale pod warunkiem, że obiecasz mi też, że podpalisz Jennifer włosy, jak zobaczysz ją na rozdaniu tych nagród.

- Masz załatwione. Zabiorę moją zapalniczkę od Tiffany'ego. Złam nogę, złotko. Cmoknęliśmy powietrze na pożegnanie.

- Złamię nogę, psiakość, ale tobie - syknęłam do głuchej słuchawki.

A więc moja najlepsza przyjaciółka uważała, że pora, żebym się wyleczyła z miłości mojego życia. I moja agentka też! Co za nielojalność! Czy nie były osobami, które powinny raczej mnie wspierać? A tak moją ekscytację, że dostałam się w ostatniej chwili na przesłuchanie, przytłoczyło przypomnienie, że Richard został

nominowany do nagrody w dziedzinie sztuk plastycznych... Gdyby Mary naprawdę mnie lubiła, przemilczałaby, że idzie na tę imprezę. Na jej miejscu tak właśnie bym zrobiła.

Wciąż jeszcze dyszałam mieszaniną gniewu i bólu, wpatrując się tępo w telefon, kiedy weszła Brandi.

- Co powiedziała twoja przyjaciółka Mary? - spytała. - Jakież złe wiadomości?

- Bardzo złe. Powiedziała, że Richard został nominowany do nagrody w dziedzinie sztuk plastycznych.

Brandi przekrzywiła głowę.

- Co?

- Richard może dostać tę cholerną nagrodę, a wtedy stanie się naprawdę kimś i nigdy do mnie nie wróci.

- Lizzie - rzekła Brandi - o czym ty mówisz? A Eryk Nordhoff? Co powiedziała o Eryku Nordhoffie?

- A, o nim... - przypominałam sobie. - Tylko tyle, że to w tej chwili największy reżyser na świecie i że od pół roku usiłuje się z nim spotkać.

- No to czemu siedzisz tu z taką miną, jakby ci zdechł kot? Dzwoń do niego natychmiast!

- Jaki to ma sens?

- Jak to, jaki to ma sens? O co ci chodzi?

- Nie ma sensu, żebym cokolwiek robiła. Richard i tak do mnie nie wróci.

Och-och. Nie miałam pojęcia, że silnik mojej potrzeby współczucia jedzie na czerwonym świetle.

Kiedy przyjechałam do Los Angeles, sądząc, że oczy będę miała nieustannie czerwone od płaczu, Brandi szybko weszła w rolę Mary i zaczęła mnie pocieszać. Długie wieczory spędzałyśmy w domu na plaży, snując żalosne opowieści... Brandi zgodziła się ze mną, że nie sposób było dostrzec jakiegokolwiek oznaki zbliżającego się końca. Nasz związek był niemal idealny. Richard popełnił błąd, odchodząc ode mnie.

- Zawsze możemy o tym pogadać - mówiła.

Nagle jednak okazało się, że „zawsze” ma przeterminowaną datę ważności.

Cierpliwy uśmiech Brandi stężał.

- Richard, Richard, Richard - jęknęła.

Myślałam, że Mary jest wobec mnie zbyt twarda, teraz jednak miałam przed sobą dziewczynę zrobioną z czy stego diamentu.

- Wiesz co, Lizzie? To jest, kurwa, wszystko, co słyszymy od ciebie przez cały czas. Impet nieoczekiwanej pasji Brandi poraził mnie.

- W tej chwili masz szansę spotkać się z najgłośniejszym reżyserem w tym mieście, a jedyne, o czym jesteś w stanie myśleć, to co robi twój idiota eks w Londynie.

Pieprz go! Póra już dać sobie z nim spokój i wrócić do życia. Staramy się z Joem być cierpliwi, ale nie jesteś pierwszą ani ostatnią dziewczyną na świecie, którą rzucił facet. Naprawdę, to twoje uzalanie się nad sobą zaczyna być upiornie męczące! Szczeka opadła mi aż do podłogi.

- On był miłością mojego życia - powiedziałam patetycznie.

- No właśnie. „Był” to właściwe słowo. On jest częścią twojej przeszłości. A ty masz iść naprzód.

- Tak jak Gruby Joe? - parsknęłam. - Zmieniając ciuchy?

- Nie osądzaj go po ubraniach.

- Dobra, a ty nie osądzaj mnie po moim... moim...

- Jęczeniu? - podsunęła Brandi. - Uzalaniu się nad sobą? Po tym, jak łazisz po domu, jakbyś była jakąś cholerną Liz Taylor po rozstaniu z Richardem Burtonem i jak świat światem nigdy nie było ani nie będzie takiej miłości?

- Ja...

- Bo byliście dwiema połówkami jabłka? - Brandi przycisnęła dłonie do serca i zrobiła tragiczną minę. - Bo nikt poza nim cię nie rozumie? Bo tylko Richard Adams potrafił macać cię tak, jak nikt inny na świecie? Bez niego twoje życie jest bez sensu! Kompletnie bez sensu!

I padła na kanapę, niczym osamotniona heroina Charlotty Bronte.

- Nazywam się Lizzie Jordan - zaskrzeczała swoim akcentem Dicka van Dyke'a. - Moje życie jest pozbawione jakiegokolwiek wartości.

- Nie jestem aż tak fatalna - powiedziałam ostro.

- Och, jesteś, jesteś - zapewniła mnie. - Pora, żebyś dała sobie z tym spokój.

- Jak możesz? To nie takie proste! Brandi westchnęła.

- To jest proste. Możesz sama wybrać moment, w którym wracasz do życia. Tu nie ma przepisowego okresu żałoby. Nikt się nie przejmie, jeśli nie będziesz codziennie płakała przez pół dnia -przeciwnie, będziemy z Joem zadowoleni, kiedy w końcu przestaniesz wylewać te fontanny łez. To nie jest pokuta, Lizzie. Możesz z tym skończyć w dziesięć minut. Albo możesz być pogrążona w nieutulonym żalu do końca życia.

- Nawet nie znasz Richarda - powiedziałam z irytacją.

- Mam wrażenie, że znam go lepiej niż własna matka. -1 zrobiła dłońmi gest naśladujący ruch pyszczka małego jazgoczącego szczeniaka. - Richard! O, Richard! Dziaf-dziaf-dziaf-dziaf-dziaf!

- Odpieprz się!

- Nie - ostrzegła mnie. - Zanim przyjechałaś, Joe opowiadał mi, jaka byłaś, kiedy mieszkaliście razem w Londynie. Czekałam z niecierpliwością, żeby poznać tę legendarną dziewczynę. Mówił, że jesteś pełna życia, bystra, o zdecydowanych przekonaniach. A tymczasem dziewczyna, którą poznałam, ma w sobie tyle życia, co ryba w galarecie, a jeśli ma jakiegokolwiek przekonania, to wyłącznie na temat swojego byłego chłopaka. Wiesz, na czym polega twój problem? - spytała.

- Jestem pewna, że mi o tym powiesz.

- Twój problem polega na tym, że określasz siebie samą poprzez swojego chłopaka zupełnie tak samo, jak Joego był określany poprzez swoje spodnie. Mogły nawet na niego pasować. Ale czy było mu w nich wygodnie?

- Nie porównuj mojego związku do spodni Grubego Joego! -parsknęłam ze złością.

- Przestań go tak nazywać. On nie jest gruby.

- Był, kiedy go poznałam.

- Ale teraz już nie jest! I to jest twój kolejny problem. Czy nie widzisz, co za ścierwo z ciebie, że wciąż mówisz o nim w ten sposób?

- Ja tak z czułości - zaprotestowałam.

- Cóż to za czułość - wciąż uparcie wywlekać jego przeszłość, w sytuacji, gdy on zrobił taki wysiłek, żeby się od niej odciąć? Nie przyjmujesz do wiadomości realnej osoby, jaką się stał. Tak samo jak nie przyjmujesz do wiadomości realnej siebie.

- Nie musisz mi mówić, kim jestem. Sama wiem - upierałam się.

- A chcesz wiedzieć, kim jesteś zgodnie z tym, co sama mówisz? Jesteś byłą dziewczyną Richarda Adamsa. Jesteś dziewczyną,

która przyjechała do Los Angeles, żeby uciec od bólu, jaki sprawił jej Richard Adams. Jesteś dziewczyną, której jedynym zmartwieniem, kiedy coś się wydarza, jest to, jak by zareagował w tej sytuacji Richard Adams. Myślisz, że Richard Adams przedstawia się ludziom jako facet, który rzucił Lizzie Jordan? Że w ogóle o tobie wspomina? Twój Gruby Joe - ciągnęła - był wystarczająco dzielny, żeby odciąć się od przeszłości, która go raniła, i znalazł dzięki temu krąg ludzi, akceptujących go takiego, jaki jest naprawdę. Co z tego, że nosi sukienki? Czy to jakiś problem? Joe zdał sobie sprawę, że nie istnieją żadne zasady poza tymi, które sami sobie ustanawiamy na własny użytek.

- No i co z tego? - spytałam sarkastycznie.

- Bycie dziewczyną Richarda to twoje spodnie, Lizzie. Bez Richarda czujesz się inna. Wydaje ci się, że wszyscy pokazują ci palec i śmieją się z ciebie, ale prawda jest taka, że nikogo to nie obchodzi. Jedyna osoba, której dotyczy fakt, że nosisz żałobę po facecie, to ty sama. Nie jesteś bez niego kimś gorszym. A jeśli nie byłaś sobą, kiedy byliście razem? A jeśli przez niego nie zrobiłabyś pewnych rzeczy? Przyjechałabyś do Los Angeles? - spytała.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie przyjechałabyś. Nie starczyłoby ci jaj. Nadal tyrałabyś jako pomoc biurowa, dopóki Bezużyteczna Eunice nie znalazłaby ci jakiejś reklamy. A sądząc po jej dotychczasowych dokonaniach, mogłaby ci załatwić co najwyżej podkład głosowy do reklamy supercienkich wkładek higienicznych. Richard odniósłby sukces z tobą czy bez ciebie. A ty zostałabyś z tyłu.

Chciałabym obalić ten nieciekawy obraz mojej przyszłości naszkicowany przez Brandi, ale...

- Richard nie poszedł na kompromis. Londyn to odpowiednie środowisko dla artysty. Ale ty musisz być w Los Angeles. Nie pozwól, żeby on cię ciągnął z powrotem. Nawet nie wie, że dalej to robi, i na pewno ma to w nosie. Ale my nie. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, ja i Joe.

- To czemu nie starasz się być bardziej wyrozumiała?

- Szukasz wymówek, stojąc w obliczu fantastycznej szansy. Brandi podniosła słuchawkę i podała mi.

- Dziesięć minut - powtórzyła. - A raczej dziesięć sekund wystarczy, żeby wykręcić numer i zrobić coś dla siebie samej, a nie dla Richarda. No, a co do mnie - dodała nieśmiało - mogłabyś upuścić niechcący moją taśmę...

- Tak jakbym miała ci coś do zawdzięczenia - warknęłam.

- Jak chcesz - westchnęła Brandi. - Jak chcesz być świnią twoja strata.

Poszłam do swojego pokoju lizać rany. Twarz piekła mnie z upokorzenia po tyradzie Brandi, tym bardziej, że poprzedziły ją rewelacje Mary, jak to myślała, że odleciałam, i jak to najmniej skuteczna agentka na tej planecie uważała, że nie jestem wystarczająco dobrą klientką dla jej szmatławej firemki.

Byłam kobietą potrójnie wystawioną do wiatru. Poczwoórnje, jeśli cofnąć się i wliczyć również porzucenie przez Richarda. Tak naprawdę uważałam się za wrażliwą delikatną istotę, która wszystko poświęciła dla miłości, a w zamian dostała pocałunek Judasza. Zasługiwałam na to, żeby mnie pocieszano. Nieustannie. Wciąż tego potrzebowałam. Jestem uosobieniem zranienia, myślałam.

Popatrzyłam na swoje odbicie w lustrze toaletki. Pod oczami miałam ciemne jamy, włosy opadały na twarz jak kurtyna zasłaniająca boi. Gdybym zmrużyła lekko oczy, wyglądałabym prawie jak Diana. Dzielna księżniczka Diana, dokładnie tak samo zawiedziona w miłości jak ja. Tak samo niezrozumiana. Tak samo spotwarzona. Wyglądałam dokładnie tak jak ona, kiedy udzielała tego wywiadu dla Panoramy. Wrażliwa. Tragiczna. Ze złamanym sercem.

I leciutko denerwująca, być może...

Usiadłam i rozejrzałam się dookoła w oczekiwaniu gromu, który miał uderzyć. Później uprzytomniłam sobie, że piorun już we mnie wałnął. Rzeczywiście byłam jak Diana w czasach wywiadu dla Panoramy. Ale niekoniecznie było w tym coś dobrego.

Diana myślała, że dzieląc swój ból z narodem, skłoni ludzi, by kochali ją jeszcze bardziej. Nie wiedziała jednak, że większość uważa, iż pora włożyć na twarz maskę dzielności.

Tego popołudnia moja twarz daleka była od dzielności. Doły pod oczami. Fałda w policzku od nieustannego zaciskania szczęk Dwie głębokie bruzdy między ściągniętymi w bólu brwiami Ale me wyglądałam jak Lady of Shalott, osamotniona, piękna, budząca współczucie. Wyglądałam raczej jak lady Makbet. Szalona, dręczona obsesją, obłąkana. Jak dziewczyna, która może zanudzić cię na śmierć opowieściami o swoim smutku. Właśnie dlatego Brandi miała mnie dość. I prawdopodobnie to właśnie wyjaśniało, dlaczego Hollywood nie rzuciło się dotąd na mnie.

W tej chwili rozumiałam tragiczną księżniczkę tak dobrze... Była wspaniałym człowiekiem. Ludzie ją kochali. Ale jeśli złamiesz nogę, lekarz prędzej czy później każe ci spróbować na niej chodzić. Brandi starała się zrobić to samo z moim złamanym sercem.

Numer telefonu Eryka Nordhoffa wydał mi się nagle numerem do telefonu zaufania. Najpierw muszę przeprosić Brandi. A potem zadzwonię do Eryka.

13

Brandi aż płonęła chęcią, żeby być dobrą przyjaciółką. Kiedy wybierałam numer Eryka, stała tuż obok mnie. Nie zdołałam jednak przebić się do samego Eryka. Zamiast niego telefon odebrał bardzo miły młody człowiek imieniem Jan, który obiecał, że przekaże mu wiadomość ode mnie.

- Nie oddzwoni - zdecydowałam. - Zapomniał już, że w ogóle zostawił tę wizytówkę.

Jednak pół godziny później Jan zadzwonił, żeby powiedzieć, że pan Nordhoff chce się ze mną widzieć tak szybko, jak to tylko możliwe. Czy byłabym w stanie przyjść na śniadanie o szóstej trzydzieści?

- Szóstej trzydzieści? - wykrztusiłam. - Rano?

- To odpowiednia pora na śniadanie.

Zawahałam się. Odkąd zaczęłam pracę w Ladyboys, szósta trzydzieści stała się dla mnie głęboką nocą. Śniadań w ogóle nie jadałam. Moim śniadaniem była popołudniowa herbata. Ale Brandi szaleńczo wymachiwała uniesionym kciukiem.

- Śniadanie to dobra pora - powiedziała, kiedy spotkanie było już umówione. - Nie tak dobra jak lunch, ale lepsza niż trzecia po południu, kiedy masz do dyspozycji pół godziny i filiżankę herbaty.

- Rozumiem. Ale mimo wszystko trochę za wcześnie, psia-kostka...

- Przestań jęczeć - powiedziała Brandi. Zrobiłam odpowiednio skruszoną minę.

- To dobry znak - zapewniła mnie Brandi. - To, że chce się z tobą zobaczyć tak szybko i że wyznacza ci spotkanie w porze posiłku. Tylko nie próbuj jeść! Ostatnia rzecz, jaka ci jest potrzebna, to usta pełne babeczek z otrębami. Czy Joe opowiadał ci, jak to się kiedyś zakaszłał, kiedy miał usta pełne chipsów Kettle, i wszystko poleciało na Stevena Spielberga w Sky Bar?

Potrząsnęłam głową.

- No, skoro nie mówił, to lepiej go nie pytaj. Wiem, że wciąż mu to trochę doskwiera. A zatem, cokolwiek będziesz jutro robiła, to w każdym razie niczego nie jedz. Jeśli zaproponuje ci drinka z alkoholem, zdecydowanie powinnaś odmówić, bo może pomyśleć, że jesteś pijaczką. Nawet jeśli sam będzie pił. Tak samo z papierosami. Nawet gdyby cię skręcało... To prawdopodobnie rodzaj testu. A jeśli spyta, dlaczego nic nie jesz, to powiedz, że zjadłaś obfite śniadanie przed wyjściem z domu. Być anorektyczką to nawet gorzej, niż opluć kogoś na wpół przeżutym jedzeniem.

- Będę pamiętać.

Tyle trzeba było się nauczyć o Hollywood...

- I żadnej kawy - dodała Brandi nutę finałową. - Po kawie ma się nieświeży oddech. Nieszczególnie pożądane.

- Dobra. Ani kropli kawy. Dzięki za ostrzeżenie.

- Jeszcze jedno. - Post scriptum. - Jeśli spyta, co cię rzuciło do Hollywood, to nie mów, że przyjechałaś, żeby się wyleczyć z chłopaka. Rozsądnie będzie powiedzieć, że zachęciła cię przyjaciółka. Jeśli powiesz prawdę, wyjdiesz na...

Nie musiała nawet wymawiać tego słowa/Wystarczyło, że narysowała palcem w powietrzu P.

- Wygraj! Wygraj! Wygraj! - zaśpiewała w cheerleaderskim stylu, udając się na spoczynek piękności. Sobotnia noc to była w kampanii Brandi o zachowanie formy długa noc. Jeśli w sobotę wieczorem nie wykapaliśmy się z Joem do ósmej, musieliśmy poczekać z kąpielą do poniedziałku rano.

Do łóżka poszłam z panią Austen. *Opactwo Northangerto* była jedna z książek, które musiałam zaliczyć do końcowego egzaminu, ale za Boga nie mogłam sobie przypomnieć, co się zdarzyło między początkiem a końcem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek naprawdę przeczytała całość. Naczytałam się po prostu krytycz-

ných opracowań i przejrzałam prawidłowe odpowiedzi na pytania w testach z wcześniejszych lat. Tego wieczoru jednak rzuciłam się na książkę z jeszcze większą determinacją, niż ta, którą wykazałam na tydzień przed dyplomem. Eryk Nordhoff zaprosił mnie na jutro na śniadanie. Moja wielka szansa mogła zależeć od jakiegoś szczegółu, na który zwrócę uwagę w ostatniej chwili.

Tak czy owak, nie zanosilo się na to, żebym tej nocy zasnęła. Jeśli nie będę wkuwać Austen, wówczas coś innego opanuje moje myśli. Richard Adams... Wciąż jeszcze byłam obolała od zrzędzenia Brandi i zdeterminowana, by starać się zostawić go za sobą. A jednak...

Kiedy dotarłam do rozdziału ósmego, musiałam się zdrzemnąć. I nagle znalazłam się na uroczystości rozdania nagród Lister Badlands. Szłam Galerią Serpentykową, torując sobie drogę w tłumie eleganckich koneserów sztuki w czarnych krawatach i sukniach balowych uszytych wyłącznie z jedwabiu. Ich twarze nie były znajome, ale gdy szłam, ludzie patrzyli na mnie takim wzrokiem, jak gdyby mnie rozpoznawali. Kiedy zbliżyłam się do podium, na którym miały być prezentowane nagrodzone prace, tłum rozstąpił się, żeby mnie przepuścić.

Spojrzałam na siebie. Zwykle w takim momencie odkrywamy we śnie, że jesteśmy nadzy. Aleja byłam ubrana. Miałam na sobie bardzo przyzwoitą czarną sukienkę.

To bynajmniej nie ja byłam naga.

- Prezentuje Richard Adams!

Tłum wybuchnął aplauzem. Rozepchnęłam łokciami ostatni dzielący mnie od sceny rząd widzów, żeby zobaczyć, kto budzi taki entuzjizm. I wtedy go zobaczyłam.

Richard. To on był nagi. Na scenie, z Jennifer. Też naga, ubraną jedynie w pierścionek na serdecznym palcu. Richard przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Czy to jest to, co się nazywa instalacja? - spytała jakaś kobieta z mojej lewej strony.

Rzuciłam się biegiem z powrotem, oślepiona łzami, tylko po to, żeby obudzić się we własnym łóżku w Venice Beach. Było mi gorąco, czułam się chora i pusta w środku. *Opactwo Northanger* wypadło mi z rąk na podłogę.

Mechanicznie schyliłam się po książkę, ale dłuższa chwila minęła, zanim serce przestało tłuc mi się w piersi. Przeczytałam parę stron, aż zdałam sobie sprawę, że nie ma to żadnego sensu, bo niechcący przeskoczyłam rozdział.

To tylko sen. Głupi sen, zrodzony w oczywisty sposób z rozmowy z Mary, z reprimendy Brandi i z mojego lęku przed jutrzejszym przesłuchaniem. A mimo to czułam się tak, jakbym naprawdę zobaczyła, jak Richard kocha się z Jennifer. Czułam się zdradzona na nowo.

Myślałam, że będę leżała bezsennie całą noc, dręczona wizją będącą tworem własnego umysłu. Musiałam jednak znowu zapaść w sen, bo o piątej trzydzieści obudziłam się z niewzruszonym przekonaniem, że muszę wsiąść do autobusu z Venice Beach do Muswell Hill, a nie do Malibu, gdzie miał swój dom Eryk Nordhoff.

Co włożyć na pierwsze przesłuchanie w Hollywood? Na szczęście pod ręką była Brandi, która mogła posłużyć fachowymi radami. Miała teorię na temat przesłuchań, o którą zahaczyła już, kiedy wybierałam się w sprawie pracy do Ladyboys. Sztuka polegał na tym, że należało lecieć po „tak jakby”.

- Musisz pojawić się na przesłuchaniu, tak jakby to był pierwszy dzień próby - powiedziała Brandi. - Musisz iść na przesłuchanie z przekonaniem, że ta rola jest już twoja.

Kostium był ważną częścią systemu „tak jakby”. Aby dostać pracę w Ladyboys, należało ubrać się jak Madonna w jej dziewiczym stadium. To znaczy tak, żeby nie nasuwało to żadnych skojarzeń z dziewictwem. A żeby dostać główną rolę w *Opactwie Northanger...*

- Musisz wyglądać, jakbyś już zagrała w tym drugim filmie - ogłosiła Brandi. - W tej *Emmie*.

- Masz na myśli ten film z Gwyneth Paltrow? - ośmielił się spytać Gruby Joe.

Ale jak się ubrać, żeby delikatnie przypomnieć Erykowi Nordhoffowi o roli Gwyneth Paltrow i zasugerować, że mogę posłać na drzewo ją i jej jednowymiarową interpretację.

- Włóż to - poinstruowała mnie Brandi.

I właśnie dlatego stanęłam o szóstej trzydzieści rano przed domem Eryka Nordhoffa w Malibu ubrana w białą bawełnianą koszulę nocną w wiktoriańskim stylu, z włosami skręconymi we francuskie loki (dopiero znacznie później zauważyłam, że jedna z lokówek została mi we włosach), obuta w kaptcie Brandi, których używała do ćwiczeń jogi.

- Ojej - powiedział na mój widok Eryk Nordhoff. - Nie miałem zamiaru wyciągać pani prosto z łóżka.

- To jest stylizacja na Austen - powiedziałam pełna nadziei.

- W porządku. Myślałem, że to koszula nocna. Dosyć... yyy ..; miła. Wyglądałaś tak miło, że moglibyście powierzyć mi własną owieczkę.

- Moja współlokatorka doskonale zna się na modzie - szarżowałam. - Ten styl będzie krzykiem mody w przyszłym sezonie.

- Nie znam się specjalnie na modzie - powiedział uprzejmie Eryk Nordhoff. - Muszę więc polegać na pani opinii.

- Bielizna nocna jako strój dzienny - ciągnęłam rozpaczliwie. - Dół od piżamy w charakterze nowej małej czarnej. Eryk skinął tylko głową.

- No cóż, może pani wejdzie do środka. - I zachęcił mnie gestem ręki, bym weszła na frontowy stopień, a potem do holu. Posłusznie zrobiłam, co mi kazano. Posłusznie i nieśmiało jak mała Bo Peep. Piżama jako nowa mała czarna? Mój wewnętrzny Homer Simpson krzyczał już: „D-oh, d-oh, d-oh”. No, ale przynajmniej nie zostałam odesłana tam, skąd przyszłam.

Z zewnątrz posiadłość Eryka Nordhoffa nie wyglądała zbyt okazale. Wielka ściana pokryta płowiejącą bugenwillą osłaniała dom przed oczami turystów, którzy pełzli z wolna Pacific Coast Highway w swoich wynajętych samochodach w nadziei, że zobaczą Toma Hanksa pielęgnującego grządki z ziołami czy Michelle Pfeiffer, wyrzucającą śmieci. Faktycznie jednak z drogi niewiele można było dostrzec na którejkolwiek z ekskluzywnych posiadłości Malibu. Nieostentacyjna konsumpcja to było najwyraźniej obowiązujące tu słowo-klucz. Podwójne drzwi do garażu osadzone w ceglanych blokach to jedyna rzecz, która mogła nasuwać przypuszczenie, że mieszkają tu ludzie zamożni.

Zaledwie jednak przekroczyłam próg, stało się jasne, że ten dom na plaży nie ma nic wspólnego z tym, w jakim mieszkałam. Żaden karaluch nie ośmieliłby się przemknąć po białej marmurowej posadzce holu, zalanej jasnym światłem dnia. Sprowadzonej specjalnie z Włoch, jak się później dowiedziałam.

Uderzyło mnie, jak znakomite światło jest w domu Eryka. Willa w stylu śródziemnomorskim miała wewnątrz czworokątny

dziedziniec otwarty na kalifornijskie słońce. Wewnętrzne ściany pokrywały kaskady kwiecia niczym eksplozja barw z pudełka z farbami Pana Boga. Zmieszana woń róż i jaśminu dawała odurzający aromat znacznie miłszy dla powonienia niż mieszanka kocich siuszków i odświeżacza powietrza, do jakich stopniowo przywykłam w Venice. Pośrodku dziedzińca była nawet fontanna, której dźwięczny szmer był muzycznym tłem dla świergotu mikroskopijnych wróble, wskakujących i wyskakujących z wody.

To było piękne. Piękny ogród. Piękne kwiaty. Piękne wróble.

Ich piękną piosenkę przerwał nagle rozdzierający krzyk.

- To Picasso - powiedział Eryk. - Paw.

Picasso przyglądał mi się bacznie ze swojej grzędy na oparciu ławki z kutego żelaza.

- Niespecjalnie przepada za kobietami - rzekł Eryk.

A ja niespecjalnie przepadałam za pawiami. Ominięłam Picassa szerokim łukiem.

Ale fontanna! Paw! I taka ilość kwiatów, że niech się schowa rynek kwiatowy w

Amsterdamie! A to było zaledwie podwórko... Chciałabym w obliczu tego wszystkiego zachowywać się w sposób zblazowany, tak jakbym bywała w podobnych domach setki razy. Ale dom Eryka Nordhoffa był tak olśniewający, że stałam z otwartą buzią, gapiąc się jak mała dziewczynka.

- Pomyślałem sobie, że zjemy śniadanie w ogrodzie - powiedział.

- Tutaj? - spytałam. Picasso okupował jedyne miejsce do siedzenia w zasięgu wzroku.

- Nie, we właściwym ogrodzie — odparł. — To tylko atrium.

Było jeszcze więcej? Podreptałam za nim kolejnym wyłożonym marmurem korytarzem prowadzącym na tyły domu. I wówczas znaleźliśmy się u szczytu idealnie zielonego trawnika. Był to ten rodzaj żywej, soczystej zieleni, jaki w jałowym klimacie Kalifornii można osiągnąć tylko poprzez odwrócenie biegu rzeki Colorado. Na końcu trawnika była stumetrowa skarpa opadająca ku plaży. I morze. Pacyfik. Rozciągający się błękitem aż po horyzont. Dokładnie u podnóża ogrodu.

- Delfiny! - Nie mogłam się powstrzymać od okrzyku na widok czterech czy pięciu lśniących czarnych stworów baraszkujących na płycznach.

- A tak - powiedział nieuważnie Eryk. - Codziennie o świcie i o zmierzchu. A koło Wielkanocy i w październiku mamy też

wieloryby. - Nawet nie zwracał sobie głowy oglądaniem wodnego baletu. - Może kawy?

Biało pomalowany stół był już nakryty na dwie osoby. Eryk nalał kawy do filiżanki.

- Och, nie. Dziękuję - przypomniałam sobie ostrzeżenie Brandi.

- Mądra dziewczyna - rzekł Eryk. - Ja też powinienem rzucić. Po kofeinie jestem niespokojny. Ale właściwie to lubię niespokojnych ludzi...

- W takim razie i ja się napiję - zdecydowałam. Brandi miała prawdopodobnie rację co do zapachu, ale tego dnia miałam zamiar być taka, jak chce Eryk Nordhoff.

- Babeczka? - spytał.

- Dzięki, nie - odpowiedziałam obowiązkowo. - Jadłam przed wyjściem.

- Naprawdę? - Eryk nie wyglądał na przekonanego. Skinęłam głową. Oczywiście wcale nie jadłam. A co gorsza,

babeczki wyglądały nadzwyczaj smakowicie... Eryk wybrał sobie jedną i przełamał. W środku była jeszcze ciepła i zapach masła rozpuszczającego się na parującym cieście sprawił, że mój żołądek wydał nieoczekiwane, doskonale słyszalne burczenie.

- Wygląda na to, że znalazłoby się jeszcze trochę miejsca na coś więcej - zauważył Eryk.

- Chyba ma pan rację - poddałam się. Złapałam babeczkę z tacy i zdecydowałam nie mówić, dopóki mam jedzenie w ustach.

- A więc... - zaczęliśmy równocześnie.

- Pani pierwsza - powiedział Eryk.

- Nie, pan pierwszy. Ja tylko chciałam powiedzieć coś miłego o pana ogrodzie...

Przyłożyłam rękę do ust w samą porę, żeby na wpół przeżuta czarna jagoda nie wypadła mi z ust na obrus. Zalałam się szkarłatem. Eryk udawał, że niczego nie zauważył.

- Przypuszczam, że zastanawia się pani, dlaczego zaprosiłem panią na spotkanie - zaczął taktownie.

- Yhm - skinęłam głową. Usta miałam szczelnie zamknięte.

- Spytałem o panią jedną z dziewczyn w klubie i powiedziała, że jest pani aktorką. Mówiła, że przyjechała pani do Hollywood w poszukiwaniu pracy, ale jak dotąd sprawy nie układają się zbyt dobrze.

- Jestem tu dopiero dwa miesiące - powiedziałam na swoją obronę.

- Nieważne - powiedział niedbale Eryk. - To naprawdę nie ma dla mnie znaczenia. Po prostu bardzo podoba mi się pani akcent, Lizzie.

- Dziękuję.

Mama byłaby szczęśliwa, gdyby dowiedziała się, że pieniądze, które wydała na lekcje poprawnej wymowy, nie poszły tak całkiem na marne.

- Inaczej też potrafię mówić. Czy chce pan, żebym...

- Nie ma potrzeby. - Eryk odłożył babeczkę i nachylił się ku mnie poprzez stół. - Prawdopodobnie domyśla się pani, że chciałbym, żeby pani dla mnie pracowała - uśmiechnął się. - Chcę, żeby zagrała pani rolę swego życia. Zaczynamy od jutra.

- Lizzie, czy pani mnie słyszy? Może pani zacząć od jutra? W trzydzieści sekund później nadal wpatrywałam się w niego

z otwartymi ustami. Zbyt zaszokowana, żeby mówić. Zbyt zaszokowana nawet, żeby zamknąć rozdziawioną paszczkę i nie eksponować na wpół przeżutej babeczki. Ale wewnątrz mnie rozbrzmiewało chóralne „Alleluja”.

Dziesięcioletni tłum powiewał chorągiewkami Union Jack i śpiewał:

- Alleluja! Alleluja!

Czy ta oferta pracy to halucynacja, czy co?

Ale miałam wrażenie, że się nie przesłyszałam...

Chóralne „Alleluja” zmieniło się w hałaśliwą interpretację *If they could see me now* - jednego z ulubionych utworów Joanny Boisvert. W następnej chwili podjeżdżałam pod dom mojego brata w Solihull w limuzynie wielkości okrętu wojennego.

Dzwoniłam do Giorgia, żeby mu powiedzieć, że Calvin przysłał mi już kreację na wręczenie Złotych Globów. Zdejmowałam pyłek z mojej sukni balowej od Versacego i ignorowałam Sadie Frost na Baftas. Planowałam moje wystąpienie na rozdaniu Oscarów.

„Chciałabym podziękować moim rodzicom, bratu, mojej agentce, mojej najlepszej przyjaciółce, mojej fryzjerce... Kiedy przyjechałam do Los Angeles, nie miałam nic...” Zastanawiałam się, czy nie będzie to odrobinę zbyt gorzkie i pokrętnie, jeśli powiem: „Ale przede wszystkim chcę podziękować Richardowi Adamsowi. Gdyby nie złamał mi serca w siedemnastu miejscach, nie dziękowałabym dziś Akademii”.

Moje życie, we wspaniałych barwach Technicolor Panavision, przemknęło mi przez głowę niczym DVD na szybkich obrotach. Mieszkałam w domu sąsiadującym ze wspaniałą willą Eryka Nordhoffa w Malibu. Joseph Fiennes pokonał swój trwający całe życie wstręt do Krainy Snów i przyleciał do Hollywood, żeby mnie poślubić. Mieliliśmy trójkę złotowłosych dzieci, które, dorósłszy, napisały biografie o tym, jaką byłam wspaniałą gwiazdą filmową i wspaniałą matką. Odcisnęłam w betonie swoje dłonie przed Chińskim Teatrem Manna...

- Lizzie?

Eryk Nordhoff wyglądał na zaniepokojonego. Może myślał, że dostałam jakiegoś dziwnego ataku.

- Li-zzie! - pomachał mi dłonią przed oczyma. Chwyciłam obie jego ręce i uścisnęłam.

- Będzie pan ze mnie dumny, panie Nordhoff. Przekona się pan, że dokonał pan słusznego wyboru. Udowodnię światu że choć byłam w tym momencie nikim, pan przeczuł, że mam zadatki na gwiazdę, kiedy wyłuskał mnie pan z tłumu, żebym zagrała rolę

-Mojej dziewczyny - powiedział Eryk. - Chcę, żeby pani udawała, że jest moją dziewczyną.

- Świetnie Czy będę mogła zabrać z sobą do domu egzemplarz scenariusza? Uczę się roli bardzo szybko. Z kim będę grała? Czy to prawda, że wybrał pan George'a Clooneya do głównej męskiej roli?

- Lizzie - przerwał mi Eryk. - Scenariusz nie istnieje.

- Ma pan na myśli, że mamy improwizować? Tak jak Mike Leigh w *Abigail's Party*? Wystawialiśmy to w college'u Jestem świetna w improwizacji. Proszę dać mi jakieś imię, a ja dobiore do niego bohaterkę. Jakiegokolwiek imię. Proszę spróbować...

Eryk zmarszczył czoło i popatrzył na mnie, zmieszany.

- Może pani zachować własne imię, jeśli ma pani ochotę. A co do improwizacji, to tak, będziemy improwizować. Ale chodzi o wesele, a nie o przyjęcie.

- Wesele, przyjęcie... Wszystko jedno.

- Wobec tego przystąpmy do kwestii wynagrodzenia. Honorarium będzie duże, ale zanim ustalimy szczegóły, chciałbym uzyskać zapewnienie, że mogę liczyć na pani dyskrecję.

- Moją dyskrecję? Naturalnie. Dopóki nie pošlę kontraktu mojej agentce, obiecuję, że nie puszczać pary z ust.

- Lizzie, ja nie chcę mieć do czynienia z żadnymi agentami. Kontraktu też nie będzie. Nie potrzebuję, żeby dowiedział się o wszystkim „Hollywood Enquirer”.

- Yyyy?

- No, a jak by to wyglądało, pani zdaniem? „Eryk Nordhoff zatrudnia kelnerkę, żeby towarzyszyła mu na weselu kuzyna”..

- Co???

Chóralne „Alleluja” urwało się ze zgrzytem, jakby igła ześliznęła się po winylu. Moje dzieci uciekły z domu. Joe Fiennes zaczął chodzić z aktorką, która rozumie Tolstoja. Sadie Frost odwróciła się do mnie tyłem, a Colin wyśmiał mój rower, oparty o jego płot w Solihull.

Nareszcie do mnie dotarło. Eryk Nordhoff w ogóle nie oferował mi żadnej roli w żadnym filmie.

- Chce pan, żebym była pańską dziewczyną na weselu kuzyna? - spytałam. - Czy to po to pan mnie tu zaprosił? A ja myślałam, że chce pan, żebym zagrała w *Opactwie Northanger*.

- W *Opactwie Northanger*? - powtórzył Eryk, tak jakbym powiedziała coś bardzo śmiesznego. - W *Opactwie Northanger*? O mój Boże. Przepraszam... Chyba pani nie sądziła?... Psiakrew, pani właśnie sądziła. Och, Lizzie, przecież pani nikt nie zna. Dałem tę rolę Gwyneth Paltrow. Nie mogę wziąć pani do filmu. Zaprosiłem tu dziś panią z powodu zakładu.

- Zakładu?

- No właśnie - powiedział Eryk. - Pamięta pani tamtego rudego faceta w piątek wieczorem?

Powoli pokiwałam głową.

- Ed Strausser. Jeden z najważniejszych agentów w KCC. Poczułam się chora, słysząc nazwę jednej z największych hollywoodzkich agencji zajmujących się wyławianiem talentów.

- To skurwiel, ale ma wielu klientów. I ma też wielki samochód. Lubi pani rollery, Lizzie?

Instynktownie uniosłam dłoń do włosów. Eryk nie miał jednak na myśli wałków do włosów.

- Rolls-royce - westchnął. - Uwielbiam je. Zawsze chciałem mieć taki wóz. A Ed Strausser właśnie odebrał bardzo rzadki silver shadow, skonstruowany dla sułtana w 1963 roku.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytałam.

- Pomoże mi go pani wygrać. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać, kiedy Eryk wyjaśnił mi, że właśnie dlatego, że jestem nikim, Ed Strausser uznał, że będę idealną kandydatką do odegrania roli w szaradzie, jaką wymyślił.

Odgryzłam wielki kawał babeczki. Nie miało już znaczenia, czy optuję Eryka okrucami, czy nie. Być może powinnam była podnieść się i ze słowami: „Panie Nordhoff, jestem aktorką, a nie dziewczyną do towarzystwa. Jak pan śmie marnować mój czas! zabrać się stamtąd natychmiast... Eryk wprowadził mnie w konsternację. Sprawiał, że poczułam się strasznie. Udało mu się to lepiej niż mojemu bratu. „A mimo to zostałam, żeby go wysłuchać. Faktem było, iż nie zanosilo się, żeby w najbliższym czasie miała okazję spędzić nieco czasu z tak poważną hollywoodzką osobistością. Bardziej prawdopodobne było to, że moja agentka napisze na moich kartkach „zwrot do nadawcy” niż będzie sobie zawracała głowę odpowiadaniem na moje telefony. A poza tym gdzieś w zakątku mojego umysłu kołatała się rada Brandi, żeby w Los Angeles iść przodem do przodu.

Po tamtym okropnym przyjęciu, kiedy myślałyśmy, że trafiłyśmy do szczególnie podstępnej kamery, spytałam, czemu me zareagowała. Czemu jedynie spojrziała na niego miażdżącym wzrokiem i życzyła dobrej nocy, skoro miała ochotę odgryźć mu głowę.

- Musisz pamiętać, że to gówno nie ma charakteru osobistego - powiedziała. - Kiedy idziesz na przesłuchanie i reżyser chce, żebyś zdjęła górę, to możesz się założyć, że nie jesteś traktowana w specjalny sposób. To pakt, który podpisujesz, kiedy przyjeżdżasz do tego miasta. Przyjmujesz gówno, żebyś któregoś dnia sama mogła je podać. ,

No więc pozwoliłam, żeby Eryk naszkicował mi swój plan. Jak skończy, będę mogła powiedzieć „nie”, ale przedtem zamierzałam przynajmniej wykończyć jego babeczki, kurczę blade.

_ Problem polega na tym - powiedział, kiedy przestał się zataczać ze śmiechu na myśl, iż spodziewałam się, że da mi rolę przewidzianą dla Gwyneth Paltrow. - Każdy, kto mn.e poznaje, może się zorientować w ciągu dwóch minut, że jestem gejem Noszę kolczyk, mam śmieszny głos, mam nawet różowy trójkąt wytatuowany na pośladku. Rupert Everett wygląda przy mnie jak w pełni normalny. To jest publiczna tajemnica... Ale nie dla mojej matki.

I tu był pies pogrzebany. Eryk Nordhoff ukrywał się przed mamusią.

- Wychowałem się w rodzinie, która przyjechała do tego kraju, żeby uciec przed nietolerancją religijną w Europie, i odtąd sami nieustannie ją praktykują. Moja matka pisała nawet do prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby zdjął *Dynastię*, kiedy wyszła na jaw prawda o Rocku Hudsonie. Nigdy w życiu nie przyzna się sama przed sobą ani przed swoimi piekielnymi siostrzyczkami, że jej własny syn też jest gejem.

- Jaka szkoda.

Eryk wzruszył ramionami.

- Nie przejmowałem się tym, dopóki się ze mną widywała. Ale później zdarzyło się to.

Popchnął w moim kierunku otwarty magazyn. Na stronie poświęconej przyjęciom było kolorowe zdjęcie Eryka obejmującego pięknego młodzieńca, którym, jak się domyślałam, musiał być Jan, jego bardzo osobisty asystent.

- To było coś, czego nie mogła zignorować. Wszystkie jej przyjaciółki czytają ten magazyn. Widziała egzemplarz na każdym stoliku do kawy w każdym domu, który odwiedzała. Wszyscy o tym mówili. Mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jeśli chodzi o nią, to nie ma już syna. To było prawie pół roku temu. Od tego czasu jej nie widziałem.

- To okropne - westchnęłam. - Ale skoro ona naprawdę tak to odczuwa, to czemu, na Boga, chce pan z nią wznowiać stosunki?

- Bo nikt mnie nie traktuje tak jak ona. I dlatego, że jeśli uda mi się doprowadzić do tego, że zaprosi mnie do siebie na Święto Dziękczynienia, to Ed Strausser da mi swój samochód.

- A jaki miałby być mój wkład?

- Pomoże mi pani przekonać ją, że jestem normalny.

- Chce pan okłamywać matkę dla zakładu?

- Lubię hazard.

- To niesmaczne.

- Homofobia też. Lizzie, niech pani to potraktuje na luzie-powiedział. - To będzie świetna zabawa.

Wesele kuzynki Eryka, Bobby, miało być największym spędem rodziny Nordhoffów od czasu złotego wesela jego dziadków w roku 1992.

- To będzie rodzinny festiwal, zorganizowany właśnie po to, żeby celebrować, jaką to porządną, bogobojną i normalną rodziną

są Nordhoffowie - parsknął z goryczą. - Nie mógłbym marzyć o lepszej okazji, żeby zaprezentować się jako hetero.

- I myśli pan, że oni w to uwierzą?

Jeśli będzie pani wystarczająco dobrą aktorką.

- Przecież najwyraźniej nie dlatego wybrał mnie Ed Strausser. Wiem, o co tu chodzi, panie Nordhoff. Pański milutki przyjaciel wybrał dziewczynę, która jego zdaniem najprędzej może spać robotę, tak, żeby w rezultacie przegrał pan zakład.

- Mogło być gorzej - wzruszył ramionami Eryk. - Mógł wybrać tę okropną śpiewaczkę. To dopiero monstrum...

- To moja współlokatorka.

- Niech się pani tym nie przejmuje, Lizzie. A więc Ed uważa, że okaże się pani fatalną aktorką? No to ma pani szansę udowodnić, że się pomylił. Ja mam ogromne zaufanie do pani zdolności.

- Serdeczne dzięki - parsknęłam. - Czemu nie założyliście się o konie, jak wszyscy?

- Bo obaj jesteśmy Wielkimi Hollywoodzkimi Sukinsynami - rzekł Eryk.

- Zgoda co do tego ostatniego słowa. Eryk zmrużył oczy.

- Byłaby pani głupia, gdyby się pani nie zgodziła, Lizzie. Jeśli wygram i dostanę mojego rollera, obiecuję, że się to pani opłaci. Doprowadzę do tego, że Ed wciągnie panią na listę swoich klientów, a jeśli ja będę dysponował odpowiednią rolą, dam ją pani.

- Mówioną czy niemą? - zaśmiałam się.

- Niech pani nie wyskakuje przed orkiestrę. Ale mówiąc uczciwie, Lizzie, czy ma pani inne wyjście? Jest pani nikim. A ja jestem kimś, kto chce się troszkę rozerwać.

- Czuję się jak panienka do towarzystwa.

- Nie będzie mowy o seksie.

I znowu wrócił problem Ladyboys. Jak to się mogło przydarzyć właśnie mnie?

Byłam jedną z najlepszych aktorek na roku. Zawsze dostawałam główne role, zbierałam pochwały za moje interpretacje Becketta i Ibsena. A teraz byłam przedmiotem jakiegoś brudnego zakładu, wybranym do tej roli właśnie dlatego, że wyglądałam, jakbym nie potrafiła zliczyć do trzech.

Cisnęłam okruczem babeczki w kierunku Jego Pawiej Wysokości Picassa.

- No i co pani o tym myśli? - spytał Eryk.

Mogłam zabrać się i sobie pójść, ale Eryk dotknął mojego czułego punktu, kiedy wspomniał, że mogę udowodnić Edowi Straus-serowi, że się myli. Ed uważał najwyraźniej, że matka Eryka wpadnie na mój widok w przerażenie. Która matka nie byłaby przerażona na widok synowej in spe ubranej w obcisły top bez ramiączek, z odsłoniętym brzuchem, nawet jeśli byłaby ona dowodem erotycznej normalności syna? Ale Ed popełnił klasyczny błąd, myląc kostium z osobą, i nagle wydało mi się ważne, żeby udowodnić mu, że mam klasę.

- Gdzie ma być to wesele? - spytałam.

- W Santa Barbara. W Biltmore. To taki wielki hotel.

- Czy to będzie przyjęcie na poziomie?

- Najwyższym. Bobby to jedyna córka cioci Marion. Wszyscy są tacy szczęśliwi, że Bobby przestała się pokazywać ze swoją przyjaciółką Melissą, masażystką, że gotowi są wydać cały spadek Bobby na cześć jej heteroseksualności.

- To ona też jest gejką?

- Jak Dusty Springfield. Tylko dobrze to ukrywa.

- Ale to wszystko popieprzone.

- Pomoże mi pani? - Tym razem Eryk mówił odrobinę mniej zarozumiale, bardziej prosząco.

- Dlaczego nie - ustąpiłam w końcu. - Skoro dostanę się dzięki temu do KCC...

- Dziewczyna z głową na karku.

- Przynajmniej dostanę lunch za friko.

- I rolę w moim następnym filmie - przyobiecał. - Może i niema, ale...

- Przyjdzie czas, że będzie mnie pan błagał o przyjęcie roli mówionej. O której chce pan, żebyśmy się jutro spotkali?

Eryk głośno wypuścił powietrze z płuc.

- O ósmej rano. Pojedziemy stąd na wesele moim jaguarem. Proszę dzwonić w razie czego, ale jeśli pani nie zadzwoni, jesteśmy umówieni. Tylko jeszcze jedno...

- Nie ma strachu, nie ubiorę się w nocną koszulę.

- Istotnie nie ma. Będę miał dla pani kreację od Armaniego.

- Będę mogła ją zatrzymać?

- Naturalnie. Ale potrzebny mi jest pani rozmiar. A poza tym przygotowałem dla pani mały kwestionariusz. Chciałbym, żeby go pani wypełniła przed wyjściem.

Wręczył mi pokrytą starannym drukiem kartkę papieru.

- Tylko niech pani odpowiada szczerze, Lizzie. Proszę me próbować podrasowywać swojej roli. Musimy być zwyczajni, jeśli mamy być wiarygodni. Chcę mieć ten samochód.

Spojrzałam na kartkę. Pytanie pierwsze: ile ma pani lat?

- Musimy sprawiać wrażenie, że znamy się od paru miesięcy. Tu ma pani moje odpowiedzi na te same pytania - podał mi inną kartkę. - Będzie musiała pani się tego nauczyć na pamięć. Da pani radę?

- W zeszłym roku nauczyłam się w ciągu miesiąca trzech sztuk Szekspira. Myślę, że potrafię zapamiętać, jaki jest pana ulubiony gatunek dżemu.

- Galaretki - poprawił Eryk i wyprowadził mnie na zewnątrz. - Podesłę kogoś po panią jutro rano.

- Nie nawalę.

- Jestem pani bardzo wdzięczny, Lizzie - powiedział Eryk. - Wiedziałem, że pani zrozumie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie jak dwoje biznesmenów.

- Za pański samochód - powiedziałam.

- I za pani olśniewającą karierę.

Eryk Nordhoff zamknął za mną drzwi i zostawił na stopniach ganku z kwestionariuszem w ręku.

Samochód Grubego Joego stał tam, gdzie go zostawiłam. Ale gdy omawialiśmy z Erykiem warunki umowy, ktoś przetaił i wypolerował pokryte kurzem zderzaki. Nie było w zasięgu wzroku nikogo, komu mogłabym podziękować. Wobec tego ruszyłam z powrotem w kierunku trasy 405, jeszcze raz odtwarzając w głowie rozmowę, którą dopiero co odbyłam, i zastanawiając się, co, na Boga, mam powiedzieć Grubemu Joemu i Brandi.

14

Brandi była przerażona, kiedy dowiedziała się o zakładzie, ale zgodziła się, że potencjalna korzyść może zrekompensować upokorzenie. KCC, Kristiansand Creative Company, było obecnie jedną z najlepiej prosperujących agencji w Hollywood zajmujących się

wyławianiem talentów. Stworzona niedawno przez agenta, który wyłamał się z ICM, nowa firma przejęła rozczarowane supergwiazdy z całego miasta. Gdyby udało mi się uzyskać reprezentowanie mnie przez KCC, nawet jeśli musiałabym w tym celu ponownie spotkać się z Rudym, mogłoby mi to przynieść szybki sukces. Na Grubym Joem możliwości agencji zrobiły nieco mniejsze wrażenie, ale zgodził się, że za porządny lunch za friko mógłby pójść wszędzie. No, a jeśli o to chodzi, hotel Biltmore w Santa Barbara to był pewniak.

A zatem miałam zagrać rolę w mojej pierwszej hollywoodzkiej przygodzie, w reżyserii Eryka Nordhoffa i w obecności najbardziej wymagającej widowni na świecie: jego mamusi.

Nawet jeśli uzyskałam błogosławieństwo Grubego Joego i Brandi dla całego tego dziwnego przedsięwzięcia, to sumienie nie dawało mi spokoju. Wyobraziłam sobie matkę Eryka, niewinną, niczego nieświadomą starszą damę - bogobojną, konserwatywną, wychowaną w przekonaniu, że jedyna godna aprobaty komórka rodzinna to taka, której głowajest dwoje rodziców przeciwnej płci...

Ale niewinna stara dama, która nie akceptuje faktu, że jej syn jest gejem? Przecież niewątpliwie są w życiu rzeczy, które powinny mieć większą wagę niż idee wyrosłe z tradycji, skoro wskoczyliśmy w nowe millenium?

Moja matka zawsze mówiła, że nie obchodzi ją, co wyrabiamy ja i Colin, o ile tylko jesteśmy szczęśliwi. Nie przestała obrzucać mnie przynajmniej raz na dwa tygodnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem, kiedy farbowałam włosy albo wkładałam sukienkę, która jej zdaniem nadawała się raczej na ścierkę. Byłam jednak przekonana, że byłaby wierna zasadzie tolerancji, gdybym zaczęła przyprowadzać do domu dziewczyny. Niemożliwe było, żeby się nas wyrzekła. Byliśmy jej dziećmi, połączonymi z nią poprzez miłość.

Skoro więc Elspeth Nordhoff nie kochała swojego syna na tyle, żeby być z nim w obliczu drwin swoich sąsiadów bigotów, w takim razie zasługiwała na to, by być oszukaną na weselu Bobby. Znacznie ważniejsza była dla mnie potencjalna nagroda za to, że ją będę oszukiwać. Czy Eryk dotrzyma słowa, jeśli dostanie swój samochód?

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Nazajutrz, zgodnie z obietnicą lokaj-przyjaciel Eryka, Jan, przyjechał, żeby podrzucić mnie do domu w Malibu, skąd mieliśmy się udać z Erykiem na wesele w Santa Barbara.

Zabrałam ze sobą walizkę pełną różnych strojów. Kiedy jednak przyjechaliśmy do willi, zostałam zaprowadzona na piętro, gdzie przekonałam się, że Eryk dotrzymał słowa. Kreacja czekała na mnie, rozłożona na łóżku.

Jedwabna, prosta, lekko dopasowana sukienka od Armaniego w kolorze czekolady i taki sam długi żakiet. Leżały idealnie... Nawet piękne sandały na słupku miały idealny rozmiar. Całość przypominała mi wyjściową kreację Mary.

Prawdopodobnie był to dokładnie taki sam komplet.

Po raz pierwszy w moim życiu, wkładałam na siebie Armaniego. Eryk również doskonale się prezentował w lnianym garniturze w kolorze écru.

- Wyglądamy, jakbyśmy wyszli z pudełka z czekoladkami - powiedziałam radośnie. Eryk jednak zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem.

- Przy twoich udach linia A byłaby chyba lepsza. Zwalczyłam pragnienie, by powiedzieć: „A przy twojej głowie lepsza byłaby peruka”.

Nieważne. Byłam zdecydowana cieszyć się tym dniem, który zaczął się równie pięknie, jak każdy inny dzień w Kalifornii. Parę pierzastych białych obłoczków żeglowało nad horyzontem wyłącznie w celach dekoracyjnych. Wsiadliśmy do jaguara. Eryk opuścił dach.

- Podoba mi się twój samochód - powiedziałam.

- Możesz go dostać, jak będę miał tamtego rollsa.

Słowa ześliznęły mu się z języka tak łatwo, jakby oferował mi prawo pierwokupu używanej sofy, kiedy on wskoczy szczebelek wyżej i sprawi sobie nowy komplet wypoczynkowy marki Dra-lon. Kiedy zmierzaliśmy w kierunku Ventura Freeway, która miała nas poprowadzić na północ, do Santa Barbara, odchyliłam się na oparcie i chłonełam pełne podziwu spojrzenia innych kierowców. Jak wyglądamy w ich oczach? - zastanawiałam się. Jak typowa hollywoodzka para? Kim jestem, ich zdaniem? Gwiazdą filmową? Menedżerem?

Kiedy na pewnym odcinku utknęliśmy w korku, zrównaliśmy się ze skromnym błękitnym nissanem cherry i przez prawie kilometr pełzaliśmy z nim nos w nos. Jego kierowcą był mężczyzna,

którego żołądek niemal dotykał kierownicy. Facet umieścił sobie na tej naturalnej półce duży papierowy kubek pełen coca-coli i regularnie pociągał z niego łyk.

Po stronie pasażera siedziała kobieta, mniej więcej w moim wieku. Wyglądała na nieco starszą, ale po przyjeździe tutaj dość szybko zorientowałam się, że kalifornijskie słońce bierze swój haracz. Nigdy nie myślałam, że będę wdzięczna deszczom, które psuły mi wakacje w dzieciństwie.

Kiedy pełzliśmy tak metr po metrze autostradą, ja na miejscu pasażera w jaguarze, ona w nissanie, żadna nie rozmawiająca ze swoim kierowcą, w pewnym momencie nasze spojrzenia się spotkały. Ciekawe, czy pomyślała: „ma szczęście ta dziwka”.

Moje ubranie od Armaniego, mój mężczyzna, jego fantastyczny wóz...

Korek ruszył. Eryk przycisnął gaz i wkrótce wyrwaliśmy daleko do przodu, gnając sto sześćdziesiąt na godzinę.

W połowie drogi przed Santa Barbara zaczęliśmy omawiać taktykę.

- Jaka wobec tego jest fabuła? - spytałam. - Jak się poznaliśmy?

- Może nie komplikujmy sprawy, co? - zaproponował Eryk. - Spotkaliśmy się w barze. Co istotnie miało miejsce. Ty uchwyciłaś moje spojrzenie, co istotnie miało miejsce. A ja zostawiłem ci kartę wizytową i poprosiłem, żebyś zadzwoniła. Co też zrobiłaś. To wszystko, co chce wiedzieć większość ludzi, o ile w ogóle chcą się o czymś dowiedzieć.

- W jakim barze? - spytałam. - Nie sądzę, żebyś był zadowolony, jeśli powiem, że w Ladyboys.

- W Sky Bar - powiedział z roztargnieniem. - Myślę, że zdołasz to zapamiętać, co?

- Hej, stary. Ja jestem profesjonalną aktorką-przypomniałam mu. - Potrafię nauczyć się na pamięć całej sztuki Szekspira. Więc chyba zdołam zapamiętać, gdzie się poznaliśmy. W Met Bar, nie ma sprawy.

Eryk spojrział na mnie z przerażeniem.

- Wiem, wiem. To był żart - powiedziałam. - W Sky Bar. Nie zapomnę. Będę dziewczyną idealną. Zanim wieczór dobiegnie końca, naprawdę zaczniesz myśleć o tym, żeby zostać hetero i ożenić się ze mną.

- Tylko nie licz, że cię wpiszę do ubezpieczenia samochodu - rzekł Eryk.

Dojazd do Santa Barbara zajął nam nieco ponad dwie godziny. Zanim dotarliśmy na miejsce, zanim zobaczyłam urwiste góry opadające ku morzu, postrzępione klify obrzeżone białymi piaszczystymi plażami, byłam zdania, że nazwa miejscowości brzmi raczej komicznie. Santa Barbara... Wyobraziłam sobie coś w stylu Californian Whitby, pełnego amerykańskich emerytów, podziwiających widoki zza szyb samochodu. Ale miejscowość Santa Barbara daleka była od tego, żeby być przedśmiertnym dormitorium, jak sugerowałaby jej nazwa.

Wjeżdżając do miasta, mijaliśmy tereny do gry w polo. Każdy samochód tutaj to był jaguar. Zanim skręciliśmy na podjazd hotelu Biltmore, jaguar Eryka robił już mniej więcej takie wrażenie, co fiat Cinquecento. Santa Barbara to było kalifornijskie Ascot.

Przed hotelem Biltmore, który z domkami o białych ścianach i czerwonych dachówkach wyglądał jak śródziemnomorska willa, Eryk zatrzymał samochód i wysiadł, pozwalając, by opiekę nad nim przejęła służba hotelowa. Następnie ruszył do recepcji, nie oglądając się na mnie, tak jakby nie pamiętał, że jesteśmy razem.

- Eryk! - zawołałam rozpaczliwie, czekając, aż ktoś wypakuje nasz bagaż. -
Poczekaj!

Złapałam go dopiero w hotelowym holu.

- Eryk, mogłeś na mnie poczekać!

Eryk przewrócił oczami w kierunku recepcjonistki, tak jakbym nieustannie się go czepiała. Być może był lepszy w odgrywaniu roli starego małżonka, niż myślałam...

Kiedy załatwialiśmy formalności - wesele miało się odbyć dopiero późnym popołudniem, więc zostawaliśmy na noc - chłonełam wzrokiem nowe otoczenie.

Hol hotelu Biltmore był niczym główny hol toskańskiego pałacu, perfekcyjnie odtworzonego od posadzki z terrakoty po sklepiony sufit, który prowokował ciszę stosowną raczej w katedrze.

Inni goście krążyli wokół niczym statyści w epizodzie *Falcon Crest*. Wszystko w nich krzyczało „kosztowne”, od fryzur, po starannie wymanikiurowane paznokcie, i po raz drugi w tym dniu pomyślałam, czy dam radę. Kiedy ci wyrafinowani bywalcy Santa Barbara patrzą na mnie, czy mogliby powiedzieć, że od dwóch miesięcy mieszkam w slumsie w Venice Beach?

Przekonał mnie nieco chłopiec hotelowy.

- Madam - powiedział, wyjmując mi z ręki torbę. Labiryntem korytarzy poszliśmy za nim do naszego pokoju.

Byłam pewna, że nie zdołam zapamiętać trasy. Zostaliśmy ulokowani w „domku z widokiem na basen”, jednym z najlepszych apartamentów, z małym ogrodem wychodzącym na basen.

Ja podziwiałam widok, a chłopiec hotelowy wnosił nasze walizki i wyjaśniał kwestię kluczy. Miałam wrażenie, że jest szczególnie usłużny. Zdałam sobie sprawę dlaczego, kiedy zapytał:

- Proszę mi wybaczyć, panie Nordhoff, że pytam, ale czy jest pan tym Erykiem Nordhoffem?

Eryk uśmiechnął się najbardziej uwodzicielskim uśmiechem i skinął głową.

- Niesamowite! Tak strasznie mi się podoba *Damska toaleta*, sir... Co za wyraziste postacie! Tego monologu hydraulika, który przychodzi przeczyścić muszlę, używam jako utworu na przesłuchania. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciw temu? A może mógłbym go panu zaprezentować trochę później?

- Wie pan, który jest mój pokój - powiedział Eryk, podając mu taką samą wizytówkę, jaką zostawił dla mnie w Ladyboys.

Młodzieniec uśmiechnął się jak głupi od ucha do ucha i odwróciwszy się ku nam swoim wspaniałym tyłkiem, pożegłował korytarzem.

- Cudny - zauważył Eryk.

- Zaprosiłeś go do naszego pokoju! - wykrzyknęłam.

- No to co?

- Chcesz mieć ten samochód czy nie?

- O cholera - powiedział Eryk. - Obawiam się, że wypadło to troszkę dziwnie.

- To tylko jeden dzień - przypomniałam mu.

- Tylko jeden dzień. O Boże, głowa mnie boli na samą myśl... Eryk poczęstował się wódką z tonikiem z minibaru. Mnie nie zaproponował niczego.

Lunch zjedliśmy na mieście. W czasie posiłku Eryk bez przerwy rozmawiał przez komórkę. Mnie pozostało rozglądać się po wnętrzu, co skłoniło jednego z kelnerów do bezczelnego pytania, czy chciałabym, żeby dotrzymał mi towarzystwa.

Później, kiedy Eryk rozmawiał głośno na temat jakiegoś przyjęcia w Bel Air, na którym nie będzie mógł być, bo zamiast tego

musi „znosić te nudy" w Santa Barbara, miałam ochotę dać mu klapsa. Wiedziałam, że, formalnie rzecz biorąc, byłam jego pracownicą, ale nie musiał traktować mnie jak osobistej sekretarki. W czasie mojej kariery w charakterze pomocy biurowej spotkałam wielu takich jak on, którzy traktowali swoje sekretarki jak element wyposażenia biura, potrzebujący tyle samo uwagi i informacji zwrotnej co kserokopiarka.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że nie chciałabym się z nim spotykać nawet, gdyby nie był gejem. Zachowywał się tak obraźliwie, że zaczęłam się zastanawiać, czy jego matka nie posłużyła się przypadkiem tym całym jego homoseksualizmem jako pretekstem, żeby nie musieć już nigdy więcej z nim rozmawiać.

W końcu zaczęłam bawić się myślą, czy by go nie zostawić i nie wrócić do Los Angeles. Skoro tak mnie ignoruje... Niech Ed Strausser zatrzyma sobie swój cholerny wóz. Ale jak tu wrócić? Miałam w portmonetce niecałe dwadzieścia dolarów, a limit na karcie kredytowej był na wyczerpaniu. Byłam w potrzasku.

- Jeśli chcesz, żeby ludzie uwierzyli, że jesteś we mnie zakochany, powinieneś rozmawiać ze mną od czasu do czasu - zauważyłam.

- Kto tu jest reżyserem, ty czy ja? - spytał Eryk.

Za piętnaście czwarta wróciliśmy do hotelu. Bobby i jej narzeczony Greg mieli brać ślub na tarasie wychodzącym na morze. Gdy byliśmy na lunchu, personel hotelu przekształcił taras z wytwornej restauracji w scenerię ślubu rodem z *Dynastii* lub *Dallas*. Rzędy krzeseł o złożonych oparciach, wyściełanych czerwonym aksamitem, stały po obu stronach czerwonego dywanu prowadzącego do niewielkiego podium, na którym państwo młodzi mieli składać ślubną przysięgę.

Na każdym krześle leżało złote pudełeczko przewiązane czerwoną wstążką, zawierające prezencik. Otrzymali je wszyscy goście. Wyglądały jak wziętki, które projektanci zostawiają redaktorom pism na wielkich pokazach mody. A co najmniej jak darmowe prezenty, które od czasu do czasu przekazywała mi Mary.

- Czy to po to, żeby młoda para dostała dobre recenzje? - zażartowałam, kiedy zajęliśmy z Erykiem przeznaczone dla nas miejsca. On jednak rozglądał się dookoła zbyt nerwowo, by dotarł do niego jakikolwiek żart.

- Czy ona już tu jest? - spytałam. Eryk pokręcił głową.

- Nie. Ale jest jej siostra, ciotka Katherine.

Jak na komendę ukazała się na końcu rzędu, w którym siedzieliśmy, kobieta, która spędziła na słońcu tyle czasu, że doskonale pasowała do swojej pięknej beżowej torebki od Tanne Krolle.

- Eryk, coś za niespodzianka! Jak to miło cię widzieć - powiedziała takim tonem, iż nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że ma na myśli coś wręcz przeciwnego. Jeśli jej oczy patrzyły tak, jakby był w nich uśmiech, to wyłącznie dlatego, że chirurg odrobinię zanadto naciągnął jej powieki.

- Ciociu Katherine, to moja dziewczyna, Elizabeth - powiedział Eryk.

- Doprawdy?

I ciocia Katherine odplynęła.

- To chyba będzie trudniejsze, niż myślałem - powiedział Eryk.

- Zdarzały mi się cieplejsze przyjęcia - przyznałam. - Ale tamta pani, o tam, uśmiecha się do mnie.

- Kuzynka Eryka uśmiecha się do każdego - westchnął. - Odkąd dowiedziała się o prozaku.

Najwyraźniej był to niebezpieczny interes - być bogatym... W miarę jak napływali kolejni goście, zabawiałam się liczeniem kiepsko podciągniętych podbródków i biustów. Parę kobiet miało dziwnie pozbawione wyrazu twarze; Eryk wyjaśnił, że to skutek uszkodzenia nerwu, który umożliwia ściągnięcie brwi. Jeśli chodzi o usta, to najwyraźniej obowiązywała moda, żeby wyglądać, jakby się miało alergię na owoce morza i doznało szoku po zjedzeniu sałatki z krewetek. Naprzeciwko mnie siedziała kobieta, która sprawiała wrażenie, że tylko co skończyła liceum. O dłoniach egipskiej mumii. Najwyraźniej coś tu było nie tak...

Kiedy zauważyłam, że Eryk nie przypomina zanadto z wyglądu swoich kuzynów, wyjaśnił, że to dlatego, iż wszyscy oni są po korekcji nosa. Ci, którzy byli do siebie zbyt podobni, korzystali po prostu z usług tego samego chirurga.

- Nowatorski sposób na osiągnięcie rodzinnego podobieństwa - skomentowałam.

- Gdybym jeszcze był w stanie przyswoić sobie rodzinną bi-goterię - powiedział Eryk.

Oczy wciąż miał utkwione w drzwiach wejściowych. W końcu na jego twarzy pojawił się wyraz inny niż zwykła pogarda, którą miał dla dalszych krewnych.

- Jest - szepnął. - Moja matka.

Oczy mu złagodniały, gdy wskazał małą damę o siwych włosach, ubraną w błękitny w stylu królowej matki. Wchodziła do ogrodu wsparta na ramieniu znacznie młodszego i całkiem przystojnego mężczyzny.

- Czy to jej...

- Żigolak? - podchwycił Eryk. - Chciałaby... To jej lekarz.

- Zabiera z sobą lekarza na wesele? Jest chora?

- Nie sądzę. On nie jest, ściśle rzecz biorąc, jej lekarzem. Matka zasiada w radzie paru szpitali. Przypuszczam, że zgodził się jej towarzyszyć w zamian za nowy skaner. Niezły byczek, no nie?

Nie mogłam się nie zgodzić. Wokół towarzysza pani Nordhoff unosiła się aura pewnej siebie zmysłowości, którą podkreślały ciemne kędziory i pełne usta.

- Ale nie wydaje mi się, żebym to ja dziś wieczorem mógł być jego areną - westchnął Eryk.

- Lepiej nie - przyznałam. - O ile zależy ci na tym samochodzie.

Matka Eryka wraz ze swoją eskortą była coraz bliżej. Kiedy stało się jasne, że nas dostrzegła, Eryk szybko zerwał się na nogi i zaproponował jej miejsce obok siebie. Matka powitała go z równym ciepłem, jakie mogłaby mieć zarezerwowane dla parkingowego.

- Eryk - powiedziała przenikliwym, ale mało przyjaznym tonem. - A więc przyszedłeś.

- Tak, mam. Nie mogłem opuścić wesela Bobby. Yyyyy... to moja dziewczyna, Elizabeth.

Wstałam i wyciągnęłam rękę, uśmiechając się z podwójną mocą, by zrównoważyć lodowaty giymas, który otrzymałam w zamian.

- Elizabeth Jordan - powiedziałam. - Jak się pani miewa, pani Nordhoff?

- Angielka? - zorientowała się pani Nordhoff. - No no no... Cóż za niespodzianka.

- Usiądziesz obok nas, mam? - spytał Eryk.

Pani Nordhoff spojrzała na miejsce, które jej zaoferował, i potrząsnęła głową.

- Zamierzam usiąść tam, skąd będzie dobrze widać pannę młodą.

I, nie wysiliwszy się nawet na zwykłe „zobaczymy się później”, pani Nordhoff ruszyła przed siebie wzdłuż rzędu krzeseł krokiem tak zdecydowanym, że jej towarzysz musiał niemal biec truchtem, żeby dotrzymać jej kroku.

- Nienawidzi mnie! - jęknął Eryk.

- Skąd - pocieszyłam go. - Po prostu chce się dokładnie przyjrzeć sukni.

Rzecz jasna w ogóle w to nie wierzyłam. Cóż to za twarda matka - żeby nie skorzystać z okazji i nie usiąść obok jedyne go syna, którego nie widziała od sześciu miesięcy? Wiedziałam teraz, że nasza misja może się okazać trudniejsza, niż sądziliśmy.

Jeszcze bardziej zaskakujące było to, jak zareagował na jej impertynencję Eryk. Z naszej wczorajszej rozmowy i z tego, jak lekceważąco wypowiadał się o swojej rodzinie po drodze do Santa Barbara, wyciągnęłam wniosek, że między nim a jego matką nie ma śladu uczucia i że chodzi wyłącznie o zakład i o samochód. A jednak wystarczyła ta krótka wymiana zdań, by twarżel, który nie zawracał sobie nawet głowy, by ze mną rozmawiać w czasie lunchu, skruszał.

Mogli zachowywać się wobec siebie równie czule jak Obcy i jego półludzka latorośl w *Obcym III*, ale nie było wątpliwości, że między Erykiem i jego matką istnieje więź, która sprawia, że rozdzielenie przeżywa się jak śmierć. Nagle poczułam, że siedzę obok małego chłopczyka, który chce do mamy.

- Nienawidzi mnie! - powtórzył Eryk. Wzięłam go za rękę i uścisnęłam.

- Wygramy dla ciebie ten samochód - powiedziałam, ale zdawałam sobie sprawę, że chodzi teraz o coś więcej, niż wygranie starego rolls royce'a.

Kwartet smyczkowy skończył grać Vivaldiego i zaczął *Here Comes the Bride*.

Roberta, albo - jak nazywano kuzynkę Eryka - Bobby, nie była, mówiąc oględnie, kruszynką. Kiedy szła w kierunku podium, wyglądała jak „Mary Rose” na krótko przed zatopieniem. Rodzina Nordhoffów wyznawała zasadę wystawnej konsumpcji i wszystko, od tortu weselnego, który wznosił się w kącie niczym projekt Richarda Rogersa, po samą pannę młodą, było gigantyczne.

W ślad za Robertą szły trzy jej młodsze kuzynki. Patrząc, jak stąpają sukniach, które przypominały raczej spadochrony z wyciętymi dziurami na głowę i ramiona, zdałam sobie nagle sprawę, że suknia drużny, w jakiej kazała mi wystąpić Mary, nie była wcale taka zła.

Najwyraźniej nikt w rodzinie nie oczekiwał, że Roberta wyjdzie za mąż. Miała trzydzieści dwa lata, jak powiedział mi Eryk. Pracowała jako sędzia okręgowy w San Luis Obispo i spędzała mnóstwo czasu ze swoją masażystką imieniem Melissa, fanką trociczek i tofu. To był szok dla każdego, łącznie z Melissą, kiedy Bobby poznała Grega. Greg też był prawnikiem. Miał rude kosmyki i sprawiał wrażenie, jakby sięgał Bobby do pępka, i to dopiero wtedy, kiedy ona zdejmie szpilki.

- Mnie nie wcisną kitu - powiedział wcześniej Eryk. - Myślę, że chodzi o jakiś rodzaj partnerstwa w interesach.

Podejrzał, że sytuacja osobista Bobby uniemożliwia jej szybki awans, na jaki zasługiwała. Greg był zainteresowany ulgami podatkowymi.

Istotnie, choć wszystko w tej ceremonii było maksymalnie romantyczne - od tła z widokiem na morze do odczytania fragmentu *Proroka* Kalila Gibrana („Drzewa itd— bla, bla, bla.” To już zaczynało być nużące. Słyszałam to w zeszłym roku trzykrotnie na trzech różnych ślubach) - nie wzruszyła mnie ona ani odrobinę.

Możliwe, że byłam w nieco odmiennym stanie, kiedy pobierali się Bill i Mary, ale w jakiś sposób ich ślub wydawał mi się znacznie bardziej realny. Bobby i Greg wypowiadali słowa małżeńskiej obietnicy tak, jakby składali przed sądem przysięgę prawdomówności w sytuacji, gdy zamierzają posłać do więzienia seryjnego mordercę.

Eryk przez cały czas był nieobecny duchem. W ogóle nie patrzył na młodą parę. Wzrok miał utkwiony w błękity spowijające niewielką siwowłosą kobietę, która zredukowała go do małego chłopczyka. Zupełnie jakby myślał, że jeśli będzie wpatrywał się dostatecznie długo w tył jej głowy, to w końcu się odwróci. Ale tego nie zrobiła. A kiedy ceremonia dobiegła końca, Elspeth Nordhoff przeszła w ślubnym orszaku wzdłuż rzędu widzów, zadbawszy, by od strony Eryka znalazł się jej towarzysz. Nawet nie musnęła syna wzrokiem.

Eryk gotów był zabrać się i pojechać.

- To nie ma sensu.

Przekonałam go, by tego nie robił.

- Na przyjęciu się rozluźni i zmięknie.

Przeszliśmy wraz z innymi gośćmi do tej części tarasu, gdzie podawano szampana. Nikt z nami nie rozmawiał, choć parokrotnie byliśmy odbiorcami znaczących spojrzeń. Bobby uśmiechnęła się w pewnym momencie desperacko do Eryka, ale to było tak, jakby chciała powiedzieć: „Nie jesteś w stanie mnie uratować”. Trzymała się tak daleko od świeżo poślubionego męża, jak tylko było to możliwe bez prowokowania pogłosek o bliskim rozwodzie.

W czasie posiłku znaleźliśmy się przy jednym stole z kolegami z pracy Grega i Bobby. Z facetem po mojej prawej ręce odbyłam krótką konwersację na temat tego, że tam, skąd przyjechałam, prawnicy są nazywani mecenasami. Eryk w ogóle nie zadał sobie trudu, by o czymkolwiek porozmawiać z dziewczyną po swojej lewej stronie. Wkrótce prawnicy zaczęli rozmawiać o sprawach zawodowych i pozostawili nas samym sobie.

Po przemówieniach orkiestra zaczęła grać do tańca. Państwo młodzi podnieśli się i wykonali parę zwrotów na parkiecie w takt melodii *Let there be love*. Pan młody miał dwie lewe nogi, ale panna młoda specjalnie się tym nie przejmowała. Upiła się szampanem, a także stresem, jak się domyślałam, biorąc pod uwagę sytuację rodzinną.

Szybko dołączyli do nich druźbowie i drużny. W żółtych jak słoneczniki sukniach, w przybraniach głowy, przy których adwentowa świeca Mary z *Blue Peter* wyglądała na powściągliwie skromną, drużny przypominały napełnione gorącym powietrzem balony, które źle wylądowały. Parkiet szybko zaczął wyglądać jak boisko do jakiejś niezrozumiałej gry. Czy druźbowie starali się trzymać druhen, czy ich unikać? Ile punktów dostawało się za zderzenie ze stolikiem?

- Może powinniśmy zatańczyć? - spytałam Eryka, kiedy wszyscy prawnicy opuścili nas, by ożywić parkiet poronioną wersją twista.

- Ja nie tańczę - rzekł Eryk. - Ale ty możesz jeśli masz ochotę.

- Chyba nie mogę zachowywać się tak, jakbym była sama, prawda? - zauważyłam. Ale Eryk mnie zignorował. Wpatrywał się ponuro w swoją matkę, która wciąż siedziała pod przeciwległą ścianą z wiedźmo-

watą ciotką Katherine i kuzynkami z piekła rodem. Eryk mówił mi, że jego rodzina wywodzi się z Norwegii. W takim razie kuzynki były zdecydowanie czystej krwi trollami.

- Czy twoja kuzynka Helena specjalnie życzyła sobie, żeby chirurg zrobił jej taki nos jaki ma Michael Jackson? - spytałam, usiłując rozluźnić atmosferę.

Eryk nie słuchał.

- Przez cały dzień nie powiedziała do mnie ani słowa. Wciąż mówił o matce.

- Jest mnóstwo ludzi, z którymi musi pogadać - zauważyłam.

- Ona mnie nienawidzi.

- Skąd.

- W takim razie nienawidzi ciebie.

- Dlaczego miałyby mnie nienawidzić? - spytałam oburzona. - Przecież nie zrobiłam nic złego.

- Myślałam, że cię polubi. Z twoim angielskim pochodzeniem.. . Ona ma fioła na punkcie królowej.

- Może powinieneś jej powiedzieć, że jestem spokrewniona z królową - powiedziałam sarkastycznie.

Eryk pociągnął nosem. Modliłam się, żeby nie zaczął płakać.

- Co masz dać Edowi, jeśli ona cię nie zaprosi na Święto Dziękczynienia? - spytałam.

- Picassa - powiedział Eryk.

- Co? Tego okropnego pawia? W takim razie nie wiem, czym się tak martwisz.

- Nie pawia- westchnął Eryk. - Wczesny szkic *Guerniki*, który wisi u mnie w łazience.

- Trzymasz Picassa w łazience?

- Na razie. Dopóki nie podejmę decyzji, jak zaaranżować studio.

To się nazywa inny świat.

- W takim razie będziesz musiał dać mu tego Picassa. No, ale możesz go odzyskać poprzez kolejny zakład...

- Nie obchodzi mnie ten szkic - westchnął Eryk. - Tak naprawdę nie obchodzi mnie i samochód. Nie mogę znieść, że moja matka ze mną nie rozmawia. Myślałam, że jak mnie zobaczy... Zwłaszcza jak zobaczy mnie z tobą...

Co mogłam na to powiedzieć? „Eryku, twoja matka nie akceptuje cię takiego, jaki jesteś. Nie jest sympatyczna. Pora zapomnieć, że cię urodziła, i iść naprzód”.

Tak właśnie myślałam. Ale powiedziałam Erykowi coś innego.

- Słuchaj, nie ma sensu, żebyś bez przerwy wpatrywał się z nią z przeciwległego końca pokoju. Trudno uwierzyć, że jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani, skoro jedyna kobieta, którą dostrzegasz przez cały dzień, to twoja matka. Postaraj się sprawiać wrażenie, że jest ci ze mną świetnie, a w końcu podejdzie. Będzie zaintrygowana.

- Tak myślisz?

- Takie są kobiety - zapewniłam go.

- W porządku - rozjaśnił się nieco. - Postarajmy się wyglądać, jakbyśmy się dobrze bawili.

Odwrócił krzesło w moim kierunku i spróbował się do mnie uśmiechnąć.

- O Chryste, Eryk - westchnęłam. - Co za okropny grymas.

- Robię, co mogę. Ty też nie wyglądasz, jakby to był najlepszy dzień w twoim życiu.

- Bo nie jest. Musimy o czymś porozmawiać.

- Na przykład?

- Wiesz co? Spróbujmy zrobić to, co robiliśmy w college'u, kiedy graliśmy sceny zbiorowe. Mów do mnie po prostu „rabarbar”, a od czasu do czasu rzuć „dżem”.

Eryk prychnął.

- To nie wypadnie zanedo realistycznie.

- W tej chwili wyglądamy, jakbyśmy się kłócili. Czy tak się zachowują zakochani, którymi rzekomo jesteśmy?

- No dobrze - jęknął Eryk. - Rabarbar, rabarbar, rabarbar, dżem.

- Gorgonzola - odcięłam się.

- Rabarbar.

- Szarlotka.

- Szarlotka?

- Jabłecznik - poprawiłam się, przypomniawszy sobie, że tak właśnie nazywają szarlotkę w Stanach.

- O czym ty mówisz? - spytał Eryk.

- To są skojarzenia słowne.

- Nie łapię o co chodzi.

- To po prostu... ojej, zapomnij o tym. Uwaga Eryka i tak już odpłynęła gdzie indziej.

- O Boże - syknął. - Chyba idzie w naszą stronę.

Istotnie. Pani Nordhoff stukała zdecydowanie obcasikami po parkiecie niczym Napoleon, gotów rzucić rękawicę Wellingtonowi i wyzwąć go na pojedynek.

- Eryku - powiedziała. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Czy zechcesz towarzyszyć mi do hotelowego holu?

- Tak, mam, naturalnie - Eryk zerwał się na równe nogi. -Yyyy... spotkamy się później, Lizzie.

I podreptał za matką. Uniosłam kciuk.

- Powodzenia - szepnęłam. Bardzo go potrzebował.

15

Eryk zostawił mnie samą przy stole. Rozejrzałam się z nadzieją dookoła. Jak dotąd, moje doświadczenia z Amerykanami były takie, że gdy tylko ktoś usłyszał mój akcent, trudno było wyperswadować mu, żeby nie wszczynał ze mną rozmowy.

Wszyscy chcieli dowiedzieć się czegoś o „starym kraju”, nawet jeśli tak naprawdę mieli korzenie szwedzkie, rosyjskie czy chińskie. Wszyscy chcieli też porozmawiać o pochodzeniu. Pracując w Ladyboys, poznałam co najmniej trzech facetów, którzy utrzymywali, że wywodzą się w prostej linii od króla Artura. Jeśli sądzicie, że Brytyjczycy mają obsesję na punkcie tego, kim są twoi rodzice, to pozwólcie sobie powiedzieć, że jest to drugi z kolei po telewizji ulubiony sposób spędzania czasu w Ameryce.

To tak jak z poprzednim życiem. Każdy, kto rzekomo poznał swoje poprzednie wcielenie, twierdzi, że był Elżbietą I albo Kleopatram. W żadnym razie służącą. W żadnym razie niewolnicą. Podobnie, jeśli ktoś chce cię wciągnąć w rozmowę o genealogii, możesz się założyć o wszystko, że nie zamierza cię poinformować, iż jego przodkami byli wieśniacy pracujący przy wydobywaniu torfu.

W tej chwili jednak w ogóle nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Choć miałam wrażenie, że prawdopodobnie rozmawia się o mnie. Przyłapałam dwie szatańskie kuzynki Eryka, jak patrzyły w moją stronę, najwyraźniej zastanawiając się, co taka miła dziewczyna jak ja robi przy kimś, kto w tak oczywisty sposób jest gejem.

Pomachałam im ręką. Nie spieszyło ich to bynajmniej i nie skłoniło, by podejść i się przedstawić.

Bawiłam się kieliszkiem do szampana. Nawet kelnerzy zdawali się mnie obecnie unikać. Czy tak oczywiste było, że jestem aktorką, która gra wyznaczoną rolę? Intruzem w tym ścisłym kółku bliskich sobie ludzi? Bliskich... Ha! Śmiechu warte. Raczej martwili się, że Eryk ma zamiar wprowadzić do klanu kolejną osobę, która będzie rościć sobie prawo do spadku.

Przesunęłam się nieco z krzesłem wzdłuż stołu tak, by ekstrawagancka kwiatowa dekoracja pośrodku sali zasłoniła mnie przed wzrokiem kuzynek.

- Zostawił panią samą, tak?

To był lekarz pani Nordhoff. Zakradł się od tyłu, kiedy śledziłam zza snopa herbacianych róż natrzęsające się ze mnie kuzynki.

- Ale mnie pan przestraszył! - wykrzyknęłam. Po czym, uspokoiwszy się, dodałam: - Eryk poszedł porozmawiać z mamą.

- Właśnie dlatego pomyślałam, że podejść i porozmawiam z panią.

- Misja miłosierdzia. Dzięki.

- Proszę mi wierzyć, że to dla mnie przyjemność.

Doktor uśmiechnął się do mnie jedynym prawdziwym uśmiechem, jaki widziałam tego dnia. Nie zajęło mi wiele czasu odkrycie, że jednym z rodzinnych rysów rodziny Eryka był grymas, zdolny zamrozić rękę.

- Nazywam się Scott - rzekł doktor. - Scott Walker.

- Lizzie Jordan.

Ujął moją wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią energicznie.

- Myślę, że Eryk i jego matka mają sporo do omówienia - powiedział, siadając obok mnie. - Wiem, że to niezbyt zabawne być samej na tego typu imprezie. Wszyscy są zbyt zajęci wymianą rodzinnych nowinek, żeby się tobą zajmować.

- Wygląda na to, że pan bawi się nieźle - zauważyłam.

- O tak... Pół godziny zajęło mi diagnozowanie hemoroidów jednego faceta. Jak się jest lekarzem, to wszyscy chcą z tobą rozmawiać. Ale tylko o sobie i o tym, co im dolega.

- Czy mogę pokazać panu moje kolano? - zadrwiłam.

- Jestem pewien, że bardzo mi się spodoba - odparł.

- Jaka jest pańska specjalność? - spytałam. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby jeszcze przez chwilę porozmawiać o sprawach zawodowych.

- Jestem onkologiem. Zajmuję się rakiem. Zwłaszcza rakiem piersi.
 - Wynika z tego, że lubi pan duże niebieskie oczy - zadow-cipkowałam. Scott spojrział na mnie bez wyrazu. - Przepraszam. To było niesmaczne... Scott jednak po chwili się roześmiał.
 - To ja przepraszam. Nie dotarło do mnie, co pani rozumie przez duże niebieskie oczy.
 - Co sprawiło, że znalazł się pan tu z panią Nordhoff? - spytałam szybko, żeby zmienić temat.
 - Pani Nordhoff zebrała pół miliona dolarów dla mojej kliniki na dobroczynnej aukcji dzieł sztuki. Za takie pieniądze jestem zmuszony tańczyć na dwóch łapkach, jeśli tego zażąda.
 - To kupa kasy.
 - Pani Nordhoff to wspianiała kobieta. Ma mnóstwo niesamowicie bogatych przyjaciół. I nie sądzę, żeby zbyt wielu spośród tych, którzy ją znają, ośmieliło się nie poprzeć jej aktualnego dobroczynnego celu, jeśli ich o to poprosi.
 - To doskonale się składa dla pana.
 - Niewątpliwie. Ona jest jedna na milion.
- Z miejsca, w którym siedzieliśmy, mogliśmy dostrzec Eryka i jego matkę w jednym z hotelowych saloników. Prowadzili dość ożywioną rozmowę, z energiczną gestykulacją po obu stronach. Oboje, Scott i ja, zwróciliśmy uwagę na ten spektakl. Scott westchnął, tak jakby widział to już nieraz.
- Jak się pani podoba Los Angeles? - spytał.
 - Słucham? - Wciąż obserwowałam Eryka i jego matkę. -Ach... Los Angeles? Uwielbiam to miasto. Kalifornia jest fantastyczna. .. Obawiam się, że to oznacza, że jestem okropnie płytka - dodałam. - Myślę, że w o wiele lepszym stylu jest zachwycać się raczej Nowym Jorkiem.
- Scott zaśmiał się.
- Nie... Myślę, że słusznie woli pani Zachód - powiedział. -Ja wyjechałem właśnie z Nowego Jorku i osiedliłem się tutaj.
 - Żeby pracować w lepszym szpitalu? - spytałam.
 - Chciałbym, żeby moje motywy były tak szlachetne. Ale słuszniej byłoby powiedzieć, że uciekłem.
 - Od kogoś?
- Scott, zamiast odpowiedzieć, upił łyk szampana.
- Nie musi pan mówić - powiedziałam. - Doskonale wiem, jak to jest... Bardzo ładny ten hotel - podjęłam bez zapału.

- Świetny widok.

Wzdłuż błękitnego horyzontu prześliznął się właśnie jacht o białych żaglach.

- Myślę, że to ważne, jeśli ma się dobry widok - brnęłam dalej. - Nieważne, jak brzydko jest w środku, jeśli można wyjrzeć przez okno i zobaczyć morze.

- Człowiek czuje się wtedy tak, jakby czekało go w życiu coś więcej - zgodził się Scott. - Kiedy mój pacjent ma zły dzień, radzę mu, żeby popatrzył na morze.

- Ale czy wobec ogromu morza nie czuje się pan czasem jednak bez znaczenia?

- Dokładnie. I tak właśnie potrzebuję się czasem pocuć. Nie różnimy się niczym od tych kwiatów na stole, Lizzie. Stanowimy element wzoru tak ogromnego, że nie jesteśmy w stanie go ogarnąć. Nasze małe życie i śmierci nie mają żadnego wpływu na uderzanie fal o brzeg. Uświadomienie sobie tego działa wyzwalające

- Dla mnie to brzmi depresyjnie.

- Zatańczymy? - zaproponował nagle Scott, pokrywając uśmiechem impas, w jakim znalazła się nasza rozmowa.

Orkiestra zaczęła grać *Let 's cali the whole things off*.

- Czy mówi pani *potatol* - spytał Scott, naśladując brytyjski akcent.

Tym razem przysłała moja kolej, by się roześmiać. *Let's cali the whole thing off* to piosenka, która prześladowała mnie przez cały czas mojego krótkotrwałego związku z Brianem Corenem, drugim z kolei najważniejszym partnerem w moim życiu, który zmienił wyobrażenie, jakie miałam o Amerykanach.

- Ta piosenka może być o pani i Eryku - zauważył Scott. - On wymawia *to-may-to*.

- A ja nie cierpię *to-oma-toes* - westchnęłam. - No więc tańczymy, czy nie?

Podniosłam się i pozwoliłam, by Scott poprowadził mnie na środek sali. To był moment, kiedy wszystko mogło się zmienić na gorsze, ale uśmiechnęłam się do niego szeroko i ruszyliśmy po parkiecie w nieskomplikowanej odmianie *quickstepa*. Dziwne... Kiedyś, dawno temu, ta piosenka doprowadzała mnie do łez, z powodu tego wszystkiego, co skończyło się między mną a Brianem Corenem. A teraz mogłam krążyć pogodnie do wtóru z jakimś podstarzałym facetem. To by znaczyło, że Brian przestał mieć dla

mnie jakiegokolwiek znaczenie. Czy kiedykolwiek będę się tak samo czuła w związku z...

- *Brookside* - mruknęłam sama do siebie.

- Słucham? - spytał Scott.

- Yyy... po prostu usiłuję sobie przypomnieć nazwę miejscowości, którą odwiedziliśmy z Erykiem w zeszłym tygodniu -zablefowałam.

- Ach tak.

- Lepiej tańczmy.

Skoncentrowałam się na kroku. Gdybym zaczęła w tym momencie nucić pod nosem *Brookside*, straciłabym poczucie czasu... Zamiast tego spróbowałam zatracić się w rytmie melodii. Scott był bardzo dobrym tancerzem i doskonale prowadził. Przemykaliśmy swobodnie pomiędzy innymi parami, których było teraz znacznie więcej, niż kiedy weszliśmy na parkiet.

- Gdzie się pan nauczył tak tańczyć? - spytałam.

- W liceum.

- Uwielbiam taniec - powiedziałam. - W college'u tańczyłam w zespole.

- Moje. gratulacje.

- Nie trwało to zbyt długo. Musiałam odejść, bo pokłóciłam się z partnerem.

- Czy nadepnął pani na palce?

- Złamał mi stopę na pierwszych zawodach.

- O!

- Po studiach mało ma się okazji, żeby tańczyć fokstrota.

- Słyszałem, że mężczyźni w Anglii nie za bardzo lubią tańczyć.

- Nie za bardzo, rzeczywiście.

Tańcząc ze Scottem w rytm piosenki Briana, nie mogłam nie pomyśleć o tym, jak tańczyłam z Richardem. A raczej jak podskakiwałam przy nim w górę i w dół, gdy on powłóczył niezręcznie nogami i modlił się, żeby móc wreszcie opuścić dyskotekę.

Intensywna niechęć Richarda do tańca była dla mnie rozczarowaniem. Nie pozwoliłam jednak, żeby stało się to tragedią. W końcu życie nie polega na nieustannym tańcu, prawda? A jednak jest coś wspaniałego w tym, że elegancki mężczyzna, złożony delikatnie dłoń na twoich plecach, prowadzi cię lekko wokół sali niczym cenną figurynkę... Nie potrafiłam sobie wyobrazić nic bardziej romantycznego. Ani bardziej erotycznego. O ileż bardziej było to erotyczne niż ciasny uścisk, lędźwie w lędźwie...

Orkiestra skończyła tymczasem grać *Let 's call the whole thing off*, a zaczęła *The way you look tonight*. Uwielbiałam te stare standardy.. . Piosenki, o których Richard lekceważąco mówił „muzyczka babuni”. Scott w naturalny sposób zwolnił krok do niespiesznego kołysania. Rozkoszny zawroć głowy uprzytomnił mi, ile szampana wypiliśmy.

Bezwiednie przymknęłam oczy.

- *Someday, when I'm awful low...*

Pozwoliłam, by głowa opadła mi na ramię Scotta. Tak wspaniale pachniał... Ciepła woń, mieszanka świeżo wypranej bawełnianej tkaniny i gorzkawego aromatu wody po goleniu, emanowała wraz z ciepłem naszych rozgrzanych tańcem ciał.

Wciągnęłam ją głęboko, wciąż nucąc do wtóru orkiestrze. Teraz grano *Dancing cheek to cheek*.

- *Heaven, I'm in heaven...*

- Hm-mmm -odchrząknął Scott. Szybko się wyprostowałam.

- Pani... pani kolczyk przebił mi koszulę - powiedział.

- O Boże, przepraszam.

Sięgnęłam ręką do nieszczęsnego prostopadłościennego okru-cha cyrkonii. Nie był taki znów wielki, aleja pewnie też bym nie chciała, żeby ktoś mi go wbijał w ramię...

Niezręcznie wróciliśmy do bardziej stosownej pozycji.

- No więc - powiedział Scott - jak wspomniałem, pani Nordhoff to niezwykle hojna kobieta.

- Niezwykle hojna - zgodziłam się.

- Miło by było, gdyby się pogodziła z Erykiem.

- Prawda?

- Myślę, że pani obecność może w jakiś sposób temu sprzyjać. Od dawna zna pani Eryka?

- Mam wrażenie, że od wieków - zablefowałam.

- Gdzie się poznaliście?

- W nocnym klubie - powiedziałam. - Takim, gdzie wstęp mają tylko członkowie.

- Tak jak Klub Uniwersytecki?

- Coś w tym stylu.

- Ma szczęście - powiedział Scott.

Przez moment miałam ochotę powiedzieć mu, że to ja mam szczęście. Ale nie dlatego, że jestem na weselu z Erykiem Nordhoffem... Scott zamrugał łagodnymi brązowymi oczami. Obliza-

łam wargi. Wyglądał, jakby miał zamiar powiedzieć dokładnie to, co myślałam.

- Czy mogę... Za późno.

Jedna z kuzynek Eryka, jedna z piekielnych bliźniaczek, którym nadał przydomki po palących jak kominy siostrach z książki Marge Simpson, zdecydowała się wkroczyć do akcji.

- Jestem pewna, że Eryk chciałby wreszcie zatańczyć ze swoją dziewczyną- dodała.

- Tańczycie już czwarty kawałek.

Scott natychmiast puścił moją dłoń, tak jakby była rozżarzona do białości.

- Wykorzystałem panią, Lizzie. Przepraszam.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedziałam. „Selma” wdarła się między nas.

- Teraz ja - powiedziała. Ze złośliwym błyskiem w oku chwyciła Scotta za rękę i przywarła do niego całym ciałem.

Kiedy zeszałam z parkietu i ruszyłam do stolika, przy którym siedział obecnie Eryk z matką po powrocie ze swojego intensywnego *tête-à-tête* nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby się nie obejrzeć. Scott z Selmą byli już w połowie drogi wokół parkietu. On trzymał dłoń na jej plecach, ale nie przyciskał jej zbyt mocno. Czy wyobraziłam sobie tylko, że mnie trzymał znacznie bliżej?

- Elizabeth! - Elspeth Northoff poklepała miejsce obok siebie. - Usiądź, proszę.

Właśnie opowiadałam Erykowi o doktorze Walkerze.

- Sprawia wrażenie bardzo sympatycznego - powiedziałam.

- Tak. Prawda? No więc - przeszła wprost do opisu własnych problemów - doktor Walker powiedział, że powinnam maksymalnie dużo wypoczywać, ale on nie rozumie, że mam zobowiązania. Co by zrobiło beze mnie Kółko Biblijne dla Pań?

Ostatnio zleciłam zorganizowanie paru zebrań Marilyn i pierwszą rzeczą, o jakiej się dowiedziałam, było to, że zorganizowała dyskusję na temat dopuszczenia kobiet do kapłaństwa, w rezultacie czego połowa pań przysięgła, że nigdy więcej nie przyjdzie na spotkanie kółka.

Eryk skinął głową.

- Oprócz tego jest jeszcze Koło Przyjaciół Galerii. Beze mnie nikt nie zorganizuje wykładów z historii sztuki ani dorocznego balu. Potrzebny jest pewien poziom taktu, by przekonać niektórych artystów, żeby przeznaczili swoje prace na wygrane na loterii.

- Wygląda na to, że zapracowuje się pani na śmierć - powiedziałam.

Eryk z głośnym pluśnięciem upuścił łyżeczkę do filiżanki z kawą. Brązowe bryzgi rozprysnęły się po nieskazitelnej bieli obrusa. Pani Nordhoff tylko na mnie popatrzyła.

- Lizzie - powiedział Eryk poważnie. - U matki stwierdzono właśnie bardzo rzadką odmianę raka.

Strzeliłam niewybaczalną gafę. Teraz ja wlepiłam oczy w matkę Eryka. Skinęła głową, potwierdzając jego rewelację.

- Przykro mi - szepnęłam.

- Skąd mogłaś wiedzieć - powiedziała spokojnie.

- Jak cię leczą, mamó? - spytał Eryk.

- Och, starają się jak mogą. Doktor Walker osobiście nadzoruje moją chemioterapię, ale twierdzi, że w tym stadium leczenie może polegać tylko na zapewnieniu mi dobrego samopoczucia. Nie ma nadziei na wyzdrowienie.

- Musi być!

- Eryku, mój drogi, nie pozwól, żeby opanował cię gniew. To właśnie zatrzymywanie gniewu wewnątrz jest tym, co powoduje chorobę. Żyłam bardzo długo. Mam nadzieję, że byłam dobrym człowiekiem. Uczciwie pracowałam. Starłam się być dobrą matką.

- Byłaś najlepszą z matek - przerwał jej Eryk.

Pani Nordhoff rozpromieniła się. W jej oczach zalśniły łzy.

- To wszystko, co chciałam usłyszeć. Miałam dobre życie, synu. Jeśli przyszedł mój czas, żeby odejść, muszę to po prostu zaakceptować. Przynajmniej mam możliwość się pożegnać. Nie tak jak biedna pani Addison.

- Pani Addison? - spytał Eryk.

- Poraził ją prąd w jej własnym łóżku do opalania. Ktoś dostanie teraz niezwykle interesujący prezent.

Ciotka Katherine przeszła milczkiem przez salę i dołączyła do nas.

- A więc poznałaś w końcu piękną młodą damę Eryka - zwróciła się do pani Nordhoff. - Muszę powiedzieć, że byli w rodzinie tacy, którzy dawno już stracili nadzieję, że doczekają czasów, kiedy Eryk się ustatkuje. Pani jednak zdołała go usidlić, Elizabeth. Musi być pani naprawdę zupełnie wyjątkową młodą damą.

- O, tak - powiedziała defensywnym tonem Elspeth Nordhoff. - Skończyła uniwersytet w Oksfordzie.

- Naprawdę? I nic nie mówisz?

- I pochodzi z bardzo dobrej rodziny. Z centralnej Anglii. Musiałam zagryźć wargi. Moja matka byłaby zachwycona.

- A zatem, co pani robi w Ameryce, Elizabeth? - spytała ciotka Katherine.

- Ach, wie pani... Różne rzeczy. Chodzę na przesłuchania... Jestem aktorką.

Brwi ciotki uniosły się w sposób daleki od przyjaznego.

Miałam zamiar powiedzieć, że biorę pod uwagę wyłącznie adaptacje Szekspira lub Tolstoja, ale Elspeth wystąpiła w mojej obronie.

- Jest aktorką klasyczną. Ale oczywiście zrezygnuje z aktorstwa, jak tylko pobiorą się z Erykiem.

Eryk już zaczął wykonywać potakujący gest głową, ale zmieniło się to w dziwaczne, dzikie potrząśnięcie, kiedy zdał sobie sprawę, co matka właśnie powiedziała.

Pobiorą się? Spojrzał na mnie. Ja spojrzałam na niego. Oboje mieliśmy w oczach przerażenie.

- Ojej, zepsułam niespodziankę! - zawołała matka Eryka. -Elizabeth, kochanie...

Mój syn kazał mi przysiąc, że nic ci nie powiem, ale wiem, że nie będziesz mi miała tego za złe. Eryk zamierzał ci się oświadczyć zaraz po weselu, moja droga. No, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś powiedziała „tak” już teraz. To oczywiste, że jesteście dla siebie stworzeni!

Ciotka Katherine musiała użyć ręki, żeby zatrzaskać własną szczękę. Eryk wciąż patrzył na mnie oszołomiony.

- Eryk - spytałam. - Czy to... czy to prawda? Nagle padł przede mną na kolana.

- Lizzie... yyy... czy zechciałabyś... czy wyświadczysz mi ten zaszczyt i zechcesz zostać moją żoną?

Na tarasie zapadła cisza. Orkiestrze polecono, by przestała grać. Wokół stołu, gdzie przed moimi zdumionymi oczami materializował się senny koszmar, uformowało się kółko widzów.

Eryk ścisnął obiema rękami moją lewą dłoń. Jego palce były równie gorące, jak, czułam to, moje policzki. Oczy błagalnie utkwili w moich. Uśmiech zastygł na jego twarzy, z całej siły zaciskał szczękę. Ale najakądpowiedź czekał? Próbowałam odgadnąć to z jego oczu. Czy było w nich desperackie „błagam, powiedz nie”? Czy raczej „powiedz tak, a potem się zastanowimy, jak z tego wybrnąć”?

Uznałam, że raczej to ostatnie.

- Yyyy... tak! - powiedziałam.

Szczęka Eryka rozluźniła się odrobinę. Trafiłam.

- Tak, Eryku. Naturalnie, że zostanę twoją żoną. Tak! Eryk zerwał się z kolan i wziął mnie w ramiona.

- Czy słusznie zrobiłam? - szepnęłam, gdy okręcał mnie dookoła.

- Tak - odszepnął. - Tak... Potem się zastanowimy, jak z tego wybrnąć.

W tej chwili jednak musieliśmy odgrywać szczęśliwą, świeżo zaręczoną parę.

Orkiestra znów zagrała *Let 's there be love* i tym razem to my byliśmy tancerzami, których wszyscy chcieli podziwiać. Ruszyliśmy wokół parkietu w maniackalnie szybkim walcu, z przylepionym do ust uśmiechem, sycząc do siebie przez zęby.

- Nie mogę uwierzyć, że nam to zrobiła - wysyczał Eryk.

- Mówiłeś jej, że mamy zamiar się pobrać?

- Mogłem napomknąć coś w tym stylu...

- Zabije nas, kiedy odkryje, jak jest prawda - szepnęłam pod pretekstem, że całuję Eryka w ucho.

- Nie przejmuj się. Umrze, zanim prawda wyjdzie na jaw.

16

Moje gratulacje - Scott wyciągnął sztywno rękę. Potrząsnęłam nią.

- Dziękuję - powiedziałam. - Wziął mnie przez zaskoczenie.

- To bardzo romantyczne zakończenie tego wesela - zauważył. Miałam chęć mu powiedzieć, że jest to tak romantyczne, jak

oświadczyły na zakończenie telewizyjnego show Jerry'ego Springera o ludziach, którzy spiąją ze swoimi zwierzętami domowymi, i że robiąc to na oczach

wszystkich, Eryk nie pozostawił mi żadnej możliwości odmowy. Miałam chęć

powiedzieć, że jedyny romantyczny moment w ciągu całego wieczoru to był ten, kiedy płynęłam w jego ramionach, a orkiestra grała *Smoke gets in your eyes*. Ale nie

powiedziałam.

- Mam nadzieję, że zobaczę panią na następnej dobroczynnej imprezie pani

Nordhoff- rzekł Scott. Skinął mi na pożegnanie głową i odwrócił się, by

pogratulować Erykowi.

- To bardzo romantyczne - usłyszałam.

- Słucham? A, tak. - Eryk miał minę psa, który dostaje burę, bo nasiusiał pod sofą. - Tak - powtórzył. - To się nazywa prawdziwa miłość.

Plan Eryka się powiódł. Znowu był w łaskach u matki. Ale za jaką cenę? Kiedy po przyjęciu wracaliśmy wieczorem do swojego pokoju, cały się trząsał. Dzięki swojemu niedawno ujawnionemu „stanowi” Elspeth Nordhoff nie upierała się, żeby spędzić tę noc z nami.

- Co ja zrobiłem, co ja zrobiłem, co ja zrobiłem - mruczał pod nosem. - Co ja zrobiłem?

- Poprosiłeś mnie, żebym została twoją żoną - przypomniałam mu. - Dziękuję ci, Eryku. Nikt nigdy dotąd mnie o to nie poprosił.

- To nie jest śmieszne, Lizzie - warknął. - To naprawdę wcale nie jest śmieszne.

- Wyluzuj się. Wygrałeś samochód - powiedziałam. - A ja nie mam zamiaru trzymać cię za słowo.

- Ale moja matka ma.

- Nie może nas zmusić. Słuchaj, powiedz jej po prostu, że ustaliliśmy datę na rok dwutysięczny piąty. Do tego czasu umrze.

Eryk spojrział na mnie, jakby był szczeniakiem, któremu właśnie wymierzyłam kopniaka.

- Przepraszam...

- Nie, masz rację. To jedyna myśl, dzięki której jeszcze się jakoś trzymam. Inaczej bym oszalał.

- Czemu zdecydowałeś się posunąć tak daleko? - spytałam.

- Słyszałaś, co mówiła. Ona umiera. Nie miałem pojęcia...

- Ale dlaczego...

- Po prostu chciałem, żeby była szczęśliwa, rozumiesz? Zaczęła mówić, jak to lżej by jej było umierać, gdyby wiedziała, że założyłem rodzinę, i po prostu tak jakoś polecałem po tej linii.

- A zatem wybaczyłeś jej, że cię wydziedziczyła, kiedy myślała, że jesteś gejem?

- Oczywiście, że jej wybaczyłem. Kocham ją. Miłość nie jest racjonalna. I to nie tylko miłość, jaką mamy dla rodziców. Czy nigdy nie kochałaś kogoś właśnie dlatego, że przez niego czułaś się źle? A potem, kiedy w końcu ten ktoś zaaprobuje to, co robisz,

jest tak, jakby słońce przedarło się przez chmury. Jakby na zamar-złym stawie popękał lód. Jakby w końcu udało ci się zapalić ognisko z kupy mokrych patyków.

- Poezja - skinęłam głową.

- Właśnie tak się poczułem dzisiaj, kiedy powiedziałem mamie, że ty i ja mamy zamiar się pobrać. Rozpromieniła się, Lizzie. Nigdy nie uśmiechnęła się do mnie tak promiennie, odkąd w przedszkolu dostałem nagrodę za dobre zachowanie. Zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy? Znow widzieć, jak się do mnie uśmiecha, tak jakby naprawdę była dumna z tego, że jestem jej synem? Odmówiła pójścia na premierę mojego pierwszego filmu, bo uważała, że rozmowy podsłuchane w toalecie to „niewłaściwy temat” dla porządnego autora. Kiedy poprosiłem ją, żeby pojechała ze mną na ceremonię wręczania Złotych Palm, udała, że ma zapalenie spojówek. Zżyma się na wszystko, co zrobiłem w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat. Rozczarowałem ją w każdy możliwy sposób. Marzyła, żebym wyrósł na porządnego, normalnego, heteroseksualnego prawnika. Zamiast tego ma zбочonego pedała, który pisze sztuki.

Eryk wytarł nos wierzchem dłoni. Płakał.

- Pieprz to, Eryk - powiedziałam banalnie. - Masz, użyj tego. Podałam mu jedną z moich rękawiczek.

- Nie chciałem rozczarować mojej matki. Jedyne, czego chciałem, to jej miłości i żeby jej ostatnią myślą było, że jestem dobrym synem. Musiałem skłamać, żeby zmusić ją, by tak właśnie myślała... Czy nie mam racji, Lizzie? Powiedz, nie mam racji?

Przygryzłam wargę. Sama parę razy skłamałam matce, żeby podtrzymać obraz grzecznej córeczki. Poczynając od dnia, kiedy powiedziałam, że pies sąsiadów zakradł się do naszego domu i zjadł wszystkie jej ulubione czekoladki, które tata kupił jej na trzydzieste drugie urodziny, aż do wczorajszego e-maila, w którym nakłamałam, że nazajutrz mam wziąć udział w artystycznym przedsięwzięciu w reżyserii Eryka Nordhoffa.

Najlepsze kłamstwa, odkryłam kiedyś, to te, które zawierają co najmniej siedemdziesiąt procent prawdy.

- Nigdy nie skłamałaś swojej matce? - przycisnął mnie Eryk.

- Jasne, że skłamałam. Każdy skłamał chociaż raz.

- No więc, co powinienem teraz zrobić, twoim zdaniem? Na moje nieszczęście, wypiliśmy tego dnia sporo szampana.

Mój osąd, generalnie dość słaby, był w tej chwili szczególnie zma-

cony. Mogłam naciskać, żeby spróbował wszystko wyprostować. Mogłam zaferować mu swoją pomoc, powiedzieć, że będę stać przy nim i śpiewać hymny pochwalne na jego cześć, kiedy matka dostanie szału. Niewątpliwie lepiej byłoby dla Elspeth Nordhoff, gdyby umierała ze świadomością, że zna prawdę, niż pogrążona we mgle ignorancji... Aleja nie stanęłam na gruncie wygórowanych standardów moralnych.

- Myślę, że na razie musimy dotrzeć do końca tego wesela - powiedziałam. Nie wydawało się to specjalnie trudne.

- Wszyscy twoi krewni zamierzają zostać w Biltmore do jutra po południu, prawda? Eryk skinął głową.

- Myślę, że jutro przez cały ranek powinniśmy nie wychodzić z pokoju. Napijemy się szampana, pooglądamy telewizję... A wszyscy będą myśleli, że czcimy nasze zaręczyny w inny sposób. - Narysowałam w powietrzu cudzysłów. - Potem pójdziemy z twoją matką na lunch, co zajmie nam nie więcej niż godzinę. I jak tylko przegryziemy jakiegoś sandwicza, powiemy, że musimy piorunem wracać do Los Angeles, żeby zdążyć na samolot do Londynu i móc jak najszybciej oznajmić radosną nowinę moim rodzicom.

Twarz Eryka nieco się rozluźniła.

- Zrobisz to dla mnie, Lizzie?

- Hej, Eryk. Nie chcę, żeby klan Nordhoffów zepsuł mi jedyną szansę nocowania w pięciogwiazdkowym hotelu, jaka najprawdopodobniej przytrafi mi się w tym stuleciu, rozumiesz? A poza tym postarasz się dwa razy bardziej, żeby Ed Strausser zaangażował mnie jako swoją klientkę. Załatwione?

- Załatwione - powiedział Eryk.

Nazajutrz rano byłam zbyt zajęta leczeniem kaca, żeby zamawiać do pokoju szampana. Eryk spędził parę godzin ze słuchawką przy uchu, rozmawiając ściszym głosem z kimś, kto - jak mogłam się jedynie domyślać - był w tym momencie prawdziwym obiektem jego uczuć. Wzięłam kąpiel w wannie, w której słup wody wynosił co najmniej trzydzieści centymetrów, przy czym wlałam do niej cały hotelowy olejek, tak że na wierzchu było drugie trzydzieści piany. Leżałam i rozkoszowałam się gorącą kąpielą.

Nie brałam takiej kąpieli od wyjazdu z Anglii. Nie miałam ochoty spędzać zbyt dużo czasu w zagrzybionej łazience w domku na plaży.

Elspeth zadzwoniła z propozycją, żebyśmy się spotkali na lunchu o dwunastej.

Powiedziała, że ona stawia. Dla „zakochanych ptaszyn”.

Eryk siedział z głową w dłoniach i jęczał w regularnych odstępach.

- To tylko lunch - powiedziałam. - To wszystko, co będziemy musieli ścierpieć.

Potem podrzucisz mnie do Los Angeles, powiesz matce, że pojechałam do Londynu, a sam wrócisz do swoich normalnych zajęć.

Eryk skinął głową.

- Ale na razie - przypomniałam mu - musisz zachowywać się tak, jakbyś mnie kochał. Co oznacza między innymi, że odniesiesz moje torby do samochodu, żebyśmy byli gotowi do drogi, jak tylko podadzą kawę.

Niestety, Elspeth nie zamierzała pozwolić nam odejść po paru naprędce zjedzonych kanapkach i paru cmoknięciach powietrza w okolicy policzków. I wcale nie mieliśmy jeść lunchu *a trois*, jak miałam nadzieję. O nie... Kiedy w południe stawiliśmy się na tarasie hotelu Biltmore, powitało nas chóralne wykonanie a cappella *Here Comes the Bride* i stanęliśmy oko w oko z caluteńką rodziną Nordhoffów, włącznie z jej najnowszym nabytkiem. Wczorajsza panna młoda i jej świeżo poślubiony, fabrycznie nowy małżonek opóźnili rozpoczęcie podróży poślubnej specjalnie po to, żeby móc towarzyszyć Elspeth w świętowaniu zaręczyn Eryka.

- I po co tyle kłopotu - powiedziałam w imieniu Eryka. On sam nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Jak to, miałabym nie uczcić zaręczyn mojego jedynego syna? - odpowiedziała zdumiona Elspeth.

Zostaliśmy posadzeni po obu stronach jego matki. Eryk miał za sąsiadkę ciotkę Katherine; ja zostałam wciśnięta między Elspeth i ciotkę Madeleine, jej drugąsiostrę Grimm. Stawiła się cała rodzina, łącznie z szatańskimi kuzynkami. Ku mojemu rozczerowaniu zauważyłam, że między kuzynki został wtłoczony doktor Walker.

- Nie mogę się doczekać, żeby cię dobrze poznać - powiedziała do mnie Elspeth. I niewątpliwie przygotowała się na tę okoliczność. Wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań, zupełnie jakby to

była rozmowa kwalifikacyjna na stanowisko jej osobistej sekretarki, a nie synowej. Wychowanie, wykształcenie, sympatie polityczne. Upodobania, uprzedzenia, alergie, mutacje genetyczne. To ostatnie to żart, niemniej, zanim dotarł na stół mój wędzony łosoś (nie cierpię wędzonego łososa, ale Elspeth zamówiła go dla wszystkich), czułam się tak, jakbym była o krok od głównej wygranej w jakimś quizie. Elspeth stawiała pytanie za pytaniem, a ja na każde odpowiadałam. Ani razu nie zmrużyła oczu ani nie cmoknęła z dezaprobatą, tak więc przypuszczałam, że odpowiedzi były prawidłowe. I wreszcie zadała pytanie, które w jej przypadku było za milion dolarów. Wiedziałam o tym, dzięki Scottowi.

- Czy lubisz sztukę, Elizabeth?

Sztuka. Pasja Elspeth Nordhoff. Zasiadała w radach z pół tuzina muzeów między Los Angeles a Doliną Śmierci. Scott powiedział mi, że przekazała na aukcję jeden ze swoich własnych szkiców Picassa, żeby pomóc mu zebrać fundusze na nowy skaner. Musiałam odpowiedzieć na to pytanie twierdząco.

- Ależ tak - odparłam.

Pani Nordhoff patrzyła na mnie wyczekująco.

- I...

- No więc, lubię impresjonistów - zaryzykowałam.

- Tapeta - stwierdziła lekceważąco pani Nordhoff. - A jaki jest twój ulubiony obraz? Zauważyłam, że Eryk odłożył sztuki i patrzył w moim kierunku równie ochoczo, co jego matka. Nie tyle ochoczo, co z desperackim pragnieniem, żebym utrafiła w oczekiwania mamusi.

- Mój ulubiony obraz? - mruknęłam, żeby zyskać na czasie. - Jaki jest mój ulubiony obraz?

Poczułam taki sam strach, jaki oświadczył mi, kiedy usiłowałam sobie przypomnieć słowo „pianista” na ustnym egzaminie z francuskiego i nie wiadomo dlaczego wyszło mi coś jakby „penis”. Jedyne, co mogłam sobie przypomnieć, to były *Lilie wodne* Moneta, ale pani Nordhoff już zdyskwalifikowała impresjonizm. Nie mogłam powiedzieć, że *Lilie wodne*... Palnęłam więc tytuł jedyne obrazu, jaki znałam oprócz *Mony Lizy* i *Słoneczników* Van Gogha.

- *Państwo Clark i Percy* - powiedziałam. - Davida Hockneya. Podoba mi się sposób, w jaki ta praca stawia tradycję na głowie. Mężczyzna siedzi, a nie stoi. A pomimo to jego agresywnie leniwa poza i tak dominuje nad całą kompozycją.

- Wygląda na to, że wpadasz w zachwyty na samą myśl - zauważyła pani Nordhoff.

- Przepraszam - poszukałam gwałtownie oczami jej oczu przekonana, że znajdę w nich sarkazm. Tymczasem po raz pierwszy tego popołudnia pani Nordhoff naprawdę się do mnie uśmiechała. Autentycznym, szczerym uśmiechem.

Miała rację - wpadłam w zachwyty. Ale nie w taki sposób, jak przypuszczała... Wpadłam w zachwyty na myśl o Richardzie. *Państwo Clark i Percy* to nie był bynajmniej mój ulubiony obraz. Lubiłam Moneta i jego stare pocziwe *Lilie wodne*. Jednak nawet gdyby pani Nordhoff nie uznała ich za chałturę, nie umiałabym wyjaśnić, dlaczego uwielbiam *Lilie wodne*. Mogłabym tylko użyć wyświechtanej kliszy „podooba mi się i już”. Richard natomiast mógł podać tysiąc powodów, zarówno głęboko osobistych, jak i skrajnie akademickich, dlaczego lubi najslawniejszy portret Davida Hockneya. Ta praca to był jego układ odniesienia. Dążył do tego, by uchwycić osoby, które portretował, w taki sam sposób, w jaki Hockney uchwycił swojego najlepszego przyjaciela i jego żonę. ^{J te}

I jeśli byłam zachwycona, to dlatego, że wraz z tamtym obrazem pojawił się w moim umyśle obraz Richarda i mnie, jak stoimy przed kompozycją Hockneya w Tate Gallery. Richard, obejmując ramieniem moją talię, kładzie mi głowę na ramieniu i wszeptuje w ucho przyczyny, dla których tak mu się ona podoba.

- Oczywiście pan Hockney tworzy obecnie w Los Angeles - rzekła pani Nordhoff. - Sama mam parę jego mniejszych prac i oczywiście Eryk też ma jego niewielki olej, który dostał ode mnie na osiemnaste urodziny. Przypuszczam, że z przyjemnością go zobaczyłaś, Elizabeth. Szalenie subtelny, nie sądzisz?

Skinełam głową. Rzecz jasna wcale go nie widziałam.

- Robi się strasznie późno - pośpieszył mi w końcu z pomocą Eryk. Zadowolona, że nie będzie miała za synową Hotentotki pani Nordhoff („Mów mi Elspeth”) pozwoliła nam wreszcie odejść. Ruszyliśmy niemal biegiem do samochodu, machając na pożegnanie jak szaleni. Przejechaliśmy autostradą, znacznie przekraczając prędkość, parę kilometrów, po czym skręciliśmy do pierwszego napotkanego baru i wleliśmy w siebie po burbonie z lodem.

- O Boże, jestem wolny! - Eryk poluzował krawat. - Znów jestem gejem!

- Zarobiłam swoje pieniądze? - spytałam.

- Co do centa.

- Myślisz, że mnie polubiła?

- Uwielbia cię - zapewnił Eryk. - Tyle wiesz o sztuce...

- Nie za wiele - przyznałam się. - Po prostu cytowałam podręcznik historii sztuki, który kiedyś czytałam.

- Nieważne, dałaś sobie radę. Byłem oczarowany. I ona też... Dziękuję ci.

Ulga Eryka była wprost namacalna. Aprobata matki usunęła z jego twarzy linie troski skuteczniej niż operacja plastyczna.

- A wiesz, co jest najlepsze? - spytał.

- No?

- Spytała, jak mi idzie praca. Kiedy byłaś w łazience, żeby się przygotować do wyjazdu, położyła mi rękę na ramieniu i powiedziała, że widziała *Damską toaletę* i uważa, że mam oko wielkiego reżysera. Nie dobrego reżysera, Lizzie. Wielkiego!

- To miłe.

- To lepsze niż dostać Oscara. A trzeba było widzieć jej minę, kiedy powiedziałem jej, jaki będzie mój następny film!

- A jaki będzie?

- *Zmartwychwstanie* Tołstoja.

- O rany! To takie głębokie. - Tak naprawdę to chyba użyłam któregoś lata egzemplarza tej powieści do podparcia tylnych drzwi, żeby się nie zamykały od przeciągu.

- Mama też tak uważa. Właśnie wtedy powiedziała, że wie, że będzie mogła być że mnie dumna.

Eryk osuszył oczy serwetką. Za chwilę będziemy mieli moment a la Oprah Winfrey, pomyślałam. Ale nie mieliśmy. Uspokoił się bardzo szybko.

- Chcesz zobaczyć mojego Hockneya, zanim wrócisz do domu? - spytał. - Możemy wpaść po drodze do mojej willi.

- Tak naprawdę wcale nie lubię Hockneya - powiedziałam. - Lepiej pojedę do domu. Na przednim siedzeniu, wciąż w kostiumie od Armaniego, myślałam o rozmowie, która miała miejsce podczas lunchu. *Państwo Clark i Percy*. Eryk miał Hockneya. Richard byłby wniebowzięty... Mówiąc, że nie mam ochoty obejrzeć obrazu, w jakimś sensie pokazywałam Richardowi figę.

- Zobacz - mówiłam - nie obchodzi mnie już to. co jest dla ciebie ważne. Nie ma powodu, żeby mnie obchodziło!
To był drobny gest. Dziecinny. I dał tylko tyle, że było mi smutno.

17

Eryk wyrzucił mnie mniej więcej kilometr od domu. Uważał że nie byłby to zbyt dobry pomysł, jechać odkrytym samochodem w tej części Venice Beach. Pewnie miał rację.

Machając mu na pożegnanie, wiedziałam, jak musiał się czuć wracający z balu Kopciuszek. W domu zdjęłam nowe pantofle zawinęłam je z powrotem w bibułę, włożyłam do pudełka i wstawiłam do szafy. Kostium od Armaniego zastąpiły jaskrawe szmaty z amerykańskiego Top Shop. Tej nocy miałam zmianę w Lady-boys.¹

Gruby Joe nadal zastępował Saszę Tristelle. Po zakończeniu zmiany, kiedy wracaliśmy do domu, opowiedziałam mu o weselu. Na wieść o oświadczeniach ryknął śmiechem.

- Mam nadzieję, że to nie są oświadczenia, które wywróżyła mi Brandi - westchnęłam. Nie mogłam się doczekać, żeby ją o to zapytać. Kiedy wróciłam z wesela, nie było jej w domu.

- Jak jej poszło wczorajsze przesłuchanie? - spytałam.

- Nie wiem - odparł Gruby Joe. - Nie widziałem się z nią. Kiedy wróciliśmy do domu o szóstej rano, zastaliśmy Brandi siedzącą na progu. Palila.

- Palisz?-spytałam.-Myślałam, że rzuciłaś.

Gruby Joe wyciągnął papierosa z paczki Brandi i pognął na gorę, żeby załapać się na gorącą wodę. W bojlerze nigdy nie wystarczało wody na kąpiel dla więcej niż jednej osoby. A właściwie to pewnie by wystarczyło, gdyby Gruby Joe nie był w kąpieli taką stuprocentową dziewczyną. Doprawdy, z faceta, który brał prysznic raz na miesiąc (i to tylko dlatego, że uważał, iż psy śledcze FBI trafiły na jego trop) stał się stuprocentową kobietą, która myje zęby po każdym tic-tacu. Anektowanie łazienki na swój wyłączny użytek to była płaszczyzna rozwoju Grubego Joego jako di wy której z pewnością nie doceniałam.

Normalnie Brandi wrzasnęłaby za nim coś w stylu, że nie jest jedyną osobą w tym domu i może byłby łaskaw o tym pomyśleć, zanim pozostawi nam obu parę lodowato zimnych kropel. Tego ranka jej to nie obchodziło.

Tego ranka uniosła ku mnie twarz, z papierosem wciąż tkwiącym w kąciku ust, a drugim kącikiem wygiętym ku górze w nieudolnej próbie uśmiechu. Była jakaś inna tego ranka. To było tak jak wtedy, kiedy ostatecznie zdjęto mi z zębów klamrę.

Ludzie wciąż mówili na mój widok: „Wyglądasz jakoś inaczej”, ale nie potrafili sobie uzmysłwić, co się właściwie zmieniło. Aleja szybko uzmysłowiłam sobie, co się zmieniło w Brandi. Była bez śladu makijażu. Nigdy dotąd nikt nie widział jej bez makijażu, nawet o szóstej rano (chyba że miała zamiast niego na twarzy maseczkę z rozgniecionego awokado). Nie znaczy to, że bez tapety wyglądała okropnie. Ale wyglądała na zmęczoną.

- Co się dzieje? - spytałam, siadając obok niej, żeby podziwiać widok. (Nadal była nim wypalona skorupa samochodu, którą porzucono przed naszym domem prawie tydzień temu. Całkiem to romantyczne o brzasku, powiedziałam sobie).

- Nic-odparła.

Co, rzecz jasna, nigdy tak naprawdę nie oznacza „nic”.

Wiedziałam, że poprzedniego dnia Brandi miała wyznaczone przesłuchanie w Studio City. Był to casting do minirólki w pilocie nowego sitcomu. Zero tekstu, wyłącznie potrząsanie włosami i oblizywanie warg, na ile mogłam się zorientować.

- Źle ci poszło przesłuchanie? - spytałam.

- Można tak powiedzieć-odparła. Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem i zgasiła go na schodku, dokładnie na trasie armii mrówek, które od miesiąca pracowicie wносиły żywność z naszej kuchni.

- Co było nie tak? Kazali ci zdjąć górę? Brandi skinęła głową.

- No cóż - zaczęłam - skoro nie przestajesz chodzić na castingi do ról w filmach, które noszą tytuły w stylu *Sypialniane laleczki*... Powinnaś pogadać o tym ze swoim agentem. Jeśli nie masz ochoty się więcej rozbiierać, to naprawdę nie musisz...

- Nie przeszkadza mi to - przerwała. - Tak naprawdę to nigdy nie stanowiło problemu.

- Serio?

- Serio. To tylko resztki tego całego katolickiego poczucia winy sprawiają, że wydaje mi się, że powinnam czuć się źle z tego powodu.

- To o co chodzi w takim razie? - spytałam raźnie. - Skoro nie masz nic przeciwko temu, żeby się rozbierać?

Brandi zagryzła górną wargę i wpatrywała się nieruchomo przed siebie. Nagle stało się jasne, że za wszelką cenę usiłuje powstrzymać płacz.

- Skrytykowali twoje aktorstwo? - spróbowałam

- Nie.

- Powiedzieli, że jesteś za stara do roli kogoś tam?

- Nie - powiedziała. - Nie... - Mimo że usiłowała się trzymać, wielka łza wymknęła jej się spod powieki i potoczyła po policzku. - Nie... - Głowa jej opadła, ukryła twarz w dłoniach. - To w ogóle nie o to chodzi. - I Brandi zaczęła płakać.

Objęłam ją. Zaczęłam gładzić po włosach. Pocałowałam nawet w czubek głowy.

Brandi jednak nie przestawała płakać. Nie wiedziałam, co robić... Widywałam ją już wcześniej, jak wracała do domu z jakichś beznadziejnych przesłuchań. Widziałam, jak pociąga nosem, by nie wymknęło jej się parę łez, które mogłyby rozmazać tusz na rzęsach, po czym ćwiczy w ogrodzie ruchy dżiu-dżitsu, dopóki nie skopie jak należy tyłka wyimaginowanemu reżyserowi.

Pomyślałam, że musi w końcu mieć dość. Była w Los Angeles od trzech lat. Nie spała już wprawdzie w samochodzie, ale o ile nie jest się optymistą, to dom na plaży mało różnił się od zdezelowanego nissana... I choć Brandi powiedziała, że nie ma nic przeciwko zdejmowaniu ciuchów do ról, jakie dostawała, nie czułam się specjalnie przekonana. Na pewno płacze, bo po raz kolejny najpierw zaproponowano jej rolę, a potem sprzątnięto sprzed nosa. To jasne.

Dla aktorki, która zarabia na życie, grając nastolatki i szalone studentki, pojęcie przeterminowania jest dużo bardziej dotkliwe niż dla którejkolwiek z nas. Brandi zdała sobie sprawę, że robi się za stara. Nigdy nie była zagrożeniem dla Cameron Diaz. Jennifer Lopez nie walczyła z nią o role. A teraz Brandi i jej zbliżające się do trzydziestki rówieśnice były wypierane przez nową generację aspirujących do aktorstwa pań, o takich samych nogach, takich samych biustach, takich samych włosach, które nigdy nawet nie słyszały o Duran Duran.

- Nie przejmuj się - powiedziałam z nadzieją. - Każda z nas ma od czasu do czasu zły moment. Musisz po prostu zmienić typ ról, do których startujesz. Nie jesteś jeszcze skończona, Brandi. Powiedz swojej agentce, żeby zaczęła ci wyszukiwać nieco starsze role. Z charakterem. René Russo stała się znana wszystkim gospodyniom domowym dopiero po czterdziestce... Nawet trochę jesteś do niej podobna. Brandi wyprostowała się i spojrzała na mnie. Chyba nie pocieszyłam jej ani odrobinę.

- Nie o to chodzi - wyszeptała powoli. - To coś gorszego niż starzenie się, Lizzie. O wiele gorszego. - Wzięła głęboki oddech. - O Boże - powiedziała zdławionym głosem.

- Co się stało?

Brandi zacisnęła z całej siły powieki, jak gdyby mocując się z sobą, by powiedzieć coś, co było naprawdę nie do wypowiedzenia.

- Kiedy wczoraj po południu zdjęłam na przesłuchaniu górę, asystentka reżysera powiedziała, że coś jest nie tak z moimi piersiami.

- Genialnie - zadowcipkowałam. - Przynajmniej nie są z silikonu.

- Chciałabym, żeby były - powiedziała Brandi. - Bo może wtedy nie miałabym raka.

- Przesadzasz, Brandi - powiedziałam, idąc za nią do jej sypialni. Kiedy jednak pokazała mi miejsce na prawej piersi, blisko pachy, gdzie skóra była pomarszczona i wciągnięta, tak jakby ktoś założył w tym miejscu szew, ja też poczułam strach.

- Dotknij - powiedziała. - Powiedz, że sobie to wyobraziłam.

Ostrożnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam. Najpierw zbyt lekko, by czuć coś innego niż zakłopotanie. Wtedy Brandi położyła dłoń na mojej i przycisnęła. Tak... Wydało mi się, że chyba coś wyczuwam. Ale jeśli w ogóle coś tam było, to tylko maleńki guzek. Nie większy niż ziarnko fasoli.

- Nie powinnyśmy wyciągać pochopnych wniosków - powiedziałam autorytatywnym tonem, wstydząc się, że poczułam ulgę, kiedy Brandi włożyła podkoszulek. - Jest mnóstwo powodów, dla których możesz mieć guzek w tym miejscu. Przede wszystkim trzeba dokładnie ustalić, co się dzieje. To na pewno łagodny - zapewniłam ją. - W większości przypadków te rzeczy są łagodne.

- Z taką historią rodzinną jak moja? Moja matka umarła na raka piersi.
- Ale twoja matka była znacznie starsza, niż ty jesteś w tej chwili - przekonywałam ją. - Nie ma powodów do paniki. - Mówiłam to zarówno do Brandi, jak i do siebie samej. - Zamówimy ci wizytę u lekarza na dziś po południu. Mogę pójść z tobą, jeśli chcesz.
- Ja nie mam swojego lekarza - przerwała Brandi.
- To znaczy, że nie jesteś nigdzie zarejestrowana tu, w Venice Beach?
- To znaczy, że nie jestem zarejestrowana w ogóle nigdzie u nikogo. Nie mam ubezpieczenia.

Trwało sekundę, zanim dotarło do mnie znaczenie tej wiadomości.

- Nieważne - powiedziałam zdecydowanie. - Znajdziemy sposób, żeby sobie z tym poradzić.

To ostatnie zdanie odczytałam na głos z motywacyjnego plakatu, który Brandi umieściła na drzwiach szafy. „Jestem niezwyciężona” - głosila z kolei notka na samoprzylepnej karteczce, przyklejonej do lustra.

- Jesteś niezwyciężona-powiedziałam. Brandi prychnęła.
- Jesteś-powtórzyłam.-Naprawdę.

Brandi nie płaciła składek na ubezpieczenie zdrowotne. Nie wydawało jej się to ważne, powiedziała. Była młoda. Nigdy nie chorowała. Opieka lekarska to było coś, czym powinni się przejmować ludzie starzy, no i matki z dziećmi. Ludzie mający zobowiązania albo realne powody, by sądzić, że mogą zachorować. Dla Brandi ważniejsze było, żeby mieć pieniądze na ciuchy, stosowne na dane przesłuchanie, na fryzjera, na manicure, pedicure... Każdego zaoszczędzonego centa wydawała na to, żeby dobrze wyglądać, tak żeby móc dostać następne zajęcie i zaoszczędzić kolejne centy.

Nie miałam zamiaru prawić jej kazań. Wiedziałam, że na jej miejscu też prawdopodobnie nie zawracałabym sobie głowy czymś takim jak opieka medyczna. Miałam szczęście, że tam, skąd pochodzę, nie istnieje problem prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych... Jak na razie. Trochę później tego dnia, kiedy siedziałam z Brandi w potwornie dołującej izbie przyjęć najbliższego szpitala, jaki uda-

ło nam się znaleźć, poczułam głęboką wdzięczność dla brytyjskiego systemu opieki zdrowotnej. Nawet jeśli sama porada byłaby u nas równie dołująca, to przynajmniej nie było tam problemu przepracowanych lekarzy i pielęgniarek. W Zjednoczonym Królestwie człowiek, przychodząc do lekarza, nigdy nie ma wrażenia, że skoro nie dysponuje właściwą kartą kredytową, to opieka medyczna może nie reprezentować najwyższego możliwego poziomu.

Izba przyjęć pełna była ludzi podobnych do tych, którzy prosili mnie o pieniądze w Venice Beach. Z jednej z kabin dochodziły odgłosy kłótni. Pijackie głosy.

Szamotanina. Brandi siedziała z kolanami pod brodą, opierając stopy o krawędź krzesła i ciasno obejmując się ramionami. Nigdy nie widziałam jej tak wystraszonej. Tak odległej. Zupełnie, jakby w ciągu tego dnia coraz bardziej się kurczyła, stawała coraz mniejsza, coraz młodsza i coraz bardziej bezbronna, aż wreszcie z hollywoodzkiej gwiazdy in spe nie zostało ani śladu. Była tylko dziewczynka z małego miasteczka, która marzyła, żeby w tej chwili być wszędzie, tylko nie tutaj. Wiedziałam, co się dzieje w jej głowie. Prawie każda kobieta by wiedziała. Prawie każda z nas zna osobę, u której wykryto raka piersi. Przyjaciółkę, sąsiadkę, kuzynkę. Zazwyczaj są to kobiety starsze. Ale nie zawsze.

Kiedy byłam w liceum, uczyła nas historii panna Blaine. Nie była specjalnie popularna. Dbała o to, żebyśmy dobrze zdawali egzaminy, a nie ją lubili. Dopiero teraz, zdałam sobie sprawę, że starała się jak mogła. Wtedy, rzecz jasna, nie cierpieliśmy jej. Wyglądało na to, że zadaje nam dwa razy tyle pracy domowej niż pozostali nauczyciele. Mieliśmy dla niej całą litanię okropnych przezwisk. Jedno z nich brzmiało „Teflonowe Cycki”.

Panna Blaine dwukrotnie przeszła mastektomię. W tamtych czasach trudno było to ukryć. Jej protezy piersi były jak dwa wafłowe rożki na lody, na długo przedtem, zanim dzięki Madonnie i jej stanikowi od Jean Paul Gaultiera taki biust stał się modny.

Możliwe, że nawet wtedy, gdy nabijaliśmy się po cichu w pracowni historycznej z zaostrego profilu panny Blaine, robiliśmy to ze strachu. Mastektomia... To najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić kobiecie, no nie? Nawet gwałt nie jest tak skutecznym sposobem na odebranie kobiecie kobiecości, na przypomnienie o kruchości jej ciała. Kobiece piersi to coś więcej niż zwykła część ciała, prawda? To symbol. Dojrzałości, seksualności, macierzyństwa.

Wiedziałam, co myśli Brandi. Wyobraża sobie chwilę, kiedy budzi się z bandażem w miejscu, gdzie kiedyś miała fantazyjny biustonosz. Wyobraża sobie te miesiące, kiedy nie będzie w stanie spojrzeć na swoje ciało pod prysznicem czy w lustrze. I ten jeszcze dłuższy czas, jaki będzie musiał minąć, zanim zdoła pokazać się komukolwiek bez koszuli.

I wiedziałam, że zastanawia się, czy w jakiś sposób skazana była na przejście przez ten horror. Czy to, że była taka dumna z własnego ciała - ciała, dzięki któremu zarabiała na życie, na litość boską - nie spowodowało losu, który postanowił nasłać na nią raka, żeby dać jej nauczkę.

Ścisnęłam ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedziałam lekko. - Tu ci powiedzą dokładnie, co jest nie tak. Założę się, że to po prostu zmiany hormonalne - dodałam uczenie. - Potem pójdziemy do domu, sprowadzimy Grubego Joego i zjemy parę batoników, żeby uczcić szczęśliwe zakończenie.

- Dzięki, Lizzie - Brandi uniosła podbródek z kolan i uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Wszystko będzie dobrze, no nie?

Pokiwałam jeszcze raz głową. Ale coś było w tej izbie przyjęć tamtego popołudnia... Nie sądziłam, żeby było możliwe, by każdy wychodził z niej z dobrymi wiadomościami.

I rzeczywiście. Zmęczona, przepracowana lekarka powiedziała Brandi, że będzie musiała pobrać materiał do biopsji, ale jej sztywny uśmiech mówił wyraźnie, że już na oko jest niemal pewna, że to coś złośliwego.

Uścisnęłam Brandi silniej, tak jakby dzięki temu łatwiej było jej przyjąć te słowa.

- Musisz zrobić badania - powiedziałam. - Tak na oko nie da się ocenić na pewno, co to jest.

Brandi popatrzyła na plik broszurek, które dostała, żeby wiedzieć, co robić dalej.

- Moja mama też takie miała - mruknęła. - Kiedy umarła, wszystkie wyrzuciłam.

- Ja bym zrobiła to samo - zapewniłam ją.

Miejsce lekarki zajęła pielęgniarka o nieco mniej surowym wyrazie twarzy. Podła Brandi plastikowy kubek wody i poklepała ją po ramieniu. Zaraz jednak przeniosła swoją uwagę na następną osobę w kolejce.

- Mam raka - powiedziała Brandi bardzo, bardzo cicho.

- Niczego takiego nie powiedziała - pośpieszyłam. - Biopsja może wykazać, że wszystko jest w idealnym porządku. Istnieje mnóstwo powodów, dla których kobieta może mieć guzek w piersi. Jesteś jeszcze młoda... Rak jest najmniej prawdopodobny.

Brandi uniosła palec do ust gestem, który oznaczał, że mam przestać.

- Wiem, że próbujesz mnie pocieszyć, Lizzie, i jestem ci za to bardzo wdzięczna. Ale ja wiem, co to znaczy. Moja matka zmarła, kiedy miała czterdzieści osiem lat. Jej siostra dwa lata później.

- Ale ty masz dopiero dwadzieścia siedem - przypominałam jej.

- Mam trzydzieści cztery - powiedziała. - Mówiłam ci o moich hollywoodzkich urodzinach.

18

Wtydzień po wizycie na ostrym dyżurze Brandi poszła do tego samego szpitala, żeby sobie zrobić biopsję, w skrócie FNAC. Kiedy pielęgniarka po raz pierwszy podała jej ten skrót, Brandi powiedziała, że brzmi to jak nazwa chipsów Snack. Fine Needle Aspiration Cytology brzmiało znacznie mniej sympatycznie.

Moje obawy, że Brandi zostanie odesłana ze szpitala bez pomocy, okazały się nieuzasadnione. Dzięki Bogu, istniały rozwiązania dla ludzi, którzy nie mają ubezpieczenia, i kiedy Brandi była w szoku po obcesowej wstępnej diagnozie lekarki z ostrego dyżuru, zabraliśmy się z Grubym Joem do sprawdzania kolejnych opcji. Dzwoniąc do Cancer Care, trzęsłam się znacznie bardziej niż wówczas, kiedy dzwoniłam do Eryka Nordhoffa.

I w przeciągu tygodnia Brandi miała już wyznaczony pierwszy test diagnostyczny. Odwieźliśmy ją do szpitala, ale na badanie chciała pójść sama. Sama też chciała odebrać wynik.

W tym dniu siedzieliśmy z Grubym Joem w domu na plaży w zgodnym milczeniu, czekając na jej powrót. Gruby Joe nie był umalowany.

- Za bardzo trzęsą mi się ręce - powiedział.

Stojąc pod prysznicem, spojrzałam na odbicie mojego nagiego ciała w łazienkowym lustrze i przesunęłam dłonią po moich własnych piersiach. Niemal zawstydziłam się ulgi, jaką poczułam, kiedy przekonałam się, że wszystko jest w porządku.

Niebo tego ranka było zachmurzone. Los Angeles wyglądało jakoś nie tak, kiedy nie świeciło słońce. To w Londynie mogło być pochmurno. Spójrzmy prawdzie w oczy: w Londynie prawie zawsze jest pochmurno. Ale Los Angeles było w takiej pogodzie nie do twarzy. Los Angeles nie nosiło tego stroju z nonszalancją. Ludzie biegali po mieście z zatroskanymi minami, tak jakby było ono jakąś gigantyczną matką o betonowych piersiach, usianą palmami, zawsze uśmiechniętą, zawsze w dobrym nastroju, więc kiedy w końcu dostaje zespołu napięcia przedmiesiączkowego, wszyscy o tym natychmiast wiedzą.

To było niemal tak, jakby samo miasto było planem filmowym, i kiedy zostało wyłączone specjalne oświetlenie, widziało się, że wzgórze Hollywood to tak naprawdę tylko malowidło na gigantycznej kurtynie, a drapacze chmur - fasady ze sklejki. Piękni ludzie byli dokładnie tacy sami jak ludzie w Solihull, jeśli nie byli oświetleni pod właściwym kątem.

Tego ranka jednak nie przeszkadzała mi taka pogoda. Chciałam przetrwać wypadki ostatnich paru dni, a takie grzebanie się we własnej duszy łatwiejsze było, kiedy ulic nie wypełniał beztroski tłum, rozkoszujący się beztroskim, radosnym słonecznym blaskiem.

- Idę na spacer - powiedziałam do Grubego Joego.

Nie spytał, czy może iść ze mną.

Ruszyłam w kierunku plaży. Ocean uderzał niezmordowanie

o brzeg, równie szary jak niebo. Piasek, zwykle tak lekki i delikatny, jeszcze nie wysechł tego dnia.

Weszłam na molo i skierowałam się na północ, ku Santa Monica. Przed tandetnym sklepem z T-shirtami ręczniki zwijały się na wietrze niczym tybetańskie flagi modlitewne. Właścicielka sklepu, która zawsze zagadywała do każdego przechodnia, tego dnia milczała. Było tak, jakby całe Venice Beach czekało wraz ze mną i Grubym Joem na powrót Brandi ze szpitala. Nawet wróżka chi-romantka, od której Gruby Joe dowiedział się kiedyś, że poślubi przemysłowca-milionera, odwróciła swój neonowozielony szyld, kiedy przechodziłam.

Zatrzymałam się przy boiskach do koszykówki, tak zazwyczaj zatłoczonych. Tego dnia nikt nie grał, usiadłam więc na otaczają-

cym je murku i utkwiłam wzrok we własnych stopach. I kiedy tak myślałam o dylemacie Brandi, tuż obok moich palców pojawiło się ciemne, wilgotne, idealnie okrągłe kółko. Odruchowo otarłam policzek. Ale nie, nie płakałam.

Po mniej więcej dziesięciu sekundach pojawiło się na piasku kolejne wilgotne, idealnie okrągłe kółko. I jeszcze jedno. I jeszcze. Świat wokół mnie zaczął nabierać tempa. Ludzie, którzy snuli się cały dzień, narzekając na ciemność i wilgoć w powietrzu, nagle znów byli aktywni i biegali jak mrówki, uciekające przed deszczem z powrotem do mrowiska.

I hałas. Cały ranek wydawał się taki cichy. Głosy ludzkie były niższe, a klaksony samochodowe wyciszone przez mgłę. Teraz uderzenia kropel deszczu o wysuszony chodnik były jak oklaski. Na początku słychać, jak klaszcze tylko jedna, szczególnie odważna osoba na widowni, a cała reszta siedzi i się zastanawia. Potem następne i następne, aż wreszcie cała sala drży od odgłosu uderzania dłońmi o dłonie. Deszcz bombardował chodnik, gęsty, rześisty, rozszalały niczym oklaski i tupot stóp o podłogę. Teraz już wszyscy podnieśli się na nogi i tupali, zachwyceni, bo dłonie nie były w stanie klaskać dostatecznie głośno.

Betonowa nawierzchnia wokół mnie szybko zaczęła lśnić jak powierzchnia strumienia. Potoki deszczu zmywały śmiecie z chodnika niczym miniaturowe tsunami. Pobiegłam do domu. Kierowcy, nienawykli do używania wycieraczek w jakimkolwiek innym celu niż do wtykania pod nie kwitów przez obsługę parkingu, chlustali teraz na boki strugami wody, płużąc jezdnią, której nie kładziono z myślą o deszczu, nieprzystosowaną do tego, żeby radzić sobie z czymś takim jak ulewa. Autobus turystyczny przejechał obok mnie jak burza przez świeże rozlewiska kałuż. Byłam tak przemoknięta, że moje ciuchy mogły rozpaść się w każdej sekundzie. I nagle, równie nieoczekiwanie jak się zaczął, deszcz ustał. Niebo nadal było zaciągnięte chmurami, ale teraz w szarym pledzie pojawiły się dziury, przez które znów przezierał błękit. Odgarnęłam z oczu nasiąknięte wodą włosy. Po plecach spływały mi lodowate strumyczki. Moja blad różowa spódniczka była teraz czerwona jak krew. Spod T-shirtu wyglądał stanik. Przez moment mignął mi mój obraz w szybie przejeżdżającego samochodu i pomyślałam, że przypominam ilustrację, którą widziałam kiedyś w dziecięcej książce z baśniami: księżniczka, złapana przez burzę, wali pięściami w drzwi zamku.

Wyglądałam jak wrak. Ale dziwne, czułam się świetnie. Od dawna nie czułam się tak dobrze. Zupełnie jakbym się porządnie wypłakała, jakby rozplątał się we mnie jakiś węzeł, jakby ktoś zdjął mi kamień z piersi. I zdawało się, że miasto czuje to samo. Los Angeles było zmęczone nieustannym uśmiechaniem się. Po-wrzeszczało krótko, poskarżyło się na obowiązki, na okropne warunki pracy, a teraz, upewniwszy się za pomocą niewielkiego, ale skutecznego napadu złości, że wszyscy je kochają, było jak zwykle gotowe do aktywności.

Było tak, jak powiedział Scott na ślubnym przyjęciu. Nasze małe żywociki są częścią większego planu. Pada deszcz. A potem znów świeci słońce. Wszystko będzie dobrze.

- To będzie moje hasło - powiedziałam na głos, wracając do domu na plaży. Niestety, któremu pozwalałam wdeptywać się tak długo w ziemię, ciężar odrzucenia mnie przez Richarda, nagle wydały się równie ważne, co ptasie kupy na masce samochodu. Spłukał je deszcz.

W tamtej chwili wiedziałam także, że jakiegokolwiek wieści przyniesie Brandi, nie będzie to koniec. Graby Joe i ja pomożemy jej przez to przejść.

- To będą dobre wiadomości, tak czy owak - powiedziałam sobie.

Byłam tego pewna.

Przed nowotworowym szokiem, ilekroć Brandi miała przesłuchanie, czekaliśmy na jej powrót, wyglądając przez okno kuchni, żeby móc od razu ją dostrzec, kiedy będzie szła ogrodową ścieżką.

- Poszło jej czy nie?

W tym momencie odgadywaliśmy z Grubym Joem wynik przesłuchania.

Wiedzieliśmy, że z chwilą, gdy Brandi przekroczy próg domu, znów będzie miała na twarzy nieprzeniknioną maskę pogody. Sposób, w jaki szła ogrodową ścieżką, to był, zgodnie z określeniem Joego, „krok prawdy”. W tych rzadkich momentach, kiedy sądziła, że nie dosięga jej krytyczny wzrok widzów, Brandi ujawniała swoje prawdziwe uczucia. Biegła truchtem, kiedy wiadomości były dobre, wlokła się, kiedy były złe. Kiedy stawała w drzwiach, była zawsze jednakowo opanowana. Brandi Renata. Aktorka. Profesjonalistka.

- Ma czy nie? - spytał teraz Gruby Joe.

Usłyszeliśmy, jak trzasnęły drzwi taksówki. Brandi podała przez okno pieniądze kierowcy. Samochód odjechał. Brandi powstała przez chwilę i wzięła głęboki oddech. Ani Gruby Joe, ani ja nie zakładaliśmy się tym razem o to, jaki jest rezultat, kiedy szła ogrodową ścieżką. Szła powoli. Plecy miała wyprostowane. Nie uśmiechała się, ale i nie płakała. Nie byliśmy w stanie nic odgadnąć, dopóki nie otworzyła drzwi.

- Mam raka - zapłakała. - Obetną mi piersi.

- Brandi, nie! - zapłakałam wraz z nią.

- Stracę wszystkie włosy!

- No cóż,.. - Gruby Joe starał się jak mógł, żeby zachować pogodę. - Przynajmniej będziesz mogła zrobić użytek ze swoich peruk.

19

Mammogram Brandi wykazał, że ma w lewej piersi guz wielkości pięciocentówki. Biopsja potwierdziła, że to rak. Kiedy lekarz powiedział Brandi, że komórki nowotworu są „niezróż-nicowane”, w pierwszej chwili myślała, że to dobra wiadomość.

- Nie - zaprzeczył. - Im mniej guz przypomina normalną tkankę piersi, tym gorzej. Siedzieliśmy z Grubym Joem po obu stronach Brandt. Każde z nas trzymało ją za rękę, a ona opowiadała.

- Powinnaś nam była pozwolić, żebyśmy z tobą poszli - powiedziałam. Słuchanie diagnozy z drugiej ręki było wystarczająco okropne... Myślałam o Brandi, samotnej w gabinecie lekarza, który ciskał w nią medycznymi określeniami, tak jakby był mechanikiem samochodowym i wyjaśniał, co trzeba zrobić w wozie, który odstawiła do przeglądu.

- Powiedział, że trzeba mi usunąć obie piersi, po prostu na wszelki wypadek. -

Brandi załamał się głos. - To rzeźnik! - za-łkała. - Nie chcę, żeby dotykał mojego ciała.

Wymieniliśmy z Grubym Joem stroskane spojrzenia.

- Jestem przekonana, że sugerował najlepszą możliwą opcję - powiedziałam ostrożnie.

- Jaką opcję? - warknęła Brandi. - Żeby mi amputować piersi? Wolę umrzeć.
- Wyrwała nam ręce i uciekła do swojej sypialni. Siedzieliśmy z Grubym Joem w milczeniu, przygnębieni, że nasza próba wsparcia okazała się tak nieskuteczna.
- Szlag by to - powiedział w końcu Gruby Joe.
- Szlag by to - zgodziłam się.
- Nie wygląda to dobrze.
- A może ona przesadza? - zasugerowałam. - To znaczy, nie tyle przesadza, co wyłapała tylko to, co najgorsze. Czy to możliwe, żeby lekarz był tak bezlitośnie szczery?
- Nie wygląda na to, żeby umiał rozmawiać z pacjentami - zauważył Joe.
- Nie sądzę, by Brandi wierzyła, że będzie miała opiekę na najwyższym poziomie, skoro nie może za nią zapłacić.
- Przecież wszystkich leczy się jednakowo, no nie?
- Tu nie ma narodowego systemu ochrony zdrowia, jak w Wielkiej Brytanii - wyjaśniłam. - Za darmo mogą zrobić tylko tyle. Uważa się, że każdy, kto pracuje, powinien mieć prywatne ubezpieczenie.
- A Brandi nie ma?
- A jak myślisz?

Nie chcieliśmy zostawiać Brandi samej tego wieczoru. Lekarz ze szpitala nalegał, żeby jak najszybciej podjęła decyzję w sprawie leczenia. Wróciła do domu z kolejnym plikiem ulotek i broszur, które leżały na stole w kuchni, gdy ona zamknęła się w sypialni. Ale przecież musieliśmy iść z Grubym Joem do pracy.

Wyglądałam chyba mamie, bo przez cały wieczór dostałam zaledwie dziesięć dolarów napiwku. Grubemu Joemu łamał się głos, gdy próbował śpiewać *My heart will go on*. Kiedy wróciliśmy do domu, Brandi nadal siedziała w sypialni, chociaż widać było, że podczas naszej nieobecności wychodziła z pokoju.

Wściekle różowe broszurki, których autorzy robili co mogli, żeby zaprezentować mastektomię jako pozytywny wybór stylu życia - zaledwie powstrzymując się od powiedzenia: „Hej, zaoszczędzisz na biustonoszach!” - leżały nietknięte. Ale coś jednak Brandi czytała. Na kuchennym stole, obok niedopitej filiżanki kawy, leżał magazyn w lśniących lakierowanych okładkach. Gru-

BY Joe ZAJĄŁ SIĘ PRZYGOTOWYWANIEM DLA NAS OBOJGA JAKIEGOŚ DRINKA NA DOBRANOC, a JA ZACZEŁAM PRZERZUCAĆ STRONICE.

- Temat TYGODNIA - BIKINI! -JĘKNĘŁAM. W RAJSKIEJ SCENERII Karaibów PREZENTOWAŁY JE MODELKI o WYDĘTYCH WARGACH i CIELE, KTÓRE WPĘDZIŁOBY W DEPRESJĘ Elle McPherson. Cmoknęłam, WIDZĄC PO RAZ KOLEJNY STRINGI, KTÓRYCH MOŻNA BY RACZEJ UŻYĆ w CHARAKTERZE NICI DENTYSTYCZNEJ... Kiedy JEDNAK PRZEWRÓCIŁAM STRONICĘ, PRZYCIĄGNĘŁO MOJE OKO COŚ ZNACZNIE BARDZIEJ INTERESUJĄCEGO.

Magazyn „Complete Woman” PROWADZIŁ KAMPANIĘ UWAGA: PIERSI! Dwie STRONY ZA ROZKŁADÓWKĄ NAJPIĘKNIEJSZE BIKINI TEGO LATA, KTÓRA BYŁA JEDNYM WIELKIM FESTIWALEM CIAŁA, SURREALISTYCZNE MODELKI ZOSTAŁY ZASTĄPIONE PRZEZ REALNE KOBIETY, KTÓRE MIAŁY RAKA PIERSI. Ze ZDJĘĆ UŚMIECHAŁY SIĘ TRZY DZIEWCZYNY MNIEJ WIĘCEJ w MOIM WIEKU. Na JEDNEJ ZE STRON RZUCIŁ MI SIĘ w OCZY NAGŁÓWEK: TRZY

NAJLEPSZE RZECZY, JAKIE MI SIĘ KIEDYKOLWIEK PRZYDARZYŁY. Sheri LIBERTY ZMIENIŁA SVOJE ŻYCIE: POKONAŁA RAKA, ODESZŁA OD MĘŻA, KTÓRY SIĘ NAD NIĄ ZNĘCAŁ, i ROZPOCZEŁA PRACĘ JAKO HIPNOTERAPEUTKA.

Na NASTĘPNEJ STRONIE MAGAZYN „Complete Woman” INFORMOWAŁ, NA CO ZOSTANĄ PRZEZNACZONE PIENIĄDZE ZE SPRZEDAŻY SPECJALNEGO NUMERU POD HASŁEM: „Uwaga: PIERSI!”. Szpital Św. Ekspedyta w Santa Monica MIAŁ JEDEN z NAJLEPSZYCH ODDZIAŁÓW ONKOLOGICZNYCH w KRAJU. Wiodące FORMY TERAPII. Najwybitniejsi LEKARZE ŚWIATA. Można BYŁO ODNIEŚĆ WRAŻENIE, ŻE WYSTARCZY PO PROSTU WEJŚĆ do TEGO ULTRANOWOCZESNEGO, WYŁOŻONEGO MARMUREM (TYM SAMYM, CO w Muzeum Getty) BUDYNKU, ŻEBY BYĆ ULECZONYM. Był ZUPEŁNIE INNY NIŻ TAMTEN DOŁUJĄCY BETONOWY BLOK, w KTÓRYM ROBIONO Brandi BIOPSIĘ... „Porzućcie WSZELKĄ NADZIEJĘ, WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE” - TO HASŁO ŚWIETNIE BY PASOWAŁO DO TAMTEGO PRZYBYTKU.

Gruby Joe POSTAWIŁ PRZEDE MNĄ KUBEK KAKAO. Jego MATKA PRZYŚŁAŁA MU OSTATNIO PUSZKĘ.

- Co CZYTASZ? - SPYTAŁ.

- Zgadnij.

Podsunałam MU ARTYKUŁ NA TEMAT SZPITALA ŚW. Ekspedyta.

- To NIEDALEKO STĄD. Czy Brandi BY NIE MOGŁA TAM PÓJŚĆ? -SPYTAŁ.

- Na PEWNO NIE w RAMACH Medicaid.

- Ale GDYBY MOGŁA ZAPŁACIĆ... Ile BY POTRZEBOWAŁA?

- Nie WIEM DOKŁADNIE. W KAŻDYM RAZIE SĄ TO TYSIĄCE DOLARÓW. A MOŻE DZIESIĄTKI TYSIĘCY.

Gruby Joe wymownie wypuścił powietrze ustami.

- W zeszłym miesiącu prosiła mnie, żebym jej pożyczył na czynsz.
- Wiem. Ona nie ma ani grosza, Joe. I jest ledwie żywa ze strachu. Uważa, że ją zarzną, skoro nie stać jej na opiekę na najwyższym poziomie.
- Naprawdę tak jest?
- Nie sądzę... Ale ona jest o tym przekonana. A takie przekonanie nie sprzyja wyzdrowieniu.
- Co możemy zrobić?
- Musimy zebrać trochę pieniędzy.
- W jaki sposób?
- Nie wiem. Brać dodatkowe zmiany w Ladyboys?
- Mam trochę oszczędności - rzekł cicho Joe. - Miały być na... no dobra, miały być na moją operację.
- Ojej, Joe - westchnęłam. - Nie możesz ich wydać.
- No wiesz... Mieć penisa jeszcze przez parę lat to nie jest stan zagrażający życiu, no nie?
- Ile udało ci się zaoszczędzić? - Nienawidziłam tego pytania, ale musiałam je zadać.
- Około tysiąca dolarów.
- I to wszystko?
- Miałem wydatki - powiedział, broniąc się. - Nie mogę tak po prostu wejść do sklepu i kupić pantofle numer dwanaście.
- Przepraszam. Cholera jasna - zdenerwowałam się. - Nawet jeśli oddam jej wszystko, co dostałam za pójście na to wesele, to i tak będziemy mieli razem nie więcej niż dwa tysiące baksów. To nie fair! Coś takiego nie powinno mieć miejsca w cywilizowanym świecie. Jak pomyślę, jaką kasę mają niektórzy ludzie w tym mieście... Idę o zakład, że Eryk Nordhoff na same cięte kwiaty do holu wydaje więcej niż tysiąc na tydzień.
- Gdyby tak chciał cię zaprosić na następną randkę za tysiąc dolarów...
- Nie wiem, czy przeżyłabym ten stres. Wiesz, Joe, ci ludzie żyją w zupełnie innym świecie. Jeśli komuś z nich przytrafiłoby się coś takiego, specjaliści znaleźliby się w ciągu godziny! A biedny musi ginąć jak ten wróbel.
- O Boże! - westchnął Joe. - Przestań, bo przypomina mi się tamta bajka. Wiesz, ta o posagu i wróbelku, który wydziobywał z niego drobiny złota i dawał potrzebującym.

- Ja to bym chciała wydziobać drobinę złota z domu Eryka Nordhoffa. Jedna jego popielniczka wystarczyłaby, żeby zapłacić za operację Brandi.

- Możemy go okraść - zaproponował z ożywieniem Gruby Joe.

- Nie sądzę, żeby naprawdę istniała taka możliwość. Chociaż... Nie - potrząsnęłam głową. - Nawet jakbyśmy dopadli jakieś dzieło sztuki, to nie mielibyśmy pojęcia, gdzie je sprzedać.

- No to możemy go zaszantażować.

- Joe, może lepiej zamknij się i poczekaj, aż przyjdzie ci do głowy coś naprawdę sensownego-jęknęłam.

Upiłam łyk kakao i przypomniałam sobie, że nie cierpię tego paskudztwa.

- To zupełnie jak jakiś kinowy horror - powiedział Gruby Joe. - To po prostu nie w porządku, że to właśnie Brandi zachorowała. Była taka pełna życia...

- Jeszcze nie zamierza umierać - przypomniałam mu.

- Wiesz co?

- Co?

- Niedawno przyszło mi do głowy, że być może żyjemy tu w świecie marzeń. Być może nikt z nas sobie nie poradzi. Hollywood prędzej zrobi film o takich nieszczęsnych istotach jak my, niż zaproponuje komukolwiek z nas, żebyśmy w nim zagrali. Spójrz na mnie, Lizzie... Jestem żalonym transwestytą, który nie potrafi zaśpiewać ani jednej nuty.

- No coś ty - zaprzeczyłam.

- Tak, Lizzie. Nie potrafię. Podśledzałem, jak Antonio rozmawiał przez telefon z Sashą. Powiedział, żeby wracała, zanim wystraszę mu wszystkich klientów swoim wyciem. Dokładnie tak się wyraził.

- Antonio nawet by nie rozpoznał dobrego głosu, gdyby go usłyszał.

- Ale rozpozna głos, który jest naprawdę zły. Jestem po prostu karykaturą, Lizzie. Wielkim tłustym facetem, który myślał, że jak włoży sukienkę, to z miejsca przemieni się w diwę. A teraz Brandi ma raka piersi. Idealny scenariusz, no nie? Dziewczyna, która żyje ze swojego wyglądu, zapada na najgorszą chorobę, jaką można sobie wyobrazić. Biust, który jest jej największym atutem, staje się jej największym problemem. Widzisz już te billboardy?

Potrząsnęłam głową, ale wiedziałam dokładnie, o czym mówi.

- To tak jak film telewizyjny. Brandi grałaby ta z ciemnymi włosami z *90210*. Strasznie by jej drżały usta, kiedy by ją diagnozowano, po czym nastąpiłaby najpiękniejsza śmierć, jaką kiedykolwiek widziałas. Mnie grałby ten rudzielec z *Boogie Nights*. Leżałby na dnie basenu twarzą w dół, zanimby się skończył drugi akt.

- O Boże, przestań być taki dołujący - powiedziałam błagalnie. Nie mogłam jednak powstrzymać się od pytania: - A co by się stało ze mną?

- Ciebie zagrałaby Sarah Jessica Parker. Cała rzecz byłaby opowiedziana twoim głosem. Przyjechałaś do Los Angeles, żeby lizać rany po miłosnym zawodzie, i też ci się dostało, ale koniec końców przeżyłaś. Znajdziesz moje ciało w basenie i napiszesz książkę o moim krótkim niewesołym życiu. Książka będzie bestsellerem w Nowym Jorku i nigdy więcej nie zechcesz przyjechać do Kalifornii.

- To tak mnie widzisz? - spytałam. - Jako obserwatora?

- Ty możesz być obserwatorem, Lizzie. Jesteś szczęściarą. My z Brandi tkwimy w pułapce naszych ciał.

- Ale oboje możecie być z niej uwolnieni, jeśli przeznaczymy trochę pieniędzy na pokonanie waszych problemów - zauważyłam.

- Nie mamy pieniędzy - powiedział ze smutkiem Gruby Joe.

Mówi się, że problemy są względne. Dla modelki porozdwa-jane końcówki to taki sam problem, co dla rolnika z Trzeciego Świata dziura w worku ze zbożem. Ale po rozmowie z Grubym Joem, czułam się upokorzona. Moje złamane serce to była tylko psychologia. Problemy Grubego Joego i Brandi to była smutna rzecz w istocie. I do pewnego stopnia Brandi miała rację: sama mogłam wybrać moment, w którym mój problem z Richardem się skończy.

W domu było tak, jakby panowała w nim żałoba. Brandi wciąż nie chciała wyjść z pokoju. Gdy parę razy wetknęłam głowę w drzwi, wciąż leżała, wpatrując się w sufit. Próbowałam wciągnąć ją w rozmowę, ale jasne było, że chce być sama. Gruby Joe też zamknął się w swojej sypialni i bez końca puszczał *My heart will go on* Celine Dion ze ścieżki dźwiękowej *Titanica*. Zastanawiałam się, czy nie zwiększa to depresji Brandi... Moje samopoczucie z pewnością się od tego nie polepszało.

Gdyby to był normalny film nakręcony w studio, myślałam, a nie telewizyjny, wówczas ta scena trwałaby raptem parę minut, i moja bohaterka znalazłaby właściwe rozwiązanie. Ale to nie był film. I bez względu na to, ile zmiennych włączyłabym do moich kalkulacji, jak na przykład to, ile pieniędzy zdołalibyśmy zebrać we troje w jakiś miesiąc, nie wyglądało to dobrze. Nawet gdybym dostawała napiwki takie jak Atalanta i nie wydawała ani centa na jedzenie... Nie mieliśmy nic, co można by sprzedać. Wlałam do herbaty parę kropli mleka i natychmiast poczułam, że marnotrawię nasze zasoby.

- *My heart will go onnnnnnn!* - zawodził Gruby Joe ze swojej sypialni. Ale nie wytrzymał tak długo jak Celinę i ostatnia nuta przeszła w łkanie.

- Nie wytrzymam tego dłużej - mruknęłam do siebie. Zadzwoiłam do Antonia i spytałam, czy nie mogłabym przyjść wieczorem na dodatkową zmianę. Był cały szczęśliwy, kiedy to usłyszał. Atalanta, co zdarzało się niezwykle rzadko, wzięła wolne z powodu choroby. Antonio podejrzewał, że tak naprawdę chciała spędzić wieczór z rosyjskim producentem, który był w klubie poprzedniej nocy.

Jakkolwiek było, poczułam wdzięczność i ulgę, że mogę się oderwać od domowych problemów. Pracowałam wyjątkowo ciężko, obsługując równocześnie cztery stoliki, więc nie miałam wolnej choćby sekundy pomiędzy donoszeniem kolejnych koktajli i skrzydełek kurczaka w stylu Cajun, a zbieraniem ze stołu reszty, którą dla mnie zostawiano. I dziwne - choć na początku mój uśmiech był maską, którą włożyłam na twarz z chwilą wejścia na salę, naprawdę poczułam się dzięki temu trochę lepiej. Pozytywne sprzężenie zwrotne między mięśniami twarzy a mózgiem... To było coś, o czym należało przypomnieć Brandi. Zawsze mówiła z takim entuzjazmem o mocy pozytywnego myślenia... Zachowuj się „tak jakby!” Tak jakby miało nam się udać! Ilekroć czułam się zdołowana w związku z Richardem, Brandi zawsze znalazła sposób, żeby mnie rozśmieszyć.

Boże, modliłam się. Spraw, żeby mogła to samo zrobić dla niej... Byłam trochę zaskoczona, że w niespełna dwa miesiące tak zbliżyłyśmy się z Brandi. I to po tych mało obiecujących początkach, kiedy odniosłam wrażenie, że jest panienką, która na przesłuchaniach bazuje raczej na przypadkowym ściągnięciu bluzki niż na zdolnościach aktorskich. I kiedy ona odniosła wrażenie, że

jestem angielską neurotyczką, której normalną tonacją głosu jest jęk.

W tej chwili czułam się bliższa Brandi, niż kiedykolwiek czułam się wobec Mary. Strzelałyśmy do tego samego celu, ale nie wyglądało na to, żebyśmy stały się w ten sposób rywalkami. Była naprawdę radośnie podekscytowana, kiedy myślała tak jak ja, że mam szansę zagrać w filmie u Nordhoffa... A teraz ja naprawdę strasznie się o nią bałam.

Bez trudu mogłam postawić się na jej miejscu. Wyobrazić sobie, jak czekam i czekam na konsultację i wyniki badań, które mogłaby mieć w parę godzin, gdyby dysponowała pieniędzmi na ich opłacenie. Jak stoję wobec perspektywy, że będę miała złą opiekę, zamiast najlepszą. Istnieli chirurdzy, którzy mogliby zrobić rekonstrukcję biustu za minimalną opłatą albo gratis, ale kolejka do nich była dłuższa, niż kolejki oczekujących na przesłuchania, w których stała Brandi. Nawet dla kobiety, której zatrudnienie nie zależałoby tak dalece od wyglądu, mającej wspierającego ją męża, być może dzieci, miły dom, rodzinę, czekanie byłoby wystarczająco okropne. Ale dla Brandi, która, pomimo że się do tego nie przyznawała, szukała miłości równie rozpaczliwie, jak pracy, każda sekunda była niczym godzina. Każdy dzień to było całe życie spędzone w piekle... Dwa razy dzwoniłam do domu na plaży tej nocy. Brandi nawet nie podeszła do telefonu.

- Tak jakby wyczerpały się jej baterie - powiedział Gruby Joe.
- A ty jak się masz? - spytałam.
- Puszczam sobie Celinę Dion.
- Wiem.

20

Święty Ekspedyt to nie był zwykły święty. Kto jak kto, ale ja o tym wiedziałam. Kiedy byłam mała, musiałam wysłuchać historii o świętym Ekspedycie przynajmniej raz w roku, w ramach lekcji historii naszego lokalnego kościoła w szkółce niedzielnej.

Nie cierpiałam szkółki niedzielnej. Lekcje religii, prowadzone przez kobiety zbyt wiedźmowate i o zbyt wyraźnym zaroście,

żeby uczyć nawet w podstawówce, do której chodziliśmy oboje z Colinem, były chyba jeszcze bardziej nudne niż kazania, które dorośli musieli w tym czasie wytrzymać w kościele. Nawet kolorowe obrazki przedstawiające sceny z Biblii, które rozdawano nam na zakończenie każdego spotkania, nie były w stanie mnie przekonać, że warto spędzać w ten sposób niedzielny poranek. Rodzice mojej najlepszej przyjaciółki Sian zabierali ją w niedzielny poranek na basen.

- Kiedyś będziesz nam wdzięczna za to dodatkowe wykształcenie - mówiła mama. Wtedy, we wczesnych latach osiemdziesiątych, prychałam na to niedorzeczne stwierdzenie, ale w dwadzieścia lat później musiałam przyznać, że po edukacji w szkółce niedzielnej pozostało mi przynajmniej trochę interesujących ciekawostek z historii biblijnej i jasność, do kogo należy się modlić, kiedy to czy tamto w naszym życiu zaczyna być trudne do udźwignięcia. W tamtej chwili artykuł o szpitalu w Santa Monica, mającym za patrona mojego ulubionego świętego, był jak wiadomość przekazana mi z nieba.

W dziewiętnastym, wieku wierni z parafii św. Judy w Nowym Orleanie zebrali dość pieniędzy, żeby posłać je do Rzymu z prośbą o przysłanie jakichś świętych figur. Pośród gipsowych świętych, którzy przybyli z Italii w ramach pierwszego transportu, był młody człowiek w stroju rzymskiego centuriona. Jedną stopę trzymał na ciele ptaka, który mógł być gołębiem, ale niekoniecznie. W rękę trzymał chorągiew z napisem „Hodie”, co po łacinie znaczy „dziś”. Nikt z księży nie rozpoznał, kim jest ten urodziwy święty. Nikt nie znał jego historii. Ponieważ jednak na pudle, w którym go przysłano, była nalepka z napisem „expedite”, został świętym Ekspedytem.

Święty Ekspedyt szybko stał się najpopularniejszym świętym w parafii, słynącym zwłaszcza z tego, że potrafił dostarczać cudów w tempie ekspresowym. Jeśli potrzebowałeś pomocy „hodie”, święty Ekspedyt ci to załatwiał. Wszyscy byli zachwyceni, dopóki do parafii św. Judy nie nadszedł list z Watykanu: *Dochodzą nas glosy, że modlicie się do niejakiemu „świętego Ekspedyta”. Kościół nie zna żadnego świętego o tym imieniu. ..expedite” to wioski odpowiednik określenia „poczta lotnicza”.*

Parafia św. Judy otrzymała nakaz, by natychmiast usunięto oszusta. Do tego czasu jednak ekspresowo działający święty zdążył

sprawić tyle cudów, że parafianie podnieśli krzyk. I Watykan pozwolił, by zatrzymali swojego rzymskiego żołnierza. Święty Eks-pedyt został uratowany. Kiedy w sklepie ze starzyzną, niedaleko domu, znalazłam kartkę z modlitwą do św. Ekspedyta, postanowiłam spróbować jeszcze raz. Gdy Brandi podczas jednego ze swoich nielicznych wyjść z pokoju spacerowała po plaży, połączyliśmy z Grubym Joem dłonie przed wizerunkiem rzymskiego żołnierza.

- Potrzebujemy cudu. Natychmiast - powiedzieliśmy.

Po czym usiedliśmy, by czekać na uderzenie pioruna.

21

Po kolejnej długiej nocy szykowaliśmy się z Antoniem do opuszczenia Ladyboys. Czekałam na niego, paląc ohydny mentolowego papierosa Atalanty - Antonio miał mnie podrzucić do domu - a on tymczasem podliczał utarg. Kiedy przeliczał pliki banknotów o grubości pięciu centymetrów, zastanawiałam się gorączkowo, jak go tu poprosić o pożyczkę na opłacenie leczenia Brandi w szpitalu św. Ekspedyta. Sądziłam, że mógłby to być właściwy moment. Utargi z dnia na dzień rosły. Ladyboys stało się ostatnio modne - wraz z przybyciem nowego zestawu hollywoodzkich szych, którzy mieli do zmarnowania kupę pieniędzy. Zmarnowania w sensie dosłownym. Widziałam, jak jeden facet przypalał sobie papierosa studolarówką.

Brandi miała już umówiony termin pójścia do szpitala na usunięcie guza i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, prawie całej lewej piersi. W niespełna dwa tygodnie z głównej cheerleaderki w naszym domu zmieniła się w chodzącego upióra. Schudła. Pielęgniarka radziła jej, żeby przed operacją zdrowo się odżywiła, ale Brandi nie jadła nic. Sprowadziłam wszelkie motywacyjne wideo-kasety, jakie były dostępne na ten temat, ale Brandi nawet nie wyjęła ich z pudełka.

- Ona już się poddała - wyszeptał Gruby Joe. Z początku usiłowałam ją mobilizować, ale szybko przekonałam się, że moje wysiłki nie zostają docenione. Zupełnie jak ja po rozstaniu z Richardem nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że

przyjdzie dzień, kiedy poczuję się lepiej, Brandi nie potrafiła uwierzyć, że jej historia może mieć szczęśliwe zakończenie.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś apodyktyczna? - spytała, kiedy czytałam jej fragmenty artykułu, w którym Sheri Liberty opowiadała, jak to nowotwór piersi pomógł jej podjąć kroki, dzięki którym zmieniła swoje życie.

Któregoś wieczoru odwiedziła ją kobieta, u której wykryto raka piersi prawie dziesięć lat temu. Podesłała ją pielęgniarka Brandi ze szpitala. Georgina, bo tak się nazywała kobieta, siedziała w kuchni i piła herbatę, a Brandi sprawdzała w tym czasie swoje porozdwajane końcówki włosów. Najwyraźniej nie życzyła sobie być podnoszona na duchu za pomocą opowieści o tym, jak udało się Georginie. W końcu powiedziała, że jest zmęczona i poszła do łóżka, wysłuchanie Georginy pozostawiając mnie.

- Jeżeli lekarz mówi ci, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent pacjentów z czymś takim umiera, to musisz zdecydować, że ty znajdziesz się w tym jednym procencie tych, którzy przeżywają. W chwili kiedy usłyszałam diagnozę, powiedziałam sobie, że nie zamierzam stać się ofiarą. Mam w życiu parę rzeczy do zrobienia i nie zdążę ich zrobić w ciągu sześciu miesięcy, jakie zostałyby mi, gdybym się nie poddała mastektomii.

Georgina mówiła z niemal ewangelicznym żarem, opisując drogę, jaką przeszła od drzwi śmierci do drzwi naszego domu. Po prostu przebiegła pięć kilometrów w Komen's Race for the Cure, żeby zebrać odpowiednie fundusze. Ja nie zdołałabym chyba przebiec takiego odcinka nawet w sytuacji, gdyby deptał mi po piętach wygłodniały lew.

- Nastawienie psychiczne jest tak samo ważne, jak lekarstwa, które przyjmujesz - podkreśliła. - Wszystko zależy od PSU.

- Pozytywny Stan Umysłu?

Kiedyś, dawno, dawno temu, Brandi miała tę mantrę wypisaną na karteczce samoprzylepnej i przyklejoną do lustra w łazience.

- Nie wygląda na to, żeby twoja przyjaciółka chciała z tego wyjść - powiedziała Georgina.

Kiedy sobie poszła, zmusiłam Brandi, żeby ze mną porozmawiała.

- Jaki to ma sens? - spytała. - Powiedzmy, że z tego wychodzę. Czuję się dobrze, i co dalej? Co mam robić ze swoim życiem, jeśli nie będę już mogła używać ciała jako narzędzia pracy?

Szpital, w którym była leczona, nie miał ani funduszy, ani wyposażenia, żeby zaoferować jej pooperacyjną rekonstrukcję piersi bez ubezpieczenia. A dla Brandi wszystko, co wpływało ujemnie na jej figurę, automatycznie wyłączało ją z pracy, tak jak paraliż automatycznie oznaczałby koniec kariery dla sprintera.

- Nie mogłabyś spróbować czegoś innego? Fryzjerstwa? Kosmetyki?

- Czy ty uważasz, że zdecydowałabym się wdepnąć w całe to gówno, w jakie człowiek musi wdepnąć w tym mieście, gdybym nie pragnęła być aktorką bardziej, niż oddychać? Z innym gównem miałam do czynienia prawie trzydzieści lat.

Musiałam poczekać, aż umrze moja matka, zanim mogłam tu przyjechać. Czekanie na to, żeby być aktorką, to było umieranie za życia.

Myślałam teraz o tym, czekając na Antonia. Myślałam, jak bardzo zależało Brandi, żeby odnieść sukces w Hollywood, znacznie bardziej, niż kiedykolwiek zależało mnie. Wtem od drzwi frontowych dobiegły mnie odgłosy szamotaniny.

- Zamknięte.

Fabrizio blokował wejście do klubu swoim idealnie krągłym brzuchem o średnicy równej szerokości drzwi.

- Aleja się muszę zobaczyć z Lizzie Jordan!

- Będzie pan musiał przyjść jutro.

- Nie mogę czekać do jutra! Proszę mnie wpuścić! Zdesperowany klient unieszkodliwił Fabrizia nagłym kopnięciem w kolano i w sekundę był w środku.

- Lizzie! To był Eryk.

- Lizzie - zaczął. - Dzięki Bogu, że cię znalazłem... Zdarzyło się coś okropnego.

- Och, Eryku... Chyba twoja matka nie...

Moją pierwszą myślą było, że Elspeth umarła i że Eryk chce ze mną o tym porozmawiać, bo byłam jedną z niewielu osób z grona jego znajomych, którzy ją poznali. Bez wątpienia wyglądał tak, jakby istotnie to właśnie się stało. Był potargany, miał wytrzeszczone, dzikie i nabiegłe krwią oczy. Sprawiał wrażenie, jakby przepłakał całą noc, nad ranem padł tak jak stał na sofę, miał potworne koszmary, po czym przyjechał, żeby mnie odszukać.

- Gorzej!

Co może być gorsze niż śmierć jego matki?

- No więc co się stało? - spytałam, popychając go równocześnie w kierunku krzesła, i dałam znak Atalancie, żeby przyniosła mojemu gościowi brandy. Spełniła polecenie z radością. Wiedziałam, że nawet podając drinka ulubionemu reżyserowi Madonny, będzie szlifować swój kawałek na przesłuchanie.

- Eryku - powiedziałam błagalnie, gdy wlał w siebie jednym ruchem zawartość kieliszka. - Powiedz, co się stało.

- Ona... ona... - wyjąkał.

Pewnie umarła, a on oszukuje sam siebie, że nie, pomyślałam. Pewnie jej stygnące ciało leży na tylnym siedzeniu samochodu.

- Eryku - położyłam mu obie ręce na ramionach, by powstrzymać spowodowane łkaniem wstrząsy. - Oddychaj głęboko. Mów powoli.

- Ona... ona... mówi, że chce ze mną zamieszkać! - wykrztusił w końcu wśród szlochów.

- Co? - W jednej chwili puściłam jego ramiona. - To znaczy że nie umarła?

- Nie - odparł. - Jeszcze nie.

Elsbeth Nordhoff nadal żyła. Wiedziała jednak, że jej dni są policzone, i chciała zrobić jak najlepszy użytek z czasu, jaki jej pozostał; chciała go spędzić z jedynym synem i jego narzeczoną.

- Nigdy nie myślałem, że zechce do mnie przyjechać...

Na nieszczęście dla Eryka, Elspeth była przekonana, że to wspaniały pomysł. Obudziła się któregoś ranka, rozejrzała wokół i zadała sobie pytanie, dlaczego samotna kobieta w podeszłym wieku, zmierzająca ku końcowi życia, miałaby spędzać ostatnie dni w swojej rozległej, nienagannie utrzymanej rezydencji w Beverly Hills, gdzie rozlegało się jedynie echo bicia zegara w holu.

- Chcę mieć wokół siebie rodzinę - powiedziała do Eryka. Następną rzeczą, jakiej się dowiedział, było to, że cały swój

ruchomy majątek z wyjątkiem paru obrazów oddała do przechowalni. Rezydencja w Beverly Hills została wystawiona na sprzedaż, a Elspeth Nordhoff miała już zamówiony wóz, który miał przewieźć ją wraz z dobytkiem do Malibu.

- No a co ja, według ciebie, miałabym zrobić w związku z tym? - spytałam, kiedy skończył swoją żalowaną opowieść. Chociaż Eryk jeździł już rollsem, Ed Strausser wciąż jeszcze do mnie nie zadzwonił. Jeśli Eryk miał zamiar poprosić mnie, żebym zagrała jego

narzeczoną na proszonym obiedzie, jaki wyda na cześć matki, to drogo go to będzie kosztowało... Najwyraźniej potrzebował mnie bardziej, niż to sobie wcześniej wyobrażałam,

- Powiedziałem jej, że razem mieszkamy - rzekł Eryk. - Musisz mi pomóc.

Matka ogłosiła swoją nowinę tego dnia po południu. Na początku Eryk specjalnie się tym nie przejął. I tak miał zamiar polecieć na dwa tygodnie na Hawaje. Nie na urlop, tylko na kręcenie plenerów do reklam, które trzaskał, czekając na rozpoczęcie zdjęć do *Opactwa Northanger*. Matka nie będzie przecież oczekiwała, że wywróci do góry nogami swoje plany zawodowe, żeby spędzać z nią czas... Niech się wprowadza, Jan się nią zajmie. A co do mnie, to miał jej powiedzieć, że siedzę w Anglii ze swoimi starymi.

Wszystko wydawało się bardzo proste. Później jednak Jan, który, z racji więzi łączącej go z szefem, zaczął się ostatnio trochę stawiać, powiedział, że nie zamierza się zajmować starą matką Eryka. W każdym razie w sytuacji, kiedy nie będzie mógł się wobec niej przyznać, że są Erykiem parą. A kiedy, po długiej i burzliwej kłótni, Eryk nie zgodził się na oficjalne ujawnienie ich związku, Jan spakował manatki i opuścił dom.

Co oznaczało, że Eryk miał teraz problem nie tylko z matką i pawiem, ale i z partnerem. Jeśli mu nie pomogę, będzie musiał zrezygnować z wyjazdu na Hawaje. Matka nie może mieszkać w hotelu, dopóki on nie zorganizuje tego jakoś inaczej. Nie czuje się na tyle dobrze, żeby mieszkała w willi w Malibu sama. Próbował dzwonić do paru agencji, ale żadna nie była w stanie dostarczyć gosposi odpowiednio przygotowanej, by mogła zająć się pawiem, który w międzyczasie zdołał się jakoś przedostać do garażu i powydziobywać dziury w karoserii samochodu Eryka.

- Jedyne, co miałabyś do roboty, to dogłądanie mojej matki i karmienie pawia - powiedział Eryk.

- Ale już poznałam twoją matkę - zauważyłam. - I pawia też... Gdy Eryk uświadomił sobie, że mogę odmówić, w jego oczach

pojawiła się panika. Ale mój wewnętrzny licznik już pracował. Eryk zapłacił mi tysiąc dolarów za to, że pojechałam z nim do Santa Barbara i jadłam kanapki. Wygrał od Eda Straussera samochód wart sto razy tyle i był przygotowany na oddanie mu Picassa w wypadku, gdyby przegrał.

Ile mam zażądać za karmienie pawia i matki? Dwa tygodnie po tysiąc dolarów za dzień? Dwa tysiące dolarów za dzień? Trzy tysiące, jeśli będę dodatkowo pilnować, żeby ptak nie obsrywał mu samochodu?

Eryk, nerwowo kołysząc nogą, błagał mnie, żebym się zastanowiła.

- Moja matka cię uwielbia. I Picasso też.

- Picasso chciał mnie dziobnąć w nogę.

- Możesz trzymać go przez cały czas w zamknięciu, bylebyś tylko pamiętała, żeby go nakarmić. Matce i tak prawdopodobnie jedzenie będą dowozić z hotelu Beverly Wilshire. Potrzebne jest jej tylko towarzystwo. Będziesz mogła jeździć mercedesem. Giorgio dostarczy ci całą szafę nowych ubrań. Czy Ed już dzwonił? - spytał.

- Nie.

- Każę mu, żeby zadzwonił z rana. Błagam, Lizzie... Wiesz, że jesteś moją jedyną nadzieją.

Miałam pełną świadomość tego faktu.

- W porządku - skinęłam głową. - Ile?

Kiedy jesteś dzieckiem, jedną z najlepszych rzeczy związanych z dorosłością wydaje ci się możliwość robienia tego, co chcesz i kiedy chcesz, bez konieczności wyjaśniania czy tłumaczenia się ze swojego postępowania przed innymi dorosłymi. Rzecz jasna, w wieku siedmiu lat myślisz wyłącznie o opychaniu się słodyczami aż do mdłości i możliwości wydania całej tygodniówki w jednym z tych sklepów, w których żelkowe misie i soczyste truskawkowe krewetki nabiera się łąpatką.

Ale będzie fajnie, myślisz, kiedy będę mogła robić dokładnie to, na co mam ochotę.

No i w końcu jesteś dorosła. I zdajesz sobie sprawę, że jeśli wydasz całą tygodniówkę na różowe krewetki, wywalą cię kopniakiem z domu na bruk, bo nie będziesz miała na czynsz. Okazuje się, że daleko ci do tego, żebyś nie była przed nikim odpowiedzialna - ludzi, przed którymi odpowiadasz, jest o wiele więcej niż dotychczas. Szefowie, kochankowie, rodzina... Jasny gwint, w momencie, w którym pokazujesz „fuck” rodzicielskiemu autorytetowi, pora zacząć się zastanawiać, jak zarobić dla nich na przyzwoity dom opieki, kiedy pójda na emeryturę.

Zycie to plątanina sznurków, które istnieją tylko po to, żeby się o nie potykać. Nasze pragnienia i nasze pryncypia nieustannie są w stanie wojny. I właśnie w tej chwili walczyłam ze swoim sumieniem. Eryk Nordhoff chciał mi zapłacić siedemdziesiąt tysięcy dolarów - to znaczy pięć tysięcy dolarów dziennie - tylko za to, że będę podczas jego nieobecności mieszkała w jego domu i zabawią jego chorą matkę. Rzecz jasna, i to pociągało za sobą całą lawinę kłamstw. Nie było to dobre... Ale moja przyjaciółka Brandi potrzebowała tych siedemdziesięciu tysięcy dolarów, żeby móc zapłacić za leczenie, które mogło wybawić ją od raka i uratować życie. Gdybym odrzuciła propozycję Eryka, było bardzo prawdopodobne, że znajdzie on inną osobę, która podejmie się tego zadania i pieniądze trafią do kogoś, kto będzie miał mniej skrupułów.

A jeśli trafią do mnie, będę mogły natychmiast przejść w ręce Brandi.

Kiedy powiedziałam Erykowi, że biorę tę pracę, wydał takie westchnienie ulgi, jakby balon wypełniony gorącym powietrzem osiadł po odbyciu szczególnie mrozącego krew w żyłach lotu po okupowanym przez wroga terytorium.

- Ale część pieniędzy muszę mieć z góry - oznajmiłam. - I chcę, żeby pierwszy czek był wystawiony na szpital św. Ekspedyta w Santa Monica. Skoro już się podejmuję tego idiotyzmu, żebyś mógł mieć pewność, że twoja matka umiera szczęśliwa, to ja muszę mieć pewność, że moja przyjaciółka będzie leczona jak należy.

- Jak chcesz - odparł Eryk. - Nie mam czasu, żeby się z tobą kłócić.

W pięć minut później jechaliśmy rolls-royce'em, który pomogłam mu wygrać, do domu na plaży, żeby mogła zabrać moje manatki.

Było to moralne bagno, które miało same plusy. O ile nie zostaniemy złapani na kłamstwie. Eryk ratował swoją skórę, Brandi miała być leczona na najwyższym poziomie, a ja miałam mieszkać w domu, w którym był basen, a nie karaluchy.

Kiedy Brandi dowiedziała się, że mamy sposób na zdobycie środków, by mogła być leczona w szpitalu Św. Ekspedyta, roze-

śmiała się po raz pierwszy od czasu, gdy postawiono jej diagnozę. Puściliśmy się w tan wokół kuchni. Gruby Joe, Brandi i ja. Eryk stał w drzwiach i patrzył.

- To bardzo wzruszające - powiedział. - Ale czy nie sądzicie, że moglibyście odłożyć tę wesołość na później? Muszę jechać po moją umierającą matkę.

Przedtem jednak musiałam zainstalować się w Malibu jako pani domu. Kiedy Eryk wrzucał rzeczy, które miały mu być potrzebne na Hawajach, do trzech wielkich walizek Samsonite na kółkach, ja wyładowywałam zawartość mojej torby Debenhams do opróżnionej dla mnie szafy. To, co kryła moja kosmetyczka, którą otrzymałam w charakterze pożegnalnego prezentu, wyglądało dość tandetnie w szafce łazienkowej obok pełnego wyboru kosmetyków Clinique Eryka. A jeśli wydawało mi się kiedyś, że trzy pary niemal nieróżniących się między sobą czarnych kłapek to ekstrawagancja, poczułam się nieco lepiej na widok siedemdziesięciu par identycznych czarnych półbutów Eryka.

Zrobiliśmy błyskawiczną rundę po domu i jego wyposażeniu. Sokowirówka, blender, maszynka do popcornu. W kuchni były wszelkie nowoczesne wygody, jakie tylko można sobie wyobrazić, ale wątpliwe było, czy kiedykolwiek potrafię zrobić z nich użytek.

- Facet od basenu przychodzi w poniedziałki, środy i piątki - powiedział Eryk. - A ogrodnik we wtorki i czwartki. Sprzątaczką codziennie rano około dziewiątej - dziewiątej piętnaście.

- A kiedy mam wystawiać kosze na śmieci?

- Kosze na śmieci? - zapytał ze zdziwieniem Eryk. - A skąd ja mam wiedzieć?

Eryk był facetem, który troszczył się w życiu wyłącznie o własny tyłek.

- Słuchaj, jak coś będzie nie tak, po prostu zadzwoń po pomoc. - Wręczył mi kartę kredytową. - Ma trzydzieści tysięcy dolarów limitu.

Nie miałam w zasadzie nic do roboty oprócz zadbania o to, żeby Picasso miał ziarno i wodę, a Elspeth Nordhoff miło spędzała czas.

- Spróbuj tylko rozgniewać moją matkę, a nici z pieniędzy - ostrzegł.

- Twoja matka będzie miała fantastyczną opiekę - zapewniłam. Kiedy rundka po nieruchomościach była skończona, Eryk zdjął ze ściany nad fortepianem oprawiony w srebro portret, przedstawiający jego i Jana. Na tym miejscu powiesiłam zdjęcie mamy, taty, Sally i Colina w Weston-super-Mare, w posrebrzanej ramce! Eryk skrzywił się na widok tej rodzinnej fotografii.

- Będzie chciała wiedzieć, do jakiej rodziny wchodzisz - zadrwiłam.

- Ale czy musi wisieć nad fortepianem?

- Myślę, że tak. Jako twoja narzeczona...

Byliśmy gotowi stanąć twarzą w twarz z mamusią Eryka.

O dziewiątej rano Eryk pojechał po matkę do Beverly Hills. Czekać na ich przyjazd, spacerowałam po domu, który przez najbliższe dwa tygodnie miał być moim domem. Dotykałam przepięknych antyków, przyglądałam się bezcennym obrazom... Wyobrazić sobie tylko, że człowiek naprawdę poślubia całe to bogactwo, pomyślałam. Że odtąd kupuje majtki w La Perla, a nie u Marksa & Sparksa. Przebrałam się w kostium od Armaniego, który miałam na sobie na weselu w Santa Barbara. Kiedy rzuciłam okiem na swoje odbicie w osiemnastowiecznym francuskim lustrze, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. To niewątpliwie znacznie przyjemniejszy sposób na to, by zebrać fundusze na operację Brandi, niż brać dodatkowe zmiany w Ladyboys. Noszenie designerskich ciuchów, jedzenie wykwintnych dań, karmienie pawia, bawienie rozmową starszej damy... To się nazywa dostać kasę za friko!

22

Dobrze się stało, że miałam tych parę chwil dla siebie, zanim Eryk wrócił z matką, bo nie zanosilo się na to, by było mi to dane w najbliższym czasie. Z przyklepionym do warg uśmiechem mruknełam „do widzenia”, gdy Eryk odjechał, a wnoszenie wcale niemałego bagażu Elspeth. przy akompaniamencie litanii skarg, pozostawił mnie.

- Czy nie mogłabyś być trochę ostrożniejsza? - warknęła Elspeth. - W tym pudełku jest popiersie autorstwa samego Rodina!

Nieważne, że o mało nie skręciłam sobie kolana, kiedy pod ciężarem rzeźby potknęłam się na schodach.

Kiedy już własnoręcznie zatargałam cały bagaż Elspeth do jej pokoju, ta padła na sofę i miała czelność wyglądać na wyczerpaną. Staralam się być wyrozumiała. Bądź co bądź, ta kobieta ma raka i jest w stanie terminalnym. Trudno było jednak utrzymać promienny nastrój w sytuacji, gdy wniósłszy ją niemal po schodach, by mogła dokonać inspekcji moich wysiłków, usłyszałam, że nie podoba jej się widok z okna sypialni, którą wybrał dla niej Eryk („Za dużo tego oceanu" — powiedziała). Musiałam ją znieść na przeciwległy koniec domu. I oczywiście jej kolekcję dzieł sztuki.

Przyszła pora lunchu. I choć Eryk obiecał, że jedzenie będzie jej przyrządzał ulubiony kucharz w Beverly Wilshire, Elspeth zdecydowała, że ma chęć na kanapkę domowej roboty.

- Zwykłą kanapkę z jajkiem na twardo i majonezem - powiedziała.

Proste, prawda? Wzbijając się na szczyt moich kulinarnych umiejętności, ugotowałam jajko. I wówczas zdałam sobie sprawę, że w domu nie ma krzty majonezu.

- A może urządziłoby cię jajko na miękko i sałata bez majonezu? - zaproponowałam.

Nie. Nie urządziło.

Wsiadłam zatem w samochód i pojechałam do najbliższego supermarketu. Chociaż właściwie to chyba wcale nie był najbliższy, jako że w ogóle nie znałam tej okolicy, i zanim natrafiłam na sklep, w którym sprzedawano coś innego niż etniczne bibeloty czy kostiumy bikini, byłam już w połowie drogi do San Francisco. Kiedy wróciłam do domu, Elspeth poskarżyła się, że przepadłam na wieki i że łatwiej doprawdy umrzeć, niż doczekać się, aż przywiozę wreszcie jej ulubiony domowy majonez Miracle Whip o obniżonej zawartości tłuszczu. Jajko tymczasem wystygło, a Elspeth ostrzegała mnie, że lubi tylko ciepłe. Ugotowałam więc następne i rozgniotłam je w majonezie z takim impetem, jakbym rozgniatała czaszkę.

- Ten chleb jest nie taki jak trzeba - powiedziała, kiedy zaprezentowałam jej zgrabne trójkąty z poobcinaną skórką, przybrane listkami rzeżuchy.

- Eryk kupił go specjalnie dla ciebie - podkreśliłam. - Wydawało mi się, że lubisz pełnoziarnisty.

- Tak, aJe nie do jajek z majonezem - wyjaśniła. - Do jajek z majonezem wolę biały.
- W porządku.

Złapałam talerz i ruszyłam z powrotem do kuchni.

- Ten stary babsztyl mówi, że ten chleb jest zanadto brązowy - powiedziałam do lodówki.

- Co mówisz?! - zawołała Elspeth z drugiego końca domu. Zakonotowałam sobie, że powinnam mieć na uwadze, iż słuch Elspeth jest o wiele lepszy, niż sobie to wyobrażałam.

- Nic! - odkrzyknęłam. - Po prostu skaleczyłam się nożem.

- Tylko żeby nie było krwi na moich kanapkach! - ostrzegła.

To był zaledwie początek. Popołudniowa herbata okazała się dla Elspeth najpierw za gorąca, potem za zimna, a potem za ciepła. Sypialnia, do której zatargałam jej rzeczy z narażeniem własnego krzyża, najpierw była zbyt mroczna, a potem za jasna. Poduszki były za miękkie, a łóżko za twarde.

- Zastanawiam się, dlaczego ja się właściwie wyprowadziłam z własnego domu - powiedziała, kiedy na jej życzenie przetrzepywałam poduszki.

- No więc dlaczego? - zasyczałam niemal.

- Chciałam po prostu spędzić trochę czasu z moim synem. No i mieć okazję lepiej cię poznać - dodała z nad podziw rozbajającym uśmiechem. - Myślę, że rano będę się czuła lepiej. W nowym domu początki zawsze są trudne. Chciałabym, żeby Eryk tu był.

Ja też bym chciała. A właśnie zaczynałam zdawać sobie sprawę dlaczego tak mu zależało, żeby właśnie nie być... Skinęłam jednak głową ze zrozumieniem, za które mi płacono, i przyniosłam Elspeth szklankę wody (o temperaturze trzydziestu dwóch stopni), po czym sama zaczęłam szykować się do spędzenia pierwszej nocy w nowym nieznanym miejscu. To w końcu tylko dwa tygodnie... Po dwu tygodniach Eryk wróci z Hawajów, aja udam, że wracam do Anglii, żeby zobaczyć się z rodziną. No a poza tym nie byłam przecież takim potworem bez serca, żeby nie zależało mi, by Elspeth wygodnie spędziła być może dwa ostatnie swoje tygodnie na tej ziemi.

W tym samym czasie, na drugim krańcu miasta, również Brandi szykowała się do snu w nowym nieznanym łóżku. Pierwsza wizy-

ta u onkologa w szpitalu św. Ekspedyta była umówiona na jutrzejszy ranek, ale lekarz, który ją wstępnie badał, uznał, że wskazane jest, by spędziła tę noc pod obserwacją. Odkąd usłyszała diagnozę z ust lekarza opłacanego przez stan, prawie nie jadła i nie spała, tak że w tej chwili nie tylko była chora, ale i na taką wyglądała. Kiedy jednak zadzwoniła do mnie ze swojej sali u św. Ekspedyta - z widokiem na morze, jak powiedziała mi podekscytowana- stało się jasne, że przesłanie Georginy w końcu do niej dotarło.

- Nie zamierzam być ofiarą - powiedziała. - Mam takie wrażenie, jakby już mi się polepszało.

- Na pewno ci się polepsza. Chociażby dlatego, że nie jesteś w naszym domu na plaży. Jestem przekonana, że można tam zachorować z samego brudu... A jak jedzenie?

- Fantastyczne. Na kolację miałam zupełnie obłądną sałatkę z rzeżuchy. A ty?

- Jajko w majonezie i razowy chleb.

- O. Nie brzmi to zbyt wykwintnie... Myślałam, że Eryk ma kucharza.

- Ma. Mnie. Ten prawdziwy bardzo rozsądnie nawiał wczoraj wieczorem.

- Dzwoniłaś dzisiaj do Joego? - spytała.

- Nie.

- Odprowadził mnie i był tu ze mną, dopóki go nie wyrzucili, żebym mogła się trochę przespać. Chyba nie miał ochoty wracać do domu sam...

- Chętnie bym go zaprosiła, ale nie wydaje mi się, żeby Elspeth specjalnie podobały się jego minispódniczki.

- Jaka ona jest?

- Trudna. Jestem rzekomo jej przyszłą synową, a nie ma dla mnie choćby tyle szacunku, co dla służby hotelowej w Biltmore. Nieustannie muszę przypominać sobie samej, że jest chora. Dasz wiarę, że zmusiła mnie, żebym znalazła termometr i zmierzyła temperaturę wody, którą przyniosłam jej do picia przed snem?

- Tutaj możesz określić, jak ciepła ma być woda, którą ci przynoszą - rzekła Brandi.

- Na drugi raz będziesz potrafiła określić, na ile ma być mokra - westchnęłam.

- Kiedy dasz radę przyjechać, żeby zobaczyć, na co idątwoje ciężko zapracowane pieniądze?

- Nie wiem... Kiedy Jej Królewska Mość da mi wolne. Nie lubi, jak się ją zostawia samą.

- Nie jest sama. Ma pawia do towarzystwa.

- O Chryste! Paw!

Kompletnie zapomniałam o Picassie... Pewnie już powydzio-bywał dziury w którymś z bezcennych dzieł sztuki, skoro nie pod-sypałam mu ziarna.

- Zadzwoń do ciebie jutro. Śpij dobrze.

- Ty też.

- Kiedy mam być na każde zawołanie carycy? Niewielka szansa.

Musiałam wyjść z łóżka, żeby zająć się pawiem. Polowałam na niego po całym ogrodzie. Po zapadnięciu zmroku nie wolno mu było przebywać na zewnątrz, bo jakiemś przypadkowemu kojotowi mogłaby się spodobać pachnąca pawiem przekąska. Ze wszystkich przestróg, jakich udzielił mi Eryk przed wyjazdem na Hawaje, najważniejsza była niewątpliwie: „tylko żeby Picassa nie zjadł kojot”; dopiero za nią szło: „tylko żeby moja matka nie umarła na tym wielkim dywanie w salonie w stylu Versacego”. Po półgodzinnym przeszukiwaniu ogrodu zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie przyszłam za późno i czy pan kojot nie zrobił już sobie kolacji ze wspaniałego ptaka Eryka. A może wredny upierzony stwór włóczył się za blisko krawędzi klifu i wpadł do oceanu? Wystarczyło, że o tym pomyślałam, a sama poczułam się tak, jakbym stała na krawędzi urwistej skały.

- Picasso! Picasso! Chodź, dostaniesz pyszne ziarenka - potrząsnęłam pudełkiem ziarna, w nadziei, że grzechot zwabi ptaszysko do domu. Nigdy specjalnie nie lubiłam zwierząt. W dzieciństwie nie mieliśmy z Colinem żadnych zwierzątek, chociaż codziennie błagaliśmy rodziców o psa.

- Nie będziecie o niego dbać jak należy - mówiła matka.

- Będziemy! Będziemy! - wołaliśmy chórem. Bez skutku. Któregoś lata przynieśliśmy do domu na wakacje klasowego

chomika, imieniem Evel Knievel. Po jakimś czasie Colin wpadł na pomysł, żeby zrobić biednemu chomciowi ścianę śmierci z przewróconego do góry nogami parasola. Włożył go do środka i zakręcił parasolką. Chomik spokojnie poddawał skrupulatnym oględzinom drucziane rusztowanie, gdy wtem znalazł się wewnątrz

wirującej centryfugi i zanim zdołał się uchwycić mikroskopijnymi pazurkami tkaniny, wyleciał w powietrze. Wylądował z ciężkim plaśnięciem w skalnym ogródku i zabił się. Colin powiedział mamie, że to ja go do tego namówiłam. O psie mogliśmy zapomnieć.

Wiele lat później zostałam zatrudniona jako opiekunka psa mojej szefowej, gdy wyjechała z kochankiem na Majorkę. Jego Wysokość Herkules, dumny spaniel, wybrzydzał do niemożliwości przy jedzeniu i robił kupę, gdzie popadnie. Raz zostawiłam go pod opieką Seemy, ona zaś powierzyła Herkulesa Grubemu Jo-emu, który spuścił go ze smyczy na Clapham Common, żeby wypróbować nadajnik, który przytwierdził nieszczęsnemu psu do obroży. Rzecz jasna, urządzenie nie działało. Herkules przepadł.

- Aaaaauuuu! - rozległ się odgłos wycia. Albo to był wyżeł weimarski sąsiadów, albo kojot... Zadrzałam.

- Picasso! - zagrzechotałam jeszcze raz pudełkiem. - No chodźże wreszcie! Mam cię gdzieś! - wrzasnęłam, gdy ptaszysko wciąż znikąd nie wystawiało dzioba. - Jeśli o mnie chodzi, to możesz sobie siedzieć na dworze choćby całą noc! Tam, na tych wzgórzach, aż się roi od rozmaitych potworów, które mają na ciebie chrapkę. No i bardzo dobrze! W nosie mam, jeśli kojoty zrobią sobie z ciebie ucztę o północy. Po prostu nie mam ochoty tłumaczyć się przed szefem, dlaczego została po tobie kupa piór i kości!

Robiłam, co mogłam, żeby przywabić ptaka i skłonić do powrotu do domu. Choć mieliśmy za sobą piękny, ciepły dzień, nawet upalny (taki, który chciałoby się spędzić na basenie, gdyby człowiek nie musiał siedzieć w domu i doglądać rzekomej przyszłej teściowej niczym jakaś dziewiętnastowieczna niewolnica z Luizja-ny), z zapadnięciem nocy powiała od morza chłodna bryza. Stałam na wykwintnym trawniku w piżamie i kapciach i drżałam.

- Idę do domu - zdecydowałam. Odwróciłam się i ruszyłam w kierunku mojego ciepłego, szerokiego na kilometr łóżka.

- Auuu! -

Potknęłam się o przekłętą pawia. Padłam twarzą pomiędzy pióra i rozczapierzone pazury, rozpaczliwie usiłując ochronić oczy.

- Wrr-aaaaauukkk!!! - wrzasnął Picasso głosem jak nie z tego świata.

- Złaż ze mnie! - łyknęłam, niewątpliwie wyrażając i jego uczucia, które tylko co oznajmił swoim pawim językiem.

Oboje usiłowaliśmy się podnieść. Picasso syczał. Ja klęłam. Kiedy nagle dziobnął mnie w kolano, byłam gotowa ukreć mu łeb.

Przedtem jednak musiałam go złapać. Byłam absolutnie zdeterminowana, że kiedy wejść do domu, muszę go mieć pod pachą. I miałam. Przedtem jednak zainkasowałam całkiem niezły cios dziobem w policzek, tuż pod lewym okiem.

Trzy z moich paznokci były złamane, spodnie od piżamy podarte wskutek szarpaniny z tym przerośniętym kurczakiem, a kiedy udało mi się wreszcie uzyskać nad nim przewagę, w akcie biernego oporu obesrał mi całe ramię.

No, ale przynajmniej nie zeżre go tej nocy kojot.

- Co się dzieje? - Kiedy wtargnęłam do środka z brudnym ptakiem pod pachą, Elspeth czekała u podnóża schodów. - Myślałam, że kogoś mordują.

- Usiłowałam przekonać Picassa, żeby wrócił do domu, zamiast nocować w ogrodzie - wyjaśniłam.

Spojrzała na mnie z przyganą. Byłam rozmamłana, z policzka sączyła mi się krew, kolana miałam zielone od trawy.

- No cóż, powinnaś być chyba bardziej ostrożna. Picasso to bardzo cenny ptak...

Picasso utkwiał we mnie pełen pogardy i poczucia wyższości wzrok, po czym podreptał po wytwornych płytkach posadzki ku Elspeth. Wyciągnęła dłoń i poklepała go czule w łepkę o mózdzku dokładnie jak ziarnko grochu.

- Przestraszyła cię, tak? Niedobra Lizzie...

Niedobra Lizzie zastanowiła się, czy by nie wałnąć ptaszyska w ten łeb siekierą.

Mogłabym rzucić go na pożarcie psu sąsiadów i powiedzieć, że to robota kojotów.

- Pomóż mi teraz wejść z powrotem po schodach - rozkazała szorstko Elspeth.

Ruszyłam w jej kierunku.

- Na miłość boską, dziecko! Umyj przedtem ręce! Poszłam do łazienki. Zeskrobując ptasie odchody z ramienia

i obmacując ostrożnie dziurę w policzku, zastanowiłam się, czy pięć tysięcy dolarów dziennie to naprawdę wystarczająco duża suma.

Nazajutrz rano obudził mnie delikatny dźwięk dzwoneczka. Chwilę trwało, zanim uprzytomniłam sobie, gdzie jestem. Przy-

wykłszy spać na podłodze, w pokoju, którego ściany obwiesiliśmy plakatami, żeby zamaskować dziury po kulach, byłam zdezorientowana, gdy po otwarciu oczu ujrzałam sypialnię wyglądającą niczym buduar Marii Antoniny w Wersalu. Wszystkie wnętrza w posiadłości Eryka zaprojektowane były przez ludzi od Gucciego albo Versacego. Pokoje w stylu Gucciego, dyskretne, całe w zamszu i metalu, służyły Erykowi, kiedy był w nastroju zen. Pełno-objawowy przepych Versacego był przewidziany na chwile, kiedy czuł się w stylu Liberace. Znajdowałam się w różowym pokoju gościnnym w stylu Versacego. Na wpół uduszona przez ogromne poduchy, leżałam na łóżku, które przypominało rozmiarami łożo z baśni o księżniczce na ziarnku grochu.

Matka Eryka dawała mi popalić od samego rana... Po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że uporczywy, ledwie dosłyszalny odgłos dzwonka dochodzi z jej sypialni. - Lizzie! Lizzie! - nawoływała słabo. Wygramoliłam się z łóżka i rzuciłam do drzwi, nie zdążywszy się nawet przeciągnąć. Skoro dzwoni, to musi się dziać coś strasznego! Wiedziałam przecież, że jest w stanie terminalnym... Miałam nadzieję, że zdoła dociągnąć przynajmniej do powrotu Eryka, tak żeby to on zajął się ciałem, a nie ja.

- O Boże, spraw, żeby nie umarła - modliłam się w duchu. Ale Elspeth bynajmniej nie wyglądała na umierającą. Siedziała, wsparta o poduszki. W swojej białej koronkowej koszuli nocnej wyglądała niczym zaszuszone lalka-dzidziuś. Albo spała na siedząco całą noc, albo obudziła się jakiś czas temu i zdążyła się już uczesać i umalować. Przyglądała mi się, jakbym była ulicznikiem, który wtargnął do domu, żeby ukraść jej Rodina.

- O co chodzi? - spytałam. - Dzwoniłaś.

- Tak. Mam ochotę na grzanekę. Biały chleb tym razem, ale przypieczony tylko z jednej strony. Masło po stronie nieprzypieczonej.

- Że co? - spytałam. Była szósta rano.

Elspeth popatrzyła na mnie z czymś w rodzaju współczucia.

- Zle spałaś, Lizzie?

- Spało mi się świetnie. Tylko po prostu nie tak długo, jak bym chciała.

- Nie wolno tracić dnia - powiedziała pogodnie.

Już miałam zrobić błyskotliwą uwagę, że przygotowując jej śniadanie o szóstej rano, tracę znaczną część mojej nocy, ale

przypomniałam sobie, że Elspeth nie ma przed sobą zbyt wielu dni do stracenia. Gdyby mnie zostało zaledwie parę tygodni życia, to według wszelkiego prawdopodobieństwa też bym starała się tracić na sen możliwie mało czasu.

- Zaraz przyniosę ci grzanekę.

Miałam nadzieję, że następnego ranka nie przebudzi się znów o szóstej rano, ale najwyraźniej zanosilo się, że stanie się to regułą. W trzy dni później uświadomiłam sobie, że od chwili przybycia Elspeth do Malibu zdołałam ograniczyć czas snu przeciętnie do czterech godzin na dobę. Elspeth miała ochotę gawędzić do późna w nocy, a potem przez prawie godzinę musiałam polować w ogrodzie na Picassa. Odkąd stoczyliśmy walkę wręcz owej pierwszej nocy, był zdecydowany mnie unikać i nigdy nie przychodził na moje wołanie. Kiedy kładłam się spać, była druga. O szóstej budziłam się automatycznie, zanim jeszcze zabrzmiał dzwoneczek Elspeth.

W ciągu dnia bynajmniej nie siedziała spokojnie w fotelu, nie mając wobec mnie żadnych wymagań. Jak dowiedziałam się w czasie naszej pierwszej rozmowy na weselu z Santa Barbara, Elspeth była damą obarczoną licznymi misjami. Zasiadała w komitetach co najmniej dwunastu organizacji dobroczynnych, zajmujących się najróżniejszymi sprawami - od chorób serca do kastracji bezdomnych szczeniąt w południowych Indiach. Zaraz po śniadaniu przynosiłam do jej sypialni laptopa Eryka i przez cały ranek pisałam pod jej dyktando listy do gwiazd popkultury, premierów i prezydentów. Popołudnia spędzałam na korekcie i usuwaniu literówek.

- W słowie „favor” nie ma „u”. O, tutaj.

Potem przybywała na popołudniową herbatę gromada dam. Mogły być z Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu Wobec Ryb, Ruchu na Rzecz Popierania Twórczości Artystycznej albo stowarzyszenia Biblia dla Pogan w Południowej Anglii. W moich oczach zlewały się w jedną niekończącą się paradę miłosiernych dam w słusznym wieku. Od markowych pantofelków Ferragamo po włosy ułożone tak idealnie, że sprawiały wrażenie, jakby wyrastały im wciąż na nowo każdego ranka, jak w zestawie „Mały fryzjer”, o który tłukliśmy się z Colinem w dzieciństwie - wszystko świadczyło o tym, że panie te są zdecydowane czynić dobro w sposób wytworny.

Elspeth była ich Królową Matką. Kiedy damy zbliżały się do jej łóżka, by oddać cześć swojej przywódczyni, ugiwały się pod ciężarem egzotycznych kwiatów. Jeśli nie przygotowywałam earl-

greya („Jak nalewa się herbatę w Anglii, Lizzie? Najpierw herbatę czy mleko?“), to przycinałam łądygi w ogromnym bukacie białych i pomarańczowych lilii, które przywodziły mi na myśl *Dzień tryfidów*. Potem oczekiwano, że przyłączę się do towarzystwa i będę ze współzuciem kiwać głową, kiedy panie będą opowiadały Elspeth, jak to przyłapały swojąmeksykańskąsłużącąz rękaw słoju z cukierkami. „A przecież dostaje sto pięćdziesiąt dolarów tygodniowo i co sobotę ma wolne popołudnie, żeby mogła pojechać do dzieci w Long Beach!“.

Następnie nieodmiennie wypływał temat ślubu.

- Czy ustaliliście już z Erykiem datę?

- No cóż - mówiłam - same panie wiedzą, jaki jest ostatnio zajęty...

Elspeth marszczyła brwi.

- Kiedy wróci z Hawajów, mam zamiar powiedzieć mu, żeby trochę zwolnił tempo. Nie powinien zostawiać samej takiej ślicznej dziewczyny.

- Och, te hawajskie dziewczęta... - rzucała znacząco jedna z dam.

- Jestem pewna, że Eryk nie ulegnie pokusie - mówiła z przekonaniem Elspeth.

Ja też byłam tego zdania. Nie miałam jednak pewności, jak to będzie z hawajskimi chłopcami...

Następnie Elspeth wzdychała i mówiła:

- Być może nigdy nie zobaczę, jak ta piękna młoda kobieta zostaje moją synową...

Rozcwierkane panie poważniały i ze smutkiem kiwały głowami, a Elspeth mówiła dalej:

- Cóż, nikt nie wie, ile czasu mi jeszcze zostało. Madeleine -mówiła (czy też było to inne imię, zależnie od tego, do kogo zwracała się w danym momencie) - czy mogę mieć pewność, że kiedy odejdę, to poprowadzisz sprawy Miłośników Biblii/Wielbicieli Sztuki/Adoratorów Bezpańskich Psów w taki sposób, w jaki chciałabym, żeby były prowadzone?

Panie, rzecz jasna, skwapliwie przytakiwały, i w finale Elspeth mówiła, zwracając się do nich:

- Wiem, że mogę zaufać Lizzie, iż będzie dbała o Eryka tak, jak ja bym to zrobiła. Anielice miłosierdzia wychodziły, pociągając nosami. Nie płakały w sensie dosłownym, bo mogłyby sobie rozmazać makijaż.

Za pierwszym razem i ja byłam z lekka pociągająca, ale kiedy usłyszałam tę kwestię po raz czwarty, ograniczyłam się do współczującego uśmiechu.

Po wyjściu pań wracałam do roboty. Wieczory były poświęcone sprawdzaniu stanu notowań giełdowych. Jak na kogoś, kto podobno stał u wrót śmierci, z palcem na dzwonku, Elspeth miała zaskakująco dużo energii.

- Moje ostatnie podrygi - mawiała.

- Moje też - mruczałam pod nosem.

Czwartego wieczoru, kiedy wniosłam Elspeth po schodach na górę i ułożyłam w łóżku, kazała mi usiąść obok siebie.

- Opowiedz mi teraz - powiedziała - jak poznałaś mojego kochanego Eryka. Chcę się dowiedzieć, jak to było, kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy, i kiedy się zorientowałaś, że to miłość.

Nadszedł moment, w którym należało przywołać wszystkie umiejętności, jakie nabyłam w czasie studiów w szkole aktorskiej.

- No cóż - zaczęłam. - Zapamiętałam to w taki oto sposób... Choć nie jestem pewna, czy wersja Eryka byłaby dokładnie taka sama - dodałam, by dostarczyć mu wymówki, gdyby przyszło jej do głowy odpytać i jego.

- Wiem, wiem. Mężczyźni podchodzą do tych spraw mniej emocjonalnie - wtrąciła Elspeth. - Mój mąż nigdy nie potrafił powiedzieć, jaki mam kolor oczu, jeśli ktoś go o to pytał, moją nową suknię zauważał dopiero wtedy, kiedy pojawiała się jako pozycja na jego wyciągu z karty kredytowej. Opowiedz mi po prostu, jak ty to odbierałaś, Lizzie. Czy uważałaś, że jest bardzo przystojny, kiedy zobaczyłaś go wtedy w tym barze?

Opuściłam wzrok na własne dłonie, w nadziei, że Elspeth weźmie to za namysł. W rzeczywistości z trudem stłumiłam wybuch śmiechu na myśl o tym, że Eryk Nordhoff miałby mi się wydać atrakcyjny. Jedyne matka mogła opisać mężczyznę bez jednego włosa na głowie o kształcie grapefruta, jako przystojnego... Kiedy podniosłam głowę, Elspeth wpatrywała się we mnie intensywnie. Najwyraźniej nie miała zamiaru pozwolić się zbyć jakimś krótkim „nasze oczy się spotkały”...

Musiałam spreparować przekonującą opowieść.

- To było na urodzinach mojej przyjaciółki Seemy - zaczęłam.

Opowiedziałam jej, rzecz jasna, historię moją i Richarda. Z londyńskiego pubu, odwiedzanego przez obywateli z plecakami, przeniosłam akcję do snobistycznego baru w Hollywood. Pierwsza prawdziwa randka miała miejsce w wytwornej restauracji Chaya Venice w Pacific Rim, a nie nad talerzem spaghetti w pizzerii w Battersea. Ale niektóre szczegóły pozostawiłam bez zmian.

- A kiedy zdałaś sobie sprawę, że go kochasz?

- Staliśmy w Tate Gallery przed tym obrazem Hockneya, *Państwo Clark i Percy* - wymyśliłam naprędce wyjazd do Londynu w celu przedstawienia Eryka moim rodzicom.

- No i co?

- Eryk mówił mi właśnie, dlaczego podoba mu się ten obraz. Obejmował mnie w tali, a podbródek wspierał na moim ramieniu. Uderzyło mnie, że jest namiętny, a równocześnie wrażliwy. Zdałam sobie sprawę, że chcę patrzeć na świat jego oczami. Tak jakbym chciała, żeby mnie wchłonił, żebyśmy się połączyli na wieki.

- No i połączycie się - powiedziała z zachwytem Elspeth.

- Tak. Mam nadzieję.

Tyle jej na szczęście wystarczyło. Elspeth usłyszała swoją bajeczkę na dobranoc, a ja poszłam na swoje zwykłe nocne polowanie na Picassa.

- Picasso! - zawołałam. Tym razem znacznie bardziej obojętnie niż zazwyczaj.

W ogrodzie panowała cisza, słychać było tylko szmer fal, wygładzających przybrzeżny piasek. Wiedziałam, że przywoływanie historii mojej i Richarda nie było najlepszym z pomysłów, jakie miałam w tym tygodniu. A jednak nie ogarnęła mnie melancholia, jak się spodziewałam. Nie zbierało mi się na płacz. A przecież nie tak dawno temu na wspomnienie szczęśliwych dni z Richardem łzy rzucały mi się do oczu... Tej nocy nie.

Potrząsnęłam pudełkiem z ptasią karmą i z zaskoczeniem stwierdziłam, że Picasso stoi przede mną.

- Hej, ty, idziemy - powiedziałam.

Ruszył za mną. Ja przestałam krzyczeć. On przestał się kryć.

Czyżby tak samo działo się ze wspomnieniami o Richardzie? Kiedy przestałam je blokować, zaczęły po prostu blednąć? Czyżby ból naprawdę zaczynał być coraz mniejszy?

Elspeth nie mówiła zbyt wiele o swojej chorobie. Minął tydzień, a ja wciąż nie wiedziałam, co jej właściwie jest. Czy chodzi o raka piersi, jak w przypadku biednej Brandi? - zastanawiałam się. Nie miałam dotąd wolnej chwili, żeby odwiedzić Brandi w szpitalu, choć dzwoniłam do niej co wieczór (w chwilę po tym, jak Elspeth wydawała pierwsze chrapnięcie) i za każdym razem przekonywałam się z zachwytem, że nadal nie opuszcza jej optymizm.

Dalsze badania sugerowały, że nowotwór Brandi jest dość dobrze zlokalizowany, aczkolwiek pewność można było uzyskać dopiero po przeprowadzeniu histopatologicznego badania tkanki pobranej podczas operacji. Miało to potrwać następnych parę dni. Ku wielkiej uldze Brandi, doktor, który opiekował się nią w szpitalu św. Ekspedyta, nie widział powodu, by usuwać jej obie piersi, skoro nowotwór został wykryty we wczesnym stadium. Mieli jej usunąć jedynie część lewej piersi i jeśli wszystko będzie dobrze, od razu dokonać rekonstrukcji.

- Oglądałam zdjęcia innych dziewczyn, które były u nich leczone - opowiadała. - W niektórych przypadkach w ogóle nie widać, że przeszły operację. Zdejmują ci po prostu brodawkę, tak jak się zdejmuje pokrywkę z imbryka, usuwają ze środka co trzeba i wypełniają czymś innym.

- Brzmi rewelacyjnie - powiedziałam. No bo co innego można było na to powiedzieć?

- Zastanawiam się, czy by nie poprosić, żeby mi w taki sam sposób zajrzeli do prawej piersi. Ten facet w Peephole Pictures powiedział, że jest odrobinę zapadnięta.

- Ten facet w Peephole Pictures to idiota.

- Mówię ci. Obie są trochę zapadnięte. Ale i tak za dużo mam tego dobra... Dobrze, że chociaż jedna mi trochę zeszczupleje.

- No, wreszcie słyszę dawną Brandi - powiedziałam. - Cieszę się, że potrafisz dostrzec w tym zabawne strony.

- Lizzie - szepnęła Brandi. - Ja się boję jak cholera. Ale pamiętasz, jak to było, kiedy chodziłyśmy na przesłuchania? Mówiłyśmy sobie, że mamy się zachowywać na zasadzie „tak jakby”. No więc w tej chwili zachowuję się tak, jakbym po przebudzeniu z narkozy miała wyglądać jak Anna Nicole Smith.

- Miejmy nadzieję, że trafi ci się przystojniejszy mąż.

- O, tu jest mnóstwo okazji - powiedziała. - Mój lekarz to po prostu uosobienie marzeń. Co za pieskie szczęście! Żeby spotkać mężczyznę, w którym mogłabyś się zakochać, w sytuacji, kiedy pakuje ci w rękę kroplówkę...

Brandi była pod wrażeniem wenflonu, wkłutego w żyłę na wierzchu dłoni.

- Mogliby mi go zostawić na stałe. Jak wyjdę ze szpitala, mogłabyś mi wlewać wodę prosto do krwiobiegu.

- Czy to nie jest trochę nieprzyjemne?

- Kochanie, jak patrzę na tego lekarza, to zapominam o nieprzyjemnościach. Musisz przyjść i go zobaczyć.

Tak, tylko kiedy? Nie zanosilo się, żeby Elspeth miała kiedykolwiek pozwolić mi odejść choćby na krok. A skoro płacono mi pięć tysięcy dolarów dziennie, nie wydawało mi się właściwe, by ją zwyczajnie poinformować, że potrzebuję paru godzin wolnego. A tak strasznie chciałam zobaczyć Brandi, zanim pójdzie pod nóż...

O ile wiedziałam, nie miała żadnej rodziny, a Gruby Joe, choć pełen dobrej woli, zachowywał się przy łóżku Brandi w sposób, delikatnie mówiąc, niezręczny.

Dokładnie tego ranka, powiedziała Brandi, spytał ją, czy mogłaby podarować mu swoje biustonosze, skoro nie będą jej więcej potrzebne.

Zastanawiałam się już, czy nie wyskoczyć cichcem do Brandi w nocy, kiedy Elspeth zapowiedziała, że i ona musi złożyć wizytę w szpitalu. Osobiście.

- To lekarz nie przychodzi do pani do domu? - spytałam zaskoczona. W jaki sposób kobieta, która nie była w stanie wejść

i zejść po schodach bez cudzej pomocy, miałaby o własnych siłach dotrzeć do szpitala?

- Och, nie - odparła Elspeth. - Nie chcę sprawiać kłopotu. Gdybyś mogła mnie po prostu podrzucić do szpitala i poczekać...

- Do którego szpitala?

- Św. Ekspedyta.

No jasne. Najlepszy szpital, skoro pochodziła z jednej z najlepszych rodzin Los Angeles... Fakt, o którym Elspeth często mi przypominała. „Skoro ma się na nazwisko Nordhoff...” - powtarzała co najmniej dziesięć razy dziennie.

W drodze do szpitala zastanawiałam się, czy byłoby na miejscu, gdybym spytała Elspeth wprost, na co jest chora. Od czasu do czasu wspominała ogólnikowo o swoim „stanie”, ale nigdy nie

napomykała, co jej konkretnie dolega. Miała własne włosy, domyślałam się więc, że nie była poddawana chemioterapii. Kiedy spytałam, czy nie chce, żebyśmy po drodze ze szpitala wstąpiły do apteki po leki dla niej, powiedziała: „Nie biorę żadnych leków. Po co tracić pieniądze na leki, skoro tak czy owak umrę przed upływem roku?”.

W szpitalu odrzuciła moją propozycję, że posiedzę z nią, kiedy będzie czekała na wejście do gabinetu. Może w tak intymnej chwili nie chciała mieć obok siebie kogoś obcego? Choć, z punktu widzenia Elspeth, miałam wkrótce zostać jej synową, to przed jej przeprowadzką do Eryka widziałyśmy się zaledwie dwa razy. Nie upłynął nawet miesiąc od chwili, kiedy dowiedziałyśmy się o swoim istnieniu... No, ale jakiegokolwiek były jej racje, poczułam ulgę, że nie muszę czekać razem z nią.

W towarzystwie Elspeth szybko weszłam w rolę gejszy. Choć była osobą niezwykle silną i apodyktyczną, domyślałam się, że nie chce kogoś takiego dla syna. Eryk był jej oczkiem w głowie

I mogła tolerować synową jedynie w roli satelity, kogoś, kto wspiera syna, sam pozostając w cieniu. Co jest z tymi matkami i synami? Przypomniały mi się dziewczyny, które przywodził do domu Colin przed Łzawą Sally. Zaledwie zdążyły otworzyć usta, z miejsca były kwalifikowane jako dominujące i nadmiernie pewne siebie. A choć dobrze wiedziałam, jak bardzo zależy mamie, żebym szybko poszła do ołtarza, usłyszałam z jej ust mnóstwo wygłoszonych pod wpływem sherry wykładów o tym, jak to nie powinnam pozwolić, żeby jakiś mężczyzna mnie sobie podporządkował.

Matka Richarda niespecjalnie mnie lubiła. O tak, była miła, cała w uśmiechach i uprzejmościach, zdobywała się nawet na wysiłek, żeby gotować wegetariańskie potrawy, ilekroć Richard przywoził mnie do jej domu. Ale choć Richard przysięgał, że jego staruszka mnie uwielbia, od samego początku miałam wrażenie, że jest wręcz przeciwnie. Kiedyś w Boże Narodzenie wydało mi się, że zdołałam w końcu przełamać jej opór i wdrzeć się do jej serca - dostałam od niej na gwiazdkę maleńkiego złotego słonika na staroświeckim łańcuszku.

- Należał do mojej matki - powiedziała.

O rany, pomyślałam. Podarowała mi rodzinną pamiątkę!

Szybko przebiegłam myślą przypuszczalne implikacje tego faktu - rodzinna pamiątka, chce ją zachować w rodzinie, najwy-

rażniej traktuje mnie jak przyszłego członka rodziny, Richard musiał jej wspominać, że zamierza się oświadczyć - gdy matka Richarda dodała:

- Zawsze przynosił jej nieszczęście.

- Dziękuję bardzo - powiedziałam.

Skoro wiedziałam już, że malutki złoty słońnik był raczej satanistycznym amuletem, jaki zmuszona była nosić Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*, a nie niezwykłym, bezcennym podarunkiem, położyłam go na samym dnie mojej szkatułki z biżuterią i zaczęłam zwracać uwagę na złe znaki. Tuż przed wyjazdem do Los Angeles wrzuciłam wisiorek do toalety razem z kluczami do mieszkania Richarda i spuściłam wodę.

Tak więc matka Eryka nie uważała, że jesteśmy sobie na tyle bliskie, by miała ochotę mieć mnie obok siebie, kiedy czekała na wizytę kontrolną. I bardzo dobrze. W ten sposób miałam w szpitalu św. Ekspedyta godzinę dla siebie. W końcu mogłam odwiedzić Brandi.

Wszystko, co wiedziałam do tej pory o szpitalu św. Ekspedyta w Santa Monica, pochodziło z artykułu w magazynie „Complete Woman”. Z miejsca rozpoznałam ten ekstrawagancki, obłożony białym marmurem budynek, ale byłam zaskoczona, kiedy odkryłam, że „architektoniczny triumf, skrzydło Sachsa-Meyera, stanowiło jedynie część zespołu szpitalnego. Elspeth kazała mi się podwieźć pod znacznie skromniejsze wejście. „Dla pacjentów dochodzących” - wyjaśniła. Główna recepcja znajdowała się w gmachu Sachsa-Meyera. Ruszyłam tam, aby ustalić namiary Brandi.

Główny hol prezentował się równie efektownie, co zewnętrzna, idealna jak z pocztówki sylwetka szpitala. Z miejsca rzuciło mi się w oczy, dlaczego Brandi tak marzyła, żeby się tu dostać. Przepięknie sklepiony sufit sprawiał, że człowiek od razu czuł się tak, jakby sam Pan Bóg przykładał rękę do jego wyzdrowienia.

Pielęgniarki w nienaganych mundurkach, wyglądające, jakby z równą łatwością mogły przedzierzgnąć się w nieprzystępny personel u Mondriana, stojący szpalerem przed wejściem do domu, prześlizgiwały się bezszelestnie po korytarzach niczym postacie z filmu sf z lat siedemdziesiątych na temat przyszłości ludzkiej rasy.

(Brandi mówiła mi, że pielęgniarki noszą specjalnie

zaprojektowane kapcie, żeby najłżejszy hałas nie zakłócał spokoju pacjentów, kiedy wokół nich się krzątały). Miało się wrażenie, że amputowane nogi odrastają tu w sekundę pod wpływem promienia lasera, tak wspaniale futurystyczna była atmosfera tego lśniącego nieskalaną bielą przybytku.

Aby zredukować przed operacją rozmiary guza, przepisano Brandi radioterapię. Kiedy przyszłam, była właśnie po jednym z takich zabiegów. Wyglądała na zmęczoną, ale była uśmiechnięta.

- Za parę minut przyjdzie mój onkolog.

- To może lepiej poczekam. Nie chcę ci przeszkadzać...

- Nie, zostań - nastawała Brandi. - Sprawdzi tylko, czy wykazuję oznaki życia.

Upewni się, że wciąż oddycham, zanim zaaplikuje mi jeszcze większą dawkę promieni. To ten lekarz, o którym ci mówiłam - dodała. - Chcę, żebyś zobaczyła, co za towar opłacasz swoją ciężką pracą... Naprawdę, Lizzie, przy tym facecie George Clooney to pętał.

- W *Oстрым dyżurze* zawsze bardziej mi się podobał ten chudy.

- Zapomnij o nim. Dla tego, prawdziwego, doprawdy warto zachorować...

- Brandi! - zgałłam ją.

Brandi jednak nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Wyprostowała się, wsparta o poduszki, odgarnęła z oczu proste czarne włosy i starała się maksymalnie przypominać dawną Brandi, dziewczynę, która do łez rozbawiała producentów na przyjęciach w Hollywood.

- Doktor Walker - uśmiechnęła się od ucha do ucha. - A może mogę zwracać się do pana per Scott?

- Pani, Brandi, może się do mnie zwracać, jak tylko pani chce - odparł doktor Walker.

Odwróciłam się powoli. Brandi bezwstydnie flirtowała.

- Będę pana nazywać „doktor Scott”, dobrze? Uwielbiam mężczyzn z tytułami.

- Tytuł ulatuje wraz ze zdjęciem stetoskopu - odparował doktor Scott.

Bazgrał coś na tabliczce przytwierdzonej do poręczy łóżka Brandi. Głowę miał schyloną, więc nie widziałam twarzy, ale niewątpliwie był to on. Ilu lekarzy o nazwisku Scott Walker mogło mieszkać w tym mieście?

- To moja przyjaciółka Lizzie - powiedziała Brandi. Doktor Walker, nie podnosząc głowy znad karty, wyciągnął rękę, żeby się przywitać.
- Myśmy się już poznali - powiedziałam. Podniósł głowę, zaskoczony.
- Słucham? Ach... O tak, istotnie, już się poznaliśmy. Jak pani palce u nóg, panno Jordan?
- Moje palce u nóg?
- Od tańca. Wtedy na weselu.
- Pan mi nie deptał po palcach - powiedziałam, czując dreszcz emocji na myśl, że pamięta, jak tańczyliśmy.
- Miałem na myśli pani narzeczonego - wyjaśnił.
- Ach, mojego narzeczonego! - wybuchnęłam śmiechem. - Eiyk nie jest najlepszym tancerzem, prawda?
- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział gorszego - zgodził się doktor Scott. - A... skąd wy się znacie, dziewczyny?
- Mieszkałyśmy razem - powiedziałam.
- Dopóki Lizzie nie awansowała - dodała Brandi. - Malibu pasuje ci lepiej niż Venice Beach, co, Lizzie?
- Przeprowadziłam się do Eryka - wyjaśniłam.
- O - rzekł Scott. - To miło.
- Jest w tej chwili na Hawajach, a ja opiekuję się jego matką.
- Kiepsko płatne zajęcie - zauważyła Brandi. Posłałam jej uśmiech pod tytułem „zamknij się”.
- Elspeth wyprowadziła się z Beverly Hills? - spytał ze zdziwieniem Scott.
- Tak. Chciała być bliżej syna, bo... bo wie pan - powiedziałam dyskretnie.
- No tak - skinął głową Scott z taką miną, jakby nie do końca rozumiał, o co chodzi.
- Podrzuciłam ją właśnie na oddział dla pacjentów dochodzących.
- Tak? - powiedział Scott.
- Tak. Prawdę mówiąc, myślałam, że ma zamiar zobaczyć się z panem.
- Nie, skąd. Nie widziałem się z nią od tamtego wesela. Proszę przekazać jej ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia.
- Naturalnie - powiedziałam.
- No cóż, miło mi było znów panią zobaczyć, Lizzie - rzekł doktor Scott. - Muszę iść na obchód. Choć miałbym wielką ochotę

zostać z moją najładniejszą pacjentką przez całe popołudnie - dodał.

- Czy nadal będzie pan mnie kochał, kiedy wypadną mi włosy? - spytała Brandi.

- Pani jest piękna od środka - odbił piłeczkę Scott. - Do widzenia, Lizzie. Proszę nie zapomnieć powiedzieć Elspeth, że o nią pytałem.

- Nie zapomnę.

- Ty już go znasz! - pisnęła Brandi, gdy wyszedł.

- Właściwie to go nie znam... Spotkaliśmy się na weselu. Zna matkę Eryka. Parę razy zatańczyliśmy. Nieźle tańczy.

- Wiesz, co to znaczy? - spytała oblesnym tonem Brandi.

- Że chodził na lekcje tańca? - podsunęłam.

- Nie bądź taka nieśmiała. Widziałaś, jak na ciebie patrzył?

- No jak?

- Smak - prychnęła Brandi. - Niby nie zauważyłaś... Jak przyjdiesz następnym razem, bądź łaskawa nie wyglądać tak olśniewająco. Za parę tygodni stracę włosy. Nie mogę rywalizować z twoją prezencją Barbie z Malibu.

- Naprawdę stracisz włosy? To pewne? - spytałam.

- Nie wiem. Jest szansa, że w ogóle nie będę miała chemioterapii. Jeśli nie będzie przerzutów, może się skończyć na braniu tamoxifenu.

- A jak on działa?

- Blokuje wydzielanie estrogenu. Estrogen może sprzyjać powstawaniu guzów. Najwyraźniej w moim przypadku tak właśnie jest.

- Mam nadzieję, że skutkuje - powiedziałam.

- Jeśli nie, to zawsze mogę nosić perukę. Pytanie tylko, którą... Wszedł Gruby Joe. W rękę trzymał bukiet dość zdechłych goździków.

- Co za fryzura! - wykrzyknęła z przekąsem Brandi. Joe miał na głowie odlotowe brązowe afro.

- Jak myślisz, pasuje mi? - spytał.

- To krok do tyłu - powiedziałam.

- Skąd - broniła go Brandi. - Siadaj, Joe - poklepała krawędź łóżka. - Musisz tylko poprawić perukę, tak żeby ci lepiej przylegała do głowy.

Zaczęli przymierzać ją tak i owak, usiłując zrobić z Grubego Joego to młodego Michaela Jacksona, to znów Cleo Laine. Jeśli mam być szczerą, to ani w tym, ani w tym nie było mu do twarzy.

- To ja już pójdę po teściową - powiedziałam, podnosząc się.
- Zadzwoń do mnie później - rzuciła Brandi, nie odrywając oczu od przyjaciela. Kiedy dotarłam do samochodu, Elspeth już siedziała na miejscu obok kierowcy.
- Zapomniałaś zamknąć drzwiczki - zauważyła.
- Naprawdę?

Dotąd nie nauczyłam się, jak działa pilot do zamykania drzwi, i często otwierałam je ponownie, naciskając niechcący przycisk dwa razy.

- Po prostu śpieszyło mi się do toalety - wyjaśniłam.

Zdecydowałam, że nie będę mówić Elspeth o Brandi. Pomyślałam, że zamykanie koła poprzez zapoznanie jej z dziewczyną, za której leczenie pośrednio płaciła, zwiększy tylko niebezpieczeństwo, że zmyślny plan Eryka i rola, jaką w nim grałam, zostaną zdemaskowane.

- Czy lekarz jest zadowolony z twojego stanu? - spytałam lekko.

- Ja umieram - powiedziała z powagą Elspeth. - Mój stan może być wyłącznie coraz gorszy.

- Mamo, jesteś pewna, że nie wolałabyś mieszkać we własnym domu?

Elspeth rozmawiała z synem. Włączyła głośnik, w przekonaniu, że mogę mieć ochotę słyszeć głos ukochanego. Kiedy zadzwonił telefon, siedziałam z nią w jej sypialni, redagując list do kustosa muzeum w Iowa, który potrzebował pieniędzy na urządzenie retrospektywnej wystawy prac Hockneya.

- Miałabym wracać teraz do mojego domu? Jak możesz mówić coś takiego? - eksplodowała Elspeth. - Chcesz, żebym umarła na atak serca? Jutro muszę iść do szpitala, Eryku. Jeśli nie będę o siebie dbać, za tydzień mogę już nie żyć.

- Mamo!

- A może zależy ci, żebym umarła, zanim wrócisz z Hawajów? - ciągnęła prowokacyjnie. - Nie będziesz wtedy musiał w ogóle ze mną mieszkać. Wrzucisz mnie po prostu do pudełka i ciśniesz do oceanu.

- Mamo!!!

- Czy chce pani, żebym poszła jutro z panią do szpitala? -przerwałam. - Mogę zostać z panią cały dzień, jeśli będzie trzeba.

- Nie - Elspeth dumnie pociągnęła nosem. - I tak się wam już zanadto narzucam, młodzi zakochani... Dziękuję za propozycję, Lizzie, ale myślę, że doskonale dam sobie radę sama.

- Jest pani pewna? - nastawałam.

- Jestem pewna - potwierdziła Elspeth. - Gdybyś mogła po prostu podrzucić mnie rano na miejsce, a po południu, po zakończeniu wizyty, zabrać z powrotem...

- Naturalnie.

- No widzisz - powiedziała Elspeth do bezcielesnego głosu swego syna w głośniku - przynajmniej twoja przyszła żona ma dobre serce.

- Po prostu chcę, żeby ci było wygodnie - upierał się Eryk. -Zasugerowałem tylko, że być może wolałabyś wrócić do siebie, bo powiedziałaś, że morskie powietrze jest dla ciebie wieczorami trochę za chłodne. Lizzie mogłaby z tobą pojechać do Beverly Hills.

Nie mogłabym! A co to ja jestem? Piastunka staruszek?

- Lizzie nie ma ochoty jechać do Beverly Hills - rzekła Elspeth, zanim ja byłabym zmuszona cokolwiek powiedzieć. - Musi dbać o twój dom. A skoro mowa o domu, to kiedy masz zamiar się z nią ożenić?

- Nie ma potrzeby się śpieszyć... - zaczęłam.

- To znaczy, o ile zależy ci, żeby twoja matka zdążyła cię zobaczyć w małżeńskim stanie - powiedziała Elspeth do syna.

- Mamo,ja...

- Dobrze, dobrze. - Elspeth dramatycznie pociągnęła nosem. -Moje życie to jedno pasmo rozczarowań, więc dlaczego niby miałabym odejść na wysokim C?

- Mamo,ja...

- Wychowywałam cię sama przez dwadzieścia pięć lat, bo twój ojciec umarł.

Mogłabym mieć więcej dzieci, ale poświęciłam się pielęgnowaniu pamięci twojego ojca i tobie. Jedyne, czego pragnę, to móc umrzeć ze świadomością, że nazwisko twojego ojca będzie kontynuowane.

Szlag by to. Chyba nie zamierzała sugerować, że Eryk powinien piorunem zrobić mi dziecko?

- Mamo, pomyślimy o ślubie, jak tylko wrócę z Hawajów - powiedział łagodzącym tonem Eryk, po czym w telefonie rozległ się

trzask. Trzask, który podejrzenie przypominał odgłos towarzyszący rozdieraniu torebki z chipsami, trzymanej tuż przy słuchawce.

- Jakoś kiepsko cię słyszę - mówił Eryk. - W tej części wyspy często szwankuje łączność. Ja...

Klik.

Idiota. Wiedziałam, że udał, że połączenie zostało przerwane. Elspeth opadła na poduszki i uniosła rękę do czoła.

- On mnie wpędzi do grobu. Chcesz wyjść za mąż, zanim umrę, prawda, Lizzie?

- Ja? Yyyy... tak, oczywiście. Ale nie chciałabym zanadto naciskać na Eryka - dodałam.

- A twoja matka? Czy nie chciałaby mnie poznać? Boja miałabym wielką ochotę poznać ją. Wiesz, rodzina jest bardzo ważna.

- Tak, ale...

- Więc dlaczego nie miałybyśmy zacząć planować wesela już teraz? Wiesz, ty i ja - uśmiechnęła się do mnie promiennie. -Nieważne, że Eryk jest zajęty. On w ogóle nie musi sobie zawracać głowy żadnym planowaniem... Wystarczy, że stawi się w ustalonym przez nas dniu i pójdzie z tobą do ołtarza. Zorganizujemy wszystko w niespełna tydzień. Eryk wraca z Hawajów w sobotę, no więc w niedzielę możecie się pobrać!

- Elspeth, ale...

- O mnie nie musisz się martwić. Najwyraźniej myślała, że obawiam się o jej stan.

- Wiem, że nie chcesz, żebym się przemęczała z twojego powodu, ale musisz wiedzieć, że z chęcią poświęcę swoją ostatnią godzinę na zorganizowanie wesela mojego jedyne dziecko.

Jeśli Eryk po powrocie do domu odkryje, że nazajutrz idzie ze mną do ołtarza, będzie to moja ostatnia godzina.

- Dzwon do rodziców i powiedz im, żeby się przygotowywali do przylotu. Ja zadzwonię do księdza Dawida od św. Ekspedyta. Jesteś ochrzczona, L\zz\e, prawda? Z ognia, pomyślałam. Tysiąc razy... Do rodziców nie dzwoniłam, rzecz jasna. Jeśli o nich chodzi, to wciąż mieszkałam z Grubym Joem w Venice Beach. W każdym razie spontaniczne kontaktowanie się z rodzicami na taką odległość z pewnością nie byłoby najlepszym pomysłem. Odkryłam, że najlepszym środkiem porozumiewania się z nimi jest e-mail, przy czym zanim kliknęłam „wyślij”, starannie redagowałam każdą wiadomość, aby nie została niewłaściwie zinterpretowana.

Zwłaszcza mamę zmartwiłoby wszystko, co przydarzyło mi się od przyjazdu do Los Angeles. Powiedziałam jej wobec tego, że Venice Beach jest trochę podobne do St Ives. Dom na plaży urządzony był w stylu Laury Ashley, a Ladyboys to była kawiarnia, gdzie podawano dania wegetariańskie. Tak było najlepiej. Moja matka wpadała w panikę, jeśli w odległości dwudziestu minut jazdy samochodem nie miała Marksa & Spencera... Nieważny McDonald's, Coca-Cola i Microsoft. Jeśli w danym kraju nie było Marksa & Spencera, moja matka uważała, że to Trzeci Świat.

Tak więc ostatnią rzeczą, jaką miałam ochotę w tej chwili zrobić, było zadzwonienie do rodziców i poinformowanie ich, że zostałam zmuszona do małżeństwa przez kobietę, która ma znacznie więcej dolarów niż zdrowych komórek w mózgu.

Zamiast tego zadzwoniłam do Eryka. Wiedziałam doskonale, że łączność z Kauai działa bez zarzutu... Co noc, kiedy Elspeth poszła do łóżka, Eryk telefonował do mnie, żeby spytać o stan matki, a także żeby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie odezwał się Jan.

- Ona się zabiera do organizowania wesela! - wysyczałam teraz, nagrywając się na jego sekretarkę. Eryk szybko zareagował na tę wiadomość. Oddzwonił na numer telefonu, który znajdował się w kuchni.

- Musisz ją powstrzymać - powiedział.

- To ty musisz ją powstrzymać. Ona już umówiła księdza Dawida od św. Ekspedyta.

- Szlag by to. Szlag by to. Szlag by to. Szlag by to. Szlag by to.

- Musisz z nią porozmawiać - powiedziałam.

- Dlaczego to ja mam z nią rozmawiać? - spytał.

- To twoja matka, a nie moja - przypomniałam mu. - To twój obowiązek.

Dzięki Bogu, Eryk zdał sobie sprawę, że stoimy w obliczu katastrofy. Zadzwonił do matki na jej linię. Z początku w ogóle niczego nie słyszałam. Potem nastąpiły wrzaski. W pięć minut po odłożeniu przez Elspeth słuchawki, Eryk ponownie zadzwonił do mnie.

- No i? - spytałam.

- Robimy to.

- Znaczy co?

- Pobieramy się. W następny weekend.
- Co??!!
- Słuchaj, Lizzie. Powiedziała, że jak się nie pobierzemy, zanim umrze, to przepisuje cały swój majątek na jedną ze swoich dobroczynnych organizacji.
- Nie zrobiłaby tego.
- Nie chcę ryzykować.
- Eryk, czy ty naprawdę nie masz dość własnych pieniędzy? -upomniałam go. - Czy nie pora, żebyś się jej wreszcie przeciwstawił i powiedział otwarcie, że jesteś gejem?
- Lizzie - westchnął Eryk. - Czy przeciwstawiłaś się kiedykolwiek komuś, czyj majątek wart jest sto milionów dolarów?

24

- Awiec o to chodziło. Zostałam kupiona. Przywołałam w myśli wszystkich ludzi, których znałam na tej ziemi. Nawet gdyby zebrać razem wszystko, co posiadali, łączna suma daleka byłaby od tego, ile warta była fortuna Elspeth Nordhoff.
- Był też maleńki problem mojej wizej. Jej ważność wygasała za parę dni. Moja wiza turystyczna, jak przypomniał mi Eryk, pozwalała mi przebywać w Stanach tylko trzy miesiące i niewątpliwie nie pozwalała mi pracować.
- A przecież w taki właśnie sposób się poznaliśmy - powiedział bezczelnie Eryk. - Kiedy pracowałaś. Wystarczy jeden telefon...
 - Ty sukinsynu - syknęłam. - Powiem im, że pracowałam u ciebie.
 - A masz kontrakt? - spytał Eryk. - Jak myślisz, Lizzie, komu uwierzą? Tobie, nielegalnej imigrantce, czy mnie, potomkowi potężnego klanu Nordhoffów? Dobrze wiem, na kogo postawić, kiedy ryzykuję moją rodzinną fortunę.
- Wiedziałam, że zostałam pokonana.
- Ale ty jesteś... pazerny - powiedziałam, nie znajdując lepszego określenia.
 - Ciekawe, jak byś się czuła, gdyby twoi rodzice przepisali cały majątek na schronisko dla psów?

- Byłabym szczęśliwa, że ich marzenia zostają spełnione -powiedziałam, odzyskując moralną przewagę.

- Wątpię, czy stać by cię było na to, nawet gdyby chodziło o piętnaście dolarów - parsknął Eryk. - A tu chodzi o sto milionów, Lizzie. To jest koszt hollywoodzkiej supeiprodukcji. Co tam, do diabła, to jest równowartość budżetu całego Zjednoczonego Królestwa! Jeśli te pieniądze dostaną się w ręczki mamusinych dobrych pań, to przed upływem roku wydadzą większość na restaurację dzieł sztuki w Toskanii. A ja przeznaczę je na stworzenie arcydzieła.

- Ach tak? - parsknęłam. Znajdowałam się w kuchni w stylu Versacego, całej w wulgarnych płytkach ceramicznych o złożonych brzegach. Nawet ściereczki były tu od Versacego, na litość boską... Eryk był klinicznym przypadkiem człowieka, który ma więcej pieniędzy niż rozumu, i nie widziałam powodu, żebym miała zwiększać tę przewagę jeszcze bardziej.

I w tym momencie Eryk mnie zaszokował.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o *Zmartwychwstaniu* Tołstoja, kiedy wracaliśmy z Santa Barbara? - powiedział. - Pamiętasz, jak mówiliśmy, jakich pieniędzy potrzeba, żeby znaleźć gwiazdę, dzięki której można by zrobić na podstawie tej książki film, na który ludzie naprawdę by poszli? No więc te pieniądze to właśnie sto milionów dolarów, Lizzie. Jeśli proszę cię o pomoc w uratowaniu mojego dziedzictwa, to nie po to, żeby mieć wszystko w stylu Versacego.

Czytał w moich myślach?

- Proszę cię, żebyś mi pomogła pozostawić po sobie coś dla pokolenia naszych dzieci. Czy może być lepszy cel życia, niż przerobić tę książkę, mówiącą o walce o podstawowe prawa człowieka, na film?

- Eryk... ja...

- Z tobą w głównej roli kobiecej. To był *coup de grace*.

- O, kurczę - westchnęłam. - Możesz dać mi dwadzieścia cztery godziny do namysłu?

Tak więc Eryk dostarczył mi nie jednego, ale kilku niezłych powodów, dla których powinnam wyjść za niego w następną sobotę. Gdybym tego nie zrobiła, leczenie Brandi mogłoby się nagle

zakończyć, ja zostałabym deportowana, a największe arcydzieło kina dwudziestego pierwszego wieku przegrałoby z projektem konserwacji znacznie mniejszego szesnastowiecznego arcydzieła sztuki w Toskanii. Ale co ja tak naprawdę będę z tego miała? Eryk z pewnością tak sformułuje umowę przedślubną, żeby nie było żadnej szansy, bym dostała więcej kasy, niż pierwotnie zamierzał mi dać. Obiecał mi główną żeńską rolę w *Zmartwychwstaniu*, ale na weselu w Santa Barbara obiecał też, że będzie mnie reprezentował Ed Strausser. Czy to się spełniło? Gdyby tak było - bingo. Byłabym Amerykanką. Ale czyja chcę być Amerykanką?

Z pewnością nie chciałam wychodzić za męża. W każdym razie za Eryka Nordhoffa. A jeśli... a jeśli Richardowi nagle przejdzie z Jennifer i zechce wrócić do mnie? Jeśli powie, że pragnie się ze mną ożenić? Jak ja mu powiem, że już wyszłam za kogoś innego?

Eryk dał mi dwadzieścia cztery godziny do namysłu.

Wyjść za milionera?

Postanowiłam, że muszę się z kimś poradzić.

Mary i Bill nie mogą w tej chwili podejść do telefonu... Brian Coren jest chwilowo nieobecny... Tu poczta głosowa Seemy Patel...

Proszę zostawić wiadomość dla Colina lub Sally Jordan po sygnale...

Bóg jeden wie, co powiedziałabym Colinowi... Na szczęście nie było go w domu. Tego wieczoru nie byłam w stanie złapać ani jednego członka mojej grupy sondażowej, jaką zdołałam zgromadzić w ciągu całego życia. Zastanawiałam się nawet, czy nie zadzwonić do mojej dawnej szefowej, Szalonej Harriet, i spytać, co by zrobiła na moim miejscu, ale ona pochodziła z długiej linii arystokratów, dla których nie istniał jakikolwiek inny powód do małżeństwa niż konsolidacja i pomnożenie rodzinnego majątku. Wiedziałam, że będzie za.

Mój palec zawisł nad klawiaturą telefonu. Wybrałam pierwszych osiem cyfr telefonu mamy i taty...

- Lizzie! - rozległ się głos Elspeth. W samą porę.

- Przyjdź do mnie. Musimy porozmawiać o kwiatach.

Nazajutrz rano odwiozłam Elspeth na oddział otwarty szpitala św. Ekspedyta. Choć zaproponowałam jej jeszcze raz, że posiedzę z nią, kiedy będą jej robić bliżej nieokreślony „zabieg”, jeszcze raz stwierdziła zdecydowanie, że chce być sama. Nie zamierzałam się jej narzucać. Prawdę mówiąc, byłam zadowolona z tej odprawy. Od czasu, gdy zarabiałam na kieszonkowe, pracując jako opiekunka do dziecka, nie miałam do czynienia z ludzką istotą, która wymagałaby więcej uwagi.

Dzieci naszych sąsiadów w Solihull, Shaun i Christopher, wymagały nieustannego dwudziestoczterogodzinnego nadzoru. Kiedyś zostawiłam je, gdy bawiły się w piaskownicy, i weszłam na chwilę do domu, żeby skorzystać z toalety. Kiedy wróciłam, dwuletni Shaun siedział na dachu szopy, a pięcioletni Christopher leżał twarzą na trawniku, demonstrując młodszemu bratu, jak ćwiczą żołnierze brygady specjalnej. Ślubowałam wtedy, że nigdy nie będę miała dzieci.

Opieka nad Elspeth tylko umocniła mnie w tym postanowieniu. Miałam poczucie winy na samą myśl o tym, ale potężnie mnie irytowało, że Elspeth jest taką męczennicą. Znacie ten typ... Męczennicy często myślą, że postępują niezwykle szlachetnie, odrzucając cudzą pomoc, ale tak naprawdę najpierw ją odrzucają, a potem demonstracyjnie sznurują i w stoickim milczeniu ciągną dalej swój bolesny żywot. Męczennicy uwielbiają powtarzać co najmniej sto razy dziennie, jak to w ogóle nie sprawiają ci kłopotu. Mogą utrzymywać, że nie potrzebują pomocy, ale niewątpliwie potrzebują publiczności.

A teraz Elspeth postawiła mnie w okropnej sytuacji. Musiałam wyjść za jej syna. Dlaczego nie mogła umrzeć szczęśliwa, wiedząc, że pobierzemy się w bliżej nieokreślonym terminie w przyszłości? Dlaczego musiała zobaczyć to na własne oczy? Czy nie dość jej było wierzyć, że Eryk nie jest gejem?

Kiedy Elspeth była już w środku, szybko zaparkowałam mercedesa Eryka - twierdził, że ma go na wyskoki, a wóz kosztował więcej niż dom moich rodziców i zajmował trzy miejsca parkingowe - i pobiegłam jak strzała do Brandi.

Brandi była typem inwalidki, który odpowiadał mi znacznie bardziej.

- No i jak tam ci się układa z teściową? - To była pierwsza rzecz, o jaką zapytała.

- Ciężko - westchnęłam. - Właśnie podrzuciłam ją na jakiś zabieg. Ma potrwać cały dzień. Zaproponowałam, że z nią posiedzę, ale powiedziała, że nie chce mieć obok siebie nikogo. Później zaczęła narzekać, jaki to samotny czuje się człowiek, kiedy musi cały dzień spędzić w szpitalu. Wobec tego znowu zaproponowałam, że jej potowarzyszę. I znowu odmówiła. I znowu zaczęła jęczeć. Etcetera, etcetera. Staram się, jak mogę, żeby być dla niej wyrozumiała i współczująca. Czuję się okropnie, kiedy przeklinam ją w duchu, tym bardziej, że widzę, przez co musisz przejść. Ona pewnie przeszła przez to samo, a teraz jedyne, co można dla niej zrobić, to sprawiać, by była zadowolona, zanim ostatecznie odejdzie...

Teatralnym gestem ukryłam twarz w dłoniach.

- Nie przejmuj się - powiedziała Brandi. - Od raka człowiek nie staje się automatycznie dobry. Dwie sale stąd leży kobieta, która naprawdę zasługuje, żeby ją uśmiercili za pomocą zastrzyku. Zachowuje się wobec salowych jak ostatnia jędza...

- Chciałam po prostu, żeby była odrobinę szczęśliwsza, ale... och, Brandi! - wybuchnęłam. - Ona chce, żebym wyszła za Eryka!

- Wiem - powiedziała Brandi. - Uważa, że jesteście zaręczeni, tak?

- Ona chce, żebym wyszła za niego w przyszłą niedzielę! Wyrzuciłam z siebie wszystko z detalami. To, jak uparła się

Elsbeth, żeby ślub odbył się, zanim umrze, spadek, problem z wizą, przekupstwo.

- Czy nie ma już przypadkiem filmu pod tytułem *Zmartwychwstanie*, z Arnoldem Schwarzeneggerem? - spytała Brandi.

- To jest Tołstoj - jęknęłam. - O Boże, co ja mam robić? Brandi wzruszyła ramionami.

- To nie jest taki znowu zły pomysł, jeśli chodzi o ciebie - powiedziała. - Jeśli wyjdiesz za Eryka, dostaniesz zieloną kartę i będziesz mogła legalnie pracować.

- Wiem. Ale...

- No i może dotrzyma słowa i da ci główną rolę w tym filmie... jak mu tam?

- *Zmartwychwstanie* - podpowiedziałam.

- No i chyba będzie to związane z jakąś kasą. Wiem, że dadzą ci do podpisania jakąś umowę przedślubną, ale skoro jest gotów płacić ci pięć tysięcy baksów dziennie tylko za opiekę nad matką,

w takim razie stanowisko jego żony musi być warte co najmniej dwa razy tyle.

- Wiem, ale...

- Możesz coś zaoszczędzić i nakręcić własny film. Albo możemy nakręcić razem. Jak już będzie mi lepiej. Możemy zrobić film o mnie.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie rozmowy, jaką odbyłam niedawno w kuchni z Grubym Joem.

- Byłoby super - zgodziłam się.

- Ale zakończenie byłoby szczęśliwe. Wiesz co, właściwie nie wiem, co masz do stracenia.

Miałam wrażenie, że siła grawitacji w tym pokoju zwiększyła się dwukrotnie.

Czułam, że uginam się pod ciężarem stwierdzenia Brandi. Co mam do stracenia?

- Brandi, wiem, że pomyślisz, że jestem głupia... ale nie mogę uwolnić się od myśli, że nazajutrz po tym, jak złożę fałszywą przysięgę wierności Erykowi, przycwalaże na białym koniu mój ukochany i oświadczy mi się. I co ja mu wtedy powiem?

Wiesz, z przyjemnością bym za ciebie wyszła, ale niestety już jestem zamężna?

- Będiesz mogła wziąć szybki rozwód - powiedziała rzeczowo Brandi.

- Wiem. Ale wyobraź sobie, jak byś się czuła, gdybyś odkryła, że człowiek, w którym jesteś zakochana, zdążył się w międzyczasie ożenić? Nieważne, że to związek wyłącznie formalny i że szczęśliwa para nigdy nie widziała się nawzajem bez ubrania. Po prostu to nie pasuje do baśni, w której małżeństwo symbolizuje początek czegoś nowego i wyjątkowego... Ja chcę powiedzieć „tak” tylko raz!

- Lizzie, w tych czasach to naprawdę raczej baśń. Po skończeniu dwudziestu jeden lat nie sposób spotkać kogoś, kto nie miałby za sobą jakiejś przeszłości, której nie żałowałby chociaż odrobinę. Jeśli następnego dnia po ślubie z Erykiem Nordhoffem spotkasz mężczyznę swojego życia, twój status osoby zamężnej przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Podejmiesz stosowne kroki, żeby odzyskać wolność, a ukochany poczeka.

Skinęłam głową. Nie byłam jednak pewna, czy się z nią zgadzam. Nigdy nie rozmawialiśmy z Richardem na temat naszego życia uczuciowego, zanim się poznaliśmy... Choć nie byłam dziewicą, a on prawiczkiem, czułam, że nie chce wiedzieć, z kim trenowałam przed nim.

- Hej, to Joe! - rozpromieniła się Brandi.

Gruby Joe stał nieśmiało w drzwiach z pękiem różowych róż w ramionach.

- Nie trzeba było wydawać pieniędzy - powiedziała Brandi.

- Wcale nie wydałem. Nowy chłopak Atalanty przysłał jej dziś rano dwieście sztuk.

Powiedziała, że mogę wziąć tuzin dla ciebie. Z życzeniami szczęśliwej operacji.

Na widok róż poczułam się nagle chora. Elspeth sugerowała, że powinniśmy mieć na weselu różowe róże... „Na cześć angielskiej róży” - powiedziała.

- Źle wyglądasz - zauważył Gruby Joe. - Matka Eryka w ciebie orze?

- Lizzie wychodzi za męża - zaanonsowała Brandi.

- Jeszcze się nie zdecydowałam - podkreśliłam. - Wiem, że będziecie mnie nienawidzić za to, co powiem, ale nie wydaje mi się, żebym mogła wyjść za męża za kogoś innego niż Richard. Nawet jeśli to jest myślenie życzeniowe... Nie mogę uwierzyć, że nie wróci do mnie któregoś dnia.

- A jeśli on też się już żeni? - spytał Gruby Joe. Nie słuchałam go.

- Po prostu tak czuję - ciągnęłam beznadziejnie. - Śni mi się to co noc. Brandi, no a co z kartami? Wynikało z nich, że się znów zejdziemy...

Gruby Joe wziął mnie za rękę i powiedział powoli.

- Lizzie, dziś rano dostałem e-maila od Seemy. W zeszły piątek spotkała w barze Jennifer. Powiedziała, że Jennifer miała na palcu pierścionek.

Załamalam się. Padłam na podłogę dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Richard po raz pierwszy powiedział mi, że rzucił mnie dla Jennifer.

- Powiedz, że to nieprawda - błagałam.

- Seema nie rozmawiała z nią, ale wygląda to na jedyne możliwe wyjaśnienie.

Jennifer miała pierścionek na serdecznym palcu. Pojedynczy diament, powiedziała Seema.

- To mi wygląda na zaręczyny - przyznała Brandi.

- J-jak to? - zająknęłam się. - Jak to? Dlaczego?

Gruby Joe objął mnie i przytulił. Zaczęłam walić pięściami w jego fałszywy biust.

- Dlaczego?!!-wrzasnęłam.
 - Lizzie, nie szalej. To bez sensu - powiedziała Brandi.
 - On się nie może z nią ożenić. Nie może. Nie może. On kocha mnie.
 - Opuść go sobie - poradził Gruby Joe. - Nic już nie możesz na to poradzić.
 - Chcę umrzeć - powiedziałam. - Nie mam już po co żyć.
- Brandi patrzyła na mnie w milczeniu. Chyba już wtedy wiedziała, że wkrótce, w wigilię jej operacji, tu, w tej sali, popatrzę wstecz na swój wybuch i zdam sobie sprawę, jaki był śmieszny.
- Wyjdźmy na dwór - zaproponował Joe.
- Narzucił mi na drżące ramiona swoją kurtkę i wyprowadził z pokoju. Na korytarzu wpadliśmy na Scotta Walkera. Szedł na obchód.
- Lizzie? - spytał, zatrzymując się. Joe jednak zagarnął mnie i poprowadził naprzód niczym oskarżonego w sądzie.
 - Wszystko w porządku - rzucił. - Po prostu idziemy do ogrodu.
- Usiedliśmy na ławce obok ogrodu kaktusowego, zaprojektowanego przez ludzi, którzy byli autorami wspaniałych ogrodów w nowym Getty. Z widokiem na Pacyfik, był pomyślany jako najbardziej pogodny, podnoszące na duchu miejsce w szpitalu, ale trzeba by użyć wszystkich czterech silników boeinga 747, żeby podnieść mnie na duchu tego dnia.
- Gruby Joe posiedział ze mną pół godzinki, ale nie potrafił wymyślić żadnego tematu do rozmowy. Domyślałam się, że wolałby raczej posiedzieć z Brandi, która nazajutrz miała być pierwsza w kolejce do operacji. Kiedy poszedł, zostałam w ogrodzie. Jednak niedługo byłam sama.
- Ładny widok - usłyszałam głos doktora Scotta.
 - Tak? - podniosłam głowę i po raz pierwszy naprawdę spojrzałam na rozciągający się przede mną pejzaż.
 - Niech się pani przyjrzy. Zdaje mi się, że widzę syrenę na horyzoncie.
 - Co? - pociągnęłam nosem. Oczywiście żartował.
 - Czy chce pani, żebym panią podłączył do kroplówki nawilżającej? - spytał.
 - Byłoby fajnie - powiedziałam. - Czy nie powinien pan doglądać w tej chwili pacjentów?
 - W sali sześćdziesiąt siedem mam pacjentkę, która jest w stanie niepotrzebnego wzburzenia i będzie w nim, dopóki nie usły-

szy, że z jej przyjaciółką wszystko w porządku. Kto umarł? - spytał. - Chyba nie Elspeth.

- Mój ukochany się żeni.

- Z panią, mam nadzieję.

- Nie mówię o Eryku.

- O.

- Żeni się z dziewczyną, dla której mnie rzucił. To głupia cizia, modelka topless, która jest z nim tylko dlatego, bo myśli, że on ma kasę, a on się w niej zakochał i teraz ma się z nią ożenić, a ja nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa.

- No to rzeczywiście...

Doktor Scott podał mi ligninową chusteczkę.

- Proszę wydmuchać nos - powiedział. Wydmuchałam i oddałam mu chusteczkę.

- Dziękuję. To ten facet, od którego pani uciekła, tak? Ten, z którego powodu wyjechała pani i ukryła się w Los Angeles?

Skinęłam głową. Pamiętał.

- Jak dawno to było?

- Trzy miesiące i trzy dni - powiedziałam. Oczywiście wiedziałam to dokładnie.

- To niedługo - zauważył doktor Scott. - Złamane serce to tak jak złamana kość. Musi minąć trochę czasu, zanim będzie tak samo silne jak przed złamaniem.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytałam.

- Nie jestem pewien - wzruszył ramionami. - Po prostu wydawało mi się, że potrzebuje pani, żebym powiedział coś pocieszającego. Nie jestem zbyt dobry w tym emocjonalnym biznesie - dodał. - Może raczej powinniśmy zatańczyć.

- Nie ma muzyki - powiedziałam bezbarwnie.

- Zaśpiewam, jeśli obiecuje pani, że się uśmiechnie.

- Scott, ja...

- *Ty powiesz po-tay-to, a ja powiem po-ta-to...*

Scott podniósł mnie z ławki i spróbował zatańczyć ze mną walca wokół kaktusów.

- Poprzednim razem działało - powiedział, kiedy uparcie odmawiałam poddania się rytmowi.

- Przepraszam - westchnęłam, opadając z powrotem na ławkę. - Po prostu nie mogę. Scott usiadł obok mnie.

- Wszystko robię nie tak, prawda?

- Stara się pan jak może.
 - Proszę posłuchać, Lizzie. Wiem, że pani przyjaciele tam w środku martwią się o panią. Jest pani daleko od domu i rzecz jasna, takie nowiny jak dzisiejsza wytrącają panią z równowagi. Kiedy moja eks oznajmiła, że wychodzi za mąż, dwa dni siedziałem na tej skale, Big Sur, zbierając się na odwagę, żeby się z niej rzucić. Wie pani, dlaczego tego nie zrobiłem?
 - Miał pan stracha? Scott zignorował mnie.
 - Ze względu na widok. Zdałem sobie sprawę, że jeśli rzucę się z klifu, minie, powiedzmy, sześć miesięcy i większość ludzi o mnie zapomni. Jeśli skoczę we właściwej chwili, trafię prościutko do morza i nawet nie będzie ciała, nad którym by płakano. Morze zamknie się wokół mnie i dalej będzie takie jak poprzednio. A jeśli się nie rzucę z klifu, będę mógł zabrać ze sobą wspomnienie tego widoku. Samobójstwo nie obrabuje Laury z jej szczęśliwego życia.
 - Ja nie mam zamiaru się zabijać - powiedziałam, przerywając jego niezręczne majaczenia.
 - O Boże... Ależ się Brandi ucieszy.
 - Czy może jej pan powiedzieć, że ją przepraszam?
 - Jasne. - Scott zerwał się i w tym momencie zdał sobie sprawę, że chcę, by mnie zostawił i poszedł z powrotem do Brandi.
- Kiedy tak stał przede mną, najwyraźniej zastanawiając się, jak zakończyć nasze spotkanie, przyszło mi na myśl, że szkoda, iż nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach. Był tak samo przystojny jak wtedy, kiedy czuliliśmy się do siebie na rauszu w Santa Barbara. W białym kitlu wyglądał trochę jak Cary Grant, zwłaszcza kiedy pocierał dołek w brodzie w chwili zdenerwowania. Właśnie teraz to robił.
- Lizzie... chyba jedyne, co mogę pani powiedzieć, to to, że czasem tak się człowiekowi wydaje - że już nigdy nie będzie szczęśliwy. Ale będzie pani. Zobacz pani czyjś uśmiech i zda sobie sprawę, że choć nie jest to ten uśmiech, który kiedyś pani tak uwielbiała, może pani dzięki niemu poczuć się tak samo szczęśliwa.
 - Dziękuję, Scott - powiedziałam. - Zapamiętam to sobie.
 - W porządku. No cóż... W takim razie idę.
 - No tak. A ja muszę iść do Elspeth. Podrzuciłam ją dziś rano na oddział otwarty.
 - Po co? - spytał Scott. Znow był lekarzem.

- Nie wiem. Nie chce o tym mówić. Powiedziała, że mam ją po prostu zabrać, kiedy będzie po wszystkim, ale chyba pójdę i poczekam przy niej - zdecydowałam nagle. - Założę się, że ona jest taka sama jak moja matka. Nigdy o nic nie prosi wprost mnie ani Colina, bo się boi, że może ją spotkać zawód. Tylko robi aluzje, i strasznie się cieszy, kiedy w końcu zorientujemy się, o co chodzi.

- Rozumiem. No cóż, w takim razie proszę jej powiedzieć jeszcze raz, że o nią pytałem. I może też pani powiedzieć, że chętnie z nią porozmawiam, jeśli jest jej potrzebne życzliwe ucho.

- Staje się pan regularnym terapeutą. Dziękuję - dodałam. - Co za idiotka ze mnie, że wybuchnęłam płaczem w obecności Brandi...

- Myślę, że troska o panią to dla niej naprawdę korzystne urozmaicenie.

- Wyzdrowieje? - spytałam.

- Będzie ją operował najlepszy chirurg, jakiego mamy w szpitalu.

- No to do zobaczenia - powiedziałam lekko. - To znaczy, spodziewam się, że zobaczę pana na moim weselu w przyszły weekend.

- W przyszły weekend? - spytał z niedowierzaniem Scott. Szłam już w kierunku parkingu.

- Dzień dobry. Chciałabym zobaczyć się z panią Elspeth Nordhoff - powiedziałam do dziewczyny w recepcji na oddziale otwartym.

- Przepraszam, jak nazwisko? Elspeth...

- Nordhoff.

Przywykłam już do tego, że muszę wszystko powtarzać dwa razy, zanim osoba, z którą rozmawiam, zrozumie mnie jak należy. Przyczyną był akcent. W pierwszym tygodniu mojego pobytu w Stanach poprosiłam w McDonalddie o butelkę wody. Musiałam jednak wskazać na stosowny obrazek, zanim dziewczyna za kontuarem powiedziała w końcu: „Ach, chodzi pani o wodę!” - zupełnie jakbym była kimś, kto nie mówi po angielsku jak należy.

Recepcjonistka zmarszczyła brwi i spojrzała na listę pacjentów.

- Nordhoff - spróbowałam jeszcze raz. - Przywiozłam ją tu dziś rano na jakiś zabieg. Miała być cały dzień. Jestem jej synową. Przyszłą-dodałam.

Recepcjonistka wklepała jej nazwisko do komputera.

- Nie wygląda na to, żebyśmy ją tu mieli - powiedziała.

- Jest pani pewna?

- Nie mamy nikogo o tym nazwisku.

Dziwne... Ale poczułam ulgę. Ruszyłam wolnym krokiem do samochodu, szczęśliwa, że mam czas dla siebie i będę mogła spokojnie pławić się w smutku i samoudręce. No i w końcu Elspeth będzie miała spóźnioną satysfakcję, skoro dowie się, że odkryłam, iż wszystko z nią w porządku.

Wsiadłam do mercedesa i podniosłam szyby. Były przyciemnione, więc nikt nie mógł zobaczyć mnie w środku. I siedziałam tak, nie dbając o to, że robi się coraz bardziej i bardziej gorąco. W końcu o trzeciej zobaczyłam Elspeth, wychodzącą z oddziału otwartego. Widziałam, jak wyjęła komórkę i wybrała numer. Rozległ się sygnał mojej komórki, leżącej na przednim siedzeniu.

- Możesz po mnie podjechać - powiedziała.

- Już czekam w samochodzie - odparłam.

Kiedy otworzyła drzwiczki, natychmiast zauważyła, że płakałam.

- Lizzie, nie martw się. Doktor powiedział, że z pewnością doczekam waszego wesela.

- Byłam wcześniej na oddziale i pytałam o ciebie. Myślałam, że może jednak zechcesz, żebym z tobą posiedziała. Dziewczyna w recepcji nie mogła znaleźć twojego nazwiska.

Czoło Elspeth zabarwiło się leciutkim rumieńcem. W samochodzie było dość gorąco.

- No cóż, przypuszczam, że starała się być dyskretna. Powiedziałam jej, że nie chcę mieć dzisiaj żadnych wizyt.

- Nawet przyszłej synowej?-spytałam. Elspeth uścisnęła mnie za rękę.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Lizzie.

- No więc co powiedział dziś doktor? - spytałam. - Chcesz o tym porozmawiać?

Elspeth uniosła okulary i znużonym gestem ścisnęła palcami garbek nosa.

- Nie dzisiaj, kochanie. Jestem naprawdę bardzo zmęczona. W milczeniu wróciliśmy do Malibu. Elspeth od razu poszła do łóżka.

Poszłam do ogrodu i w towarzystwie Picassa patrzyłam, jak słońce powoli opada coraz niżej i niżej. Tym razem irytujące pta-

szysko zdawało się wyczuwać mój nastrój i nie psuło klimatu swoim okropnym, rozdzierającym uszy wrzaskiem.

Coś zmieniło się we mnie od chwili, kiedy Gruby Joe powiedział mi, że widziano Jennifer z pierścionkiem na palcu. To było tak, jakby Julia dowiedziała się, że jej Romeo umarł. Ale choć zrozpaczona, czułam równocześnie rezygnację i poddanie wobec losu. Nie miałam zamiaru się zabić; miałam zamiar wyjść za Eryka. To małżeństwo symbolizowało śmierć. Śmierć nadziei.

25

Nazajutrz, w dniu operacji Brandi, było szaro i smutno, tak samo jak wtedy, kiedy wykryto u niej nowotwór. Picasso łąził osowiale po atrium, zupełnie jakby w wilgotnym powietrzu jego pióra stały się zbyt ciężkie, by mógł je unieść i ułożyć w ekstrawagancki wachlarz. Siedziałam w cieplarni i patrzyłam, jak fale w kolorze łupku systematycznie uderzają o brzeg. Gruby Joe obiecał, że zadzwoni do mnie, gdy tylko Brandi zostanie wywieziona z sali operacyjnej.

Jeśli nawet Elspeth zauważyła, że coś zajmuje moje myśli, nie wspomniała o tym ani słowem. Była zbyt zajęta organizowaniem ślubu i wesela. Gdy tylko ksiądz Dawid z kościoła św. Ekspedyta zgodził się, by ceremonia ślubna odbyła się na miejscu, w willi w Malibu, natychmiast zabrała się do działania, żeby w dziesięć dni wszystko było gotowe.

Jedzenie miał przygotować jej ulubiony kucharz z hotelu Beverly Wilshire. Kwiaty zostały zamówione u kwiaciarza, który był autorem dekoracji na tegorocznej uroczystości rozdania Oscarów. Różowe róże. Zaproszeniem na ślub był pojedynczy różany pączek w srebrnej szkatułce. Elspeth sporządziła listę gości. Miłosierny Panie. Właściciele galerii sztuki. Lekarze od św. Ekspedyta. Powiódłszy palcem wzdłuż listy, zatrzymałam go na pozycji „Dr Scott Walker z osobą towarzyszącą”.

- Może chcesz, żebym przyniosła książkę adresową Eryka z jego biurą? - zaproponowałam. Elspeth wydeła lekko usta.

- Lista gości i tak już jest bardzo długa. Co nie znaczy, że nie chcę, żeby wasz ślub, dzieciaki, był ślubem stulecia, ale naprawdę niezbyt dobrze czuję się w tej chwili w tłumie.

Dołączyłam do listy tylko cztery nazwiska. Graby Joe, Brandi, Antonio z Ladyboys i Atalanta. Atalanta byłaby gotowa czołgać się przez całe Los Angeles, łamiąc przy okazji wszystkie swoje nienagannie wypielęgnowane paznokcie, byle tylko mieć szansę poznania osób, które, jej zdaniem, mogły być obecne na ślubie Eryka Nordhoffa. A chociaż w sytuacji, gdy na liście gości nie było żadnych znajomych Eryka, sprawa mogła nie być dla niej aż tak szalenie frapująca.

To był bardzo długi dzień. Operacja Brandi rozpoczęła się o siódmej rano. Do trzeciej po południu siedziałam przy telefonie, czekając na wiadomość, że wszystko poszło jak należy. Telefon dzwonił bez przerwy, ale nie w sprawie, która interesowała mnie najbardziej. Od wpół do czwartej zaczęły się telefony z potwierdzeniem otrzymania przepięknych zaproszeń, wysłanych przez Fantasie Fleurs.

- Będą obecni wszyscy członkowie mojej rodziny! - powiedziała z zachwytem Elspeth, kiedy odebrałam telefon od jednej ze złośliwych kuzynek-bliźniaczek. - Czy ty nie wspaniałe?

Pokiwałam bez entuzjazmu głową. Elspeth dostrzegła jednak, że uśmiecham się wyłącznie ustami.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała. - Myślisz o tym, że Eryk będzie miał całą rodzinę wokół siebie, a ty będziesz sama.

Pogładziła mnie po policzku.

- Zaraz przywrócimy uśmiech na tę śliczną buzię. Sięgnęła do górnej szuflady nocnej szafki i wyjęła kopertę.

Domyśliłam się, co jest w środku, zanim jeszcze ją otworzyła. Dwa bilety lotnicze z Londynu do Los Angeles. Pierwsza klasa. Data lotu do ustalenia.

- Dzwon do nich natychmiast - powiedziała Elspeth. - Teraz już nie mają wymówki, żeby nie przyjechać.

Po południu dostałam e-maila od mamy i ojca. Oczywiście autorką listu była mama. Droga Lizzie — pisała. — U nas od tygodnia pada. (Typowy brytyjski e-mail, zaczynający się od informacji o pogodzie.) ojciec nie może pracować w ogrodzie ani grać w golfa i do

prowadza mnie do szału. Na szczęście Colin i Sally skończyli urządzić swój ogród zimowy i jestem w związku z tym zaproszona do nich na herbatę w sobotę po południu. (Ogród zimowy! Jak w średniowieczu). Brakuje nam ciebie, Lizzie. Chcemy, żebyś była szczęśliwa, ale oboje z ojcem nie możemy uwolnić się od myśli, że przecież mogłabyś być szczęśliwa i w Solihull. Los Angeles jest tak strasznie daleko. Zaczęliśmy oglądać światową prognozę pogody w te-legazecie, żeby wiedzieć, jaka pogoda-jest u ciebie. - **Świeci słońce, mamó - mruknęłam.**

Mamy nadzieję, że dbasz o siebie. Pamiętaj, żeby nie przeziębic sobie nerek. Na pewno powiesz, że w Los Angeles jest gorąco, ale pani Mitchell mówi, że wiatr-od morza jest naprawdę chłodny. I proszę cię, nie myśl, że można wychodzić na dwór bez filtra przeciwsłonecznego tylko dlatego, że jest pochmurno.

Dziś po południu tata szukał w Internecie informacji o tanich lotach. Jeśli zamierzasz zostać w Los Angeles do Bożego Narodzenia, to myślę, że będziemy musieli cię odwiedzić, choć pani Mitchell twierdzi, że długi lot najtańszą klasą bez możliwości rozprostowania nóg jest zabójczy dla naczyń i można dostać zakrzepu.

Myślę, że kiedy dostaniesz tego e-maila, będziemy już spać. W tym tygodniu w telewizji była powtórka *Dumy i uprzedzenia*. Pan Mitchell mówi, że w Ameryce ten serial zrobił furorę. Tak więc widzisz, że Hollywood nie jest' dzisiaj jedynym miejscem, gdzie można nakręcić dobry film. Colin mówi nawet, że widział, jak kręcili film w Solihull.

Całujemy cię mocno.

Mama i ojciec

Poczułam ostre szarpnięcie wyrzutów sumienia, kiedy przeczytałam kawałek o tym, jak to tata serfuje po Internecie w poszukiwaniu tanich lotów, a mama martwi się o swoje krażenie. Trzymałam w ręku dwa bilety lotnicze pierwszej klasy z Heathrow do LAX. Rodzice rozwalaliby się przez całą drogę na rozkładanych fotelach i pili szampana.

Kliknęłam odpowiedź i zaczęłam układać list do domu. Wystukałam nagłówek *Od Waszej córki Lizzie* i utknęłam. Tak łatwo

byłoby napisać: *Przestańcie szukać tanich lotów i pakujcie manatki*. Bilety, które kupiła Elspeth, miały nieoznaczoną datę. Rodzice mogli być u mnie przed upływem tygodnia.

Był jednak drobny problem - w jaki sposób weszłam w posiadanie tych biletów. Jak mam im to wyjaśnić? „Macie tu dwa bilety pierwszej klasy. A prawda, zapłaciła za nie moja przyszła teściowa”?

To było niemożliwe. Nie tylko z powodu oszustwa. Wiedziałam, że z jednej strony mama będzie wściekła, że nie powiedziałam jej wcześniej o planowanym zamążpójściu, ale z drugiej strony-wniebowzięta. Od dawna miałam wrażenie, że nie przeszkadzałoby jej, gdybym wyszła choćby za seryjnego mordercę, byle mogła na spotkaniu Straży Sąsiedzkiej powiedzieć tej kołtunce, pani Mitchell, która miała „trzy córki już zameżne i dwoje wnuków”, że nareszcie ma mnie z głowy.

Mogłam wyobrazić sobie scenę, jaka rozegrałaby się w Soli-hull... Z lodówki zostałyby wyjęta butelka szampana, którą mama i ojciec chomikowali tam od dnia, kiedy wygrali ją na kościelnej loterii „Millenium”. Wzniesiono by toast. Mama upiłaby łyżeczek, zmarszczyłaby nos i poprosiła, żeby rozcieńczono jej szampana lemoniadą. Colin i Sally też zostaliby zaproszeni, żeby usłyszeć radosną nowinę. Sally byłaby zachwycona. Jeśli o nią chodzi, to była przekonana, że żadna kobieta nie jest istotą pełną, o ile nie ma kuli u nogi, przytwierdzonej łańcuchem tak, by nie uleciała w powietrze i nie rozpląnęła się w przestworzach... Colin uniósłby kieliszek, ale byłby nieco bardziej cyniczny.

Właściwie, znając Colina, mogłam nawet przypuszczać, że odkryje, jaka jest prawda. Chociaż nawet on nie ośmieliłby się powiedzieć o tym matce.

Nic z tego. Nie mogłam dopuścić, by skorzystali z biletów. Nie mogłam nawet dopuścić, by dowiedzieli się, że przeprowadziłam się z domku na plaży do rezydencji.

Tutaj jest słonecznie i ciepło - zaczęłam - ale dbam, żeby nie przeziębic nerek. Nie martw się o możliwość zakrzepu, mamo. Do świąt będę już w domu.

Elspeth powiedziała, że moja matka ma lęk przed lataniem.

Szósta po południu. Dzwonek telefonu. Do tego czasu straciłam już niemal nadzieję, że Gaiby Joe zadzwoni i powie, że z Brandi wszystko w porządku. Dzwoniłam do domu na plaży, ale jeszcze nie wrócił.

Tłumaczyłam sobie, że gdyby coś było nie tak, z pewnością zadzwoniłby od razu. Miałam nadzieję, że po prostu zapomniał, że ma zatelefonować natychmiast, jak tylko będzie miał jakieś wiadomości.

- Lizzie?

Głos był jakby znajomy, ale nie był to głos Grubego Joego.

- Kto mówi?

- Scott Walker. Doktor Scott - dodał lekko zmieszany.

- Scott! No i jak Brandi?

- Świetnie - uspokoił mnie. - Wszystko poszło tak, jak powinno. Już ją odwieźli na salę. Jest przy niej wasz przyjaciel Joe.

- Miał do mnie zadzwonić.

- Myślę, że nie miał głowy. Strasznie się martwił.

- A ja to nie? - podniosłam głos.

- Potraktuj go ulgowo - powiedział Scott. - To dla niego naprawdę wielki wstrząs. Przyszedł w spodniach.

Nie zdziwiło mnie to. Odkąd wykryto u Brandi nowotwór, Gruby Joe zaczął być coraz bardziej konserwatywny, jeśli chodzi o strój. Zupełnie jakby bez nieustannych zapewnień Brandi, że wygląda świetnie, stracił przekonanie do swojego żeńskiego wcielenia - Joanny.

- Dasz mi znać, jeśli zaczniesz nosić mundur z demobilu typu Polarny Lis, prawda?

- A może?

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. To co, z Brandi wszystko w porządku?

- Będzie dobrze. Może mieć parę trudnych chwil przy zdejmowaniu opatrunku, ale z lekarskiego punktu widzenia była pacjentką modelową.

- Dziękuję, że zadzwoniłeś i powiedziałeś mi o tym. Scott odchrząknął.

- Właściwie to dzwonię z innego powodu.

- Tak?

- No wiesz... dostałem zaproszenie. Bardzo stylowe - zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem. - Wydawało mi się, że powiedziałaś, że wychodzisz za mąż w następną niedzielę, jak wybiegłaś wtedy z ogrodu, ale pomyślałem, że chyba się przesłyszałem. To strasznie szybko...

- Nie ma sensu ciągnąć tego narzeczeństwa w nieskończoność.

- Wiem, ale... - znowu odchrząknął. - To naprawdę nie moja sprawa, ale...

- Ale co? - spytałam spokojnie.

- Po prostu jestem zaskoczony tym wszystkim. Biorąc pod uwagę naszą rozmowę...

- Chodzi ci o to, że nie przeszło mi jeszcze z moim byłym chłopakiem.

Uznałam, że milczenie Scotta jest potwierdzeniem.

- No cóż, jeśli nie wyjdę za mąż, nie zrobi mu to żadnej różnicy, prawda? Znalazł nową miłość swego życia. A ja znalazłam kogoś, kto może płacić rachunki.

- To do ciebie niepodobne.

- Widzieliśmy się dotąd tylko trzy razy - zauważyłam.

- Lubię myśleć o sobie, że znam się na ludziach. A biorąc pod uwagę, w jaki sposób mówi o tobie Brandi, nigdy nie przy-szłoby mi do głowy, że jesteś dziewczyną tak... pragmatyczną.

- Posłuchaj, Scott, wiem, o czym myślisz. Myślisz, że rzucam się w to małżeństwo, bo mój eks się zaręczył. Myślisz, że ponieważ mi nie przeszło z byłym narzeczonym, to małżeństwo będzie trwało dwie minuty i zakończy się rozwodem. Być może masz rację. A właściwie to wiem, że masz rację. Powinniśmy mieć z Erykiem trochę więcej czasu, żeby to przemyśleć, ale Elspeth zostało góra dwa tygodnie życia. Jeśli nie możesz przyjść na wesele i cieszyć się ze względu na mnie, to spróbuj przynajmniej cieszyć się ze względu na nią.

- Ile życia jej zostało? Odłożyłam słuchawkę.

Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam w tej chwili, było to, żeby ten cholerny pseudoterapeuta Scott powiedział mi, że popełniam błąd. Wiedziałam, że popełniam. Nie mogłam mu jednak powiedzieć, że popełniam go ze słusznych pobudek.

- Kto to był?! - krzyknęła z góry Elspeth.

- Doktor Walker! - odkrzyknęłam.

- Przychodzi na wesele?

- Chyba tak.

- Co to znaczy „chyba tak”?

- To znaczy tak. Powiedział, że przyjdzie.

- Wspaniale. Czy możesz przyjść na górę, Lizzie? Poczułam się nagle prawie zupełnie dobrze. Chciałabym wyjść na dwór.

Zanim weszłam na górę, Elspeth zdążyła już wstać z łóżka. Stała przed toaletką, przykładając do siebie elegancką czarną sukienkę. To była Chanel. Szyta na miarę.

- Chyba chciałabym, żeby mnie w niej pochowano - powiedziała. - Ale przedtem chciałabym, żebyś mnie zawiozła do pewnej galerii sztuki.

- Jak to? Dziś wieczorem?

- Tak. Zaraz. Nie zostało mi już zbyt wiele wieczorów - przypomniała mi. - Mój drogi przyjaciel, Alexander Wolper, otwiera dziś wieczorem nową wystawę. Wschodzące gwiazdy dwudziestego pierwszego wieku. Chciałabym zobaczyć jeszcze jedną wystawę, zanim umrę.

Pół godziny później sprowadzałam Elspeth po schodach do mercedesa. Z każdym dniem zdawała się być coraz silniejsza. Tego wieczoru prawie nie potrzebowała mojej pomocy... Zastanawiałam się, czy nie jestem świadkiem znanego zjawiska, kiedy to umierający człowiek znajduje w sobie w ostatniej chwili niezwykle zasoby energii. Słyszeliście o tym, prawda? O tym, że nikt się nie spodziewał, że ten a ten umrze. Ludzie mówią na przykład: „Jeszcze wczoraj widziałam ją Marksa& Spencera”. Albo: „Przecież tylko co był w pubie i oglądał pogrzeb w TV”.

Czy był to taki właśnie nagły wybuch energii, tak samo jak fajerwerk rozbłyska ostatnim snopem iskier na tle nocnego nieba, zanim zgaśnie? A jeśli tak, to czy nie powinnam nakłaniać Elspeth, żeby oszczędzała te rezerwy i pozostawiła je na chwilę, kiedy Eryk wróci do domu?

Elspeth jednak była zdecydowana wziąć udział w wernisażu. Dołączyłyśmy więc do tłumu innych miłośników sztuki, tłoczących się przed wejściem do Arachne Art Gallery Aleksandra Wolpera, nazwanej tak na cześć chełpliwej prządki, którą bogowie zamienili w pajaka.

26

Przez parę tygodni po rozstaniu wszędzie widziałam Richarda. Czy raczej wydawało mi się, że go widzę. Miałam wrażenie, że w każdej większej grupie ludzi jest ktoś, kto ma takie same włosy, taki sam wzrost, nosi taką samą marynarkę, porusza się takim samym szybkim, niedbałym krokiem. I serce stawało mi w piersi, kiedy widziałam jego dobrze znaną sylwetkę wszędzie

tam, gdzie przecież tak naprawdę wcale go nie było: na przystanku autobusowym, w centrum handlowym Buli Ring, na uroczystości w kościele metodystycznym moich rodziców.

Z czasem te zwidy stawały się coraz rzadsze, a jego obraz w moim umyśle zaczynał stopniowo błędnąć. A jeśli znieścacka przykuwała moją uwagę linia włosów o kształcie serca, czarna skórzana marynarka od Schotta czy buty podobne do tych, jakie nosił Richard, moment dezorientacji i oszalałego bicia serca był za każdym razem coraz krótszy.

- To Richard - mówiło serce.

- Nie, to nie Richard - mówił rozum.

I w końcu przestałam śledzić w tłumie kompletnie nieznanymi mężczyzn.

Tego wieczoru Arachne Art Gallery wypełniał tłum ludzi. Kiedy dotarliśmy z Elspeth na miejsce, goście wylewali się wręcz na ulicę.

- Alex to bardzo popularny właściciel galerii - powiedziała Elspeth. - Przebywać w jego towarzystwie to czysta przyjemność.

Zaledwie to powiedziała, przez tłum pochlebców przedarł się ku nam sam gospodarz, żeby nas powitać.

- Wyglądasz bosko, Elspeth - powiedział, całując powietrze obok jej policzków.

- Bardzo trafne określenie - odparła. - Ponieważ mam zamiar ubrać się w tę suknię na własny pogrzeb.

- O! A zostawisz mi w spadku Rodina?

- Ty niegrzeczny chłopczyku - pogroziła mu Elspeth.

- Właśnie za to mnie lubisz - puścił do niej oko Alex.

- To prawda. Lubię gejów i ich złośliwy humor - powiedziała do mnie Elspeth po odejściu Aleksa.

Uniosłam brwi. Więc geje są w porządku, pod warunkiem, że są synami innych matek?

- Benny ! - Elspeth dostrzegła kolejnego znajomka, który wyszedł się ochłodzić.

- Elspeth? Myślałem, że...

- Że już umarłam? - dokończyła. - Jeszcze nie, mój kochany! Dostałeś oczywiście zaproszenie na wesele, prawda?

Odeszłam na bok. W galerii było pełno ludzi, którzy chcieli zamienić z Elspeth Nordhoff parę słów. Czyżby mieli nadzieję, że

wyszarpną w ostatniej chwili jakiś kasek z jej kolekcji dzieł sztuki? Alex będzie rozczarowany... Wiedziałam, że Rodin był przeznaczony dla Getty.

Wzięłam kieliszek wina i ruszyłam do następnej sali. Tu było znacznie mniej ludzi. Zbyt daleko od chardonnay i tartinek... Można było odnieść wrażenie, że nikt nie przyszedł do galerii po to, żeby oglądać obrazy. Przyszli, żeby robić cmok-cmok i plotkować. Jakiś facet, nachylając się nad obrazem wartym pięćdziesiąt tysięcy dolarów, referował projekt swojego najnowszego filmu prawnikowi, który z entuzjazmem kiwał głową, najwyraźniej zachwycony, że muska go blichtr Hollywood.

W tylnej sali było inaczej. Ludzie stali tu pojedynczo przed wielkimi płótnami albo rozmawiali przyciszonym głosem. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający dziewczynę o smutnym spojrzeniu, trzymającą w rękach ślubny bukiet.

- Wiem, co czujesz - mruknęłam.

W jej oczach lśniły łzy. Łzy, które od chwili nieszczęsnego wybuchu przy Brandi desperacko tłumiłam.

W centrum pokoju stała rzeźba, która zdawała się być zrobiona z dwu brył cementu i pompki rowerowej. „Trzy artykuły” - tak nazwał ją autor. Na etykietce napisana była cena: trzynaście tysięcy dolarów. Pomyślałam, nie po raz pierwszy w tym tygodniu, jak śmieszną rzeczą jest dobrobyt.

A co na to artysta, jeśli ktoś istotnie szarpnie się i zapłaci trzynaście tysięcy dolarów za rzeźbę, która kosztowała go parę centów? Czy pomyśli: więcej kasy niż rozumu? Czy też: oto ktoś, kto potrafi docenić moją artystyczną wizję?

Richard nie cierpiał nowoczesnych artystów brytyjskich, którzy opróżniają kosz na śmieci i przyczepiają do zawartości etykietkę z ceną, która zwała z nóg. Irytowało go zainteresowanie mediów takimi twórcami, jak Hirst czy Tracey Emin. Jeśli zapomniałam wyrzucić do kosza jakiś znoszony ciuch, Richard pytał, czy zamierzam ubiegać się o nagrodę Turnera.

Był jednak przekonany, że to tylko kwestia czasu, a publiczność znowu zwróci się ku malarzom. „Ludzie chcą oglądać pot wsiąknięty w płótno, a nie stos przeпоconych majtek” - mawiał.

Być może właśnie to, że przypomniało mi się, jak wściekał się na podobne rzeczy Richard, było przyczyną, że kiedy zza szczytu tortu beżowego zobaczyłam po drugiej stronie sali szatyna o bujnej czuprynie, stojącego przed pięciometrowej wysokości portretem

bullteriera, nastąpił u mnie jeden z owych momentów typu „To Richard. Nie, to nie Richard.”.

Tym razem jednak nieznajomy do tego stopnia przypominał Richarda, że nie mogłam przestać wpatrywać się w tył jego głowy. Gapiłam się tak długo, że gdy w końcu się odwrócił, żeby powiedzieć coś na temat obrazu do swojej towarzyszki, przyłapał mój wzrok.

O Boże - powiedziało moje serce - on naprawdę wygląda jak Richard.

To... nie jest... to... nie jest... - dukał mózg. Serce mi stanęło. Mężczyzna przed obrazem zmarszczył brwi. Zdawał się mnie rozpoznawać. To Richard!

Wpatrywaliśmy się w siebie z przeciwległych krańców sali, niczym dwa duchy, przerażone swoim widokiem. Miałam wrażenie, że jego usta poruszyły się, tak jakby miał zamiar wypowiedzieć jakieś słowo. Prawdopodobnie „o kurwa”. Nie zamierzałam czekać, aż je usłyszę.

Elspeth znalazła mnie na parkingu. Siedziałam za kierownicą mercedesa. Zgrzana i spocona. Przyciemnione szyby były starannie zamknięte, tak by nikt nie mógł zajrzeć do środka. W tej sytuacji moja wymówka, że wyszłam na zewnątrz, żeby „odetchnąć świeżym powietrzem”, musiała zabrzmieć w uszach Elspeth nieco zabawnie.

Co robił Richard w Los Angeles? Choć widziałam go zaledwie przez parę sekund, jego obraz, jak odwraca się do mnie, miałam wypalony na siatkówce. Elspeth ćwierkała coś o pracach, które podobały jej się najbardziej, a ja miałam przed oczami wyłącznie Richarda; jego obcisłe czarne spodnie, luźny czarny sweter, rozciągnięty przy szyi, co wraz z nową krótką fryzurą nadawało mu chłopięcy wygląd. Zmienił styl, odkąd widziałam go po raz ostatni... Czy raczej zmieniła mu styl Jennifer. I, do diabła, było mu w nim do twarzy. Wyglądał jak model od Calvina Kleina. Jak modelowy artysta, stworzony przez agencję do reklamy drogiej kawy instant. Sprawiał teraz wrażenie raczej mieszkańca Lewego Brzegu czy Greenwich Village niż Tufnell Park.

A jak ja wyglądałam w jego oczach? Wyciągnęłam szyję, żeby przejrzeć się we wstecznym lusterku, ale mogłam zobaczyć tylko

zbliżenie czoła i trzy poziome, zatroskane zmarszczki. Przyjrzałam się im i w tym momencie o mało nie wjechałam na krawężnik.

- Przestań śnić na jawie! - wykrzyknęła Elspeth. Skierowałam samochód z powrotem na drogę.

- Jesteś dziwnie podniecona - zauważyła Elspeth. - Co się z tobą dzieje?

- Nic - odparłam, modląc się, żeby nie drażyła tematu. Gdyby zapuściła sondę choćby milimetr w głąb, byłam pewna, że powiedziałabym jej o Richardzie. Ból zniecała znowu był tuż pod powierzchnią. Stara rana otworzyła się i sączyła. Wzięłam głęboki oddech. Powiedziałam sobie, że ten facet galerii to wcale nie był Richard. To po prostu jego sobowtór. Richard nie pozwoliłby, żeby ktoś ubrał go niczym pozującego na artystę pedała.

To nie był Richard. To nie był Richard. To nie był Richard.

- Alex opowiadał mi o jakimś nowym malarzu z Wielkiej Brytanii, którego prace wystawia... - powiedziała Elspeth.

Mercedes uderzył w tył czyjś porsche.

Dzięki Bogu, nikt nie został zabity. Elspeth nastawała jednak, żebyśmy pojechały na ostry dyżur do Św. Ekspedyta i sprawdziły, czy wszystko z nami w porządku.

Lekarz, który mnie badał, podejrzewał, że mogę mieć lekki wstrząs mózgu.

- Mam wrażenie, że jest pani trochę za bardzo zdekoncentrowana - powiedział.

Elspeth musiała zrobić sobie prześwietlenie. Skarżyła się na ból obojczyka. Kiedy zabrali ją na rentgen, zatrzymałam lekarza i powiedziałam:

- Ona jest już pacjentką tego szpitala. Dochodzącą. Lekarz uniósł brwi.

- Nie mam jej w aktach.

- Proszę sprawdzić na oddziale onkologicznym. Jest w ostatnim stadium raka. ^

- Tak? - spytał doktor takim samym tonem, jak wcześniej Scott.

- Tak. Ale nie wiem, gdzie ma ten nowotwór.

- Sprawdź - powiedział doktor i oddalił się szybkim krokiem, by dogonić wózek, którym wieziono Elspeth.

Byłam wytrącona z równowagi. Nie miałam jednak pewności, czy to przez ten wypadek, czy raczej dlatego, że przywidział mi się Richard. A może nie przywidział? Zdecydowałam, że najlepiej zrobię, jeśli się przespaceruję. Elspeth potrzymana chwilę na rentgenie. Czy dostatecznie długo, żebym zajrzała do Brandi?

- Późno już - powiedziała pielęgniarka w głównej recepcji. - Jest pani rodziną?

- Coś w tym rodzaju.

- Coś w tym rodzaju to za mało o tej porze. Nie zamierzała mnie wpuścić.

- W porządku, Gabrielle. Znam ją. Z gabinetu wyszedł Scott.

- Co się stało? - spytał. Widać było, że się trzęsę.

- Miałam wypadek samochodowy.

- Jesteś ranna?

- Chyba tylko w szoku. Elspeth może mieć złamany obojczyk.

Scott nieoczekiwanie objął mnie i pociągnął do siebie do gabinetu. Usunął z najlepszego krzesła plik kart pacjentów i zaprosił gestem, żebym usiadła.

Od razu popłynęły mi łzy. Opowiedziałam mu, co przywidziało mi się w galerii.

- To dlatego, że ostatnio wciąż miałaś go w głowie - powiedział rozsądnie Scott. -

Czy Elspeth powiedziała, że to on?

- Zaczęła, i właśnie wtedy uderzyłam w tamten wóz.

- Lizzie, przecież nie wiadomo, co zamierzała powiedzieć Elspeth. Jesteś przewrażliwiona.

Przyjrzał mi się z bliska. W pokoju było ciemno, świeciła się tylko lampa na biurku. Przypomniał mi się jeden z tych starych filmów. Bogey i Bacall. Dziewczyna budzi się w środku nocy i szuka ratunku. Facet to jeden wielki emocjonalny supeł i nie potrafi jej powiedzieć, co czuje.

Scott otworzył usta, jak gdyby miał zamiar powiedzieć coś, co mnie niepokoi, ale zaproponował tylko:

- Wpadniemy do Brandi?

Ruszyłam za nim ciemnym korytarzem. Scott delikatnie nacisnął klamkę i bezszelestnie otworzył drzwi.

- Po południu obudziła się na chwilę - szepnął.

Brandi drzemała spokojnie, wsparta o dwie wielkie białe poduszki. Z kroplówką podłączoną do zabandażowanego nadgarstka i nowoczesnym monitorem śledzącym jej funkcje życiowe wyglądała jak kosmonauta w stanie letargu, podróżujący ku ciemnej stronie Marsa.

Po drugiej stronie łóżka, na krześle pod oknem, głośno chrapał Gruby Joe. Z rąk wypadł mu kolejny bukiet kwiatów.

- Czy Brandi będzie musiała mieć chemioterapię? - spytałam. . . .

- Raczej nie. Właśnie dostaliśmy z patologu jej wyniki. Jej gruczoły limfatyczne są czyste, więc przepiszę jej tylko tamoxifen. Mam nadzieję, że do nas nie wróci... To lepszy wynik, niż się spodziewaliśmy. Na razie będzie ją bolało, ale jest realna szansa, że wyzdrowieje.

- Gruby Joe się ucieszy, jak to usłyszysz - powiedziałam.

- Są sobie dość bliscy, prawda? Bardzo się o siebie troszczą-zauważył Scott.

Nie mogłam powstrzymać się od pociągnięcia nosem. Om troszczą się o siebie. Ja troszczę się o Elspeth. Czy kiedykolwiek ktoś zatroszczy się o mnie?

- Odwiozę was do Malibu - zaproponował Scott. -I tak miałem zamiar pogadać z Elspeth.

Pozwoliłam mu odprowadzić się na izbę przyjęć. Obejmował mnie ramieniem, a ja wspierałam głowę na jego piersi. Aromat jego wody po goleniu przypomniiał mi tamtą frazę: *You saypo-ta-to*.

27

Z Elspeth wszystko było w porządku. Rentgen nie wykazał żadnego złamania. Nawet najmniejszego pęknięcia. Nie sądziłam jednak, że puszcza ją na noc do domu, biorąc pod uwagę jej „stan”. Ale puścili. Scott odwiózł nas swoim wołwo. Pewny, bezpieczny samochód, w sam raz dla lekarza, pomyślałam, kiedy gładko odstawił nas do Malibu. Poszłam prosto do łóżka. Scott obiecał, że zostanie, dopóki Elspeth nie zaśnie. Odpłynęłam w sen, ukołyszana szmerem ich przyciszonych głosów.

Nie wiem, jak długo rozmawiali, ale rano Elspeth jak zwykle o szóstej już nie spała. Była ożywiona i podekscytowana. Ja też nie spałam już chyba od pół godziny, kiedy usłyszałam jej dzwoneczek, informujący mnie, że jest gotowa do rozpoczęcia dnia. Wydarzenia poprzedniego dnia wydawały mi się dziwnie odległe. Operacja Brandi, galeria, wypadek... Leżałam w łóżku i wpatrywałam się w rokokowe cherubinki na suficie. Czułam dziwny spokój. Z Brandi wszystko będzie dobrze, z samochodem wszystko będzie dobrze. Jak wróci z warsztatu. A to, co się wydarzyło w galerii... Być może Scott miał rację. Być może to była halucynacja. Nowina o zaręczynach sprawiła, że jego obraz znów wypłynął na powierzchnię mojego umysłu, a galeria sztuki była dla podświadomości idealnym miejscem, w którym mogła wygenerować jego obraz w stroju, jakiego nigdy by na siebie nie włożył. Gdzieś tam w mieście jakiś tutejszy, ubierany przez Donnę Karan artysta zastanawia się teraz pewnie, dlaczego jakaś dziewczyna wrzasnęła na jego widok i wybiegła na ulicę.

- Lizzie! - zawołała znów Elspeth.

Wstałam i poszłam do jej sypialni. Znów siedziała wsparta o poduszki niczym zasuszona lalka. Jak na kogoś, kto poprzedniego wieczoru przeżył wypadek samochodowy, wyglądała zaskakująco radośnie.

- Chcę dać ci teraz ślubny prezent - powiedziała.

- Czy nie powinniśmy poczekać na Eryka?

- Nie możemy czekać na Eryka. O ile chcemy, żeby prezent był gotowy w dniu ślubu.

- Gotowy? Co to jest? Elspeth uśmiechnęła się z dumą.

- Zamówiłam twój portret. Kiedy zaręczyliśmy się z ojcem Eryka, jego matka, która знаła wielu wybitnych artystów, zamówiła portret nas obojga u Cabriolaniego.

Teraz, kiedy ojciec Eryka nie żyje, ten portret jest moją najcenniejszą pamiątką.

Kiedy na niego patrzę, widzę nie tylko mojego przystojnego męża, takiego jaki był wiele lat temu, kiedy go poznałam; wspom inam też wszystkie te dni, kiedy pozowaliśmy do portretu. Czuję jego ramię wokół mojej talii, jego oddech na mojej szyi, słyszę dźwięk jego głosu, kiedy szeptał mi coś do ucha w momencie, gdy malarz mył pędzle... Pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o tym, jak to sami będziemy mieć kiedyś dzieci i jak będziemy je

zmuszali, żeby znosiły udawkę wielogodzinnego siedzenia bez ruchu, żeby mogli mieć zaręczynowy portret zamiast zdjęcia. Zaśmiała się.

- Niemal wszystko, co ma jakąś wartość, boli - ciągnęła. -Pozowanie do portretu, rodzenie dzieci, przekłuwanie uszu...

Ścisnęła mnie za rękę i mrugnęła.

- No więc dziś zaczynamy pozowanie. Czy nie jesteś podekscytowana? Rano przyślą twoją ślubną suknię. Myślę, że powinnaś w niej pozować. Ja nie pozowałam w sukni, bo nie chciałam, żeby ojciec Eryka widział ją przed ślubem, ale skoro Eryka nie ma i będziesz pozowała sama...

- Moja ślubna suknia? - przerwałam. Nie przypominałam sobie, żebym jakąś wybierała.

- Posłałam twoje wymiary do Alberta Goldsteina - oznajmiła Elspeth. - Wziął moją ślubną suknię i zrobił dokładną replikę.

Była zachwycona. Ja - przerażona.

- Czy to nie przemiła niespodzianka? Wiedziałam, że uznasz to za wspaniały pomysł. Taka jestem podniecona... To wszystko, o czym marzyłam. Wiesz, Lizzie, nawet wyglądasz trochę tak jak ja, kiedy wychodziłam za mąż. Nie mogę się już doczekać, żeby porównać mój zaręczynowy portret Cabriolaniego z twoim, który namaluje Richard Adams.

Richard Adams. Dźwięk nazwiska mojego byłego chłopaka wywołał piorunujący efekt. Szok, horror, odruch wymiotny. Zatkałam usta ręką, przekonana, że za chwilę puszcze pawia. Podbiegłam do okna i pod pozorem, że je otwieram, gwałtownie wystawiłam głowę na zewnątrz.

- Czy... - zająknęłam się - czy to ten facet z Anglii?

- Ten sam. - Elspeth zaklaskała w ręce z uciechy. Spojrzałam w dół. Wydawało mi się, że ziemia podskakuje.

- A więc słyszałaś o nim? - ciągnęła Elspeth. - To cudownie! Po raz pierwszy zwróciłam uwagę na jego prace, kiedy byłam w zeszłym roku w Londynie.

Wystawiał w October Gallery.

Dobrze pamiętałam tę wystawę. Na wernisazu oblałam właściciela galerii czerwonym winem.

- A wczoraj wieczorem zobaczyłam go znów w Arachne Gallery.

O Boże... Serce zatrzepotało mi na to wspomnienie.

- Jego prace są takie piękne. Nowoczesne, śmiałe w kolorze, a równocześnie mają w klimacie coś tradycyjnego.

Możliwe, że cytowała tekst z katalogu. Który sama dla niego napisałam.

- Strasznie mnie zafrapowało malarstwo Richarda Adamsa -entuzjasmowała się Elspeth, podczas gdy ja ścisnęłam kurczowo okienną ramę. - Tylu współczesnych młodych malarzy nastawionych jest głównie na to, by szokować. A w jego pracach jest coś, co wydaje się ponadczasowe. Mógłby malować równie dobrze w szesnastym wieku, jak i w sześćdziesiątym pierwszym. Wie, jak uchwycić emocje, tak, żeby przemawiało to do każdej ludzkiej istoty. Musi być niesamowicie wrażliwy.

- Tak - powiedziałam ledwie dosłyszalnie.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? Jak tylko zobaczyłam jego prace, powiedziałam sobie, że kiedy Eryk znajdzie żonę, doprowadzę do tego, żeby namalował ją właśnie ten człowiek. A podjęłam tę decyzję, stojąc przed portretem kobiety, która była do ciebie uderzająco podobna.

Jak miałam jej powiedzieć, że według wszelkiego prawdopodobieństwa stała przed moim portretem? Pozowałam do trzech prac, które miały być wystawione w October Gallery. Na dwóch z nich moja twarz była niewidoczna. Na trzeciej jednak, tej, na której siedzę przy oknie w naszym mieszkaniu w Tufhell Park, zostałam oddana tak wiernie, że dostrzegali to i chwalił każdy, kto mnie znał. Była to największa praca, jaką stworzył tamtego roku Richard, i stanowiła centrum ekspozycji. Została zreprodukowana na okładce katalogu. Katalogu, który wyciągnęła teraz Elspeth ze stosiku papierów i gazet na nocnej szafce.

- Zobacz, tu mam katalog - powiedziała. - To niesamowite... Wyglądacie jak bliźniaczki.

Nie widziałam tego obrazu, zatytułowanego *Kochanka 1*, odkąd został sprzedany firmie zajmującej się projektowaniem wnętrz, która kupowała hurtem dzieła sztuki dla jakiegoś banku handlowego. Richard dowcipkował, że obraz wisi teraz w toalecie dla personelu.

- Podobieństwo jest uderzające - przyznałam.

- Ona ma trochę większy nos niż ty - stwierdziła Elspeth. -Ale czy nie wydaje ci się to zrzędzeniem losu, że zwróciłam uwagę na tę pracę, po czym za jakiś czas okazało się, że będę miała wspaniałą synową, która jest tak podobna do tamtej modelki?

- Rzeczywiście, to zdumiewające.

Ścisnęłam dłońmi skronie. Mózg zdawał się rozsadzać mi czaszkę. Było mi gorąco. Kręciło mi się w głowie. Musiałam stąd uciec.

- No więc jak, podoba ci się? - naciskała Elspeth. Uwielbiałam ten portret.

Uwielbiałam go, bo wydawało mi

się, że z każdego pociągnięcia pędzla przebija miłość Richarda do mnie. Namalował mnie piękną, bo taką mnie widział. Nawet jeśli w czasie tej czy innej sesji czułam się jak baryłka. Nawet jeśli byłam przed okresem, obrzmiała, obsypana syfami i wyglądałam, jakbym od miesiąca nie spała. Sądziłam, że Richard potrafi przeniknąć te cielesne pozory, że dotrze do mojej prawdziwej istoty i uzna, że jest piękna.

W tej chwili nie byłam pewna, co widział, kiedy na mnie patrzył. Być może byłam dla niego po prostu odpowiednim ciałem, dzięki któremu kompozycja stawała się bardziej interesująca. Być może namalował mnie piękną, bo portret pięknej kobiety jest łatwiejszy do sprzedania niż wierna podobizna dwudziestoparolatki cierpiącej na zespół napięcia przedmiesiączkowego, obsypanej syfami i tak dalej.

- Przyjdzie o wpół do pierwszej - poinformowała mnie Elspeth. - Powiedziałam, że będziesz gotowa. Idź się uczesać, kochanie. Powinnaś wyglądać jak najlepiej.

No cóż. Nie tak to sobie wyobrażałam. Moje pierwsze spotkanie z Richardem od czasu tamtego okropnego popołudnia w Cafe Rouge miało nastąpić w sytuacji, gdy przyjdzie malować mój zaręczynowy portret do domu mojego narzeczonego w Malibu.

Jeśli kiedykolwiek sądziłam, że jeszcze się z Richardem zobaczymy, wyobrażałam sobie, że odbędzie się to tak, jak zazwyczaj odbywają się takie rzeczy. Kiedy rzucił mnie chłopak, udawało mi się unikać spotkania z nim aż do chwili, gdy któregoś dnia wychodziłam z domu w spodniach od dresu, które przeleżały się na dnie kosza z brudną bielizną, gdzie zostawiłam je, by sprawdzić prawdziwość pogłoski, że po jakimś czasie rzeczy piorą się same, jeśli tylko poleżą dostatecznie długo. Na twarzy nie miałam żdźbła makijażu, co nie znaczy, by była całkiem pozbawiona koloru. O nie, parę soczyście czerwonych okołomiesiączkowych syfów widniało na niej z pewnością. Miałam nieumyte włosy, być może ściągnięte z tyłu gumką w nietwarzowy koński ogon. Może

nawet miałam na głowie ciasną przepaskę, żeby nie włożyły mi w oczy tłuste kosmyki. Na brzuchu dźwigałam dodatkowe trzy kiio, a równocześnie w tajemniczy sposób skurczyły mi się piersi.

I wtedy spotykałam byłego chłopaka. Być może wpadałam na mego, kiedy wychodziłam z drogerii, studiując sposób użycia leku na odciski. Albo gorzej, wychodziłam z księgami, studiując okładkę mojego najnowszego nabytku, jakiegoś poradnika w stylu *Jak przetrwać rozstanie z partnerem i zacząć nowe życie. 10 łatwych kroków*.

- Lizzie! Wyglądasz tak... tak... - mówił chłopak.

Tak upiornie, kurczę blade, że wcale się nie dziwię, że cię rzuciłem.

W najgorszej wersji scenariusza byłby w towarzystwie nowej laski. Nazywałaby się Candida czy Bianca, i byłaby całkowitym przeciwieństwem mnie - biednej starej Lizzie. Mogła zrobić karierę supermodelki, ale uznała, że to zbyt powierzchowne i że lepiej przysłuży się ludzkości, jeśli zostanie prawnikiem. Obecnie reprezentowała prawa osieroconych dzieci w procesach przeciw wielkim korporacjom, które przyczyniły się do śmierci rodziców tychże sierot, bo nie zadbały jak należy o bezpieczeństwo i higienę w miejscu pracy. Albo też prowadziła badania, których celem było wynalezienie lekarstwa na AIDS, a w czasie weekendów uczyła tańca w Balcie Królewskim.

Powinam więc być zadowolona, że dowiedziałam się o moim spotkaniu z Richardem z pewnym wyprzedzeniem. Wiedziałam, że wyglądam teraz lepiej niż wtedy, kiedy zostawił mnie na chodniku w Richmond. Byłam bardziej opalona, szczuplejsza, miałam jaśniejsze włosy. Moja szafa była wypełniona po brzegi drogimi ciuchami. Mieszkałam w multimilionerskiej posiadłości w Malibu, z widokiem na ocean, jeździłam mercedesem, szykowałam się do ślubu, na który same zaproszenia były po pięćdziesiąt dolarów sztuka. Trudno wymarzyć sobie lepsze okoliczności, by stanąć twarzą w twarz z byłym partnerem, jeśli w ogóle jakiegokolwiek okoliczności mogły być tu odpowiednie. Wykluczone, by ktokolwiek mógł spojrzeć na mnie tego ranka i pomyśleć, że marnie mi idzie.

Ale ja wiedziałam, że to wszystko fałsz. Gdyby nie Ed Straus-ser i jego idiotyczny zakład, dalej mieszkałabym w pełnej karaluchów ruderze w Venice Beach. A może nawet i nie to... Byłabym z powrotem w Solihull i tyrałabym jako pomoc biurowa w firmie Łzawej Sally. No a Richard miał się znakomicie. Wyglądał

rewelacyjnie. Ubierał się w szpanerskie szmaty. Przebywał w Los Angeles na zaproszenie właściciela jednej z najmodniejszych galerii i miał narzeczoną, która naprawdę zamierzała za niego wyjść.

Ktoś z zewnątrz mógłby pomyśleć, że wysoko zaszłam od tamtego sobotniego popołudnia na chodniku w Richmond. Mogłam jednak oszukać wszystkich innych, ale nie siebie.

- O Boże - westchnęłam, patrząc na odbicie swojej opalonej twarzy w lustrze toaletki. Przez głowę przebiegały mi dziesiątki tekstów.

- A więc znowu się spotykamy.

To było rodem z Bonda. Bond i Blofeld.

- O, to ty! Fajnie, że cię widzę!

W te słowa odezwała się Mary, kiedy natknęła się w kolejce do toalety na pewną gwiazdę opery mydlanej.

Pewne rzeczy dzieją się w sposób naturalny, próbowałam przekonać siebie samą. Co to ja powiedziałam, kiedy spotkaliśmy się z Richardem po raz pierwszy? Niezbyt wiele, prawdę mówiąc.

Nawalona jak stodoła, po prostu stoczyłam się ze schodów prosto w ramiona Richarda. Nie przestał czulić się do mnie nawet wtedy, kiedy po pierwsze niezdarnej próbie pogładzenia mnie po głowie moje fałszywe blond loki zostały mu w rękę. (Byłam przebrana za Agnethę z zespołu Abba). Nie znałam nawet jego imienia... Dowiedziałam się tego dopiero rano. Nie przygotowywałam się do mojej pierwszej nocy z Richardem. Po prostu tak jakoś wyszło. Rzuciłam się na niego ze schodów i do rana znał już cały repertuar moich sztuczek.

Na myśl o tym trudno mi było odpędzić smutek. Kiedy byliśmy razem, czułam coś w rodzaju dumy, że tak szybko osiągnęliśmy porozumienie. To dowód na to, mówiłam sobie, że wcale nie trzeba zachowywać się miesiącami jak piczka-zasadniczka, żeby mężczyzna cię szanował. Możesz od razu zaspokoić swoje potrzeby jak człowiek dorosły i mimo to stworzyć pełnowartościowy związek. W tej chwili jednak zastanawiałam się, czy przypadkiem rozkład nie zaczął się już w momencie, gdy przerwałam Richardowi szczytowanie, żeby spytać, jak ma na imię. Zbyt wiele, zbyt szybko, zbyt mało na później? Wnioski dla ruchu kobiecego, jakie stąd wypływały, były dosyć frustujące.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Poczułam kolejną falę mdłości. Ale to nie był on. Asystentka Alberta Goldsteina przywiozła moją ślubną suknię.

- Pan Goldstein życzy państwu Nordhoff wiele szczęścia na nowej drodze życia -
zaćwierkało dziewczę i wyciągnęło ku mnie długie złote pudełko. Spoczywała w
nim suknia, opakowana w niezliczone warstwy bibułki.

- Dziękuję - powiedziałam i zamierzałam zamknąć drzwi, gdy Abby Goldstein (była
wnuczką projektanta) przypomniała mi:

- Muszę się upewnić, czy dobrze leży.

Przeszliśmy do sypialni. Abby pomogła mi włożyć suknię. Stałam na stołku, a
ona zaczęła poprawiać rąbek. Obcisły sznurowany stanik leżał na mnie jak ulał.

- Kiedy ja byłam dziewczyną, pokazywanie ramion uchodziło za bardzo ryzykowne
- powiedziała Elspeth.

Stanik przechodził w sięgającą podłogi szyfonową spódnicę poznaczoną
punkcikami diamentów i perełek. Na samym staniku lśniących kamieni było jeszcze
więcej, po to, by uwydatnić subtelny haft w kształcie serca, znajdujący się pośrodku.
Kiedy przyjrzałam mu się dokładnie, dostrzegłam wewnątrz konturu serca dwie
litery E. Eryk i Elizabeth.

- To przeznaczenie - powiedziała Elspeth. - Na mojej sukni też było dwa E. Elspeth
i Ernest.

Ernest... Po raz pierwszy Elspeth wymówiła przy mnie imię męża. Dotychczas
zawsze mówiła o nim per „ojciec Eryka”. W jej oczach zalśniły łzy, kiedy patrzyła,
jak Abby ciałniej sznurowuje mi stanik za pomocą skomplikowanej sieci wiązań.
Kiedy skończyła, Elspeth poprosiła ją, żeby na parę minut zostawiła nas same, bo
musi dać mi coś, co trzymała specjalnie na tę chwilę. Abby zniknęła. Elspeth
wręczyła mi niewielkie różowe pudełko.

- Coś starego, coś nowego, coś pożyczonego... To będzie to stare.

Po otwarciu pudełka okazało się, że jest w nim filigranowa tiara. Kruchy złoty
drucik, z perełkami i diamentami, został starannie wygięty w formę serca - replikę
wzoru, jaki zdobił przód sukni. Elspeth umieściła mi ją na głowie, a do mnie
powróciło wspomnienie tamtego momentu w Blushing Bride, kiedy to Mary
przymierzała koronę z tandetnej pasmanterii. Ta tiara była najpiękniejszą rzeczą,
jaką kiedykolwiek widziałam.

Kiedy tiara była na miejscu, Elspeth okryła mi włosy własnym welonem. Stałam
przed lustrem ubrana jak prawdziwa panna młoda.

- Piękna-mruknęła Elspeth.

Smutna - pomyślałam. Nie byłam w stanie zachwycać się tym strojem. Patrzyłam na swoje odbicie i miałam wrażenie, że widzę miss Havisham. Wesele nigdy się nie odbędzie, a ja spędzę resztę swoich dni, przeklinając mężczyznę, który porzucił mnie dla innej.

- Drrrrryńńńń! - rozległ się beztroski sygnał dzwonka.

- To musi być Richard Adams! - Elspeth wstała. - Idziemy, Lizzie. Schodzimy na dół.

Chwyciłam za oparcie krzesła, żeby utrzymać się na nogach. Wstrząsały mną na przemian fale mdłości i podniecenia. Jedyne, czego pragnęłam, to tego, by móc utrwalić ten niewiarygodny, nawet jeśli trochę nierealistyczny moment, kiedy ja wyglądałam wspaniale, a Richard czekał na dole, i istniały wszelkie dane, by sądzić, że kiedy mnie ujrzy, na nowo się we mnie zakocha.

28

Wyobraziłam sobie, że spłynę po schodach niczym Scarlett O'Hara, ale Richard prędko sprowadził mnie na ziemię.

- Wyglądasz jak jakiś duch przeszłości, kurza twarz - powiedział, rozstawiając w salonie swoje sztalugi. - Co ty tu robisz, na Boga?

Oczywiście inaczej było w obecności Elspeth. Richard, skończony profesjonalista, pozwolił, by nas sobie nawzajem przedstawiła i nawet drgnięciem powieki nie zdradził, że się znamy i że łączy nas intymna przeszłość. Dopóki Elspeth była z nami, Richard traktował mnie tak samo, jak traktowałby każdą inną osobę, którą ma malować. Omówiliśmy pozy, tło i liczbę seansów, jaka może być konieczna przy tym typie portretu. Kiedy Elspeth powiedziała: „Piękna, prawda? Aż przyjemnie taką malować”, Richard zgodził się i dodał: „Ma bardzo wyraziste rysy”.

- Jestem pewna, że znajdziecie wiele wspólnych tematów podczas malowania.

Przecież oboje pochodzicie z Anglii - uśmiechnęła się do nas Elspeth. - Richard mieszka w miejscu zwanym Tufnell Park, Lizzie. Słyszałaś o nim?

- O, tak - powiedziałam.

- Czy to pański pierwszy pobyt w Los Angeles? - spytała Elspeth mojego eksia o twarzy pokerzysty.

- Tak. Ale dosyć mi się tu podoba - odparł.

- Lizzie też się tu podoba - oznajmiła Elspeth. - Przyjechała, żeby pracować jako aktorka, wie pan. Ale potem poznała mojego syna Eryka i zakochała się. To był błyskawiczny romans. Zdumiewające, jak szybko się to wszystko potoczyło.

- Zdumiewające - zgodził się mój były narzeczony.

- Ale jeśli spotykamy osobę, w której najwyraźniej było nam przeznaczone się zakochać, po co czekać z tym dłużej?

- Nie warto czekać z tym dłużej. Trzeba to zrobić od razu pierwszej nocy - zgodził się z fałszywą uprzejmością Richard. Wiedziałam bezbłędnie, do czego pije... - Kiedy wesele? - spytał.

- W niedzielę.

- W niedzielę? Ale w takim razie mamy tylko...

- Trzy dni. To ekspresowe zamówienie, wiem, Richardzie. Ale Alex Wolper powiedział, że jeśli ktoś jest w stanie wykonać obraz błyskawicznie, to tylko pan.

- Pod warunkiem, że modelka nie wymaga szczególnej uwagi - dogryzłam mu w odwecie za tamtą szpilę na temat pierwszej nocy.

- No to co, w takim razie zostawiam was samych, Angole - powiedziała Elspeth. Kiedy żadne z nas się nie roześmiało, uznała, że po prostu nie zrozumieliśmy żartu.

- Tak nazywa się tutaj przybyszów z Anglii - wyjaśniła. Kiedy w końcu wyszła, Richard miał taką minę, jakby ssał cytrynę.

- A więc znowu się spotykamy. - Mimo wszystko odwołałam się do tekstu Jamesa Bonda.

- Na to wygląda - powiedział Richard. Rozpakowywał pędzle i farby, nie patrząc na mnie. - Tak mi się wydawało przedwczoraj w galerii, że to ty. Ale potem pomyślałem, co ty, na Boga, mogłabyś robić na otwarciu najlepszej galerii w Los Angeles?

- Dokładnie to samo pomyślałam o tobie - odparowałam. Richard rozstawił sztalugi. Te same drewniane sztalugi, które kupił za pieniądze, jakie zarobił na swoim pierwszym zamówieniu. Sztalugi, które kiedyś na jego urodziny oblepiłam karteczkami z napisem „Kocham cię”. Ciekawe, czy to pamięta...

- Z pewnością nie w takich okolicznościach spodziewałem się znów cię zobaczyć - powiedział, dokręcając śruby, które mia-

ły zapewnić sztaludze stabilność i odpowiednią wysokość. - Nieźle się urządziłaś - dodał. Te same słowa mój brat powiedział kiedyś do swojej eksnarzeczonej Julii. Pracowała jako dziewczyna do towarzystwa i wyszła za mąż za swojego szefa.

- Jestem bardzo szczęśliwa - skłamałam.

- I, jak się zdaje, będziesz też bardzo bogata.

- Eryk ma trochę pieniędzy - przyznałam.

- I będzie miał jeszcze więcej, kiedy starsza pani kopnie w kalendarz.

- Nie jestem z nim dla pieniędzy - powiedziałam obojętnie, - W przeciwieństwie do niektórych znanych mi osób, nie stawiam znaku równości między miłością a statusem.

- Czy on też patrzy na ciebie w ten sposób? - zadrwił Richard.

- Zakochałam się w Eryku, bo ma w sobie wewnętrzne piękno - powiedziałam.

- O, nie wątpię. Musi mieć - rzekł Richard, zdejmując z wieka fortepianu zdjęcie Eryka z matką, oprawne w srebro. - Głowę majak rozgnieciony różowy grejfrut.

- Zapomniałam już, jaką wagę przywiązujesz do wyglądu.

- Nie mogę uwierzyć, że wychodzisz za mąż - powiedział Richard. Stał przed sztalugą z rękami na biodrach i mierzył mnie takim wzrokiem, jakbym miała na sobie jakieś zawzione łachma-

- Dlaczego? - spytałam. - Chyba nie sądziłeś, że nikt mnie nie zechce, co?

- Trochę się odpicowałam, odkąd cię zostawiłem koło tej latarni w Richmond.

- Zdaje się, że masz malować - prychnęłam. - To był ostatni raz, kiedy upadłam tak nisko.

Richard pogardliwie pokręcił głową.

- To ty poprosiłaś tę starą wiedźmę, żebym cię namalował?

- Chyba żartujesz. Nie miałam pojęcia, co się święci, aż do dzisiejszego ranka.

- Ale wiedziałaś, że jestem w Los Angeles - powiedział oskar-życielskim tonem. - Widziałaś mnie w Arachne.

- To mógł być każdy inny - wzruszyłam ramionami. - Nie bardzo już pamiętałam, jak wyglądasz. A zresztą mogłeś powiedzieć, że jesteś strasznie zajęty, kiedy cię poprosiła, żebyś mnie malował.

- O, tak. Jak dwa razy dwa jest cztery... Proszę przyjść i namalować piękną Angielkę, która mieszka w Malibu i wychodzi za multimilionera. Lizzie Jordan to nie jest nazwisko, które przychodzi człowiekowi do głowy w takim momencie.

Umieścił na sztaludze szkicownik i z hałasem oderwał okładkę.

- Szybka jesteś - powiedział. Wyjął gruby czarny ołówek i zaczął z furją szkicować.

- Przykro mi - odparłam. - Czy powinnam była chodzić w żałobie przez następne pół roku?

- Kiedy rozmawiałem ostatnio z Mary, powiedziała mi, że pracujesz jako kelnerka w barze dla transwestytów...

A to mała! Natychmiast skreśliłam ją w myśli z listy gości na Boże Narodzenie.

- Widziałem się z nią na wręczaniu nagród Lister Badlands. Była z tym swoim głupim mężulkiem.

- Bill jest moim przyjacielem - powiedziałam z naciskiem.

- Beznadziejnych przyjaciół sobie dobierasz - stwierdził. - No więc, jak udało ci się poznać tego swojego narzeczonego, skoro ubierałaś się jak facet? Dorabiałaś sobie na boku jako panienka do towarzystwa?

- Niech cię szlag - rzuciłam. - Zaprosił mnie do siebie na przesłuchanie.

W pewnym sensie nie było to kłamstwo.

- Trzymaj głowę nieruchomo - powiedział Richard. - Muszę uchwycić jak należy twój nos... Cierp ciało, kiedyś chciało.

- No wiesz! - wykrzyknęłam. - Z jakiej racji... W drzwiach ukazała się głowa Elspeth.

- Świetnie nam idzie - powiedział Richard. - Właśnie odkryliśmy, że mamy wspólnych znajomych.

- To cudownie - zaćwierkała Elspeth. - Przyjdzie pan na wesele, prawda? Nikt z przyjaciół Lizzie nie był w stanie wyrobić się na czas.

- Nie ma czasu do stracenia? - zasugerował Richard, kiedy Elspeth ponownie zostawiła nas samych. - Z jakichś szczególnych powodów trzeba się spieszyć ze ślubem? Muszę powiedzieć, że zawsze podejrzewałem, że możesz skończyć w ten sposób. Próbując wrobić jakiegoś faceta, kiedy trzydziestka będzie na karku. Szczeka mi opadła. Zupełnie jakbym dostała piłką tenisową w żołądek...

- Kobiety... - powiedział pogardliwie. - „Richardzie, nigdy nie będę mogła nawet spojrzeć na innego mężczyznę!” - zakrzeczał ohydnie, przedrzeźniając mnie sprzed paru miesięcy, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

- Jak śmiesz? - syknęłam. - To wcale nie jest pośpieszny ślub. Nikogo nie wrabiam. A nawet gdyby, to nie twój zakichany interes! Straciłeś wszelkie prawa do komentowania mojego życia w momencie, kiedy wykopałeś mnie ze swojego mieszkania.

- Wcale cię nie wykopałem. Mogłaś zostać, dopóki nie znajdziesz sobie innego.

- Ach tak? A jak ja mogłam zostać? Jak mogłam zostać u ciebie i patrzeć, jak żyjesz sobie nadal obok mnie, aja usiłuję poskładać do kupy kawałeczki mojego potrzaskanego serca? Złamałeś mi serce! Zapomniałeś o tym?

- Nie mogę uwierzyć, że maluję cię w tej cholernej ślubnej sukni - mruknął, uznając najwyraźniej, że lepiej zignorować moje ostatnie oskarżenie. - Słuchaj, nie mogłabyś przekreślić się z krzesłem odrobinę w lewo? Ta waza rzuca ci taki śmieszny cień na twarz.

To się nazywa surrealizm... Minęły cztery miesiące od naszego ostatniego spotkania, i oto znów byliśmy razem, w okolicznościach, jakich nie wymyśliłby najbardziej pomysłowy powieściopisarz. Czy nie powinno być w tym więcej pasji? Czy nie powinniśmy się pobić, czy coś w tym rodzaju? Czy nie powinnam wyrwać mu z głowy parę garści włosów, za to, że tyle musiałam przez niego wycierpieć? Zamiast tego wszystkiego wdaliśmy się w pospolitą kłótnię. Nigdy nie kłóciliśmy się w ten sposób, kiedy byliśmy razem... Brzydkie, małostkowe obrzucanie się pretensjami, zęb za zęb. Nie pasowało to do mojego wyobrażenia, że to, co nas łączyło, to była namiętność równa tej, jaka łączyła Antoniusza i Kleopatę, Lancelota i Ginewrę, Liz Taylor i Burtona.

- Zabrałaś mi tamtą płytę CD z Mercheebą- powiedział w pewnej chwili Richard. - Myślałem, że będziesz pamiętać, że to ja ją kupiłem.

- Dobra, możesz sobie za to wziąć połowę mojej kolekcji George'a Michaela. Miałeś ją swoim odtwarzaczem w pracowni, jak się rozstaliśmy.

Była to wyjątkowo niekorzystna zamiana, bo od razu pomyślałam o Jennifer, która będzie słuchać *Fast Love*.

Ale tak to właśnie poleciało. Bardzo prędko zapomniałam, że mam na sobie ślubną suknię. Sejsmiczny potencjał tamtego nieprawdopodobnego, teatralnego, sensacyjnego momentu, kiedy Richard zobaczył mnie na szczycie schodów mojego wspaniałego domu w Malibu, wyglądającą w tej sukni jak gwiazda filmowa, rozpląnął się w nicości. Moje pieczołowicie przygotowane teksty pozostały niewypowiedziane. Richard, ponury, zły, szybkimi pociągnięciami gryzmolił w szkicowniku moją podobiznę. Szok ustąpił miejsca irytacji.

A namiętność?

Czy w ogóle kiedykolwiek istniała między nami jakaś namiętność?

Złapałam się na tym, że wpatruję się w jego ręce, które błędziły kiedyś po całym moim ciele, które pieściły jego najbardziej sekretne zakątki, dopóki niemal nie płakałam z podniecenia.

Co widział Richard, kiedy na mnie patrzył? Czy wspominał, jak go dotykałam? Czy pamiętał zapach mojej skóry, tak jak ja pamiętałam jego męski zapach tuż po kąpieli? Czy widział coś poza liniami i płaszczyznami światła i cienia, kiedy patrzył na moją twarz?

Szkicował prawie dwie godziny, nie mówiąc już więcej ani słowa oprócz: „Masz dwie minuty, żeby się przeciągnąć”, kiedy musiał naostrzyć ołówek. Następnie kazał mi z powrotem usiąść i dalej bazgrał zawzięcie w zupełnym milczeniu, tak jakbym była martwą naturą.

Przez cały czas kłębiły mi się w głowie rzeczy, które chciałam mu powiedzieć, pytania, które chciałam mu zadać. Chciałam go spytać o Jennifer, bo ani razu nie wymienił dotąd jej imienia.

Czy była z nim w Los Angeles?

- Richardzie - zakaszlałam, zbierając całą odwagę, jaką dysponowałam. - Czy to prawda, że...

Rozległ się dzwonek.

- Lepiej idź otwórz - powiedział.

Narzuciłam na ślubną suknię szlafrok i ruszyłam do drzwi. Na progu stał Scott Walker. Na mój widok z troską uniósł brwi. Momentalnie pomyślałam o najgorszym.

Brandi prosiła, żebym ci to dal - powiedział, wręczając mi zwykłą białą kopertę. O Boże - pomyślałam. - Ostatnia wola i testament. Drżącą ręką wzięłam od niego list.

- Co z nią?

- Wszystko dobrze.

- W takim razie co... - Rozerwałam kopertę.

„Proszę, pocałuj oddawcę tego listu” - napisała Brandi chwiejnym charakterem pisma.

Z parsknięciem wypuściłam powietrze z płuc.

- Coś zabawnego? - uśmiechnął się Scott.

- Po co przyszedłeś? - spytałam, składając liścik Brandi. Uśmiech Scotta momentalnie zniknął. - To znaczy... chodzi o to, że jestem akurat zajęta.

- Portret?

- Elspeth ci powiedziała?

- A więc portret?

Zamknęłam oczy i pokiwałam głową.

- No i...

- Okropnie - mruknęłam.

- Czy on się...

- Nie pytałam.

Scott zmarszczył brwi. Po chwili spojrzał na tiarę na mojej głowie.

- Mój ślubny strój - wyjaśniłam.

- A więc...

- Muszę.

- Lizzie, jest coś, co chciałbym...

- Doktor Walker! Za późno.

- Lizzie, dlaczego trzymasz doktora Walkera na progu? Proszę wejść - zaprosiła go gestem do środka. - Napijemy się kawy.

- Właściwie to myślałem, Elspeth, że może zrobilibyśmy sobie małą przejażdżkę, ty i ja - powiedział Scott.

- Twoim volvo?

- Wiem, że to niezupełnie jest twój styl, ale...

- Kierowca z pewnością zrekompensuje mi to z nawiązką! Dokąd mnie zabierasz?

- Pogadamy o tym w samochodzie - powiedział. - To będzie coś w rodzaju magicznej podróży w nieznane. Nie potrwa długo. Może parę godzin. Patrzył na mnie z natężeniem, tak jakby chciał przekazać mi coś oczami. Elspeth, o dobre trzydzieści centymetrów niższa od nas obojga, nie dostrzegła tego. Czy z rozmysłem starał się usunąć Elspeth z mojej drogi?

- Idę po płaszcz - powiedziała Elspeth.

Scott pozostał na progu. W tym momencie obok drzwi wejściowych pojawił się Richard.

- Lizzie, potrzebna mi jest woda do mycia pędzli. Gdzie jest kuchnia? Przez moment patrzyli na siebie ze Scottem jak dwa tygrysy zabłąkane na kawałku nieoznakowanego terytorium.

- Cześć - powiedział Richard i ruszył do kuchni.

- To on? - spytał Scott.

- Tak.

- Trochę inaczej go sobie wyobrażałem.

- Ja też. Nigdy nie wyglądał tak dobrze jak teraz.

- Ty też wyglądasz bardzo ładnie - rzekł Scott. - To znaczy, w tej sukni. Piękna... Czy sądzisz, Lizzie, że my...
Znow pojawiła się Elspeth.

- No to idziemy - powiedziała. - Wszyscy gotowi? Scott skinął głową i podał jej ramię.

- Do zobaczenia... - zaczął.

- Na weselu? - podchwyciła Elspeth. - Wiesz, Scott, chyba nigdy jeszcze nie byłam taka podniecona. Przygotowania do wesela idą wyśmienicie. Lizzie była w euforii, kiedy powiedziałam jej, że Richard będzie ją malował. Okazuje się, że mają wspólnych znajomych...

Scott obejrzał się na mnie przez ramię. Pomachałam mu i zamknęłam drzwi. Kiedy się odwróciłam, stwierdziłam, że tuż za mną stoi Richard.

- Kto to był? - spytał.

- Scott Walker. Lekarz Elspeth.

- Przez chwilę wydawało mi się, że Eryk ma konkurencję. Wygląda na to, że jesteście sobie bardzo bliscy. Tyle szeptów...

- On leczy moją przyjaciółkę.

- Aha. - Richard nerwowo podrapał się w nos. - Myślę, że moglibyśmy napić się kawy, zanim wrócimy do pracy. Nie mogłem znaleźć ekspresu.

- Ja nastawię.

Poszedł za mną do kuchni i usiadł na wysokim stołku przy barze. Siedział i patrzył, jak przygotowuję kawę dla nas obojga. Byłam szczerze otulona szlafrokiem, żeby nie poplamić moich ślubnych falbanek. Richard zdawał się ogłosić zawieszenie broni. Spytał o ogród. Spytał o Picassa, który strząsał do morza pióra z ogona w wyimaginowanym tańcu godowym.

- Jakiś taki potargany - zauważył.

- Musi już być niemłody.

- Pamiętasz pawie w Battersea Park? Odwróciłam się do Richarda, zaskoczona.

- Co takiego?

- W tamtą niedzielę w październiku zeszłego roku - ciągnął. - Byliśmy na lunchu u Billa i Mary i wracaliśmy do domu przez Chelsea Bridge. Pamiętasz tamtego pieska, który wtykał mordkę pomiędzy pręty klatki i zarobił dziobem w nos?

- Tak - brzmiało to jak kraknięcie.

- A potem próbowałam kopać piłkę z tymi dziećmiakami i wylądowałam na plecach w błocie, a bachory nabijały się ze mnie.

- Też pamiętam.

- A ty znalazłaś tamten wielki głaz i powiedziałaś, że wygląda jak głowa mojego ojca - powiedział.

- Nie chciałam być niemila.

- Według mnie to było dość zabawne.

Po co on mi to teraz opowiada? Czy ma zamiar spytać, czy pamiętam, jak przeszedłszy piechotą całe centrum, znaleźliśmy się tamtego wieczoru w naszym mieszkaniu w Tufnell Park? Październikowe powietrze było ostre, płonęły jesienne ogniska. Kiedy skręciliśmy w drogę prowadzącą do naszego domu, zobaczyliśmy dwa fajerwerki. „Pierwsze tego roku” - powiedziałam. Jesień zawsze była moją ulubioną porą roku. W październiku poznaliśmy się z Richardem.

Czy miał zamiar spytać, czy pamiętam, jak zwinęłam się wtedy w kłębek obok niego i jak gadaliśmy o pierwszym święcie piątego listopada¹, które spędziliśmy razem? Też było to w parku Battersea. Objęci, oglądaliśmy fajerwerki wraz z tysiącami innych ludzi, ale mieliśmy wrażenie, że poza nami nie ma nikogo.

¹Bonfire Night albo Guy Fawkes Night - tradycyjne święto w Wielkiej Brytanii, podczas którego ludzie rozpalają ogniska i palą w nich kukłę mężczyzny zwanego Guy Fawkes (przyp.tlum.).

Czy miał zamiar spytać mnie, czy pamiętam, jak kochaliśmy się po raz pierwszy? Kochali jak należy, a nie kotłowali niezdarnie po pijaku w pościeli po tamtym wieczorze w klubie dla trampów. Było to w dwa tygodnie później. Zналиśmy się już na tyle dobrze, że mieliśmy ochotę kochać się przy zapalonym świetle. Wtedy też spędziliśmy popołudnie w Clapham Comraon. Richard przycisnął mi do czoła chłodny koniuszek nosa i wyszeptał: „Naprawdę śliczna jesteś, Lizzie”.

- Nie ma lepszego miejsca niż Anglia o tej porze roku - ciągnął teraz. - Los Angeles jest w porządku, ale nie ma tu właściwie czegoś takiego jak pory roku. U nas może być cholerny ziąb, ale mimo wszystko jesień jest taka romantyczna...

Podaliśmy mu kubek z kawą. Mleko. Dwie łyżeczki cukru. Wszystko tak jak zwykle. Kiedy brał ode mnie kubek, nasze palce zetknęły się na ułamek sekundy.

- Zawsze miałaś piękne ręce - powiedział. - Takie delikatne... Czy pamiętałaś, jak go pieściłaś? Słowo „dziękuję” uwięzło mi

w gardle... Jednocześnie odstawiliśmy kubki i wyciągnęliśmy ku sobie ręce poprzez blat baru. Nasze palce splotły się. Wpatrywaliśmy się w siebie ponad ekspresem do kawy. Serce waliło mi tak mocno, że, zdawało się, jeszcze parę sekund, a wyskoczy z piersi i spryska krwią T-shirt Richarda.

- Richard...

- Lizzie...

- Ja...

Jęknęliśmy równocześnie.

Richard uwolnił palce z uścisku i ujął moją twarz. Wychyliłam się ku niemu najdalej jak mogłam poprzez dzielący nas barenki. On wychylił się ku mnie. Był coraz bliżej... Automatycznie zamknęłam oczy. Czekałam na moment, kiedy jego wargi dotkną moich i...

Rozległ się łomot.

Ekspres do kawy rąbnął o podłogę i rozprysnął się na milion kawałeczków. Po białych marmurowych płytkach (sprowadzonych z Włoch na specjalne zamówienie!) rozprysnęły się bryzgi kawy, fusy i potłuczone szkło. Gorący płyn wylał mi się na kolana, ale nie czułam bólu. Niemal mocowaliśmy się z Richardem ponad barem. Jego język po furiacku splótł się z moim.

Nie przerywając ani na moment pocałunku, przebrnęliśmy z kuchni do sypialni.

Byliśmy niczym dwoje rozbitków, którzy

nagle znaleźli ład. Chwyciłam wygłodniałymi dłońmi T-shirt Richarda i ściągnęłam. Richard walczył z gorsetem mojej sukni. Usłyszałam trzask rozdieranej tkaniny i wyskoczyłam ze stanika niczym owoc liczi z łupiny.

- Lizzie!

- Richard!

- Moja... och... ja...

Było lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Lepiej niż ośmielałam się sobie wyobrazić, kiedy pozwalałam sobie na marzenia, że któregoś dnia znów będziemy razem.

Nasze ciała pasowały do siebie tak idealnie, że wydawało się niemożliwe, by kiedykolwiek istniał inny kochanek czy kochanka. To przeznaczenie... przeznaczenie...

Potoczyliśmy się w poprzek wielkiego łóża i padliśmy, chichocząc, na podłogę, owinięci w kołdrę od Versacego. Tarzaliśmy się po dywanie z fałszywego tygrysa, walnęliśmy o szafę i w końcu wróciliśmy na łóżko.

Twarz miałam podrapaną od jego zarostu. Jemu włosy stały dęba, zupełnie jakby włożył palce do kontaktu. Moja ślubna suknia leżała w kącie, ciśnięta jak ścierka.

Tiara, przygnieciona nieopatrznie kolanem, została spłaszczona na placek.

- Tak strasznie mi Ciebie brakowało! - wykrzyknęło któreś z nas.

W końcu rozdzieliliśmy się i popatrzyliśmy na siebie w zdumieniu.

- Czy powinniśmy to zrobić? - spytałam.

- Chyba nie - powiedział Richard.

Uśmiechnął się niepewnie. Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego twarzy, ale w ostatniej chwili zmieniłam zamiar i zamiast tego odgarnęłam swoje własne włosy.

- Nie mogę uwierzyć... To się wydaje takie właściwe, prawda?

- Ale to nie jest właściwe - powiedział Richard. - Jestem zaręczony.

- O Boże.

W jednej chwili wywindował mnie na szczyt świata i zepchnął na drugą stronę.

- Ty też wychodzisz za mąż - powiedział.

- Tak, ale... Ugryzłam się w język.

- Co my mamy robić? - spytał.

To oznaczało, że uważa, iż powinniśmy coś zrobić razem, prawda?

To był idealny moment na postkoitalnego dyma. Ale nie miałam papierosów.

Leżeliśmy obok siebie niczym średniowieczny lord z małżonką na katedralnym sarkofagu. Wyobraziłam sobie, że znajdujemy się w kartonowym pudełku, a nad naszymi głowami unoszą się puste bańki myśli. Richard westchnął. Ja westchnęłam. Richard znowu westchnął.

- Richardzie - spytałam w końcu - o co w tym wszystkim chodzi? Po pierwsze, dlaczego w ogóle się rozstaliśmy?

Potrząsnął głową.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że miałem coś w rodzaju kryzysu. Moje prace były rozchwytywane. Kręcili się koło mnie ważni ludzie. Myślę, że cały ten blichtr zawrócił mi w głowie. Narzeczona-modelka... tak, to się po prostu wydawało naturalne i oczywiste w tej sytuacji. Ale miałaś rację, Lizzie... Jennifer wygląda rewelacyjnie, ale poza tym niewiele można w niej tak naprawdę znaleźć. Jest zła, jeśli mam ochotę zostać w pracowni i malować cały wieczór, zamiast pójść z nią na przyjęcie. Cały czas tylko by chodziła na przyjęcia albo zakupy. Malarstwo jej nie interesuje, chyba że jakiś obraz został zreprodukowany na T-shirtcie od Jeana Paula Gautiera. Tak naprawdę to jedyna dziedzina kultury, jaka ją interesuje, to żywe kultury bakterii w jogurcie, który pije.

Stłumiłam chęć, by powiedzieć „a nie mówiłam”. Zamiast tego pokiwałam mądrze głową.

- Ale układa się między nami inaczej niż między tobą a mną. Ciebie zawsze widywałem wyłącznie w pizamie.

- Bo nigdy nie było cię w domu w ciągu dnia!

- Wiem. Ale jak się tylko poznaliśmy, ubierałaś się inaczej. Nosiałaś sukienki, obcisłe spodnie i dekolty, z których wydać było przedziłek. A pod koniec zaczęłaś wyglądać jak praczka. Wszystkie twoje rzeczy były jakieś takie szare i obwisłe. Przestałaś się malować. A lubiłem budzić się rano i widzieć się z tuszem rozmazanym wokół oczu w takie plamy jak u pandy.

- Naprawdę? A ja myślałam, że cię irytuje, kiedy pościel z egipskiej bawełny jest wysmarowana tuszem.

- To było seksy. Wolę przeprać parę poszewek, niż budzić się co rano obok kobiety, która wygląda, jakby dała sobie spokój z facetami i miała zamiar zacząć zapuszczać włosy pod pachami.

Och.

- Naprawdę tak wyglądałam? - spytałam.

- Czasami musiałem zamykać oczy, bo inaczej nie zniósłbym, że mnie dotykasz.

Odsunęłam się na moją stronę królewskiego łóża.

- Nic mi nie mówiłeś.

- A co miałem powiedzieć? „Kochanie, wyglądasz jak fle-ja”? Zabiłabyś mnie.

- Wobec tego wolałeś zabić nas.

- Przepraszam, Lizzie.

Wsparłam się na łokciu i popatrzyłam na niego.

- Mogłam się zmienić. Przecież teraz się zmieniłam - powiedziałam, odgarniając do tyłu rozjaśnione kalifornijskim słońcem włosy.

- Nie chodziło tylko o twój wygląd... Sprawiałaś wrażenie, jakbyś się poddała i we wszystkich innych dziedzinach życia. Po co ci były te wszystkie biurowe chałtury? Miałaś być aktorką! A jednak - podniósł z podłogi zgniecioną tiarę - wygląda na to, że ktoś zwrócił uwagę na twój talent.

- Tak. - Wzięłam od niego tiarę i spróbowałam przywrócić jej pierwotny kształt. - Ale ty dałeś sobie ze mną spokój. Nie wierzyłeś, że mi się uda.

- W ciągu roku miałaś tylko jedno przesłuchanie.

Wydęłam usta. Nie powiem mu, że od tamtej pory nie miałam tak naprawdę ani jednego.

- To się nazywa lojalność? - spytałam zamiast tego. - Brzmi to tak, jakbyś przeprowadził analizę kosztów i zysków i wyszło ci, że Jennifer daje większe gwarancje, że utrzymasz się na poziomie życia, do którego chciałbyś przywyknąć.

- Osoba, z którą jestem, to też element mojego wizerunku - powiedział, zupełnie jakby nie brzmiało to jak totalne świństwo.

- Gdzie ona teraz jest?

- W Londynie.

- Na długo przyjechałeś?

- Nie wiem. Kupiłem otwarty bilet. Jest niewielka szansa, że będę mógł trochę popracować w dawnym studio Davida Hock-neya. Alex Wolper bada możliwości wynajęcia go.

- Spełniłoby się twoje marzenie. Richard pokiwał głową. Pogładził mnie po włosach.

- Chcesz za niego wyjść? - spytał.

- Chcesz się z nią ożenić? Richard zagryzł wargę.

Z zewnątrz dobiegł chrzęst opon samochodowych po żwirze. Rzuciłam się do okna, przyciskając do piersi ślubną suknię. Przed podwójnym garażem zwolniło volvo Scotta.

- Szlag!

Richard już wskakiwał w spodnie.

- Szlag!

Walczyłam ze ślubną suknią. Włożyłam spódnicę przez nogi i szarpnęłam, usiłując podciągnąć błyskawicznie do góry.

- Szlag!

Richard zostawił mnie i pognał na dół.

Scott wysiadł z samochodu i obchodził go, żeby otworzyć drzwiczki od strony pasażera. Wyciągnął rękę do Elspeth, ale odrzuciła jego pomoc. Obserwując ich poprzez tiulowe firanki, równocześnie pośpiesznie usiłowałam zasnuwać wstążeczki na plecach. Elspeth po raz drugi zlekceważyła wyciągnięte ramię Scotta. Pogroziła mu palcem. Nie było słyhać, co mówi. Scott wzruszył ramionami i wrócił do samochodu.

W parę sekund później trzasnęły frontowe drzwi. Elspeth weszła do domu.

- Czy mogę pani pomóc zdjąć zakiet, pani Nordhoff? - usłyszałam głos Richarda.

- Doskonale dam sobie radę sama - warknęła. - Wybacz pan, mam migrenę.

Usłyszałam, jak idzie po schodach na górę. Kiedy wyjrzałam przez dziurkę od klucza, zauważyłam, że nie używa nawet laski. Najwyraźniej coś ją rozwścieczyło. Gdzie, na Boga, mógł ją zawieźć Scott, że wróciła w takim nastroju? Zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Za chwilę usłyszałam, jak podgłośnia telewizor na kanale z telezakupami.

Kiedy zeszałam ukradkiem na dół, Richard czekał na mnie w salonie. Zaczął już pakować pędzle i farby.

- Lepiej już pójdę - powiedział. - Jest w okropnym humorze.
- Ale... co będzie z... - zaledwie byłam w stanie go zapytać.
- Lizzie, oboje musimy się nad tym bardzo poważnie zastanowić. W tej chwili są w to wplątani jeszcze inni ludzie poza nami dwojgiem.
- Ja się nie muszę zastanawiać - zaczęłam. Richard jednak położył mi palec na ustach.
- Tyle masz tu teraz. Wątpię, czy kiedykolwiek będę w stanie zapewnić ci to, na co zasługujesz.
- Richardzie, ja wcale nie potrzebuję tej całej kasy... Pocałował mnie w czoło.
- Fatalnie cię potraktowałem, Lizzie. Nie mogę się teraz spodziewać, że tak po prostu zostawisz to wszystko, co tutaj dostałaś.
- To nie jest tak jak myślisz...
- Przyjdę jutro - powiedział.

30

Lizzie! Za ledwie Elspeth usłyszała, że wynajęty samochód Richarda odjeżdża, natychmiast zawezwała mnie na górę.

- Znajdź mi prędko numer Rady Lekarskiej. Czy Komitetu Medycznego. Czy... ojej, nie wiem dokładnie, jak tam się oni nazywają. Znajdź mi po prostu numer najważniejszego ciała medycznego w tym kraju. Chcę, żeby pozbawiono doktora Scotta Walkera prawa wykonywania zawodu.

Elspeth była czerwona z wściekłości. Jak szalona bazgrała coś w notatniku.

- Chcę, żebyś wysłała ten list - powiedziała.

Szanowni Państwo.

Piszę z ogromną skargą na doktora Scotta Walkera i proszę o wyciągnięcie w stosunku do niego możliwie najsurowszych konsekwencji. Doktor Walker popełnił bardzo poważne medyczne wykroczenie. Nigdy w życiu nie byłam tak upokorzona. Jak to możliwe, by człowiek, który nie potrafi odróżnić jednego końca

stetoskopu od drugiego, kierował oddziałem onkologii w tak prestiżowej placówce jak szpital św. Ekspedyta...

- Elspeth - przerwałam czytanie - co się dzieje?

- Nie jestem w stanie o tym mówić. Mogę powiedzieć wyłącznie przed sądem! Nie muszę dodawać, że Scott Walker nie będzie na weselu. Gdzie Eryk? Daj mi Eryka! - Wzięła drżącą ręką słuchawkę. - Słowo honoru, że skrócił mi życie o jeden dzień. Nie doczekam wesela. Daj mi Eryka!

Wybrałam numer jej syna najszybciej jak potrafiłam.

- Twoja matka jest w furii - powiedziałam.

- Nie możesz sobie jakoś z nią poradzić?

- Nie - powiedziałam. - Nie mogę.

Nie miałam pojęcia, co takiego zrobił jej Scott, i prawdę mówiąc, mało mnie to obchodziło. Znowu miałam w głowie tylko Richarda. Wrócił! Chce mnie! Choćby nawet Elspeth w tej sekundzie padła trupem, nie popsułoby mi to humoru.

- Masz Eryka - powiedziałam do Elspeth. - Ja idę umyć głowę.

Kiedy gorąca woda zaczęła spływać po moim ciele, przypomniało mi się tamto szalone popołudnie. Richard znów będzie mój. Wrócił.

Powiedział, że nie chce się żenić z Jennifer. A ja z pewnością nie miałam ochoty wychodzić za Eryka. I nie musiałam. Dwa tygodnie siedziałam z jego matką, ma mi za to zapłacić i ma to wystarczyć na pokrycie kosztów leczenia Brandi. A nawet gdyby nie wystarczyło, co lekarze mogli zrobić? Zabrać jej implant?

A jeśli chodzi o małżeństwo z Erykiem, po to żeby mógł dostać spadek i zrobić adaptację *Zmartwychwstania*? Po pierwsze, nie wierzyłam, że może stworzyć „największe arcydzieło sztuki kinematograficznej dwudziestego pierwszego wieku”. A jego pogróżka, że zakabluje mnie w Urzędzie Imigracyjnym? No i co? I tak zamierzałam wrócić z Richardem do Anglii.

Śpiewałam pod prysznicem, a Elspeth wydzierała się w tym czasie na syna. Co za okropna rodzina! Nie cierpiałam ich. Myślałam, że każdy będzie tańczył tak, jak mu zagrają, tylko dlatego, że mają kupę pieniędzy... Ale nie mają miłości. A ja mam. Znowu. Kiedy przyjdzie Richard, powiem mu, że jestem gotowa do wyjazdu.

Byłam pewna, że w tej chwili zastanawia się, w jaki sposób przekazać nowinę Jennifer.

- Hurra! - wyrzuciłam w górę zaciśniętą pięść w geście zwycięstwa.

Kiedy wyszłam spod prysznic, Elspeth dzwoniła tym swoim kretyńskim dzwoneczkiem.

- O co chodzi? - spytałam obojętnie.

- Eryk powiedział, że przyjeżdża dziś wieczorem. Widział, jaka jestem zdenerwowana, i zdecydował, że wróci wcześniej.

- To miło.

- Nie cieszysz się, że już wieczorem będzie z nami?

- Jasne, że się cieszę.

Jedna noc z tobą mniej, stara wiedźmo - oto co pomyślałam. Poszłam do sypialni z laptopem Eryka i zaczęłam wysyłać e-maile.

Najlepsza możliwa rzecz pod słońcem stała się ciałem - napisałam do Seemy. - Wrócił do mnie Richard. Nie wychodzę za Eryka.

Serdeczne dzięki za to, że powiedziałaś Richardowi, że pracuję w barze dla transwestytów - napisałam do Mary. - Na pewno przyjemnie ci będzie się dowiedzieć, że nie odstręczyło go to ode mnie i znów jesteśmy razem.

Droży staruszkowie - napisałam do mamy i ojca. - Zabijajcie tłuste cielę. Wracam z Los Angeles wcześniej, niż zamierzałam. Wiecie, z kim? Z Richardem!

- Wychodzę - oznajmiłam Elspeth. - Sama możesz przygotować się do snu.

Zostawiłam jąż otwartymi ustami i pomknęłam na dół. Wsiadłam do jaguara Eryka (mercedes wciąż był w warsztacie) i pojechałam do św. Ekspedyta.

- Jestem znajomą doktora Walkera - przypomniałam pielęgniarce z recepcji, kiedy otworzyła usta, by powiedzieć mi, że troszkę za późno na wizyty, i ruszyłam prosto do pokoju Brandi. Siedziała, wsparta o poduszki, i z zamkniętymi oczami słuchała, jak Gruby Joe czyta jej plotki ze świata show-biznesu z „National Enquirer”.

- Lizzie! - wykrzyknął na mój widok Gruby Joe. Usiadłam przy łóżku Brandi. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- O, Lizzie. Chciałabym cię uścisnąć, ale... - skrzywiła się, kiedy usiłowała się wychylić w moją stronę. - Czuję się tak, jakbym miała piłkę od kręgli pod pachą, tam gdzie mi usunęli gruczoły limfatyczne.

- Ajak...

- Mój nowy cycek? W tej chwili mam wrażenie, że wsadzili mi tam worek kamieni.

- I co teraz?

- Po prostu muszę się pozbierać. Doktor Scott mówi, że tym razem nie będzie potrzebna chemioterapia. To świetny facet... Nie wypadnąmi włosy. - Spojrzała znacząco na Grubego Joego. - Choć myślę, że tobie powinny.

Znów miał na głowie tę ohydną perukę afro.

- No i - Brandi sztywno odwróciła się w moją stronę - jak tam nasza panna młoda?

- Właśnie dlatego przyszedłam, żeby ci powiedzieć - odparłam. - Nie wychodzę za mąż.

- A co z kasą? - przerwał mi Gruby Joe.

- Wszystko w porządku. Rozpracowałam to. Leczenie jak dotąd zostało opłacone i Eryk nie ośmielił się żądać zwrotu. Doniosłabym na niego.

- Jak to? Co się stało? Brandi była oszołomiona.

- Pamiętasz, jak wróżyłaś mi z kart tarota? - przypominałam jej. - No więc przepowiednia się sprawdziła. Wrócił do mnie. Dziś rano Richard przyszedł malować mój portret i zanim wyszedł po południu, zdecydował, że nie chce się żenić z Jennifer. Chce, żebym do niego wróciła.

- Naprawdę? - spytał Gruby Joe.

- Coś taki, kurczę, zaskoczony? Wiedziałałam, że tak będzie. Wiedziałałam, że jeśli pobędę z nim sam na sam dostatecznie długo, przypomni sobie, co nas łączyło... Kiedy mnie pocałował, to było tak, jakby obojgu nam wyrwało się westchnienie ulgi. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Jennifer to przerywnik.

- Odwołał zaręczyny? - spytała Brandi.

- Jestem pewna, że właśnie w tej chwili to robi.

- A co ci konkretnie powiedział?

- Powiedział, że musimy się oboje bardzo poważnie zastanowić, co dalej, ale ja wiem, co to znaczy. Zamierza z nią zerwać.

- Ale nie powiedział, że zamierza zrobić to dziś wieczorem.
- Nie użył dokładnie takich słów.
- A w ogóle jakichś użył? - spytał Gruby Joe. Zdenerwowałam się.
- Nie chcecie, żebym była szczęśliwa?

Gruby Joe i Brandi wymienili znaczące spojrzenia.

- Nie działaj pochopnie - powiedzieli. - Poczekaj, aż będziesz miała dowody, że podjął decyzję.

- A w każdym razie poczekaj, dopóki nie potwierdzi, że odwołał zaręczyny, zanim powiesz mu, że nie wychodzisz za Eryka - radziła Brandi. - I zanim powiesz Erykowi - dodała.

- Nie jestem głupia.

Nie wyglądali na przekonanych.

- No cóż, przynajmniej możecie życzyć mi szczęścia - powiedziałam.

- Wszystkiego najlepszego.

- Jeśli jutro nie przyjdę, to znaczy, że uciekłam z ukochanym.

Śmignęłam z powrotem na parking, zatrzymując się tylko na chwilę przed gabinetem Scotta. Sądziłam, że być może powinnam ostrzec go, że Elspeth kopie pod nim dołki. Scotta jednak nie było. Recepcjonistka powiedziała, że wziął parę dni wolnego, ale w razie nagłego wypadku może się z nim skontaktować.

- Nie ma potrzeby - powiedziałam. - Może tylko powie mu pani, że Lizzie Jordan też nie będzie w niedzielę na weselu.

Recepcjonistka zmarszczyła nos, ale zapisała wiadomość tak, jak prosiłam.

Jak na skrzydłach wróciłam do Malibu. Byłam rozczarowana, że Gruby Joe i Brandi nie wpadli w euforię, słysząc moje wieści, ale uznałam, że mają wszelkie prawo do niepokoju o to, czy moja decyzja o niewychodzeniu za mąż za Eryka nie będzie miała negatywnego wpływu na leczenie Brandi. Ale przecież już za nie częściowo zapłaciłam. Eryk wstydziłby się wycofywać pieniądze, które dotychczas wpłynęły. A o mnie nie muszą się martwić. Zanim położyłam się spać, tysiąc razy odtworzyłam w umyśle przebieg wypadków i nie miałam

cienia wątpliwości, że jutro Richard przyjdzie i poprosi, żebym do niego wróciła. Dam mu szansę, żeby to on wykonał pierwszy ruch, ale tylko dlatego, żeby mieć tę satysfakcję i przez jeden króciutki moment widzieć, jak się odrobinę denerwuje, bo nie ma pewności co do moich uczuć.

Dopiero gdy będziemy z powrotem w Tufnell Park, powiem mu, że nigdy nie istniał dla mnie nikt inny. We właściwym czasie to wyznanie tym bardziej nas zbliży.

Okolo trzeciej nad ranem usłyszałam, jak przed dom zajeżdża taksówka. Z samochodu wylazł Eryk. Linia jego ramion świadczyła, że nie cieszy się specjalnie z powrotu do domu. Trzasnął drzwiami, nie przejmując się ani trochę tym, że w domu śpią ludzie. Co nie znaczy, że Elspeth spała. Słyszałam, jak woła coś słabym głosem. - Jestem, mamo! - zawołał w odpowiedzi Eryk. - Wróciłem, żeby się tobą zająć. Naciągnęłam kołdrę na uszy i odwróciłam się na drugi bok. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny i żadnego z tych wstrętnych Jankesów nigdy więcej nie zobaczę na oczy.

31

Nazajutrz rano śpiewałam, przygotowując śniadanie dla Elspeth.

- Ostatni raz - mówiłam sobie, ciskając sadzone jajko na kromkę pełnoziarnistego chleba. Ani o to prosiła, ani lubiła, ale mało mnie to obchodziło. Lada moment przyjdzie Richard i zabierze mnie stąd.

- Wyglądasz dziś na bardzo wesołą- zauważyła Elspeth. -Pewnie dlatego, że Eryk wrócił.

W rzeczywistości w ogóle się z Erykiem nie widziałam, odkąd wrócił z Hawajów. Dotąd nie wytknął nosa ze swojej sypialni.

- Dziś rano przyjdą cateringowcy, żeby poustawiać swoje urządzenia - powiedziała Elspeth. - Będiesz mogła dopilnować, żeby nie podeptali kwiatów, kiedy będą rozstawiać namiot w ogrodzie?

- Być może - powiedziałam tajemniczo.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli, że być może będę musiała pomóc Erykowi ścigać tych paru maruderów z listy gości - powiedziałam słodko.

Elsbeth zmarszczyła brwi znad swojego jajka.

- Wiesz co... jakoś nie mam apetytu. Och, zapomnij o tym, co powiedziałam. Masz milion spraw do załatwienia.

Mój „milion spraw do załatwienia” polegał tego ranka głównie na wypatrywaniu na Pacific Coast Highway małego czerwonego wynajętego samochodu. Kiedy Richard po mnie przyjedzie? Czy będzie czekał aż do momentu, kiedy miał podjąć malowanie, po prostu na wypadek, gdybym zdecydowała się nie odchodzić od Eryka?

Marzyłam, żeby do niego zadzwonić, ale nie wiedziałam, gdzie się zatrzymał, a nie chciałam prosić o jego numer Elspeth. Kiedy zbliżało się południe, zastanowiłam się przelotnie, czy czasem mnie nie rzucił. Może Brandi miała rację. Może wczoraj nic dla niego nie znaczyło... I wtedy go zobaczyłam. Mały czerwony datsun z piskiem skręcił z autostrady na podjazd prowadzący do posiadłości Eryka.

Z samochodu wyskoczył Richard. Wyglądał nieporządnie, zupełnie jakby całą noc nie spał. Zadzźwięczał dzwonek u drzwi. Rzuciłam się do drzwi, ale Eryk mnie uprzedził.

- Eryk Nordhoff?-spytał Richard.

- Tak jest. A pan...

- Muszę z panem porozmawiać. Czy możemy przejść do pańskiego gabinetu?

O Chryste. Serce zatłukło mi się w piersi niczym tylna noga najlepszego przyjaciela Bambi. O Chryste... Zaraz mu o wszystkim powie. Jakie to romantyczne! Richard wszedł z Erykiem do gabinetu, żeby mu powiedzieć, że mnie nie dostanie.

Wiedziałałam, że to zrobi. Wiedziałałam, że mnie kocha. Wiedziałałam, że będzie mój na zawsze.

Zaczęłam się pakować. Kiedy jednak walizka od Louisa Vuittona na kółkach była już w połowie pełna, uznałam, że to przesada, żeby uciekać z walizką Eryka, i przełożyłam moje markowe ciuchy do torby Debenhams. Tymczasem wciąż jeszcze byłam w szlafroku. Rozłożyłam dwie moje ulubione kreacje na łóżku,

i zaczęłam się zastanawiać, która będzie bardziej odpowiednia do ucieczki. Chciałam wyglądać tak, by Richard zapamiętał to na zawsze. Chciałam, by opowiadając tę historię naszym wnukom, mógł powiedzieć: „Kiedy zobaczyłem ją w tej czerwonej sukience od Gucciego, wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję”. A może wolałabym, żeby powiedział: „Kiedy stanęła przede mną w czarnej Coco Chanel, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie kochałem żadnej kobiety tak jak jej”? Przykładałam do siebie na przemian to jedną, to drugą kreację, usiłując równocześnie wyłapać uchem, jak rozwija się sytuacja na dole. Nie było słychać żadnych krzyków. Czy chciałabym, żeby były krzyki? Nie byłam pewna, ale wydawało się to jakoś właściwe, biorąc pod uwagę, że Richard kradł Erykowi narzeczoną.

Zdecydowałam się na czerwoną od Gucciego. Wiedziałam, że ryzykuję, iż ilekroć będę w przyszłości odtwarzać w pamięci ten moment, w głowie pojawi mi się niczym ścieżka dźwiękowa z *Woman in red* Chrisa de Burgha, ale to była naprawdę moja ulubiona sukienka. Obcisła, a jednak skromna. Jedwabna dzianina podkreślała moje kształty i sprawiała, że przypominałam w niej współczesną wersję Goldie Hawn. Podobałam się sobie.

- Jestem gotowa, Richardzie - szepnęłam do mojego odbicia w lustrze.

Jeszcze szybkie przeciągnięcie czerwonaśminką po wargach - i stanęłam u szczytu schodów.

W samą porę, żeby usłyszeć, jak trzaskają frontowe drzwi. Rozległ się pisk opon czerwonego samochodu.

U podnóża schodów stał Eryk, z wyrazem twarzy, jaki miała moja matka, kiedy odkryła, że cała jej kolekcja Royal Doulton Ladies została ustawiona w szeregu i użyta przez Golina jako cel, kiedy dostał w prezencie wiatrówkę. (Powiedział, że to ja go do tego namówiłam, rzecz jasna).

- Wybierasz się dokądś? - spytał.

- Ja... eee... Czy to był Richard?

- Ona się pyta, czy to był Richard! No jasne, że to był twój Richard, ty szachrajko...

Elsbeth, niezmordowana strażniczka rozkładu dnia, wystawiła głowę ze swojej sypialni.

- Lizzie, czy dzwonił dziś do ciebie dyrygent orkiestry? Pomyślałam, że może chciałabyś mieć coś bardziej triumfalnego niż Bach, kiedy będziecie szli od ołtarza. Co byś powiedziała na *Przybycie królowej Saby*?

- Mamo - przerwał jej Eryk - Lizzie i ja mamy przedślubną rozmowę. Weszłam za nim do gabinetu.

- Nie zdołasz nas rozdzielić - wyrzuciłam z siebie. - Choćbyś mi groził nie wiem czym. Mój dawny szef z Ladyboys to *made mcm*.

- Nie boję się twoich koneksji z mafią- prychnął Eryk. - Ale z Richardem już nigdzie nie uciekniesz.

Pchnął w moim kierunku kopertę.

- Powiedział, żebyś ci to dał. Myślę, że to mówi samo za siebie.

Usiadłam i zaczęłam czytać. *Moja droga Lizzie!*

Kiedy będziesz czytać ten list, ja już odjadę. Tak jak obiecałem, przyszedłem, żeby powiedzieć Erykowi o nas i poprosić, żeby cię zwolnił z uczestnictwa w weselu. Powiedziałem mu, że uważam wasze zaręczyny za szwindel i że kocham cię bardziej niż on. Ale w miarę jak rozmawialiśmy, zdałem sobie sprawę, że byłem w błędzie. Eryk to wspaniały facet, Lizzie, i naprawdę kocha cię bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić. Udręka w jego oczach, kiedy powiedziałem, że mamy zamiar uciec, przekonały mnie, że zależy mu na tobie bardziej niż na własnym życiu. Może dać ci szczęście, jakiego, jak uświadomiłem sobie w ostatniej chwili, ja nie byłbym w stanie ci dać.

Nie rpiej mi więc za złe, Lizzie, że przeze mnie musiałaś przez to wszystko przejść. Życzę ci, żebyś miała wspaniały ślub i żebyś była szczęśliwa beze mnie. Jestem pewien, że będziesz. Masz miłość. Masz namiętność. I masz tę cholerną posiadłość! Któregoś dnia na pewno zdasz sobie sprawę, że dokonałem słusznego wyboru.

Całuję Cię Twój na zawsze (w duchu) Richard

Co? Erykowi zależy na mnie bardziej niż na własnym życiu? Przeczytałam list jeszcze ze sześć czy siedem razy, żeby zobaczyć,

czy za kolejnym razem nie zdołam dostrzec w tych niewiarygodnych słowach jakiegoś sensu. Ale nie. Richard znów mnie porzucił. I to dlatego, że myślał, iż Eryk kocha mnie bardziej.

- Coś ty mu powiedział? Ty sukinsynu!

- Lizzie - Eryk położył mi rękę na ramieniu. - Wiem, co oplakujesz. I bardzo mi przykro.

- Postarałeś się, żeby myślał, że mnie kochasz, bo chcesz zagarnąć kasę twojej matki. Zaprzepaściłaś moją jedyną szansę na to, żebym była szczęśliwa, dla swoich odrażających celów. Zrujnowałeś mi życie!

- Nieszczęsna, oszukana dziewczyno - mruknął. - Powiedziałem twojemu ukochanemu Richardowi, że może opuścić ten dom z tylko jedną piękną kobietą i dałem mu trzy sekundy do namysłu.

- Co to znaczy? - parsknęłam z odrazą.

- Albo ty, albo Hockney.

Odrzuciłam się gwałtownie. Na zblakłej od słońca ścianie gabinetu Eryka widniała jasnoczerwona plama. W miejscu, gdzie dotychczas wisiał Hockney. Portret roześmianej dziewczyny zniknął.

- Wybrał Muriel - powiedział Eryk. - Przykro mi. Kiedy ją wziął w spocone dłonie, miałem wrażenie, że o niczym nie marzy bardziej, niż o tym, by uwierzyć, że ty i ja jesteśmy dla siebie stworzeni.

Wciąż wpatrywałam się w jaskrawą plamę na ścianie. Muriel. A to wiedźma. Byłam gotowa zwalić winę na kobietę, rzecz jasna, nawet jeśli było to tylko malowidło, wykonane farbami akryłowymi na papierze.

- Nie miej mi za złe - powtórzył Eryk. - Przypuśćmy, że nie miałem ochoty stanąć twarzą w twarz z moją matką, gdyby ślub został odwołany, ale zrobiłem to i dla ciebie, Lizzie. Podejrzywałem, że Richard pragnął cię tylko dlatego, bo myślał, że jesteś moja. I wygląda na to, że miałem rację.

- Jak mogłeś kazać mu wybierać między mną a Hockneyem? - spytałam. - Nie miałam szansy w tej konkurencji.

- A powinnaś była mieć. Nie rozumiesz tego? Nie sądzisz, że człowiek, z którym masz zamiar spędzić resztę życia, powinien myśleć, że jesteś bezcenna?

Pytanie było jak najbardziej na miejscu, ale w moim stanie umysłu raczej nie potrafiłam udzielić na nie prawidłowej odpowiedzi. Zamiast tego zaczęłam drzeć się na Eryka, że poddał Ri-

charda nieuczciwej próbie. Nie dostrzegałam, że wybierając obraz, Richard okazał mi taki sam brak zainteresowania, jak wtedy, kiedy upierał się, żebyśmy oglądali powtórki meczu, który już widział, gdy ja wołałam oglądać balet. Mógł to zrobić, bo wiedział, że i tak w ogóle się tym nie przejmę. Pewnie pomyślał, że zabierze obraz i wróci po mnie później, kiedy się rozwiódę i będę właścicielką połowy Erykowego pałacu w Malibu.

To nie może być koniec, powiedziałam sobie. Richard zabrał ten obraz jako element naszego planu ucieczki. Nawet w tej chwili, gdy ocieram łzy, on na pewno jest w jakimś domu aukcyjnym, gdzie Muriel zostanie wyceniona i wystawiona na sprzedaż, a zysk będzie stanowił wkład w nasze własne słoneczne miejsce na ziemi. - Do roboty - powiedział Eryk. - Jutro czeka nas ślub.

32

Dom dekorowano bajecznie. Sztab ogrodników przyszczygał krzewy, nadając im na okoliczność ślubu formę serca. El-speth sugerowała, żeby zabarwić wodę w fontannie na różowo, by harmonizowała z kolorem kwiatów, wstążeczek i ekstrawaganckich ozdóbek, które zwisały ze wszystkiego, co się nie ruszało. Zauważyłam, że raczej nie wypadnie to romantycznie, a przeciwnie, będzie sprawiało wrażenie, że kogoś zasztyletowano w fontannie.

Nawet pawia odpicowano z okazji uroczystości. Ogrodnik, którego obarczono obowiązkiem schwytania neurotycznego ptaka i wsadzenia do kąpieli, miał zamiar wystąpić do sądu o odszkodowanie za straty, jakie poniósł, kiedy Picasso wyraził swoją dezaprobatę za pomocą dzioba.

Cateringowcy objęli we władanie kuchnię i ustawili na tyłach ogrodu swoją przyczepę, w której mieli w magiczny sposób wytwarzać całe szeregi kanapeczek równie wyrafinowanych i ozdobnych, jak każda sztuka porcelany, schodząca z linii produkcyjnej u Wedgewooda.

Skoro upadł plan zabarwienia fontanny na różowo, Elspeth wpadła na inny genialny pomysł - żeby pokryć wodę w fontannie

i basenie płatkami róż. Różanymi płatkami miała być też wysypana ścieżka prowadząca z domu do ołtarza. Było to taaaakie romantyczne.

A moje serce krwawiło. Nosiłam przy sobie ostatni list Richarda, jakby to był ostatni list do domu napisany przez żołnierza z Somalii. Ilekroć zostawałam sama - co nie zdarzało się często, ponieważ El-spath sprawiała wrażenie, iż przyrosła do mojego boku podczas tych ostatnich przygotowań - czytałam go wciąż i wciąż na nowo, usiłując dostrzec pośród tych pośpiesznie nabazgranych linijek jakiś trop, dzięki któremu mogłabym poczuć się mniej beznadziejnie.

Nie, on na to nie pozwoli. Nie pozwoli, żebym wyszła za innego mężczyznę. Po tym, jak byliśmy ze sobą w tamo popołudnie? To był seks uduchowiony. Nabrałam pewności, że nie tylko jest nam przeznaczone, byśmy dzielili ze sobą to życie, ale że i w paru poprzednich byliśmy razem.

Elspeth zauważyła mój nastrój, ale wytłumaczyła go sobie po swojemu.

- Wigilia wesela to trudna chwila dla dziewczyny. Pewnie się zastanawiasz, czy uda ci się sprostać oczekiwaniom męża, i okropnie się denerwujesz. Ale nie ma się o co denerwować - poklepała mnie po ramieniu i nachyliła się bliżej. - Te sprawy nie są tak okropne, jak być może podejrzewasz.

Te sprawy? Czyżby myślała, że jestem dziewicą?

- No i jesteś tu bez matki - ciągnęła. - Ze smutkiem myślę, że omija jącała ta przyjemność. Jestem pewna, że cały czas o tobie myśli.

Możliwe. Choć bardziej prawdopodobne było, że jest w Klubie

Towarzystwo-Sportowym z ojcem, Colinem i Sally. Jeśli w ogóle o mnie rozmawiają, to pewnie zastanawiają się, kiedy wrócę do domu.

- Jak myślisz, miała do tej pory jakieś przesłuchania? - pyta mama.

- Nie sądzę - odpowiada Colin. - Na pewno niedługo da sobie spokój z tą kawiarnią i wróci do domu, żeby poszukać jakiejś sensownej pracy.

Nawet w najśmielszych snach nie podejrzewają, że za niespełna dwadzieścia cztery godziny wyjdę za mąż za milionera.

Eryk chciał porozmawiać na temat rozwodu. Wezwał mnie do swojego gabinetu i kazał podpisać parę umów przedślubnych. Miałam nie rościć sobie prawa do niczego poza garderobą.

- I tak nie będę miał żadnego pożytku ze stosu damskich ciuchów - powiedział.

- Kiedy występujemy o rozwód?

- Jak tylko moja matka zostanie pochowana. Eryk zdobył się na życzliwy uśmiech.

- Nie zapomniałem bynajmniej, że obiecałem ci rolę w adaptacji

Zmartchwychwstania.

- Główną rolę kobiecą - uściśliłam.

- Tak. No cóż, wrócimy do tematu we właściwym czasie.

Zadzwoiłam do Brandi.

- Jest na konsultacji u doktora Walkera - powiedziała apodyktycznym tonem pielęgniarka.

- Myślałam, że on jest na urlopie.

- Przyszedł specjalnie na jej prośbę.

- Czy ona źle się czuje?

- Takie sprawy mogę omawiać przez telefon wyłącznie z najbliższą rodziną.

Ciemność okryła odświętnie przybrany ogród i wkrótce cały dom zapadł w sen.

Ale nie ja. Siedziałam na krawędzi łóżka i wpatrywałam się w ślubną suknię wiszącą na wieszaku na drzwiach szafy. Tego dnia Abby Goldstein złożyła mi specjalną wizytę, by upewnić się, że wszystko jest w porządku, i była niepokieszona, gdy na rąbku dostrzegła ślad buta.

- To się musiało wydarzyć podczas pozwania - podsunęłam.

- To musiało być dość energiczne pozwanie - zauważyła. Zamknęłam oczy na wspomnienie tamtych chwil.

- Och, Richardzie, powiedz, że do mnie wrócisz - mruknęłam. - Zrobię dla ciebie wszystko. Wszystko.

Mogłabym wrócić do Solihull i do końca moich dni pracować w agencji nieruchomości. Mogłabym być robotnicą w fabryce skubania kurcząt. Mogłabym codziennie chodzić do jakiejś nędznej

agencji zatrudnienia. Nie zależało mi już na Hollywood. Zależało mi na Richardzie. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Kiedyś, dawno, dawno temu, Richard powiedział mi, że mam zdolności parapsychiczne. Na początku naszego chodzenia było tak, że ilekroć o nim pomyślałam, czułam przymus zadzwonienia do mnie.

Niejeden raz zdarzyło się, że nasze e-maile minęły się w wirtualnej przestrzeni. Wyglądało na to, że zawsze myślimy o sobie dokładnie w tym samym czasie. Bądź też, jak utrzymywał, potrafiłam go zmusić, żeby o mnie myślał.

- Rzuciłaś na mnie klątwę - powiedział kiedyś, kiedy przeszedł piechotą pół Londynu, żeby być ze mną, zamiast iść na piwo z chłopakami po treningu w klubie piłkarskim.

No cóż... Jeśli w ogóle miałam nad nim jakąś tajemniczą władzę, to zamierzałam użyć jej właśnie teraz.

Zamknęłam oczy i przywołałam jego twarz. Wyobraziłam go sobie w momencie, gdy odwrócił się wtedy w galerii i spojrzał prosto na mnie, kiedy dostrzegłam w tłumie jego plecy. Odwrócił się i spojrzał prosto na mnie, zupełnie jakby palił go mój wzrok. Czy to było zjawisko parapsychiczne?

- Richardzie - powiedziałam w duchu - wiem, że jesteś jeszcze w Los Angeles. Wiem, że jesteś gdzieś blisko. Przyjdź i spraw, żebym nie musiała jutro wychodzić za mąż. Powstrzymaj mnie, Richardzie. Proszę. Proszę. Powstrzymaj mnie.

33

Trzydziestoosobowa orkiestra zagrała *Here Comes the Bride*. - Czas na nas - powiedział Antonio, wyciągając ramię. Poprosiłam Antonia, żeby poprowadził mnie tego ranka do ołtarza. Był jedynym znanym mi mężczyzną w Los Angeles, który nie nosił sztucznych rzęs.

Kiedy ruszyliśmy powoli z domu do ogrodu, gdzie czekało na nas całe towarzystwo, siedzące na krzesłach o złożonych oparciach, błysnął mi w głowie nagłym wspomnieniem obraz ojca, jak wyciąga do mnie ramię, zapraszając do tańca na weselu mojego brata. „Kiedyś będziesz miała własne wesele” - powie-

dział. - A ja będę wtedy najszczęśliwszym ojcem na całej kuli ziemskiej".
A teraz tata nawet nie wiedział, że wychodzę tego dnia za męż... Obraz jego dumnej uśmiechniętej twarzy, kiedy płynęliśmy w walcu wokół parkietu (on w swoim pingwinim fraku, ja w ohydnej brzoskwińowej sukni druhny), prześladował mnie, kiedy szliśmy z Antoniem po schodach, a potem przez hol. Ilu ludzi zdołał oszukać ten ślub? To, co zaczęło się jako sposób na odwrócenie uwagi Elspeth od jej choroby, przekształciło się w fantastyczne oszustwo rodem z farsy.

Moi rodzice oglądają teraz pewnie w telewizji powtórkę *Inspektora Morse 'a*, siedząc przed „żywym płomieniem” gazowego ognia w swoim skromnym domu w Solihull. A ja idę obsypanym różanymi płatkami korytarzem wspaniałej willi w Malibu, wsparta na ramieniu mafioso, mojego szefa z nocnego klubu, którego dzisiejsza „żona”, Atalanta, nie położyła na twarz dostatecznie dużo podkładu, żeby zatuszować zarost.

Gruby Joe dyskretnie ocierał sztuczne rzęsy, choć jedyne łzy, jakie mógł wylewać, to były łzy śmiechu. Brandi, która wywalczyła sobie na ten dzień przepustkę ze szpitala, siedziała obok niego i kiedy przechodziłam, przesłała mi zaciśniętą pięścią sygnał „głowa do góry”. W szeregach pozostałych zgromadzonych pełno było lekko oszołomionych twarzy. Ale znajomi Eryka i moi koledzy z Ladyboys występowali jako statyści i nikt z nich nie sprawiał wrażenia na tyle rozbawionego pomysłem naszego ślubu, by dać Elspeth powód do troski.

Elspeth promieniała, kiedy dołączyłam przed ołtarzem do Eryka. To jej sen się spełniał, to jej była potrzebna ta pieczęć w paszporcie osiągnąć, by mogła zaakceptować wszystko, co zdarzy się później. Obejrząwszy się na nią, kiedy ksiądz Dawid rozpoczął powitalne przemówienie, pomyślałam, że Elspeth sprawia wrażenie tak samo zniecierpliwionej, jak kilkoro dzieci wśród publiczności. Nie dlatego, że się jej nudziło, tylko dlatego, że tak długo czekała na tę chwilę - chwilę, gdy zakłada rodzinę jej jedyny syn. Dziś po południu Eryk Nordhoff będzie już żonaty i wszystkie te głupie plotki o tym, że woli chłopców, pójdą w niepamięć.

- Ukochani bracia i siostry, zebraliśmy się tutaj...

Słowa księdza Dawida przepływały obok, jakby mnie nie dotyczyły. Wpatrywałam się w ocean. Miałam ochotę dodać trochę słonej wody do najgłębszego oceanu na świecie. Miałam ochotę

pójść na brzeg klifu i skoczyć w dół. Moje wołanie pozostało bez odpowiedzi. Richard mnie nie uratował.

- Jeśli komuś z tu obecnych wiadomy jest jakikolwiek powód, dla którego ci dwoje nie mogą być połączeni węzłem małżeńskim...

A to, że narzeczona kocha innego mężczyznę? - pomyślałam. A to, że kochają Richard Adams? To ostatnia szansa dla Richarda. Utkwiłam wzrok w podłódze... Przez moment trwała cisza, poprzedzająca dalszy ciąg ceremonii.

- Proszę zaczekać!

- Powstrzymajcie tego człowieka! - krzyknęła Elspeth. Wynajęci ochroniarze rzucili się na kogoś z tyłu.

- Co się dzieje? - spytał Eryk.

- Nic, nic - odparła jego matka. - Proszę kontynuować ceremonię.

- Ja... nnngh!

Z płataniny ciał w tylnym rzędzie wystrzeliła w górę czyjaś ręka.

- Ten pan chce coś powiedzieć - pisnęła Brandi.

- Zamknij się, ty - powiedziała Elspeth. - Nie ma potrzeby, żeby go słuchać.

- Richard? - zaskrzeczałam nerwowo. - To ty, Richardzie?

Cisnęłam mój bukiet Erykowi i rzuciłam się biegiem do miejsca, gdzie coś się działo. Jak w filmie, czas zdawał się rozciągać wokół mnie. Droga, której przejście normalnie trwałoby sekundę, zdawała się trwać całe życie. Mój zbawca walczył tymczasem, usiłując wydostać się spod trzech przygniatających go bramkarzy. Jego ręka wciąż na nowo wystrzeliwała desperacko w górę, jak ręka tonącego, tylko po to, by znów pochłonął ją ocean.

Elspeth wrzasnęła, kiedy przebiegłam obok niej. Jej czerwone usta były ohydnie rozmazane.

- Niech... ją... ktoś... zatrzyma...

Ale ja byłam już z tyłu. Walnęłam jednego z bramkarzy pięścią w plecy.

- Złaźcie z niego!

Niczym upiór panny młodej, kopałam i gryzłam, by uwolnić mojego rycerza przybywającego na białym koniu, by mnie uratować.

- Złaźcie z niego!

Bramkarze wciąż na nowo otrząsali się ze mnie. Moja ślubna suknia była poplamiona trawą, ale wiedziałam, że jestem prawie wolna.

- To absolutnie niezgodne z procedurą- powiedział ksiądz Dawid i zakaszał do mikrofonu w nieudolnej próbie przyciągnięcia na powrót uwagi obecnych.

Elsbeth była już na moich plecach i usiłowała odciągnąć mnie od bramkarzy, podczas gdy ja usiłowałam odciągnąć ich od mojego ukochanego.

- Wracaj do ołtarza, ty suko! - zawołała. Odepchnęłam ją łokciem. Poleciała do tyłu i padła zadkiem na ziemię.

- Drodzy bracia i siostry! - ryknął ksiądz Dawid. - Dom Boży to nie miejsce na bijatykę!

- To nie jest dom Boży, to mój dom! - odkrzyknęła Elspeth i z powrotem rzuciła się w wir walki. - Wracaj do ołtarza, bo inaczej wsadzę cię do więzienia!

Próbowała złapać mnie za włosy, ale został jej w rękach mój ślubny welon. W tej samej chwili ugizłam w ucho jednego z bramkarzy i posłałam do mamusi.

Drugiego kopnęłam w goleń. Zachwiał się, cofnął i padł na rabatkę. Trzeci, widząc moje białe z wściekłości oczy, rzucił się do ucieczki.

Stoczyłam walkę jak wilczyca broniąca swoich szczeniąt. Adrenalina wciąż buzowała mi w żyłach, więc bez trudu podniosłam mojego zbawcę na nogi.

- Zrobiłeś to. Przyjechałeś po mnie.

Całowałam go na ślepo, gdzie popadło. Oczy miałam pełne łez i nie od razu dostrzegłam, że mam przed sobą Scotta Walkera.

- Lizzie - odsunął mnie na odległość ramienia.

- Scott - otrząsnęłam się z jego chwytu. - Scott? Co ty tu robisz?

- Przyszedłem, żeby nie dopuścić do ślubu.

- Co za różnica, za kogo wychodzę?

- Nie chodzi tylko o ciebie, Lizzie. Elspeth - pomógł drobniutkiej herod-babie stanąć na nogi. - Popełniasz okropny błąd.

Ruszył ku frontowi zgromadzenia.

- Ślub nie może być udzielony - zwrócił się do księdza Dawida. - On jej nie kocha - wskazał na Eryka i na mnie. - Kocha jego - skinął głową w kierunku tylnego rzędu, gdzie siedział Jan. Trzymał na kolanach walizkę i ocierał chusteczką oczy.

- A ona nie kocha jego - ciągnął Scott. - Skończyła jej się wiza. I pieniądze, jak sądzę.

Elsbeth znów się podniosła -tylko po to, by dramatycznie zemdleć.

Już miałam ruszyć jej na pomoc, ale Scott mnie powstrzymał.

- A ona - skinął głową ku Elspeth - nie jest w ostatnim stadium raka.

Możecie sobie wyobrazić to zbiorowe westchnienie?

- W ogóle nie choruje na żadnego raka. Eryk, twoja matka cierpi na przypadłość zwaną zespołem Munchausena. Nazwa pochodzi od fikcyjnego barona von Munchausena, który wymyślał niestworzone historie. Ona robi to samo.

- Ale... - otworzyłam usta, by zaprotestować.

- Nie ma żadnego „ale”, Lizzie. Czy pokazała ci kiedykolwiek jakieś wyniki badań? Rozmawiałaś z jej lekarzem?

- Myślałam, że ty jesteś jej lekarzem.

- Ja byłem tylko jej umówionym w ostatniej chwili partnerem w Santa Barbara. Pogotowiem towarzyskim.

- Zabierzcie go stąd! - zawołała Elspeth. Wróciła do siebie na tyle, by usiąść na krześle. - On nie wie, co mówi.

- Personel szpitala św. Ekspedyta potwierdzi moje słowa, pani Nordhoff. Jest nagranie telewizji wewnętrznej, które stanowi dowód, że przychodziła pani na oddział otwarty szpitala tylko po to, żeby spędzić parę godzin w barku dla odwiedzających.

- On kłamie.

- Chciałbym.

- Na pewno pan kłamie - powiedział ze złością Eryk. - Dlaczego miałyby udawać, że zostało jej parę tygodni życia?

- Nie wiem. A jak pan myśli, dlaczego w zeszłym roku udawała, że ma guza mózgu?

- Została wyleczona.

- Eryk, ona w ogóle nie była leczona, bo nie miał żadnego guza.

- A stwardnienie rozsiane? - spytał Eryk.

- Czy zna pan jakieś osoby, które zachorowały na tę chorobę w wieku pięćdziesięciu trzech lat? - odpowiedział pytaniem doktor Walker. - Pańska matka nie jest chora.

Chyba że na głowę.

Elspeth szlochała. Beztronski kapelusz zsunął jej się na oczy. Goście siedzieli w całkowitym milczeniu. Zahipnotyzowani. Niełatwo jest zaszokować czymś hollywoodzką publiczność, ale w tej chwili byli całkowicie osłupiali. I tak samo ja.

- Elspeth - powiedziałam cicho, kładąc rękę na jej drżącym ramieniu - czy to prawda? Masz nowotwór, czy wymyśliłaś sobie to wszystko?

- Och, no więc dobrze!

Elsbeth wyprostowała się i strząsnęła moją rękę tak energicznie, że o mało nie wylądowałam na tyłku.

- Tak, udawałam, że mam nowotwór. I nigdy nie miałam stwardnienia rozsianego. Ale co to za syn, jeśli jedynym sposobem na to, żeby przyciągnąć jego uwagę, jest udawanie, że jestem śmiertelnie chora? - Dźgnęła Eryka palcem w pierś. - Zawsze bardziej cię interesowały portrety rodzinne pędzla Modiglianiego, niż rodzina jako taka!

- Mamo, to nieprawda.

- Jedyny powód, dla którego zgodziłeś się na ten ślub, to udział w spadku. Wiedziałam, że wychowałam pazernego synalka, ale nie myślałam, że posuniesz się tak daleko, by zapłacić jakiejś dziewczynie z ulicy za to, że za ciebie wyjdzie! Całkiem jak ojciec.

- Mój ojciec nie żyje.

- Żyje. Jest w Iowa. Jedyne, co go interesowało, to moje pieniądze. Nie kochał mnie. Kiedy cię urodziłam w szpitalu, spał z pomocą domową. Dostał milion dolarów za to, że zniknie z naszego życia, i nigdy więcej się nie pokazał.

- Oszukiwałaś mnie, że umarł?

- Nie chciałam, żeby miał na ciebie wpływ. Skąd miałam wiedzieć, że i tak pozostanie obecny w twoich genach? Co ja takiego zrobiłam, żeby na to zasłużyć? Nikt nie kochał cię bardziej niż ja. A co dostałam w zamian? Telefon na Boże Narodzenie? Zaproszenie na premierę z moim niepoprawnie napisanym nazwiskiem?

- Mamo - próbował jej przerwać Eryk.

- Nie. Milcz. Jeszcze nie skończyłam. Lizzie to pierwsza osoba od bardzo dawna, która okazała mi trochę uczucia. Uczucia bezinteresownego. Lizzie była zainteresowana moim życiem. Nie skreśliła mnie jako starej wariatki, która powinna się pospieszyć i jak najprędzej umrzeć. Kiedy okazało się, że mam mieć tę dziewczynę za synową- objęła mnie ramieniem - pomyślałam, że moja rodzina zostanie w końcu uratowana. Pomyślałam, że muszę coś dla niej zrobić, skoro jest tak dobra, że chce wyjść za mojego syna. A teraz okazuje się, że nawet Lizzie nie jest tą dziewczyną, za jaką ją uważałam. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Ty też mnie okłamywałaś.

Odetchnęła głęboko, nie spuszczając ze mnie wzroku. Chętnie skurczyłabym się i zniknęła niczym Złośliwa Wiedźma Zachodu, tak żeby zostały po mnie tylko kapie... Elspeth kłamała, że jest chora na raka, bo czuła się niekochana. Weselni goście

mogli się jedynie domyślać, że moim motywem, dla którego wzięłam udział w tej grze, były pieniądze.

- Chwileczkę! - pisał ktoś w tłumie. Brandi... - Proszę nie zwać wszystkiego na Lizzie. Wydaje mi się, że to ona jest osobą, przed którą powinniście się wszyscy usprawiedliwiać. Wciągnęliście ją w swoje rodzinne problemy.

- Pozwę ją przed sąd za oszustwo - parsknęła Elspeth. - Nie musiała brać udziału w tej grze.

- Musiała - rzekła poważnie Brandi. - W przeciwieństwie do pani i Eryka, Lizzie nie miała zbyt wielkiego wyboru. Musiała wziąć udział w grze ze względu na mnie. Wcale nie chciała pani oszukiwać, pani Nordhoff. Zgodziła się tylko, żeby pomóc Erykowi, bo w ten sposób mogła pomóc mnie. Rola Lizzie - ciągnęła Brandi - polegała na tym, że miała opłacić moje leczenie. Eryk obiecał jej, że dopóki będzie z nim współdziałała, on będzie pokrywał koszty mojego pobytu w szpitalu.

Spodziewał się, że odzyska te pieniądze z pani polisy ubezpieczeniowej na wypadek śmierci. Mnie też się nie podobał ten układ, ale faktem jest, że gierka, jaką prowadził Eryk, prawdopodobnie uratowała mi życie. Bo ja naprawdę miałam nowotwór, pani Nordhoff. I proszę mi wierzyć, nie jest to rola, którą wybrałabym dobrowolnie.

To wystąpienie dosłownie zapało wszystkim dech.

Zdawało się, że milczenie trwało całą godzinę, zanim wreszcie kapłan, który przez cały czas stał z otwartymi ustami, odważył się odchrząknąć.

- Oczywiście, nie mogę w tej sytuacji kontynuować ślubnej ceremonii.

- Oczywiście - zgodził się natychmiast Eryk.

- Może zatem powinniśmy wykorzystać ten moment, by pomodlić się wspólnie o wzajemne zrozumienie?

Epilog

W dwa dni później wracałam już odrzutowcem do Londynu. Podczas kontroli paszportowej urzędnik nawet nie spojrzał na moją nieważną wizę. Przepuścił mnie machnięciem ręki.

Weselne przyjęcie zakończyło się wkrótce po tym, jak ksiądz Dawid wezwał do wzajemnego wybaczenia. Eryk i Elspeth mieli wiele do omówienia. Przedtem jednak Eryk zdążył szepnąć w moim kierunku coś na temat nielegalnych imigrantów. Zmyłam się i zaczęłam przygotowywać do wyjazdu.

Gdyby to był film, Scott mógłby nalegać, żeby ksiądz udzielił od ręki ślubu innej parze, albo pognałby na lotnisko, żeby mnie zatrzymać. Ja jednak dopiero trochę później uświadomiłam sobie, co do mnie czuł.

Zamiast tego więc podróżowałam nad Atlantykiem niemal tak samo, jak podróżowałam w przeciwną stronę trzy miesiące temu. To znaczy we łzach. Nawet myśl, że mój brat Colin mógłby powitać mnie na lotnisku ubrany w stylu Grubego Joego, jako gospodyni domowa z Birmingham imieniem Colleen, nie była w stanie mnie rozśmieszyć. I, rzecz jasna, tak się nie stało. Kiedy zobaczyłam Colina i Łzawą Sally, czekających na mnie w hali przylotów -Colin stał z założonymi rękami, z wyrazem dezaprobaty na twarzy - było tak, jakby nie minęły nawet trzy dni.

Rzecz jasna, moja rodzina nic nie wiedziała o ślubie, który nie doszedł do skutku. Uważali, że po prostu podjęłam rozsądną decyzję

o powrocie do Anglii w porę, by zdążyć na sezon pantomimy. Eunice załatwiła mi przesłuchanie do *Kopciuszka*, który miał być wystawiony, bardzo wygodnie, w Solihull. Obiecała, że postara się, żebym dostała rolę w scenach zbiorowych.

- Zagrasz w teatrze - przypomniała mi Eunice. Ale jakże dalekie było to od głównej roli w *Zmartwychwstaniu...* Przeczytałam w „Entertainment”, że niedługo zaczniesz się casting do tego filmu.

W Los Angeles tymczasem Brandi dość szybko opuściła szpital. W tydzień po weselu, które się nie odbyło, Elspeth Nordhoff wysłała do św. Ekspedyta czek na sumę, która pokrywała resztę kosztów leczenia. *Tamoxifen jest drogi* - napisała w załączonym liście. - *Kto jak kto, ale ja o tym wiem. Całe lato udawałam, że go kupuję.*

Brandi wróciła do domu na plaży w Venice. Pod jej nieobecność Gruby Joe przeprowadził remont. Kiedy Brandi weszła do świeżo odmalowanej sypialni, wybuchnęła płaczem. „Uświadomiłam sobie, że to ktoś, kto zrobi dla mnie wszystko” - powiedziała mi. Mają się pobrać, jak tylko Gruby Joe dostanie rozwód z Wenus. Bardzo się cieszę z ich szczęścia, ale dostaję dreszczy na myśl o tym, w jaki sposób zdecydują, które z nich ma włożyć ślubną suknię.

Gruby Joe nadal śpiewa w Ladyboys, ale Antonio nalega, żeby zaczął brać lekcje śpiewu. Atalanta zaoszczędziła w końcu dostatecznie dużo kasy, żeby poddać się ostatniej operacji i odwiesiła swój kostium Kleopatry na dobre.

Po moim powrocie ludzie dobrze wiedzieli, że nie należy mnie pytać o Richarda. Bill i Mary poznali mnie z paroma facetami z biura Billa — w okropnych garniturach, wyrażających swoją oryginalność za pomocą krawatów w świnki i dziwaczkich skarpetek. Seema zaprosiła mnie na drinka. Była zachwycona, że wróciłam z torbą pełną drogich ciuchów. Podarowałam jej czerwoną sukienkę od Gucciego - tę, w której miałam uciec.

Nie wiem, co się stało z Richardem Adamsem. W czasopiśmie poświęconych sztuce, o ile chciało mi się zawracać sobie głowę ich czytaniem, zdawała się panować zgodna opinia, że malarstwo nadal jest martwe. Któregoś dnia, późno wieczorem, kiedy wróciłam do domu po całym dniu odwalania pańszczyzny w charakterze wieśniaczki w *Kopciuszku*, co polegało na tańczeniu

różnych wariacji na temat polki, zobaczyłam w telewizorze reklamę, w której występowała ona. Jennifer-modelka.

- Dizzy.com - wysepleniła. - Nie sposób się oprzeć.

Jennifer-modelka nadal miała na palcu zaręczynowy pierścionek, ale tym razem nie był to pierścionek od Richarda. Przypominający ropuchę komputerowiec dostał z powrotem swoją pierwszą prawdziwą dziewczynę. Domyślałam się, że oznacza to, iż Richard nie zarabiał na swoim malarstwie takich kokosów, jak się spodziewała. Albo też, myślałam, gdy byłam nastrojona nieco bardziej refleksyjnie, to popołudnie w Malibu istotnie coś dla niego znaczyło.

Chyba nigdy się tego nie dowiem. W każdym razie zdałam sobie sprawę, że Richard Adams, który przemknął jak błyskawica przez moje życie w Los Angeles, to nie był ten sam, na którego zwałam się w tamtym pubie na Leicester Square.

Jesień wlokła się jak flaki z olejem. Zrezygnowałam z roli w *Kopciuszku* - Eunice mało nie dostała apopleksji - i złapałam parę dorywczych prac. Eunice powiedziała, że nie może dłużej reprezentować mnie jako aktorki i nie będzie słuchała moich argumentów, że noszenie blond peruki z warkoczami i tańczenie polki sześć razy w tygodniu w każdy wieczór to raczej nie jest aktorstwo. Zastanawiałam się, czy nie pójść na kurs księgowości. Colin był zachwycony i zaofiarował się, że zapłaci za egzaminy. W Szkole Księgowości w Londynie powiedzieli mi, że mają wolne miejsce od grudnia.

Byłam już gotowa zacząć. Zrezygnowałam z prenumeraty „Sceny” na rzecz „Księgowości dzisiaj”. I wtedy zadzwonił telefon.

- Pani Jordan? Mówi asystentka pana Edwarda Straussera z Kristiansand Creative Company. Pan Strausser pyta, czy zechciałaby pani odwiedzić nas z własnymi nagraniami?

- Ja jestem w Solihull!!! Niedługo tam byłam.

- Musisz pojechać - nalegała Mary.

- Nie mogę sobie pozwolić na lot do Los Angeles!

- To powiedz Strausserowi, że spotkasz się z nim w Nowym Jorku.

Mary triumfowała. Znalazła sposób, żebym była na weselu Briana Corena i Angeliki. Nie miałam zamiaru jechać - nie sądziłam, żebym była w stanie znieść jeszcze jedno wesele - i używałam swojej biedy w charakterze wymówki.

Mary proponowała, że pożycz mi na podróż, ale powiedziałam, że w ogóle nie biorę tego pod uwagę. Teraz zaproponowała, że da mi na podróż. A właściwie to nalegała, że zabranie mnie do Nowego Jorku nic ją nie będzie kosztowało, skoro i tak leci tam z Billem. Zostało jej mnóstwo powietrznych mil do wykorzystania, o ile nie miałam nic przeciw temu, że polecę z Billem klasą bydlęcą, gdy ona będzie się rozwalać w pierwszej.

- Brian to jeden z twoich najbliższych przyjaciół - przypomniała mi. Wiedziałam, jaki jest podtekst: o ile Ed Strausser chce mnie widzieć, to ona chce być tą, która naciska guzik z napisem „start”. Mary była czasami strasznie... Ale wiedziała, kto się liczy w tym biznesie. Zdecydowałam, że powinnam pojechać.

Brian i Angelica mieli brać ślub w katedrze św. Stefana na Manhattanie.

Katedra okazała się zaskakująco pięknym tłem akcji. Angelica uparła się, żeby ją przybrać białymi zimowymi różami, tak, by jej ślubne kwiaty idealnie współgrały ze świąteczną dekoracją wnętrza świątyni.

Angelica była panną młodą, jaką chce być każda mała dziewczynka. Płynęła wzdłuż nawy ku wiecznej szczęśliwości w sukni od Versacego, uzupełnionej stosowną biżuterią z Quality Street. Mm... Mam na myśli Tiffany'ego, rzecz jasna. Z miejsca, na którym siedziałam, nie widziałam twarzy Briana, ale wiedziałam, że będzie zachwycony. Angelica zasłużyła na swoje imię.

Z przymkniętymi oczami słuchałam, jak składa ślubną przysięgę mężczyźnie, który stanowił niegdyś centrum mojego małego kruchej wszechświata. Wcześniej myślałam, że być może będę musiała zatkać sobie uszy, by nie słyszeć żarliwych odpowiedzi Briana na pytania duchownego, ale nie musiałam. W ławce obok mnie Mary grzebała w torbie w poszukiwaniu chusteczki. Bill głośno pociągał nosem, choć wiedziałam, że tylko dlatego, że się przeziębził. Kiedy kilkoro młodych, krewnych panny młodej, zaczęło mordować *Ave Maria*, Mary nachyliła się do męża i spytała,

czy sądzi, że byłoby to nie na miejscu, gdyby skoczyła na chwilę do Macy'ego, zanim udadzą się wraz z innymi na weselne przyjęcie.

- To tuż za rogiem - powiedziała.

Jedna z ciotek Angeliki uciszyła Mary głośnym szeptem.

Usiadłam na powrót w ławce i patrzyłam na płonące na ołtarzu świece. Piękny był ten kościół... Angelica i Brian doprawdy nie mogli wybrać bardziej magicznego miejsca na to, by się chajt-nać. O ileż bardziej romantyczny jest płomień świec i bożonarodzeniowe dekoracje niż fantazja na temat *Dynastii* autorstwa El-speth w Malibu Beach... Właśnie tak chciałam brać ślub, pomyślałam. Jeśli w ogóle go kiedykolwiek wezmę... Czy będę kiedyś prawdziwą spowitą w biel panną młodą? Brian i Angelica złożyli podpisy w księdze ślubów i ruszyli wolnym krokiem ku wyjściu. Na Manhattanie zapadał zmrok. Drżąc z zimna, staliśmy przez parę minut przed katedrą, a fotograf strzelił kilka zdjęć. Jedna z druhen Angeliki pospieszyła z białym futrem, by panna młoda nie dostała gęsiej skórki. Rzuciliśmy białe konfetti, które momentalnie zagubiło się w prawdziwym konfetti. Śniegowym.

Na schodach katedry, ze świeżo poślubionym mężem u boku, Angelica wyglądała jak Królowa Śniegu, panująca ponad mroźnym światem. Przypomniał mi się tamten sierpniowy dzień, kiedy Richard powiedział mi, że wszystko skończone. Jak chłopiec, któremu utkwiał w oku odłamek lustra Królowej Śniegu. On miał serce zamrożone. Ja - złamane.

Brian pocałował świeżo poślubioną żonę w policzek. Choć było mroźno, miłość, jaka łączyła szczęśliwą parę, była dostatecznie wielka, by ogrzać każdego z nas. Z nami tak nie było. Z Richardem i ze mną. Nigdy nie istniała między nami taka miłość, która byłaby zbyt wielka, by mogły ją pomieścić dwa ciała. Tak wielka, że człowiek nie może się nie uśmiechać, kiedy jest jej świadkiem, choćby w środku czuł się nie wiem jak samotny.

Mary pobiegła do Macy'ego, więc w rezultacie dotarliśmy do górującego ponad Central Parkiem ekskluzywnego hotelu, który wybrała Angelica na ślubne przyjęcie, jako jedni z ostatnich. Sala balowa hotelu była kontynuacją wątku „Zimowy Świat Cudów”.

Koktajle z szampana, jakimi zostaliśmy podjęci, nosiły takie nazwy jak Dzwoneczki Sań czy Różowy Lód. Nawet ślubny tort został tak przyrządzony, by wyglądał jak wielka śniegowa kula.

Siedziałam, rzecz jasna, z Mary i Billem. Jako honorowi goście, prosto z Anglii, mieliśmy całkiem dobre miejsca. Kiedy Mary i Bill porównywali olśniewającą wizję śnieżnej zamieci stworzoną przez Angelicę z ich własnym, znacznie mniej wytwornym przyjęciem, ja bawiłam się kartonikiem z nazwiskiem, jakim oznaczone było moje miejsce, i zastanawiałam się, ile czasu minie, zanim zdołam urządzić się w trupa wszystkimi tymi koktajlami.

Miejsce obok mnie było puste. Ktoś nie dotarł na czas. Z jednej strony miałam nadzieję, że niedługo się pokaże; mieć na weselu obok siebie puste miejsce, to gorzej, niż siedzieć obok zbereż-nego wujka pana młodego... Z drugiej strony, niezbyt zachwycała mnie perspektywa prowadzenia zdawkowych rozmówek w nowojorskim stylu:

- Skąd pani przyjechała?
- Z Londynu.
- Naprawdę? Czy zna pani...
- Królową? Nie. Nie osobiście.

Wzięłam do ręki kartonik z nazwiskiem nieznajomego. Było na nim napisane „Scott”.

Uśmiechnęłam się lekko na wspomnienie chwili, kiedy spotkałam ostatni raz na pewnym weselu mężczyznę imieniem Scott. Brandi mówiła mi, że wkrótce po kłęsce wesela u Nordhoffów Scott Walker odszedł ze szpitala św. Ekspedyta.

Ustalenie prawdy co do Elspeth nie zajęło administracji szpitala zbyt wiele czasu i błagano go, żeby wycofał rezygnację, ale było za późno. Scott miał dość użerania się z nadzianymi sponsorami, którzy uważali, że pieniądze dają im prawo pouczenia go, jak należy leczyć.

Brandi nie wiedziała, dokąd wyjechał. Nikt tego nie wiedział.

- Szkoda - powiedziała mi przez telefon. - Lubiłam go. A on lubił ciebie. Gdybyście spotkali się w innych okolicznościach...
- No - westchnęłam. Mogłoby być miło.

Tak czy owak, spóźniony gość nie załapał się na przystawkę -delikatne maleńkie bliny z wędzonym łososiem i kawiozem.

- Takie mikroskopijne, że muszę włożyć okulary, żeby je zjeść - skomentowała Mary.

Nie zdążył też na główne danie - coś w rodzaju musu z kurczaka, ozdobionego gałązkami ostrokrzewu.

. - Kurczak - zauważyła Mary. - Dokładnie to samo, co my mieliśmy na weselu, tyle że z kolcami.

Spóźniony gość nie zdążył nawet na pudding.

- Niech zgaśnie. To musi być lawina! - zadrwiła Mary, kiedy kelner przechylił ku niej lodową wieżę tak nagle, że o mało nie ześliznęła się na jej talerz.

Podczas przemówień zamknęłam się w kibelku z paczką papierosów. Wyszłam dopiero wtedy, kiedy Brian i Angelica połączonymi dłońmi ujęli srebrny nóż, by odkroić pierwszy kawałek tortu.

- Tańczymy! - zaklaskała w dłonie panna młoda i miniaturowa orkiestra zagrała pierwsze tony. Mieli i wokalistkę. Przyćmiono światła i młoda para objęła we władanie parkiet w rytm / *will always love you*. Wielki standard Whitney...

Wymieniłyśmy z Mary grymasy. Od kiedy to Brian tak przepada za Whitney?

Na myśl o tym, że ten twardziel Brian, jedyny znany mi mężczyzna, który naprawdę lubił free jazz, tańczy swój pierwszy taniec jako żonaty w takt tej łzawej piosenki, o mało się nie roześmiałam. Bardzo prędko zaczął desperacko kiwać dłonią ku innym gościom, zachęcając, by ruszyli się od stolików i dołączyli do świeżo poślubionej pary na parkiecie.

- Potrzeba mi więcej ciał, żeby nie było widać, jak źle tańczę! -zawołał.

- Tańczysz świetnie, kochanie - powiedziała Angelica. - Au! Uważaj! Te pantofle kosztowały sześćset dolarów!

Mary i Bill pośpieszyli im na ratunek i wkrótce znowu byłam sama. Moja specjalność, pomyślałam. Starać się nie rzucać w oczy, kiedy siedzę, pozostawiona sama sobie, na weselnym przyjęciu. Obok mojego stołu przeszli powoli rodzice Briana. Matka spojrzała na mnie ze współczuciem. Wiedziałam, o czym myśli. Pieprzę, pomyślałam. Będę tańczyła sama. Kiedy wokalistka skończyła kwilić nieudolnie naśladując Whitney, wstałam i ruszyłam na środek parkietu, gdzie zaczęłam beztrząsco pisać w rytm następnej melodii. Kieliszek szampana w dłoni był doskonałą

podpórką. Angelica zaproponowała, że pożyczy mi swojego męża, ale wzruszyłam ramionami na podobny pomysł.

- Doskonale się czuję sama ze sobą - zapewniłam ją.

I zdałam sobie sprawę, iż rzeczywiście tak było. Nie umarłam z bólu, kiedy straciłam Richarda. Nie umarłam ze wstydu, kiedy mój pobyt w LA zakończył się klęską. Nawet nie straciłam poczucia humoru, choć spędziłam miesiąc w Solihull... Czeka mnie przesłuchanie w Nowym Jorku. A wiosną mogę spodziewać się wizyty Joego i Brandi, skoro jest już zdrowa.

Życie jest w porządku, zdecydowałam. Naprawdę jest w porządku.

0 dziesiątej wieczorem Brian i Angelica wyjeżdżali w podróż poślubną. Wybierali się na narty do Austrii, rzecz jasna. Tuż przed opuszczeniem przez nich sali muzyka na moment ucichła, a światła przygaszono jeszcze bardziej. Brian i Angelica stanęli w niewielkim świetlnym kręgu pośrodku parkietu. Kiedy dziękowali gościom za przybycie, ojciec Angeliki, dowcipniś, dał sygnał i na ich głowy posypały się z ogromnej torby papierowe płatki śniegu. Wyszli, śmiejąc się, w szalejącą na zewnątrz prawdziwą zamieć. Papierowe śnieżynki nadal wirowały bezszelestnie w balowej sali. Orkiestra znowu zaczęła grać.

1 wtedy go zobaczyłam. Szedł ku mnie przez parkiet z tym samym zaaferowanym wyrazem twarzy, jaki zawsze miał w szpitalu. Miał na szyi stetoskop! Pracował teraz w Nowym Jorku. Miał tu mnóstwo rodziny, między innymi kuzynkę Angelicę. Nie mógł uwierzyć, że nie zdążył na jej wesele. Pacjenci zupełnie jakby się zmówili i sprawdzili jego terminarz z zapisem imprez towarzyskich, na których obowiązkowo musiał być, i wzywali go w nagłych i niecierpiących zwłoki sprawach dokładnie przed... Nie zdążył nawet na moment, kiedy szczęśliwa para opuściła hotel. Właściwie nie było już sensu zostawać. I wtedy...

- Dobrze się czujesz, Lizzie? - spytała Mary. - Zrobiłaś się bielsza niż ślubny tort. Ścisnęłam Mary za ramię i kiwnęłam głową w kierunku zjawy na parkiecie.

- Lizzie Jordan? - mruknął z niedowierzaniem.

- Co ty tu robisz, na Boga? - spytałam.

Wziął mnie za obie ręce i pocałował na przywitanie. Przypomniało mi się, jak lubiłam woń jego wody po goleniu i jaka byłam

szczęśliwa, kiedy czułam na plecach jego dłonie. Nie puszczał moich rąk, pocałował mnie w oba policzki. Patrzył na mnie tak, jakby i on coś sobie przypominał. Wargi wygięły się w uśmiechu.

- Grają naszą piosenkę - powiedział.

Nawet nie słyszałam... Ale miał rację. Zespół grał *Lei's Cali The Whole Thing Off*.

- Zatańczymy? - spytał.

- Chyba powinienes przedtem zdjąć stetoskop. Posłuchał mnie i ruszyliśmy na parkiet.

- *Ty powiesz po-tay-to...* - zanuciłam.

- Powiem. Jeśli ty powiesz, że będziesz moja...

KONIEC